

NAGRODA
WORLD FANTASY
1986



Dan Simmons
**PIEŚŃ
BOGINI KALI**

DAN SIMMONS

**Pieśń
Bogini Kali**

[Song of Kali]

Przełożyli:
Ewa Krasnodębska
Jan Zakrzewski

ALFA

1994

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

WSTĘP

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Harlanowi Ellisonowi, który słyszał pieśń, a także
Karen i Jane, które były moimi innymi głosami.*

...panuje mrok. Czyha na każdego. Jedyne poniektórzy Grecy i ich wielbiciele, pogrążeni w topniejącym południu – tam gdzie gorące uczucia przyjaźni dla ludzkich istot były doskonałe – sądzili, że uwolnili się od groźby mroku. Ale i ci Grecy w nim tkwili. Niemniej są podziwiani przez resztę wyrosłej w błocie, zniszczonej głodem, wydeptującej bez końca ulice, znękaney wojnami, trudnej, schorowanej, kopanej w brzuch, smutnej i kruchej ludzkości – pospólstwa i tego spod dyszącego gryzącymi dymami Wezuwiusza, i tego z dyszącej nocą Kalkuty. Wiedzą oni dobrze, kim są.

Saul Bellow

Toż to piekło, a ja w nim.

Christopher Marlowe

WSTĘP

Są na świecie miejsca zbyt nikczemne, aby pozwolić im istnieć. Są miasta zbyt niegodne, by je tolerować. Przed pobytem w Kalkucie wyśmiałybym podobne myśli. Przed poznaniem Kalkuty nie wierzyłem w istnienie absolutnego zła – w każdym razie nie jako siły niezależnej od czynów człowieka. Przed wyjazdem do Kalkuty byłem po prostu naiwny i głupi.

Kiedy Rzymianie podbili miasto Kartaginę, zabili wszystkich mężczyzn, sprzedali w niewolę kobiety i dzieci, zburzyli gmachy i świątynie, nawet rozkruszyli kamienie, a wszystko spalili i posypali solą zgliszcza, by nigdy nic nie wyrosło na tej ziemi. Tego wszystkiego byłoby jeszcze za mało w wypadku Kalkuty. Kalkuta powinna zostać unicestwiona i wymazana z pamięci.

Nim udałem się do Kalkuty, uczestniczyłem w demonstracjach pokojowych przeciw użyciu broni nuklearnej. A teraz marzę o tym, by nad Kalkutą zawisł atomowy grzyb. Oczami wyobraźni widzę budynki topiące się w połyskliwe szkliwo, widzę ulice spływające potokami lawy, a prawdziwe potoki i rzeki wyparowujące do ostatniej kropli, wygotowane do cna. Widzę ludzkie istoty śmiesznie tańczące jak spalane insekty, jak plugawe drapieżne pająki pękające z trzaskiem w piekielnym żarze stanowiącym instrument totalnego unicestwienia miasta.

Tym miastem jest Kalkuta. Rozkoszne marzenie! Są na świecie miejsca zbyt nikczemne, aby pozwolić im istnieć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziś wszystko może się zdarzyć w Kalkucie.

Kogo powinienem obarczyć winą...?

Sankha Ghosh

– Nie jedź tam, Bobby! Po prostu nie warto – powiedział mi przyjaciel.

Był to czerwiec 1977 roku, a ja przyjechałem do Nowego Jorku z New Hampshire, aby w redakcji miesięcznika Harper's uzgodnić szczegóły mojego wyjazdu do Kalkuty. Po rozmowie w redakcji postanowiłem skorzystać z okazji i odwiedzić przyjaciela, Abe Bronsteina. Nasze skromne pokoje redakcyjne na Manhattanie, w których mieścił się mało znany kwartalnik literacki, wydawały się jeszcze skromniejsze po spędzeniu kilku godzin w przepychu apartamentów redakcji Harper's w drapaczu przy Madison Avenue.

Abe siedział sam w malutkim, zapchanym pokoiku pracując nad jesiennym numerem Voices. Okna były otwarte, ale powietrze wydawało się zatechłe i wilgotne, podobnie jak dawno wygasłe cygaro, które Abe cierpliwie żuł.

– Nie jedź do Kalkuty, Bobby! – powtórzył Abe – Niech jedzie kto inny.

– Już wszystko postanowione, mój drogi – odparłem. – Wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu. – Wahalem się chwilę, a potem dodałem: – Bardzo dobrze płacą i pokrywają wszystkie koszty.

Abe coś mruknął. Przesunął cygaro w drugi kącik ust i marszcząc brwi utkwiał wzrok w stosie rękopisów na biurku. Patrząc na tego wiecznie spoconego, rozczochranego człowieka można by pomyśleć, że jest okropnie przepracowanym bukmacherem. Nikt by go nie posądził o to, że redaguje ogólnie poważany kwartalnik literacki, małonakładowy, ale wysoko

ceniony. Oczywiście konkurenci, tacy jak Kenyon Review czy Hudson Review, nie bledną ze strachu, gdy ukazuje się kolejny numer Voices. Niemniej nasz kwartalnik wychodzi regularnie i na przykład pięć opowiadań po raz pierwszy opublikowanych przez Voices trafiło następnie do antologii i otrzymało nagrodę O'Henry'ego, a dość sławna Joyce Carol Oates dała nam ostatnio swój utwór do numeru wydanego w dziesiątą rocznicę powstania pisma. W różnych okresach byłem kolejno zastępcą redaktora naczelnego, kierownikiem działu poezji i dość często korektorem. Obecnie, po roku spędzonym w New Hampshire na rozmyślaniu i pisaniu, mając na koncie dopiero co opublikowany tomik poezji, byłem jedynie cenionym współpracownikiem.

– Dlaczego, do diabła, chcą, żebyś ty tam jechał? – spytał. – Dlaczego Harper's nie pośle jednej ze swoich reporterskich gwiazd, skoro sprawa jest aż tak dla nich ważna, że pokrywają wszystkie koszty?

Abe dotknął bardzo istotnej sprawy. W roku pańskim 1977, mimo iż Times poświęcił całą szpalnę recenzji mojego tomiku *Duchy zimy*, mało kto słyszał o Robercie C. Luczaku. Miałem skromną nadzieję, że słyszało o mnie te paręset osób, które się liczą. W Harper's zainteresowano się mną po tym, jak w ubiegłym roku opublikowałem pewien esej w Voices.

– Przypominasz sobie mój esej o bengalskiej poezji? – spytałem Bronsteina. – Powiedziałaś nawet wtedy, że zbyt wiele miejsca poświęciłem Rabindranathowi Tagore.

– Tak – odparł Abe. – Przypominam sobie. Ale jestem zdziwiony, że ci klauni w Harper's wiedzą, kto to był.

– Zadzwoił do mnie Chet Morrow. Powiedział, że esej zrobił na nim duże wrażenie. – Nie dodałem, że Morrow rzeczywiście nie słyszał o Tagorem.

– Chet Morrow? – zdziwił się Abe. – Zdaje się, że on teraz pisuje teksty do seriali telewizyjnych?

– I czasowo jest konsultantem redaktora naczelnego Harper's. Namówił ich na materiał o życiu literackim w Kalkucie. Chcą to mieć do październikowego numeru.

– No a co na to Amrita i malutka Elżbieta Regina...? – Abe w zadumie pokręcił głową.

– Wiktoria, a nie Elżbieta Regina – poprawiłem, chociaż Abe doskonale wiedział, że Wiktoria.

Kiedy mu po raz pierwszy powiedziałem, jakie wybraliśmy imię dla naszej córki, Abe zauważył złośliwie, że jest zbyt angielskie i pretensjonalne jak dla córki hinduskiej księżniczki i chicagowskiego imigranta z jakiejś Polski. Abe zawsze był nadmiernie wyczulony na takie rzeczy. Choć miał już po pięćdziesiątkę, nadal mieszkał z matką w Bronxville. Oddał się bez reszty wydawaniu kwartalnika Voices i nie miał czasu dla nikogo, kto bezpośrednio nie uczestniczył w tym przedsięwzięciu. Którejś zimy w pokojach redakcyjnych przestało działać ogrzewanie. Prawie cały styczeń Abe siedział za biurkiem w grubym płaszczu, nim znalazł czas, by zająć się sprawą. Ostatnio większość kontaktów z ludźmi utrzymywał przez telefon lub listownie, co nie złagodziło obyczaju używania dosadnych określeń i wygłaszania złośliwych komentarzy. Zaczynałem rozumieć, dlaczego nikt nie objął po mnie funkcji zastępcy naczelnego redaktora lub szefa działu poezji.

– Zapamiętaj na przyszłość, że na imię ma Wiktoria – powtórzyłem.

– Niech będzie. A co mówi Amrita na to, że ją pozostawiasz samą z dzieckiem? – spytał. – Ile ma ta twoja Wiktoria? Dwa miesiące?

– Siedem.

– Złą wybrałeś porę na wycieczkę do Indii – odparł. – Zostawić żonę samą...?

– Zabieram Amritę. I Wiktorię. Przekonałem Morrowa, że Amrita będzie mi pomocna jako tłumaczka z bengalskiego. – Nie była to całkowita prawda. To właśnie Morrow zaproponował, żebym zabrał Amritę. Najprawdopodobniej to właśnie Amrita skłoniła redakcję Harper's, żeby mi zaproponowali wyjazd. Wiedzieli, że jest Hinduską. Harper's, nim się ze mną skontaktował, porozumiał się z trzema autorytetami w dziedzinie literatury bengalskiej. Dwaj z nich to hinduscy pisarze mieszkający w Stanach Zjednoczonych. Ale wszyscy trzej odmówili, natomiast ostatni, któremu to zaproponowano, wspomniał Amritę, mimo iż ją interesowała matematyka, a nie pisarstwo. Morrow skorzystał jednak z jego rady.

– Amrita mówi po bengalsku, prawda? – spytał mnie przez telefon.

– Oczywiście – odparłem z wielką pewnością siebie. W rzeczywistości Amrita mówiła w języku hindi, marati, po tamilsku, znała trochę pendzabski i swobodnie posługiwała się niemieckim, rosyjskim i angielskim. Ale bengalski był jej obcy. Pomyślałem sobie, że to nic nie szkodzi, jest blisko.

– A co na to Amrita, chętnie jedzie? – spytał teraz Abe.

– Nie może się doczekać. Nie była w Indiach od czasu, gdy jej ojciec przeniósł się z całą rodziną do Anglii. Miała wtedy siedem lat. Cieszy się także, że po drodze zatrzymamy się na parę dni w Londynie, gdzie mieszkają jej rodzice. Będą mogli poznać Wiktorię. – Ukryłem część prawdy: Amrita nie bardzo chciała jechać do Kalkuty z siedmiomiesięcznym dzieckiem. Musiałem ją długo przekonywać, jakie to jest ważne dla mojej kariery. Ostatecznie zgodziła się, w pewnym sensie przekupiona moją obietnicą zatrzymania się w Londynie.

– No dobrze, jedź sobie do Kalkuty – mruknął Abe, ale ton jego głosu wyrażał głęboką dezaprobatę.

– Może mi wreszcie powiesz, dlaczego nie chcesz, żebym tam jechał? – spytałem.

– Później – odparł. – A teraz opowiedz mi o tej historii z Dasem, o której ciągle mówi Morrow. I ponadto chciałbym wiedzieć, dlaczego chcesz poświęcić połowę wiosennego numeru Voices na utwory Dasa? Nie znoszę przedruków. Wątpię, czy znajdziesz dziesięć linijek jego wierszy, które nie były już sto razy drukowane i przedrukowywane *ad nauseam*.

– Owszem, chodzi o poezje Dasa, ale o rzeczy całkowicie nowe.

– No to mów!

Więc mu powiedziałem.

– Jadę do Kalkuty, żeby spotkać się z poetą Dasem. Mam go odnaleźć, rozmawiać z nim, przywieźć do publikacji próbki jego nowych utworów.

– Nie kupuję! – odparł wpatrując się we mnie uważnie. – Bzdura. Das nie żyje. Umarł dobre kilka lat temu Chyba w 1971 roku.

– W lipcu 1969 – poprawiłem go nie ukrywając satysfakcji. – Zniknął w lipcu sześćdziesiątego dziewiątego roku wracając z pogrzebu ojca. Z uroczystości spalenia zwłok. Odbyło się to w wiosce we Wschodnim Pakistanie Obecnie Bangladesz. Wszyscy byli przekonani, że Das został zamordowany.

– Tak, pamiętam – zgodził się Abe. – Mieszkałem u was przez parę dni w Bostonie, z tobą i Amritą, kiedy Stowarzyszenie Poetów Nowej Anglii zorganizowało uroczysty wieczór poświęcony czytaniu poezji Dasa. I nie tylko Dasa. Ty czytałeś najpierw jakieś utwory Tagorego, a potem fragmenty epickiego poematu Dasa poświęcone tej, jakże ona się nazywa, zakonnicy... Matce Teresie.

– I dwa moje własne utwory. Z cyklu chicagowskiego – przypomniałem mu. – Dedykowane Dasowi. No tak, ale chyba zbyt szybko się pośpieszyliśmy z tą stypą. Wygląda na to, że Das żyje, pojawił się w Kalkucie. W każdym razie w Kalkucie pojawiły się jego nowe utwory i korespondencja. Harper’s otrzymał fragmenty od tamtejszej agencji literackiej, z którą współpracuje. I ludzie dobrze znający Dasa twierdzą, że to wyszło spod jego pióra. Ale nikt go nie widział. Harper’s chce, żebym zdobył jego nowe prace. Natomiast hasło przewidzianej publikacji ma brzmieć „W poszukiwaniu Dasa”. Taki handlowy chwycik. I teraz uważaj, Abe! Jak my na tym korzystamy. Otóż Harper’s ma prawo pierwokupu wszystkiego, na co uzyskam prawa, ale to, czego nie weźmie, możemy opublikować w Voices.

– Odpadki! – stwierdził z pogardą Abe.

Taki był Bronstein. Oto podziękowanie, jakie zawsze otrzymywałem przez wszystkie lata współpracy z nim. Przemilczałem jego odpowiedź. On natomiast długo żuł swoje cygaro, by wreszcie zapytać: – Gdzie więc Das był przez te osiem lat? Gdzie się podziewał, do cholery?

Wzruszyłem ramionami i rzuciłem mu na biurko fotokopię, którą dał mi Morrow. Abe wziął ją i trzymając na długość ramienia obejrzał dokładnie kartkę w pionie i poziomie.

– Poddaję się – oświadczył. – Co to ma być?

– Fragment poematu napisanego przez Dasa w ciągu minionych dwóch lat.

– Po jakiemu to jest? Hindi?

– Nie. Głównie w sanskrycie i po bengalsku. A tu masz przekład angielski. – Podałem mu drugą fotokopię.

W miarę czytania Abe coraz bardziej marszczył brwi.

– Chryste Panie, po to mam zarezerwować połowę wiosennego wydania? Czy dobrze zrozumiałem, że to jest o jakiejś damulce

uprawiającej seks „na pieska” i spijającej krew bezgłowego faceta?

– Dobrze zrozumiałeś, mój drogi. Mniej więcej o to chodzi. Oczywiście to tylko parę strofek i tłumaczenie jest surowe.

– Sądziłem, że poezja Dasa jest wyłącznie liryczna i sentymentalna. W pewnym sensie taka jak twórczość Tagorego, o której pisałeś.

– Masz rację. Ale nie tyle sentymentalna, co optymistyczna. – Tego samego argumentu używałem zawsze broniąc Tagorego. Nie tylko: tego argumentu używałem wyjaśniając korzenie mojej własnej twórczości.

– Hmm! Optymistyczna! Bardzo mi się podoba na przykład ten optymistyczny fragment: *Kama Rati kame / viparita kare rati*. Zgodnie z tłumaczeniem znaczy to mniej więcej: Rozjuszeni pożądaniem Kama i Rati pieprzyli się jak psy. Jakie to słodkie, ma smaczek. Taki sobie wczesny Robert Frost, co?

– Jest to właściwie zaczerpnięte ze starej bengalskiej pieśni. Zauważ, jak Das sobie poradził z rytmem, kadencją. Przechodzi od klasycznej wedyckiej formy do ludowej twórczości bengalskiej i z powrotem. Jest to bardzo skomplikowana forma stylistyczna, nawet gdy uwzględnia się już tłumaczenie. – Zamilkłem, ponieważ zrobiło mi się trochę wstyd. Powtarzałem przecież tylko to, co mi powiedział Morrow, a on jak papuga powtarzał słowa swoich „ekspertów”.

W małym pokoju redakcyjnym było bardzo gorąco. Przez otwarte okna wpadał usypiający, jednostajny hałas ulicy i odgłos policyjnej syreny w przedziwny sposób uspokajający.

– Może i masz rację – powiedziałem po dłuższej chwili. – To zupełnie nie brzmi jak Das. Aż trudno uwierzyć, że to wyszło spod pióra tego samego człowieka, który stworzył epos o Matce Teresie. Jestem nawet skłonny przypuszczać, że Das nie żyje i że to jest jakieś wielkie oszustwo. Sam nie wiem, Abe.

– Czy ja ci kiedyś opowiadałem o moim pobycie w Kalkucie? – zapytał Abe odchylając się w fotelu na kółkach i podtrzymując głowę splecionymi na karku dłońmi.

– Nie! – Byłem bardzo zdziwiony. Wiedziałem, że przed opublikowaniem pierwszej powieści wiele podróżował po świecie jako korespondent agencji prasowej, ale nigdy mi o tym nie opowiadał i nigdy nie wspomniał, że był w Indiach. Owszem, kiedy przyjmował do druku mój esej o Tagorem, powiedział, że w czasie wojny przez dziewięć miesięcy towarzyszył lordowi Mountbattenowi w Birmie.

I jego z rzadka opowiadane historyjki z czasów korespondenckich były nawet dość zabawne.

– Byłeś w Kalkucie w czasie wojny? – spytałem.

– Nie. Bezpośrednio po. W czterdziestym siódmym podczas zamieszek towarzyszących podziałowi Indii na państwo hinduskie i muzułmańskie. Brytyjczycy się wycofywali pozostawiając hindusom i muzułmanom wolne pole, żeby się mogli wzajemnie wyrzynać. To było jeszcze przed twoimi czasami, prawda?

– Wiele o tym czytałem. Pojechałeś więc do Kalkuty pisać o zamieszkach?

– Nie, mój drogi. Akurat wtedy ludzie już mieli dość informacji o zabijaniu i wojnie. Pojechałem do Kalkuty, ponieważ Gandhi, Mohandas, a nie Indira, udawał się do Kalkuty i sfera dziennikarzy za nim. Człowiek Pokoju, Mesjasz w białej przepasce na biodrach, święta postać. No i właśnie wtedy spędziłem aż trzy miesiące w tym mieście. – Zamyślił się przeczesując palcami włosy. Wyglądał na zakłopotanego, jakby mu zabrakło odpowiednich słów. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby Abe zastanawiał się choć przez chwilę nad użyciem jakiegoś sformułowania w

piśmie, mowie czy krzyku. Wreszcie zapytał: – Bobby, czy dobrze rozumiesz znaczenie słowa miazmat?

– Zatruta atmosfera. – Byłem nieco zły na ten egzamin. – Wyziewy bagienne czy inne szkodliwe wydzieliny. A jeśli chcesz już wszystko wiedzieć, mój drogi, to ci powiem, że słowo pochodzi z greckiego. *Miainein*. Splugawić, zanieczyszczać. Wystarczy ci?

– Aha! – Nawet nie zwrócił uwagi na mój erudycyjny popis. Abe Bronstein spodziewał się, że jego były kierownik działu poezji zna grecki. Obracał cygaro w ustach i jednocześnie oświecał mnie dalej: – No więc, jedynym słowem, które pasuje mi... do określenia Kalkuty... wtedy i dziś... to miazmat. Słowo miazmat zawsze kojarzy mi się z Kalkutą.

– Dziwisz się? Przecież miasto zbudowano na bagnach. – Byłem poirytowany. Jeszcze nigdy nie słyszałem podobnych bzdur z ust Abe'ego. Byłbym podobnie poirytowany, gdyby mój hydraulik, którego znam od lat, zaczął nagle wygłaszać teorie z dziedziny astrologii. – Poza tym jedziemy tam w okresie monsunu, a to nie jest najlepsza pora roku. Nie sądzę jednak...

– Nie miałem na myśli warunków atmosferycznych, chociaż muszę przyznać, że na całej kuli ziemskiej nie ma nędzniejszej, gorętszej, wilgotniejszej dziury. W piekle też nie ma. Gorsze miejsce niż Birma w czterdziestym trzecim z Japończykami dokoła. Gorsze niż Singapur w czasie tajfunu. Jezu, gorsze nawet niż Waszyngton w sierpniu. Nie, mój drogi, ja mówię o miazmatach samego miasta. Wiesz co? To jest miazmatyczne miasto, całe, przez cały czas Ohydne, wstrętne, jeden wielki rynsztok. A znam niejedno miasto sławne z rynsztoków. Kalkuta bije wszelkie rekordy. Kalkuta mnie przeraziła.

Skinąłem głową. Żar za oknem i duszne powietrze w pokoju zaczęły mi dokuczać. Poczuję ból głowy.

– Twierdzą, drogi Abe, że opuściłeś w swych podróżach wiele gorszych miejsc, bardziej miazmatycznych Spróbuj, na przykład, spędzić lato w północnych dzielnicach Filadelfii albo południowych Chicago, gdzie się wychowałem. W porównaniu z nimi Kalkuta wyda ci się anielskim miastem.

– Powiadasz – mruknął Abe już na mnie nie patrząc. – Mnie nie chodziło o samo miasto, ale o wszystko, co się w nim gnieździło. W każdym razie, szef naszej agencji w Indiach... biedaczysko umarł chyba dwa lata później na marskość wątroby... więc ten narwaniec kazał mi jechać na otwarcie mostu gdzieś u diabła na bengalskich kuliczkach. Nie dochodziła tam wtedy żadna linia kolejowa, nic, był tylko ten most przez rzekę ze dwieście metrów szeroką i na osiem centymetrów głęboką. No, ale ten most postawiono za pierwsze pieniądze przysłane po wojnie ze Stanów, więc trzeba było jego otwarcie odpowiednio odnotować... – Abe zamilkł i wpatrzył się w okno, zza którego dobiegały odgłosy kłótni prowadzonej po hiszpańsku. Abe wydawał się nie słyszeć. – No, więc pojechałem. Ceremonia nudna jak diabli. Ekipy budowlane już odjechały, zarówno inżynierowie, jak i robotnicy, więc mieliśmy podczas uroczystości ów bełkot polityczno–religijny, jaki zawsze towarzyszy wszelkim publicznym ceremoniom w Indiach. Zrobiło się zbyt późno, abym mógł wieczorem wracać do Kalkuty dżipem. Zresztą wcale mi się do Kalkuty nie śpieszyło. Zostałem więc na noc w rządowym domu gościnnym na skraju wioski. Takie domy gościnne są w wielu miejscach, to pozostałość z czasów kolonialnych. Tej nocy było tak gorąco, że nawet pot nie chciał z człowieka spływać. Krople formowały się na skórze i tkwiły tak, jakby zawieszane w powietrzu. Komary doprowadzały mnie do szaleństwa. Wstałem więc i poszedłem na spacer w kierunku mostu. Było po północy. Wypaliłem przy moście papierosa i ruszyłem w powrotną drogę. Nie zobaczyłbym tego,

gdyby nie księżyc. – Abe wyjął cygaro z ust i dziwnie się skrzywił. – Chłopaczek miał najwyżej dziesięć lat, wbity na żelazne pręty wystające z betonowego pala na zachodnim krańcu mostu. Widać było, że nie od razu umarł, że po wbiciu go na pręty szamotał się jeszcze próbując się wyswobodzić.

– Postanowił pomyszkować na moście i nadzieiał się z rozpędu? – spytałem.

– Też tak myślałem. I lokalna policja również tak twierdziła – odparł Abe. – Ale zacząłem rozmyślać, jak to się mogło chłopakowi przytrafić, i w żaden sposób nie umiałem wyobrazić sobie takiej sytuacji. Musiałby chyba wspiąć się na szczyt wiązania i skoczyć. A i to by mu się pewnie nie udało. Parę tygodni później, tuż przed przerwaniem postu przez Gandhiego i ponownym wybuchem rozruchów w Kalkucie, poszedłem do brytyjskiego konsulatu, żeby wygrzebać kopię opowiadania Kiplinga, które sobie mgliście przypomniałem. *Budowniczość mostów*. Czytałeś to, prawda?

– Nie! – odparłem. Nie znosiłem ani poezji, ani prozy Kiplinga.

– Powinieneś przeczytać – skarcił mnie Abe. – Krótkie opowiadania Kiplinga są zupełnie dobre.

– Więc co z tymi *Budowniczymi mostów*?

– Historia mówi o tym, jak to budowę każdego mostu bengalczyki kończą, a właściwie kończyli wyszukaną ceremonią religijną.

– Bengalczyki przy każdej okazji mają uroczystości religijne – odparłem przewidując puentę opowiadania Kiplinga.

– Masz absolutną rację. Każdemu wydarzeniu towarzyszy uroczystość religijna. Jednak ten obyczaj bengalski zwrócił szczególną uwagę Kiplinga. Aby most był trwały, musi być złożona ofiara ludzka.

– No i dobrze – odparłem sucho, zabrałem swoje fotokopie, wsadziłem je do teczki i wstałem, żeby się pożegnać. – Jeśli sobie przypomnisz jeszcze

jakieś opowiadania Kiplinga, to zadzwoń do nas. Amrita będzie bardzo rozbawiona.

Abe też wstał i oparł się dłońmi o biurko. Spojrzał mi prosto w oczy.

– A ja ci mówię szczerze, że wolałbym, żebyś tam nie jechał, Bobby! Nie pchał się w te...

– Miazmaty?

Abe skinął głową.

– Będę się trzymał z daleka od nowo zbudowanych mostów – powiedziałem idąc w kierunku drzwi.

– A w każdym razie przemyśl jeszcze raz sprawę Amrity i dziecka.

– Jedziemy wszyscy – odparłem. – Bilety już są kupione. Pozostaje tylko pytanie, czy chcesz opublikować nowe utwory Dasa, jeśli będą to jego utwory i jeśli otrzymam do nich prawa. Chcesz czy nie?

Abe potakująco skinął głową. Przeżute cygaro wyrzucił do kosza.

– Przyślę ci kartę pocztową z najwspanialszego hotelu Kalkuty. Z Oberoi. – Otworzyłem drzwi i wyszedłem. Mignęła mi jeszcze postać Abe'ego machającego ręką na pożegnanie. A może z rezygnacją.

ROZDZIAŁ DRUGI

Chciałbyś poznać Kalkutę?

Jeśli tak, to przygotuj się dobrze do jej zapomnienia.

Sushil Roy

Wieczorem, w przeddzień naszego wyjazdu, siedzieliśmy na tarasie z Amritą, która karmiła Wiktorię. Robaczki świętojańskie rozsyłały swoje świetlne sygnały na tle ciemnej ściany drzew. Cykady, żaby i nocne ptactwo wygrywały nocną pieśń. Nasz dom znajdował się zaledwie o kilka kilometrów od Exeter w New Hampshire, ale czasami panowała tu taka cisza, jak byśmy byli na końcu świata. Bardzo sobie ceniłem to odosobnienie podczas zimowych miesięcy pisania, teraz jednak czułem przedziwny niepokój i pragnienie znalezienia się wśród ludzi. Właśnie te minione miesiące odosobnienia wywoływały we mnie chęć wyrwania się i podróżowania, oglądania nowych miejsc i nowych twarzy.

– Jesteś pewna, że chcesz jechać? – spytałem, a mój głos zabrzmiał zbyt głośno w nocnej ciszy.

Wiktoria właśnie przestała ssać, Amrita podniosła głowę. W przytłumionym świetle padającym z okna widać było wyraziste kości policzkowe Amrity i delikatny brąz skóry. Jej ciemne oczy błyszcząły. Chwilami wydawała mi się tak nieziemsko piękna, że odczuwałem dziwne przerażenie, że mógłbym być jej nie spotkać, nie ożenić się z nią i nie mieć z nią dziecka. Amrita uniosła Wiktorię i przez chwilę widziałem jej krągłą pierś i nabrzmiałą brodawkę, nim zasłoniła je bluzką.

– Chętnie pojedę – odpowiedziała. – A poza tym cieszę się, że będzie okazja spotkać się z rodzicami.

– Ale Indie! Kalkuta! Czy masz ochotę tam jechać?

– Chętnie, jeśli się do czegoś przydam. – Przerzuciła mi przez ramię czystą pieluszkę i podała Wiktorię. Głaskałem plecki dziecka wdychając jego zapach i zapach mleka, wyczuwając ciepło malutkiego ciała.

– Jesteś pewna, że nie pokrzyżuje ci to planów zawodowych? – spytałem. Wiktoria wierciła się w moich objęciach sięgając rączką do mojego nosa. Dmuchałem w malutką dłoń. Wiktoria zaśmiała się.

– Nie pokrzyżuje – odpowiedziała Amrita. Wiedziałem, że to niezupełnie prawda. Miała wkrótce rozpocząć wykłady z matematyki dla starszego roku na uniwersytecie bostońskim. Zdawałem sobie sprawę, ile pracy wymaga przygotowanie się do semestru.

– Cieszysz się na okazję odwiedzenia Indii?

– Jestem ciekawa konfrontacji z tym, co zapamiętałam z dzieciństwa – odparła.

Amrita miała bardzo miękki głos i charakterystyczny akcent, którego nabyła w ciągu trzech lat spędzonych na uniwersytecie Cambridge, ale bez tej snobistycznej wymowy brytyjskiej arystokracji. Słuchanie Amrity przypominało pieszczotę naoliwioną gałązką palmową.

Już wspomniałem, że Amrita miała siedem lat, kiedy jej ojciec przeniósł swoją firmę inżynierską z New Delhi do Londynu. Wspomnienia, którymi dzieliła się ze mną, umocniły we mnie stereotyp hinduskiej kultury, w której dominowały hałas, chaos i kastowa dyskryminacja. Wszystko to było absolutnie obce charakterowi Amrity – była żywym symbolem cichej godności, nienawidziła hałasu i bałaganu, przerażała ją niesprawiedliwość. Umysł miała niesłychanie zdyscyplinowany matematyką i rytmem lingwistycznym, jeśli można tak to określić. Znała przecież tyle języków.

Opisała mi kiedyś rodzinny dom w Delhi i mieszkanie w Bombaju, gdzie wraz z siostrami spędzała miesiące letnie u wuja: gołe ściany z paroma brudnymi, starymi malowidłami, zawsze otwarte okna, szorstkie

prześcieradła, jaszczurki biegające nocą po ścianach, pełno rupieci. Nasz dom w Exeter był czysty i przestronny jak marzenie skandynawskiego projektanta. Błyszczące drewno, nowoczesne fotele i kanapy, nieskazitelnie białe ściany i dzieła sztuki dyskretnie podświetlone.

Ten dom i mała kolekcja sztuki zostały kupione za pieniądze Amrity. Żartobliwie nazywała to jej wianem. Z początku bardzo protestowałem. W 1969 roku – w pierwszym roku naszego małżeństwa – zadeklarowałem roczny dochód w wysokości 5732 dolary. Porzuciłem wtedy nauczanie w college’u Wellesley i zabrałem się do pisania i redagowania. Mieszkaliśmy w Bostonie, w mieszkanku, gdzie nawet szczury musiały chodzić na dwóch łapach, żeby się nie stratować. Mnie to nie przeszkadzało. Gotów byłem bez końca cierpieć dla mojej sztuki pisarskiej. Ja, ale nie Amrita. Nie próbowała dyskutować, dobrze rozumiała tkwiące w naszej kulturze źródła moich protestów wobec jej projektu wykorzystania funduszu powierniczego zapisanego przez ojca. Doprowadziła jednak do celu i w 1972 roku zadatkowała dom z czterema akrami ziemi i kupiła pierwszy z naszych dziewięciu obrazów – olejny szkic Jamie Wyetha.

– Wiktoria śpi. Możesz przestać ją huścić – powiedziała Amrita.

Zdziwiony spojrzałem i stwierdziłem, że Amrita ma rację: Wiktoria spała z otwartą buzią i zaciśniętymi piąstkami. Czuję jej oddech na szyi, ale nie przestałem kołysać małej.

– Może ją położymy do łóżeczka? – spytała Amrita. – Robi się chłodno.

– Za minutkę – zaprotestowałem.

Kiedy urodziła się Wiktoria, miałem już trzydzieści pięć lat; Amrita trzydzieści jeden. Przez całe lata mówiłem każdemu – czy chciał mnie słuchać, czy nie – co sądzę o rodzeniu dzieci. Twierdziłem, że to szaleństwo. Mówiłem o przeludnieniu, o krzywdzie robionej dzieciom zmuszonym znosić koszmary życia w dwudziestym wieku, o głupocie

rodzenia nie chcianych dzieci. I w tym wypadku Amrita nigdy ze mną nie dyskutowała, chociaż podejrzewam, że w ciągu dwóch minut zbiłaby wszystkie moje argumenty. Ale na wiosnę 1976 roku, w czasie stanowych wyborów wstępnych, Amrita zupełnie świadomie przestała brać pigułki antykoncepcyjne. W dwa dni po objęciu prezydentury przez Jimmy'ego Cartera, 22 stycznia 1977 roku urodziła się nasza córka.

Ja sam nigdy bym nie wybrał dla niej imienia Wiktorii, ale w duchu byłem z tego niesłychanie zadowolony. Zaproponowała je Amrita któregoś gorącego, lipcowego dnia i początkowo wziąłem to za żart. Otóż jednym z jej pierwszych wspomnień z lat dziecińczych był przyjazd na Dworzec Wiktorii w Bombaju. Ten wielki dworcowy budynek – również spadek po brytyjskim wicekrólestwie, jeden z wielu nadal symbolizujących Indię – zawsze budził podziw Amrity. Architektoniczna doskonałość, piękno, elegancja oraz mgiełka tajemniczości. Tym właśnie był dla niej. Najpierw więc żartowaliśmy na temat dania naszemu dziecku imienia Wiktorii, ale gdy przyszło Boże Narodzenie 1976 roku, oboje wiedzieliśmy, że jeśli urodzi się dziewczynka, to nie będzie do niej pasowało żadne inne imię.

Przed urodzeniem Wiktorii pokpiwałem często na temat rodziców, którzy absolutnie głupieją, gdy urodzi się im dziecko. W pełni inteligentni ludzie, z którymi spędziliśmy wiele godzin na debatach politycznych lub na definiowaniu poezji i ubolewaniu, że na przykład ginie teatr, nagle zaczynali bredzić na temat pierwszego ząbka niemowlaka lub trawili całe godziny na opisywaniu wszystkich szczegółów pierwszego dnia w przedszkolu jakiejś małej Heather. Przysięgałem sobie, że nigdy nie padnę ofiarą podobnie kretyńskiej obsesji.

Jednakże z naszym dzieckiem sytuacja była zupełnie inna, no bo i Wiktorii była inna. Była istotą wartą poważnej dyskusji z każdym. Fascynowały mnie jej pierwsze dźwięki i nieporadne gesty. Nawet zwykle

niemiła czynność zmieniania pieluszek była w przypadku Wiktorii czystą przyjemnością, gdy moja córka – moja! – wymachiwała pulchnymi rączkami, jakby chciała wyrazić wdzięczność za to, że jej ojciec, już publikowany poeta, był łaskaw wykonywać takie przyziemne czynności. Kiedy miała zaledwie siedem tygodni, obdarzyła mnie któregoś ranka pierwszym uśmiechem. Natychmiast zadzwoniłem do Abe Bronsteina, aby podzielić się z nim tą wiadomością. Abe, o którym wiadano powszechnie, że nie tylko dobrze pisze, ale ponadto nigdy nie wstaje przed dziesiątą trzydzieści, pogratulował mi i delikatnie przy okazji wytknął, że dzwonię do niego o piątej czterdzieści pięć rano.

Teraz, kiedy Wiktorii miała już siedem miesięcy, stało się jeszcze bardziej oczywiste, że jest obdarzona nadzwyczajnymi talentami. Przed miesiącem nauczyła się pokazywać, jaka już jest duża, a jeszcze wiele tygodni przedtem nauczyła się mówić „bi ba bo”. Od paru tygodni próbowała raczkować – wyraźna oznaka wysokiej inteligencji, i to mimo sprzeciwu Amrity. I absolutnie mi nie przeszkadzało, że moja córka raczkowała wyłącznie do tyłu. Jej lingwistyczne talenty z każdym dniem ujawniały się coraz bardziej i chociaż nie potrafiłem jeszcze wyłowić słów „mama” i „tata” z potoku wypowiedzianych przez nią dźwięków (nawet wówczas, gdy odgrywałem taśmę na zwolnionych obrotach), Amrita zapewniała mnie z lekkim uśmiechem że w monologu Wiktorii występują słowa rosyjskie i niemieckie, a raz nawet całe zdanie w hindi. Wieczorami dużo czytałem Wiktorii, nie tylko bajek i wierszyków dla dzieci, ale pewne fragmenty poematów Keatsa i wierszy Ezry Pounda.

– Idziemy spać? – spytała Amrita. – Musimy wstać wcześniej rano.

Coś zwróciło moją uwagę w tym pytaniu. Czasami Amrita stawiała wyraźny akcent na słowie „spać”, wielce sugestywny, a czasami wypowiadała to słowo bez nacisku. Teraz akcent był wyraźny.

Położyliśmy Wiktorię do kołyski. Przez minutę stałem pochylony patrząc jak zasypia na brzuszku, okryta lekką kołderką, w otoczeniu pluszowych zwierzątek. Promyk księżyca padający na jej buzię wydawał się niebiańskim błogosławieństwem.

Potem zszedłem na dół, by pozamykać drzwi i wygasić światła. Gdy wróciłem na górę do sypialni, Amrita czekała na mnie w łóżku. Gdy leżeliśmy spleceni w miłosnym uścisku, spojrzałem w jej oczy, jakbym spodziewał się tam odpowiedzi na nie zadane pytania, ale chmury przesłoniły nagle księżyc i nieoczekiwanie zrobiło się bardzo ciemno.

ROZDZIAŁ TRZECI

O północy to miasto przypomina Disneyland.

Subrata Chakravarty

Do Kalkuty przylecieliśmy z południa przez Zatokę Bengalską. Dochodziła dwunasta w nocy.

– O mój Boże! – szepnąłem. Amrita pochyliła się przede mną ku oknu.

Za radą jej rodziców wybraliśmy lot BO AC – Brytyjskimi Liniami Transoceanicznymi – do Bombaju, aby tam dokonać odprawy paszportowej. Odbyło się to zgodnie z planem. Dopiero potem, na wewnętrznej linii z Bombaju do Kalkuty, mieliśmy trzygodzinne opóźnienie z przyczyn technicznych. Kiedy wreszcie poproszono nas do samolotu, jeszcze przez godzinę siedzieliśmy w dusznym samolocie Air India bez światła, ponieważ odłączono już lotniskowe generatory. Jakiś biznesmen w rzędzie tuż przed nami powiedział, że codziennie, od trzech tygodni, loty na tej linii są opóźnione z powodu sporu między pilotem i mechanikiem.

Po starcie poleciliśmy daleko na południe, zbaczając z normalnego kursu, ponieważ na trasie szalały burze. Wiktoria bardzo grymasiła przez cały wieczór, ale wreszcie zasnęła i nadal spała w ramionach matki.

– O mój Boże! – wykrzyknąłem raz jeszcze, ponieważ pod nami rozpościerała się Kalkuta – sześćset kilometrów kwadratowych miasta, galaktyka światła po czerni chmur Zatoki Bengalskiej. Lądowałem w nocy w wielu miastach, ale żadne nie było podobne do tego widoku, jaki roztaczał się przede mną. Zamiast geometrii ulic wyznaczanych nocą przez oświetlenie elektryczne widziałem mozaikę niezliczonych, pojedynczych latarni, gorejących ognisk i przedziwną łunę nieznanego źródła światła –

jakby poblask fosforyzujących ogników. Miriada świetlnych punkcików w stanie chaosu, zagubiona przedziwna konstelacja z przecinającą je czarną wstęgą rzeki. Pomyślałem sobie, że tak musiał podczas wojny wyglądać z powietrza płonący Berlin czy Londyn. Tak to widziały załogi bombowców niosących miastu zagładę.

Podwozie naszego samolotu dotknęło betonowego pasa, dotychczas chłodna kabina wypełniła się gorącym, wilgotnym powietrzem. Wkrótce potem szliśmy w tłumie po odbiór bagaży. Dworzec był malutki i przeraźliwie brudny. Mimo późnej godziny tłoczyło się na nim spocone ludzkie mrowie.

– Ktoś miał na nas czekać? – spytała Amrita. – Prawda?

– Tak, miał czekać – odparłem ściągając kolejno cztery sztuki naszego bagażu z zepsutej gumowej taśmy transportera. Staliśmy koło walizek potrącani przez umykających w ciemną noc pasażerów. W tłumie odzianych w białe koszule mężczyzn i okręconych zwiewnymi sari kobiet wyczuwałem coś w rodzaju zbiorowej hysterii. – Morrow wszedł w kontakt ze Związkiem Pisarzy Bengalskich. Do hotelu miał nas odwiedzić facet o nazwisku Michael Leonard Chatterjee. Jednakże jesteśmy bardzo spóźnieni. Prawdopodobnie czekał, czekał... i wrócił do domu. Postaram się o taksówkę – powiedziałem.

Jednakże jedno spojrzenie na główne wyjście całkowicie zatarasowane przez popychających się i przekrzykujących mężczyzn, kazało mi pozostać w miejscu, tym bardziej że usłyszałem dobiegające od drzwi wołanie: – Pani i pan Luczak. Robert Luczak?

Podniosłem rękę do góry. Gdy podszedł do mnie wysoki i nieprawdopodobnie chudy mężczyzna w brązowych spodniach i białej koszuli, która wydawała się szara w świetle fluoryzujących lamp, poprawiłem go: – Lu-zak! Wymawia się Luzak.

Mężczyzna miał bardzo młodą twarz, wyglądał na niespełna trzydziestolatek. Był starannie ogolony, na głowie sterczały mu zawadiacko czarne kosmyki, a ciemne oczy wpatrywały się we mnie tak intensywnie, że zacząłem podejrzewać ich właściciela o z trudem powstrzymywane skłonności do gwałtownych poczynań. Mocno podkreślające wyraz twarzy, czarne jak smoła brwi spotykały się nad potężnym, haczykowanym nosem przypominającym dziób drapieżnego ptaka.

Cofnąłem się o pół kroku, odstawiłem trzymaną w ręku walizkę i spytałem: – Pan Czatterjee?

– Nie. Nie spotkałem pana Czatterjee – odparł ostrym, przenikliwym głosem. – Jestem Em ti Krishna.

Z powodu ogólnego hałasu i śpiewnego akcentu mówiącego zrozumiałem, że „em ti” to nie inicjały imion – M.T. – ale angielskie słowo „empty” – pusty. Pusty Krishna.

Wyciągnąłem rękę na powitanie, ale on się już odwrócił i poszedł w kierunku wyjścia. Prawą ręką bezceremonialnie roztrzącał ludzi, aby zrobić nam przejście.

– Tędy, proszę! Za mną. Szybko, proszę!

Spojrzałem porozumiewawczo na Amritę i jakoś wzięłem sam trzy walizki, a Amrita zajęła się czwartą. Zdumiewające, że Wiktoria nadal spała w ramionach matki. Nie obudził jej ani upał, ani zwariowany harmider.

Gdy dopadłem pana Krishnę, spytałem: – Pan jest ze związku pisarzy?

– Ależ skąd, nie! odparł nawet nie obracając w moją stronę głowy. – Pracuję na pół etatu jako nauczyciel.

Współpracuję z Amerykańską Fundacją Oświatową w Indiach. Mój przełożony, pan Shah, otrzymał telefon od swojego wieloletniego przyjaciela w Nowym Jorku, pana Abrahama Bronsteina, który prosił o zaopiekowanie się panem. Chodźmy szybko!

Na zewnątrz powietrze wydawało się jeszcze wilgotniejsze i bardziej gęste niż w hali dworcowej, która i tak już przypominała łaźnię parową. Reflektory oświetlały potężny srebrny szyld na budynku dworcowym: *Port Lotniczy Dum–Dum*.

– Tak, właśnie o to chodzi. Tutaj produkowano amunicję dum–dum, dopóki nie zakazano produkcji tych okropnych kul po wielkiej wojnie światowej numer jeden – wyjaśnił pan Krishna, który dostrzegł na mojej twarzy zdziwienie.

Otoczyła nas gromada tragarzy domagając się prawa do niesienia naszych bagaży. Straszliwi chudzielcy z gołymi nogami, odziani w brunatne szmaty. Jeden z nich był bez ręki. Inny wyglądał, jakby dopiero co wydostał się z płonącego domu. Był pokryty straszliwymi bliznami, nie potrafił dobyć głosu z pokiereszowanego gardła i wydawał jedynie charczące dźwięki.

– Niech pan im odda walizki! – polecił krótko pan Krishna i władcym gestem nakazał zniknięcie tym tragarzom, którzy już byli niepotrzebni.

Mieliśmy do przejścia zaledwie dwadzieścia metrów półkolistym chodnikiem. Przesycone wilgocią powietrze zaczynało mnie dusić. Zupełnie jakbym oddychał przez nasiąknięty wodą koc wojskowy. Przez chwilę myślałem, że tracę przytomność, gdyż zaczęło mi się nagle wydawać, że pada śnieg. W powietrzu wirowały chmary białych punkcików. Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem, że są to miliony muszek tańczących obłądnie w świetle dworcowych reflektorów. Krishna skinął palcem na tragarzy i wskazał im pojazd. Stałem zaskoczony.

– Autobus? – spytałem. Była to raczej furgonetka z kilkoma rzędami siedzeń. Biało–niebieska furgonetka z wymalowanymi z boku wielkimi literami: *USEFI – United States Education Foundation India*.

– Tak, tak. Jedyne środki transportu, jakie mogłem zdobyć. Szybko, szybko – popędzał nas.

Jeden z tragarzy zgrabnie jak małpa wdrapał się na dach autobusu, pozostali podali mu nasze walizki, a on je przywiązał na bagażniku. Kiedy je dodatkowo zabezpieczył czarną, plastikową taśmą, zastanawiałem się, dlaczego nie mogliśmy zabrać walizek do środka. Nie znajdując odpowiedzi wzruszyłem ramionami i wyjąłem dwa banknoty pięciorupiove, aby zapłacić tragarzom. Krishna wyrwał mi je z ręki i jeden banknot zwrócił.

– Za dużo – oświadczył.

Ponownie wzruszyłem ramionami i pomogłem Amricie wsiąść do pojazdu. Wiktorię obudziły protesty tragarzy i dołączyła swój piskliwy płacz do ich głosów. Skinęliśmy głową zaspanemu kierowcy i usiedliśmy na drugim siedzeniu po prawej stronie. Stojący w drzwiach autobusu Krishna nadal kłócił się z trzema tragarzami, którzy nieśli nasze walizki. Chociaż Amrita dobrze nie rozumiała tego potoku bengalskich słów, pojęła tyle, by mnie oświecić, iż tragarze protestują, gdyż nie ma sposobu podzielenia pięciu rupii na trzech, w związku z czym należy się im jeszcze jedna rupia. Krishna coś wykrzyknął i zaczął zamykać drzwi. Najstarszy z tragarzy, starzec o zniszczonej, poranej twarzy z białym zarostem, rzucił się do przodu i całym ciałem zablokował drzwi. Od głównego wejścia do portu lotniczego ruszyła ku nam gromada ciekawskich tragarzy. Krzyki naszych tragarzy zmieniły się we wrzask.

– Na miłość boską, dajmy temu spokój! – zawołałem. – Niechże im pan da jeszcze parę rupii! Jedźmy stąd wreszcie.

– Nie! – Krishna prawie ryknął rzuciwszy krótkie spojrzenie w moją stronę i tym razem już nie starał się hamować namiętności. W jego oczach

widać było zadowolenie człowieka, który uwielbia przyglądać się krwawym wydarzeniom. – To za dużo! – dorzucił.

Pod drzwiami naszego autobusu zebrał się już tłum tragarzy. Nagle dziesiątki dłoni zaczęły walić w blachę karoserii. Kierowca wyrwany z drzemki nerwowo poprawiał czapkę. Stary tragarz w drzwiach wszedł na pierwszy stopień, jakby chciał dostać się do środka, ale Kriszna pchnął go mocno w pierś trzema palcami. Stary człowiek wypadł w ramiona brunatno odzianych postaci. Sękaty, wykrzywione palce chwyciły się nagle uchylonego okna od strony Amrity i tragarz z poparzoną twarzą podciągnął się ku górze, jakby ćwiczył na drążku gimnastycznym. Twarz jego znalazła się o kilka centymetrów od twarzy mojej żony – spazmatycznie wykrzywiona, z otwartymi ustami, w których brakowało języka... Prychał i ślina spływała po szybie.

– Do jasnej cholery, Krishna! – ryknąłem. Wstałem, by dać tragarzom jeszcze kilka rupii. W tym samym momencie z mroku wyłonił się policjant. Nie, trzech policjanci! Mieli białe hełmy, pasy z koalicijkami i szorty. Dwaj z nich trzymali kije zwane lati – lokalna wersja policyjnej pałki. Były to grube pręty drewniane prawie metrowej długości, dobrze okute na jednym końcu.

Zgromadzeni przy autobusie tragarze nie zaprzestali krzyków, ale jednocześnie zaczęli się wycofywać. Pokierszowana twarz zniknęła z naszego okna. Jeden z policjantów trzepnął swoją lati w maskę samochodu i najstarszy tragarz – ten, który przedtem wyleciał z autobusu wypchnięty przez Krishnę – zaczął się żalić przedstawicielowi prawa. Policjant uniósł nad głową niebezpieczną pałkę i krzyknął na tragarza. Krishna wykorzystał zamieszanie, aby zatrzaskać drzwi autobusu. Warknął do kierowcy i po chwili ruszyliśmy, szybko nabierając prędkości. Głośne uderzenie o blachę oznaczało, że ktoś cisnął kamieniem.

Opuściliśmy wreszcie teren lotniska i wjechaliśmy na czteropasmową szosę.

– Droga VIP – obwieścił z dumą Krishna. – Tylko dla ważnych pojazdów i osobistości (Very Important Person).

Przemknęliśmy koło potężnej tablicy z pozdrowieniem w trzech językach. W hindi, po bengalsku i po angielsku: *JESTEŚCIE MILE WIDZIANI W KALKUCIE!*

Jechaliśmy bez reflektorów, paliły się tylko światła w wozie. Piękne oczy Amrity były podkrążone ze zmęczenia. Zbyt wyczerpana, by spać i zbyt zmęczona, by jeszcze płakać, Wiktoria cichutko postękiwała w ramionach matki. Krishna usiadł bokiem na siedzeniu przed nami. Widziałem z profilu jego haczykowaty nos i ściągniętą gniewem twarz oświetloną sufitową lampką i sporadycznie rozjaśnianą przez mijane latarnie.

– Prawie przez trzy lata uczęszczałem na uniwersytet w Stanach – obwieścił.

– Czyżby? – odparłem dość zimno. – Bardzo interesujące. – Miałem ochotę rozkwasić mu tę głupią gębę za skandaliczne zachowanie na lotnisku.

– Tak, tak. I pracowałem z czarnymi, z Meksykanami i czerwonymi Indianami, wszystkimi uciskanymi w Ameryce mniejszościami.

Bagniste mroczne pola, które rozciągały się po obu stronach szosy, ustąpiły niezliczonej liczbie okropnych bud dochodzących do samego skraju asfaltu. Przez jutowe płachty migwały światełka palących się wewnątrz oliwnych lampek. Nieco dalej widać było ciemne sylwetki ludzi poruszające się na tle wielkiego ogniska. Dlaczego te płomienie są takie żółte? Budy sklecone z wszelakiego rodzaju odpadków zniknęły równie nagle, jak się pojawiły. Jechaliśmy teraz ociekającymi deszczem ulicami,

które wiły się między rozpadającymi się, wysokimi kamienicami, mijaliśmy całe kilometry slumsów – bud pokrytych blachą z ciemnymi kwadratami zabarykadowanych na noc sklepików.

– Moi profesorowie byli głupcami – stwierdził w dalszym ciągu swych wywodów Krishna. – Konserwatywnymi głupcami. Wszyscy uważali, że literatura składa się z martwych słów w książkach.

– Tak – odparłem nie mając pojęcia, o czym Krishna mówi.

Ulice były zalane. Miejscami woda stała powyżej pół metra. Pod poszarpanymi plandekami spali lub siedzieli ludzie okutani w szmaty, czasami patrzyli na nas. W mroku widać było tylko białka ich oczu. Mijaliśmy obskurne budynki, migąły nam słabiutko podświetlone podwórka, po których przemykały cienie. Jakiś chudzielec ciągnący ciężki wózek ledwo zdążył odskoczyć na bok, gdy nasz autobus chlusnął nań fontanną wody spod kół. Pomachał za nami pięścią, usta wykrzywiło mu przekleństwo, którego nie usłyszeliśmy.

Budynki po obu stronach ulic już dawno przekroczyły sto lat i wyglądały jak rozkładające się resztki odległego tysiąclecia – sprzed ery człowieka – bo wszystkie dostrzegane cienie, przejścia, otwory i kąty nie pasowały do potrzeb człowieka. Ale ludzie tu mieszkali. Widzieliśmy ślady życia w oknach piętér tych okaleczonych przez czas domów, podobnych do druidzkich ruin: tu i ówdzie żarówkę kołyszącą się na sznurze, pojawiające się głowy, fragmenty ścian z płatami łuszczącej się tapety, sufity z odpadającymi kawałami tynku. Przemykały nam przed oczami wiszące na ścianach obrazy wielorękich bóstw – ilustracje wycięte z pism i krzywo zawieszzone. Słyszałem krzyki i płacz, to znów śmiechy dzieci uganiających się po mrocznych zaułkach. Słyszałem kwilenie niemowląt. Wszystko to były wrażenia odbierane migawkowo, na ułamek sekundy, wrażenia zastępowane jedne przez drugie, zbijające się w jeden obraz i wzmocnione

podobnym do skwierczenia piskiem opon na rozmokłej glinie lub pokrytym wodą i błotem asfalcie. I ten ciągły widok okrytych białym materiałem ciał, podobnych do trupów, śpiących w zagłębieniach murów i między domami. Straszliwe wrażenie, że ja już to kiedyś widziałem. Na ilustracjach do Piekła Dantego.

– Z niesmakiem porzuciłem studia, kiedy głupi profesor nie chciał przyjąć mojej pracy o wpływie buddyzmu Zen na Walta Whitmana. Nadęty wioskowy idiota!

– Tak – odparłem ponownie. – Czy można zgasić w autobusie światła?

Zbliżaliśmy się do centrum miasta. Slumsy ustąpiły miejsca większym budynkom, jeszcze bardziej zdewastowanym. Na ulicach było mało latarni. Ich żółtawe światło odbijało się migotliwie w gigantycznych kałużach, które utworzyły się na skrzyżowaniach. Woda w nich była czarna jak smoła. Przed wejściami do domów, przed sklepami leżały nieruchome, okutane w brudną biel sylwetki podobne do tobołków z brudną bielizną pozostawionych dla praczki. Niektóre oczy były otwarte, wpatrzone w nas. A my w żółtym świetle lampek wewnątrz pojazdu wyglądaliśmy jak trupy o woskowych twarzach. Teraz już wiedziałem, jak muszą się czuć więźniowie wojenni przewożeni na pokaz ulicami nieprzyjacielskiej stolicy.

Z daleka zobaczyłem chłopca stojącego na skrzynce pośrodku wielkiej kałuży. Wymachiwał chyba zdechłym kotem trzymając go za ogon. Dopiero kiedy futrzaste zwierzę odbiło się od przedniej szyby naszego pojazdu, poznałem, że to był szczur. Kierowca zaklął i gwałtownie skręcił w prawo ku skrzynce z chłopakiem. Chłopak odskoczył w wodę, a tylne koła zgruchotały skrzynkę.

– Pan oczywiście to rozumie, bo pan jest poetą – odezwał się Krishna i odsłonił rząd małych, ostrych zębów.

– Czy możemy zgasić wewnętrzne światła? – ponowiłem pytanie ostrzejszym tonem. Wzbierała we mnie wściekłość. Amrita delikatnie dotknęła mego ramienia.

Krishna warknął po bengalsku. Kierowca wzruszył ramionami i mruknął coś w odpowiedzi.

– Wyłącznik jest zepsuty – poinformował mnie Krishna.

Wjechaliśmy na wielki plac. Może to był park. Mroczna przestrzeń okolona labiryntem rozpadających się domów. Pośrodku wybrukowanego placzyku stały dwa, chyba porzucone, autobusy, w pobliżu kilkanaście rodzin kuliło się pod obwisłymi płachtami. Znow zaczął padać deszcz. Ulewa! Grad wielkich kropel bił głośno o blaszany dach autobusu. Tysiąc pięści uderzających z niebios. Po stronie kierowcy poruszała się nieporadnie wycieraczka, jednakże ulewa wkrótce przesłoniła nam widok na świat.

– Musimy porozmawiać na temat pana Dasa – oświadczył Krishna.

– Mimo wszystko chciałbym jednak prosić o zgaszenie światła! – wyskandowałem. Od chwili wyjazdu z lotniska wzbierała we mnie fala irracjonalnego gniewu. Zacząłem tracić nad sobą kontrolę. Zdawałem sobie sprawę, że za chwilę zacznę dusić tego nieczułego na wszystko kretyna i będę go dusił tak długo, aż te wstrętne żabie oczy wyjdą mu na wierzch. Czuję się jak człowiek zupełnie pijany, w którym wzbiera szaleństwo. Amrita musiała wyczuć, że jestem bliski wybuchu, gdyż ścisnęła moje ramię niczym żelazną obręczą.

– To bardzo ważne, abym z panem porozmawiał o panu Dasie – upierał się Krishna. Żar panujący w autobusie wprost mnie dusił. Mieliśmy wszyscy błyszczące od potu twarze, które wyglądały jak poparzone. Wydychane powietrze zawisało nieruchomo jak para. Byliśmy sami, odcięci od świata nieprzeniknioną zasłoną deszczu.

– To ja sam zgaszę te pieprzone światła! – wykrzyknąłem i zacząłem wstawać. Gdyby nie Wiktor, Amrita z pewnością zatrzymałaby mnie.

Krishna uniósł ze zdziwienia brwi ujrawszy mnie ponad sobą. Uwolniłem rękę z uścisku Amrity.

– To już nieważne, Bobby! Patrz, hotel! – powiedziała.

Pochyliłem się, by wyrzeć przez okno. Deszcz przestał padać równie niespodziewanie, jak zaczął. Teraz tylko kropiło. W miarę jak ustawało bębnienie po dachu, ustępował mój szaleńczy gniew.

– W takim razie może porozmawiamy później, panie Luczak powiedział Krishna. – To jest niesłychanie ważne. Może jutro?

Fronton hotelu Oberoi był ciemny i ponury jak nadmorska skała, odrobina światła wydostawała się jedynie przez główne wejście. Poszarpana markiza sięgała skraju chodnika. Po obu stronach, pod błyszczącymi od deszczu parasolami, stało kilkanaście milczących postaci. Niektóre trzymały przemoczone tektury z wizerunkiem sierpa i młota. Na jednej było angielskie słowo *UNFAIR* – nieuczciwi.

– Strajkujący – wyjaśnił Krishna pstrykając palcami na zaspanego portiera w czerwonej kurtce.

Wcale mnie nie zdziwiło to, że w złanej monsunowymi deszczami Kalkucie o pierwszej trzydzieści w nocy przed ciemnym jak noc hotelem stała pikieta. W ciągu minionej godziny moje poczucie rzeczywistości doznało szoku i wymagało korekty. W głowie czułem szum podobny do brzęczenia chmary owadów. Zmiana strefy czasowej dawała o sobie znać.

Wysiedliśmy.

– Dziękujemy za przywiezienie nas z lotniska – powiedziała Amrita, gdy Krishna wskoczył z powrotem do autobusu.

Krishna wyszczerzył zęby w swoim uśmiechu rekina.

– Tak, tak, dobrze. Jutro przyjdę porozmawiać. Dobranoc! Dobranoc!



Wejście do wnętrza hotelu stanowił labirynt kilku połączonych holi – w lewo, w prawo, w lewo. Zabezpieczało to świat hotelowy przed groźną ulicą. Główny hol, do którego wchodziło się z pomniejszych, obudowanych sklepami, był dość jasno oświetlony, a recepcjonista w pełni rozbudzony, nieskazitelnie ubrany i szczęśliwy z powodu naszego przybycia.

Tak jest, mamy rezerwację dla pani i pana Luczak. Tak jest, dotarł telex mówiący o opóźnieniu przylotu. Portier był bardzo stary, ale wesolutko pomrukiwał i stroił miny do Wiktorii wioząc nas na szóste piętro. Dałem mu dziesięć rupii.

Nasz pokój był nie mniej ponury i przepastny jak wszystko inne w Kalkucie, ale stosunkowo czysty, a drzwi miały potężną zasuwę.

– Och, co ja zrobię! – usłyszałem głos Amrity z łazienki. Pobiegnę z bijącym sercem.

– Nie ma ręczników, tylko ścierki!

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Śmialiśmy się długo.

Zaledwie kilka minut zajęło nam przygotowanie posłania dla Wiktorii na pustym łóżku, zrzućcie z siebie przeпоconego odzienia, prysznic i wsunięcie się pod cienką tkaninę spełniającą rolę przykrycia. Klimatyzator chrobotał i sapał. Gdzieś niedaleko spłynęła z hałasem woda w ubikacji. Szum w uszach był echem głośnego brzęczenia silników odrzutowych.

– Śnij spokojnie, Wiktorio! – powiedziała Amrita.

Dziecko zagaworzyło przez sen.

Zasnęliśmy natychmiast.

ROZDZIAŁ CZWARTY

*Na wielkim podwórku ludzie zaczęli się
ze sobą porozumiewać i bawić, gdy już
usunięto dzielące ich bariery.*

Pumendu Patri

– Za dnia wszystko wygląda znacznie lepiej – odezwała się Amrita.

Jedliśmy śniadanie w wewnętrznym hotelowym ogródku. Uszczęśliwiona Wiktoria wesoło paplała z wysokości specjalnego krzesła dla dzieci, jakie przyniósł usłużny kelner. Stoliki stały na skraju tropikalnego ogrodu, pod szklanym dachem. Na wysokim rusztowaniu pokrzykiwali do siebie robotnicy odnawiający ścianę.

Piłem herbatę, pogryzałem drożdżową bułeczką i przeglądałem kalkucki Times po angielsku. Komentarz redakcyjny był apelem do władz o rozpoczęcie budowy systemu nowoczesnych linii metra. Ogłoszenia zachęcały do kupowania sari i motocykli. Uśmiechnięta rodzina zachwalała coca colę. A tuż obok zamieszczono fotografię znalezionej trupa. Ciało było w stanie rozkładu, twarz podobna do pękniętej opony samochodowej, wyłupiaste, martwe oczy. Zwłoki znaleziono w nie odebranych z przechowalni metalowym kufrze na dworcu kolejowym Haura, po drugiej stronie rzeki, właśnie wczoraj, w czwartek, 14 lipca. Wszyscy mogący zidentyfikować nieboszczyka byli proszeni o zgłoszenie się do inspektora policji w komisariacie dworcowym Haura wymieniając numer sprawy: 23 dt. 14.7.77, u/s 302/301xI.P.C. S.R. 3977.

– Czy pan Luczak? Dzień dobry panu.

Wstałem na powitanie korpulentnego dżentelmena w średnim wieku. Hindus. Jasna skóra, prawie łyse, silne szkła w grubej, czarnej oprawie.

Miał na sobie nieskazitelnie skrojony garnitur z tropikalnej wełny, a uścisk jego dłoni był męski, ale łagodny.

– Jestem Luczak – odparłem.

– A ja jestem Michael Leonard Chatterjee. To wielki zaszczyt poznać pana. – Lekko skinął głową i ujął dłoń Amrity. – Serdecznie przepraszam, iż nie było mnie na dworcu lotniczym. Mój kierowca błędnie mnie poinformował, że, pański lot jest odłożony do rana.

– Nic się nie stało, to głupstwo – odparłem.

– Bardzo to jednak niefortunne i niegrzeczne pozwolić panu przybyć do naszego miasta bez odpowiedniego powitania. Jeszcze raz bardzo przepraszam. Jesteśmy niepomrotnie szczęśliwi, że pan do nas przyjechał.

– Do nas? – zdziwiłem się.

– Proszę z nami usiąść – zaprosiła Amrita.

– Dziękuję, dziękuję. Ach, jakie śliczne dzieciątko. Ma pani oczy, pani Luczak! Tak, do nas. Do Związku Pisarzy Bengalskich. Od dawna utrzymujemy kontakty z panem Morrowem i jego wspaniałym wydawnictwem i jesteśmy niesłychanie szczęśliwi, że będziemy mogli podzielić się z wami ostatnią twórczością największego bengalskiego... przepraszam, indyjskiego poety.

– A więc pan Das żyje?

– Oczywiście, że żyje! – Pan Chatterjee obdarzył mnie łagodnym, wyrozumiałym uśmiechem. – W ciągu ostatnich sześciu miesięcy otrzymaliśmy od niego liczne listy z materiałami.

– Ale czy pan go widział? Spotkał się pan z nim? Jest pan pewien, że to Das do was pisze? Dlaczego zniknął na osiem lat? Kiedy będę mógł się z nim spotkać?

– Kolejno i powoli, panie Luczak. Na wszystko przyjdzie czas – odparł Michael Leonard Chatterjee. – Na razie zorganizowałem pańskie spotkanie

ze ścisłym zarządem naszego związku. Czy odpowiadałoby panu godzina druga? Dziś po południu. Czy też wolelibyście państwo dziś odpocząć i trochę zwiedzić miasto?

Rzuciłem okiem na Amritę. Już wcześniej uzgodniliśmy, że jeśli nie będę potrzebował tłumacza, to Amrita z Wiktoria pozostaną w hotelu.

– Dziś o drugiej bardzo mi odpowiada – powiedziałem.

– Wspaniale, doskonale! O pierwszej trzydzieści przyjedzie po pana samochód.

Michael Leonard Chatterjee pożegnał się i odszedł szybkim krokiem. Za plecami robotnicy na bambusowym rusztowaniu nadal gwarzyli i wykrzykiwali coś do przechodzących przez tropikalny ogród pracowników hotelowych. Wiktoria radośnie stuknęła piąstką w krzesło, a następnie przyłączyła się do ogólnej wesołości.



Po drugiej stronie zaśmieconego placu przed hotelem stała na słupach wielka tablica reklamująca zalety Union Banku Indii. Żadnej ilustracji z buziami wdzięcznych klientów czy uśmiechniętych urzędników, tylko czarne litery, które składały się na dwa pytania: Kalkuta – kulturalna stolica Indii? Definicja plugawości? Zaiste przedziwny sposób zachwalania banku.

Przed wejściem do hotelu czekał na mnie mały, czarny samochód, produkowany w Indiach premiere, z kierowcą w szoferskiej czapce i szortach koloru khaki.

Zatłoczoną jezdnią pojechaliśmy w dół ulicy Chowringhee. Po raz pierwszy miałem okazję oglądać Kalkutę w świetle dziennym.

Przed moimi oczami przesuwał się niemal komiczny obraz. O prawo do użytkowania tego samego pasa wyboistej drogi współzawodniczyli piesi, rowerzyści, ciągnięte przez kulisów orientalne riksze na olbrzymich kołach, samochody, ciężarówki ozdobione rodzajem swastyk, niezliczone motorowery i motocykle oraz ciągnięte przez woły skrzeczące dwukołowe wozy. Między pieszymi i pojazdami kręciły się leniwie krowy. Tamowały ruch, zaglądając ciekawie do sklepów i przebierając w górach odpadków wyrzucanych na chodnik i na środek ulicy. W pewnym miejscu wał śmieci wysoki po kolana ciągnął się na długości trzech kamienic, jakby miał chronić pieszych na chodniku przed rzeką pojazdów. Nie tylko krowy szukały czegoś w śmieciach – ludzie także rozgrzebywali odpadki w nadziei odkrycia skarbu w postaci resztek jedzenia.

Nieco dalej zobaczyłem przechodzące gęsiego przez jezdnię uczennice w białych bluzkach. Policjant przepasany brązowym pasem z koalicijką zatrzymał dla nich ruch. Na samym środku jezdni jednego ze skrzyżowań stała niewielka, czerwona świątynia. Przez otwarte okna samochodu buchnęła fala zapachów z gnijących odpadków i kadzideł. Z okien popadających w ruinę domów oraz z telefonicznych i elektrycznych przewodów zwisały czerwone flagi. I wszędzie, gdzie spojrzeć, kotłował się brunatnolicy tłum – niby przepotężna, zmiatająca wszystko fala przyływu złożona z drobinek, którymi byli żywi ludzie. Suma ich oddechów czyniła powietrze jeszcze bardziej rozgrzanym, bardziej zawiesistym.

W świetle dziennym Kalkuta robiła wielkie wrażenie. Onieśmiała, ale nie budziła lęku i gniewu, jakie towarzyszyły mi w nocy. Zamknąłem oczy i usiłowałem przeanalizować powody wściekłości, jaka mnie napadła w autobusie w czasie jazdy z lotniska. Jednakże żar i hałas nie pozwalały mi na koncentrację myśli. Chyba wszystkie dzwonki rowerowe świata usiłowały tu konkurować z samochodowymi klaksonami, krzykliwymi

głosami ludzi i spotęgowanym szumem miasta powodując hałas, który sprawiał niemal fizyczny ból.

Siedziba Związku Pisarzy mieściła się w szarym domiszczu tuż przy placu Dalhousie. Na dole, przy schodach, czekał na mnie pan Chatterjee i poprowadził na drugie piętro, do sporego pomieszczenia bez okien. Z poszarzałego sufitu wyzierały jeszcze spłowiałe zarysy fresku. Siedem par oczu spojrzało na mnie ciekawie znad stołu pokrytego zielonym sukniem.

Nastąpiły prezentacje. W normalnych okolicznościach mam poważne trudności z zapamiętaniem nazwisk, a obecnie poczułem zawrót głowy usiłując skojarzyć całą listę bengalskich sylab z inteligentnymi brunatnymi twarzami. Była wśród nich jedna kobieta o zmęczonych oczach i siwych włosach, która nieustannie poprawiała sobie przełożony przez ramię koniec ciężkiego, zielonego sari. Jeśli dobrze zrozumiałem, nazywała się Leela Meena Basu Belliappa.

Przez kilka minut prowadziliśmy grzecznościową rozmowę. Początkowo z trudem przychodziło mi zrozumienie moich rozmówców. Po pewnym czasie jednak odprężyłem się i łatwiej chwytalem słowa w hinduskiej angielszczyźnie. Zaczynałem je rozumieć. W jakiś sposób to krótkie, twarde wymawianie słów, jakby ich ucinanie, działało nawet kojąco, fascynowało i przyciągało uwagę. W pewnej chwili wyłonił się skądś służący w białej kurtce i przed każdym z nas postawił filiżankę parzonej według tutejszego zwyczaju herbaty, przesłodzonej, ciężkiej od tłustego mleka i przede wszystkim gotowanej. Jednocześnie bardzo gorącej. Siedziałem między panią Belliappa i dyrektorem biura zarządu związku, panem Gupta. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku o chudej twarzy i bardzo złym zgryzie. Żałowałem, że nie zabrałem ze sobą Amrity. Jej naturalna pewność siebie byłaby dla mnie tarczą w obecności tych obcych ludzi wyposażonych przez naturę w jakąś przedziwną, wewnętrzną agresję.

– Sądzę, że pan Luczak powinien wysłuchać naszej propozycji – niespodziewanie zabrał głos Gupta. Pozostali skinęli głowami. Jakby na dany z ukrycia znak, w pozbawionym okien pokoju zgasły światła.

Absolutna, stuprocentowa ciemność. Do naszej salki dobiegły pokrzykiwania z innych pomieszczeń w gmachu. Przyniesiono świece. Pan Chatterjee pochylił się nad stołem i zapewnił mnie, że to jest jak najbardziej normalne. Istnieje olbrzymi niedobór energii. Wyłącza się więc prąd kolejno w różnych dzielnicach.

Panujący w sali mrok i migotliwe światło świec jeszcze ostrzej uświadamiały, jak okropny panuje tu upał. Poczułem lekką słabość i szum w głowie. Chwyciłem mocno skraj stołu.

– Zdaje pan sobie sprawę, panie Luczak, jak wielkim wyróżnieniem jest otrzymanie praw do publikacji arcydzieł wielkiego bengalskiego poety, jakim jest pan Das. – Gupta miał głos podobny do oboju. Ciężkie sylaby jakby zawisały w powietrzu. – My nawet nie widzieliśmy jeszcze pełnej wersji nowego eposu. Mam nadzieję, że czytelnicy pańskiego pisma docenią zaszczyt, jaki ich spotyka.

Odparłem krótko, że tak. Na koniuszku nosa pana Gupty rosła kropla potu. Migotliwe światło świec rzucało gigantyczne cienie naszych postaci na surowe ściany.

– Czy otrzymali państwo dalszy ciąg manuskryptu Dasa? – spytałem.

– Jeszcze nie – odparł Gupta. Miał wilgotne oczy z nieustannie opadającymi na nie powiekami. – Ścisły zarząd naszego związku ma podjąć decyzję co do praw publikacji angielskiej wersji twórczości Dasa.

– Chciałbym się spotkać z panem Dasem – oświadczyłem.

Zebrani przy stole wymienili znaczące spojrzenia.

– Nie będzie to możliwe – odezwała się kobieta. Mówiła głosem wysokim i przenikliwym. Te irytujące, piskliwe tony kłóciły się z jej

wyglądem.

– Ale dlaczego? – spytałem.

– Pan Das od wielu lat jest niedostępny – wyjaśnił pośpiesznie Gupta. – Przez dłuższy czas myśleliśmy, że nie żyje. Oplakiwaliśmy utratę narodowego skarbu.

– A skąd wiecie państwo, że pan Das żyje? Czy ktoś z obecnych go widział?

Zapanowała cisza. Świece były do połowy wypalone, prychały, płomyki tańczyły, choć nie czułem najmniejszego ruchu powietrza.

Było mi okropnie gorąco, po prostu się topiłem, a także czułem lekkie mdłości. Na chwilę opanował mnie irracjonalny lęk, że świece wypalą się do końca, a my pozostaniemy w ciemnościach dalej debatując, jak bezcielesne duchy goszczące w rozpadającym się budynku w środku martwego miasta.

– Mamy listy – przerwał ciszę Michael Leonard Chatterjee. Wyjął z teczki szeleszczące koperty. – Mogliśmy ustalić bez cienia wątpliwości, że nasz drogi przyjaciel żyje i przebywa wśród nas. – Chatterjee zwilżył palce i zaczął przekładać starannie złożone kartki cieniutkiego papieru. W panującym mroku linijki bengalskiego pisma przypominały mi raczej magiczne zaklęcia i złowieszcze inwokacje w runicznym zapisie.

Pan Chatterjee odczytał następnie kilka fragmentów tekstu, aby udowodnić, że jest to naprawdę list Dasa. Czytał po angielsku. Das pytał o krewnych, wymieniał wspólnych przyjaciół, powoływał się na rozmowę sprzed dwudziestu lat. Zapytywał nawet pana Gupte o krótki poemat, za jaki Dasowi przed wielu laty zapłacono, ale którego nie opublikowano.

– Wszystko to bardzo dobrze – odparłem – ale ja muszę zobaczyć się z panem Dasem, gdyż w artykule o nim...

Pan Chatterjee przerwał mi podniesieniem ręki.

– Przepraszam – powiedział. W szklach jego okularów, w miejscu gdzie powinienem widzieć oczy, pobłyskiwały odbite ogniki świec. – Może to panu wyjaśni, dlaczego spotkanie jest niemożliwe. – Złożył kartkę na pół, odchrząknął i zaczął czytać:

...widzisz więc, drogi przyjacielu, świat się zmienia, ale nie ludzie. Pamiętam pewien dzień w lipcu 1969 roku. W czasie święta Siwy. Times obwieścił tego dnia, że ludzie pozostawili odciski stóp na księżycu. Wracałem z wioski mojego ojca. Tam na polach ludzie pozostawiali odciski stóp w ziemi idąc ciężko za wołami. Tak czynili od pięciu tysięcy lat. W wioskach, przez które przejeżdżał wiozący mnie pociąg, widziałem ludzi ciągnących z wysiłkiem załadowane wózki, brnęli w gęstym błocie. Przez resztę podróży pociągiem jadącym do naszego ukochanego miasta rozmyślałem o tym, że moje życie było puste i bezcelowe.

Mój ojciec żył długo i pożytecznie

– kontynuował czytanie listu pan Chatterjee.

Wszyscy mieszkańcy wsi, zarówno bramini, jak i haridżanie, wzięli udział w kremacji ojca. Przeszedłem pola, które mój ojciec nawadniał i uprawiał, i na wiele lat przed moim urodzeniem uniezależnił od kaprysów natury. Po uroczystościach pogrzebowych pożegnałem moich braci i poszedłem rozmyślać w cieniu banianowego drzewa, które mój ojciec posadził jeszcze jako młody człowiek. Gdzie spojrzałem, widziałem ślady znoju mojego ojca. A ziemia wydawała się smucić jego odejściem. Zadałem sobie wtedy pytanie: czego ja właściwie dokonałem? Za kilka tygodni skończę pięćdziesiąt cztery lata. Na co zużyłem minione lata? Napisałem trochę wierszy, rozbawiałem kolegów i złościłem krytyków. Stworzyłem złudne wrażenie, że kontynuuję tradycję naszego wielkiego poety Tagorego.

Tymczasem zaplątałem się we własną sieć kłamstwa. Nim dotarłem do dworca Haura zdołałem sobie uświadomić, jak płytkie prowadziłem życie. Przez ponad trzydzieści lat żyłem i pracowałem w naszym ukochanym mieście – w sercu bengalskiej ziemi. I ani razu nie odtworzyłem istoty tego miasta, nawet o niej nie wspomniałem w moich nieudolnych utworach. Podejmowałem jedynie próby określenia duszy Bengalu, opisując jego zewnętrzną skorupę, cienką otoczkę, obcych najeźdźców i najmniej uczciwego lico. To było zupełnie tak, jakbym próbował opisać duszę pięknej i skomplikowanej kobiety wymieniając szczegółowo krój i barwy jej pożyczonego stroju.

List był długi, pan Chatterjee czytał z emfazą:

Gandhi kiedyś powiedział, że człowiek nie czuje pełni życia, jeśli przynajmniej raz nie umarł. Kiedy opuszczałem na dworcu Haura mój przedział pierwszej klasy, w pełni już rozumiałem imperatyw tej prawdy. Aby dalej żyć w harmonii z moją duszą i sztuką, muszę odrzucić akcesoria dotychczasowego życia. Obie moje walizki oddałem pierwszemu żebrakowi, który się do mnie zbliżył. Po dziś dzień napawa mnie radością zapamiętany wyraz zdumienia na jego twarzy. Nie mam jednak pojęcia, co zrobił i jak spożytkował moje lniane koszule, paryskie krawaty, książki. Przeszedłem pieszo przez most Haura, kierując kroki do miasta, i zdawałem sobie sprawę, że poprzednie życie już skończyłem i ani ono dla mnie nie istnieje, ani ja dla niego. Przystałem w nim bytować. Umarłem dla mojego domu, dla moich obyczajów, znajomych, rodziny. Z konieczności umarłem dla wszystkich ludzi, których kochałem. Wstąpiłem na ulice Kalkuty jako nowy ja. Podobny trochę do tego młodego studenta, jakim byłem przed trzydziestu trzema laty, gdy po raz pierwszy przybyłem do tego miasta. Byłem wówczas pełnym nadziei, lęklwym, jąkającym się chłopakiem z małej wioski. I ponownie postanowiłem tak wejść w objęcia miasta, usiłując niezamąconym

uprzedzeniami wzrokiem dostrzec cel, do którego będę zmierzał w latach mojego drugiego życia. I oto jest moja nowa praca... pierwsza próba opowiedzenia istoty rzeczy: opisanie duszy miasta, które stanowi naszą kolebkę, przenika nas... temu poświęciłem nowe życie. Od tego pierwszego dnia przed wielu laty życie poprowadziło mnie różnymi ścieżkami do miejsc, których istnienia w moim ukochanym mieście nawet się nie spodziewałem, o których nie słyszałem myśląc zarozumiale, że jestem na ty z Kalkutą.

Chatterjee przerwał na chwilę, aby obetrzeć pot z czoła. Potem czytał dalej:

Nowe przeznaczenie poprowadziło mnie do istot zagubionych, które posiadają jedynie to, co inni wyrzucili, poprowadziło też do pracy między tymi, którzy należą do najniższych kast lub są poza nimi. Poszukiwałem mądrości u głupców z Parku Curzona, cnót u prostytutek z ulicy Suddera. W trakcie mych wędrówek uznać musiałem przemożną potęgę mrocznych sił i ich bóstw, które panowały tu, zanim jeszcze pojawili się bogowie. Odnajdując je, odszukałem siebie. Nie usiłujcie trafić na mój ślad. Gdybyście nawet bardzo się starali, to nie dotrzecie do mnie. A gdybyście mnie nawet spotkali, to mnie nie poznacie.

I wreszcie nastąpił finał:

Przyjaciele drodzy. Wam pozostawiam wykonanie moich poleceń dotyczących tej nowej opowieści. Poemat jeszcze nie jest skończony. Pozostało mi wiele pracy. A czas bezlitośnie umyka. Pragnę, aby przesłane wam fragmenty zostały rozpropagowane, gdzie tylko się da. Krytyczna ocena nie ma najmniejszego znaczenia. Prawa autorskie i moje nazwisko przy publikacji są nieważne. To, co przesłałem, musi być opublikowane. Odpowiedzcie mi ustalonymi kanałami.

Chatterjee zakończył lekturę listu. Wszyscy milczeli. Odgłosy ulicy znowu zaczęły do nas docierać. Pan Gupta odchrząknął i zadał mi pytanie na temat amerykańskich praw autorskich. Odpowiedziałem, jak mogłem najlepiej, przedstawiając zarówno ofertę Harper's, jak i drugą, skromniejszą, mojego pisma, Voices. Padły dalsze pytania, rozwinęła się dyskusja. Świece zaczęły przygasać.

Wreszcie Gupta zwrócił się do pozostałych członków zarządu. Mówił szybko, po bengalsku, brzmiało to jak terkot karabinu maszynowego. Po raz drugi żałowałem, że nie mam przy sobie Amrity. Michael Leonard Chatterjee zwrócił się do mnie mówiąc: – Czy byłby pan łaskaw poczekać obok w holu. Teraz odbędzie się głosowanie. Zarząd podejmie decyzję dotyczącą udostępnienia do publikacji manuskryptów Dasa.

Wstałem na ścierpniętych, zeszywniałych nogach i wyszedłem do holu za niosącym świecę służącym. Postawił świecę na okrągłym stoliku przy schodach. Obok stało krzesło. Wprawdzie wpadało tu słabe światło dzienne przez nieprzejrzyste okna na klatce schodowej, ale po kątach panoszył się gęsty mrok.

Usiadłem na tym jedynym krześle i przesiedziałem tak z dziesięć minut zapadając powoli w sen, kiedy uwagę moją przyciągnął jakiś poruszający się w mroku cień. Ktoś właśnie opuścił oświetloną przestrzeń i rozpląwał się w czerni. Okazało się, że to nie był ktoś, ale coś, bo kiedy podniosłem lichterz, zobaczyłem, jak nagle zastyga w bezruchu szczur wielkości małego teriera. Tuż na krawędzi pierwszego stopnia! Długi ogon spoczywał na podłodze, podobny do grubej krechy. Z pogranicza mroku wpatrywały się we mnie dzikie oczki. Wstałem i zrobiłem pół kroku. Ogarnęło mnie obrzydzenie. Szczur wydawał się czatować, podobnie jak kot czatuje na ofiarę. Chwyciłem oparcie krzesła, gotów je unieść i cisnąć nim.

Nagle głośniejszy hałas za moimi plecami jeszcze bardziej mnie wystraszył. Szczur zniknął pędząc po schodach, słyszałem jego pazury na stopniach. Z mrocznej sali posiedzeń wyszli panowie Gupta i Chatterjee. Odbicie płomyka świecy nadal tańczyło na grubych szklach okularów pana Chatterjee. Pan Gupta wstąpił w otaczający mnie krąg światła. Odezwał się podnieconym głosem, pokazując długie, żółte zęby: – Wszystko załatwione – oświadczył. – Jutro otrzyma pan manuskrypt. Zawiadomimy pana o sposobie jego przekazania.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spokoju nie ma w Kalkucie.

Północ domaga się daniny krwi.

Sukanta Bhattacharjee

Poszło to zbyt łatwo. Taka myśl przyszła mi do głowy, gdy odwożono mnie do hotelu. Wyobraziłem sobie, że jestem dociekliwym dziennikarzem w nieodzownym nieprzemakalnym płaszczu – Boże drogi, w taki upał! – i usiłuję powiązać ze sobą różne fakty, aby rozwiązać zagadkę tajemniczego zniknięcia, a następnie pojawienia się niewidzialnego bengalskiego poety. Już pierwszego dnia w tym mieście stanąłem w obliczu spreparowanej łamigłówki. No cóż, jutro, w sobotę, otrzymam manuskrypt i skoro nie mogę zobaczyć Dasa, wolno mi będzie zabrać Amritę i dziecko i polecieć z powrotem do Ameryki. Jaki z tego powstanie artykuł? To wszystko jest zbyt proste.

Mój organizm nie przestawił się jeszcze na inną strefę czasową. Dla niego był nadal poranek, chociaż zegarek na rękę wskazywał piątą po południu. Z biurowców w pobliżu hotelu, zniszczonych przez czas, wychodzili tłumnie pracownicy. Roje białych mrówek opuszczających szare mrowiska z kamienia. Koczujące na skrajach chodników rodziny gotowały wodę w pokierszowanych naczyniach, urzędnicy z teczkami stąpali ostrożnie między śpiącymi dziećmi.

Odziany w jutową szmatę mężczyzna ukucnął nad rynsztokiem i oddawał mocz, inny obmywał się w sporej rynsztokowej kałuży o parę metrów dalej. Prawie się ocierając o komunistyczną pikietę wszedłem do klimatyzowanego zacisza hotelu.

W pobliżu recepcji czekał na mnie Krishna. Elegancko ubrany zastępca dyrektora hotelu nie spuszczał z niego wzroku, jakby obserwował poczynania niebezpiecznego terrorysty. Wcale się temu nie dziwiłem. Krishna wyglądał jeszcze dziwniej niż minionej nocy. Czarne włosy sterczały mu na głowie, pojedyncze kosmyki przypominały znaki zapytania. Żabie oczy wydawały się jeszcze bielsze i bardziej wyłupiaste, choć ocieniały je bujne brwi. Widząc mnie Krishna wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu i szybko podszedł wyciągając na powitanie rękę. Uścisnąłem ją, nim zdałem sobie sprawę, że chodzi mu nie tyle o okazanie mi serdeczności, co o uprawomocnienie swojej obecności wobec przedstawiciela dyrekcji hotelu.

– Jakże się cieszę z ponownego spotkania, panie Luczak! – wykrzyknął.
– Przyszedłem, żeby panu pomóc w poszukiwaniu poety Dasa. – Bez przerwy potrząsał moją ręką. Miał na sobie tę samą brudną koszulę, co poprzedniego wieczoru i pachniał duszącą mieszanką wody kolońskiej i potu. Klimatyzacja zbyt szybko osuszyła moje ciało. Na ramionach poczułem gęsią skórę.

– Bardzo panu dziękuję, panie Krishna, ale nie ma już potrzeby – odparłem i wyswobodziłem dłoń. – Wszystko załatwiłem. Jutro finalizuję sprawę i wyjeżdżam.

Krishna nagle zastygł, uśmiech zniknął mu z twarzy, brwi zwarły się nad nosem.

– Aaa! Rozumiem. Był pan w związku z pisarzą, tak?

– Byłem.

– Ach tak. I opowiedzieli panu bardzo przekonującą historyjkę o naszym sławnym panu Dasie? Jest pan całkowicie usatysfakcjonowany tą historyjką, panie Luczak? – Ostatnie pytanie zadał prawie szeptem, a jego twarz przybrała taki konspiracyjny wygląd, że pracownik hotelowy wykazał

nagle zainteresowanie. Ciekawe, co sobie pomyślał? Że Krishna składa mi właśnie podejrzaną ofertę?

Zawahałem się. Nie miałem zielonego pojęcia, co Krishna ma wspólnego z całą sprawą i właściwie nie miałem ochoty tego wiedzieć. Przeklinałem w myślach Abe Bronsteina, że ingerował w moje sprawy i pośrednio zetknął mnie z tym człowiekiem, do którego bardziej pasowało miano płaza. Poza tym czekała na mnie Amrita z Wiktorią. Byłem też coraz bardziej wściekły, że mój wypad do Indii przyjmuje taki obrót i że wracam nie spełniwszy właściwie podstawowego celu, jakim było ujrzenie Dasa na własne oczy.

Wziąwszy moje wahanie za niepewność, Krishna pochylił się chwytając mnie za ramię.

– Chciałbym, żeby pan kogoś poznał, panie Luczak. Kogoś, kto powie panu całą prawdę o Dasie.

– Jaką całą prawdę? I kto to jest, z kim miałbym się spotkać?

– On by wolał, żebyśmy tego nie mówił – wyszeptał Krishna. Miał wilgotne dłonie, a białka oczu poprzecinane żółtymi żyłkami. – Kiedy pan usłyszy, co on ma do powiedzenia, zrozumie pan, dlaczego nie chcę tego powiedzieć.

– Kiedy mogę się z nim spotkać? – warknąłem.

Jedynie niedosyt informacji, który poczułem wychodząc z lokalu związku spowodował, że nie powiedziałem Krishnie, aby sobie poszedł do diabła.

– Zaraz teraz! – odparł Krishna z triumfalnym uśmiechem. – Możemy natychmiast spotkać się z tym człowiekiem.

– To niemożliwe. Idę teraz na górę. Muszę wziąć prysznic i obiecałem żonie, że pójdziemy do restauracji na kolację.

– Aha, rozumiem, tak. – Krishna pokiwał głową i cmoknął przez zęby. – Wobec tego zorganizuję spotkanie na dziewiątą trzydzieści. Czy to będzie odpowiadało?

– Czy pański przyjaciel chce zapłaty za informację? – spytałem nadal się wahając.

– Ach nie, nie! – Krishna podniósł obie ręce do góry w geście oburzenia. – Nigdy by mu to nie przyszło do głowy. Miałem wielkie trudności, aby go przekonać o potrzebie opowiedzenia o tym komukolwiek.

– O dziewiątej trzydzieści? – spytałem. Na myśl o wyjściu wieczorem z hotelu w kalkucki mrok ogarniał mnie lęk.

– Tak. Kafeteria zamykana jest o jedenastej. Spotkamy się z nim w kafeterii.

Kafeteria! Pan Krishna posługiwał się ciekawym słowem. No cóż, może dowiem się czegoś, co będę mógł wykorzystać w moim artykule...

– No dobrze – odparłem z ociąganiem.

– Będę tu na pana czekał, panie Luczak.



Kobieta trzymająca w ramionach moje dziecko nie była Amritą. Stałem w drzwiach z ręką na klamce. Może to nie moje dziecko. Stałbym tak dłużej, a może nawet wycofał się do korytarza, gdyby z łazienki nie wyszła w tym momencie Amrita.

– O, jesteś, Bobby! To jest Kamakhya Bharati. To mój mąż, Robert.

– Bardzo mi miło pana poznać, panie Luczak. – Jej głos brzmiał jak wiaterek przemykający przez wiosenne kwiecie.

– I mnie jest bardzo miło, panno... Bharati. – Mrugałem głupio, spoglądając na Amritę. Zawsze sądziłem, że uroda Amrity bliska jest perfekcji z jej pełnymi niewinności oczami i przepiękną linią policzków. Jednakże przy tej młodej kobiecie dostrzegłem nagle inną Amritę: panią w średnim wieku, z początkami drugiego podbródka, z garbem na nosie. Wyobrazenie tamtej młodej dziewczyny, od której przed chwilą odwróciłem wzrok, pozostało mi na siatkówce jak optyczne echo lampy błyskowej.

Miała czarne włosy sięgające ramion. Jej twarz to doskonały owal, delikatne jakby rozedrgane wargi, specjalnie chyba stworzone do śmiechu, zmysłowe. Miała zaskakujące oczy – nieprawdopodobnie wielkie i jeszcze powiększone cieniem do powiek i długimi rzęsami, a źrenice tak ciemne i przenikliwe, że ich spojrzenie raziło niby sztyletem. Te oczy miały w sobie coś orientalnego, chociaż jednocześnie była w ich wyrazie europejska niewinność i światowość.

Kamakhya Bharati mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Otulało ją jedwabne sari tak powiewne, jakby unosiło się nad jej ciałem pod wpływem emanującej z niej kobiecości.

Słowo „zmysłowość” kojarzyłem zawsze z rubensowską tuszą, obfitością kształtów, jednakże ta kobieta, której szczupłą sylwetkę niemal dostrzegałem przez warstwy pajęczej tkaniny, porażała mnie zmysłowością o tak wielkiej sile, że poczułem suchość w ustach i pustkę w głowie.

– Kamakhya jest bratanicą pana Dasa – powiedziała Amrita. – Przyszła, aby się dowiedzieć, co zamierzasz o nim napisać. Rozmawiamy już ponad pół godziny.

– Ooo! – Przenosiłem wzrok z Kamakhyi na Amritę i z powrotem. Nie byłem zdolny do wypowiedzenia słowa.

– Doszły do mnie słuchy, że mój wuj nawiązał kontakt ze swoimi dawnymi kolegami – odezwała się Kamakhya. – Byłam ciekawa, czy udało

się panu z nim zobaczyć... Jak wygląda... Czy jest zdrow... – spuściła wzrok i zamilkła.

Usiadłem na brzeжку fotela.

– Nie – odpowiedziałem. – To znaczy, nie widziałem go, ale podobno żyje. Bardzo bym chciał go zobaczyć. Mam przecież pisać o nim...

– Wiem. – Kamakhya uśmiechnęła się i ułożyła Wiktorię pośrodku łóżka, gdzie rozścielona była jej mała kołderka i czekał na nią miś Puchatek. Wypielegnowanymi, długimi palcami musnęła policzki dziecka. Nie od niechcenia, ale z wyraźną czułością. – Nie będę zajmowała państwu więcej czasu. Chciałam się jedynie dowiedzieć, czy wuj naprawdę żyje i dobrze się czuje.

– Ależ jest mi bardzo miło z panią rozmawiać – zapewniłem ją. – I chciałbym jeszcze porozmawiać, panno Bharati. O pani wuju. Z pewnością dobrze go pani zna... Bardzo by mi to pomogło w pisaniu... Jeśliby pani była łaskawa jeszcze chwilę zostać...

– Muszę już niestety iść. Mój ojciec spodziewa się mnie w domu, kiedy wraca z pracy. – Obróciła się z uśmiechem do Amrity: – Może porozmawiamy, kiedy spotkamy się jutro, tak jak pani proponowała?

– Wspaniale! – odparła Amrita. Od chwili wyjazdu z Londynu po raz pierwszy była odprężona. – Kamakhya zna dobry sklep z sari. Niedaleko stąd, obok kina Elitę – powiedziała do mnie. – Bardzo bym chciała kupić sobie jakąś tutejszą tkaninę. Czy będziesz mnie jutro potrzebował?

– Hmm. Nie jestem pewien. Ale umawiaj się, na kiedy chcesz. Nie mam pojęcia, o jakiej porze będę miał spotkanie.

– W takim razie jeszcze zadzwonię rano – zaproponowała Kamakhya. Znowu uśmiechnęła się do Amrity, a ja poczułem zazdrość, że nie zostałem podobnie obdarowany. Wstała i podała Amricie rękę, jednocześnie poprawiając sari pełnym gracji ruchem tak typowym dla Hindusek.

– Doskonale – odparła Amrita.

Kamakhya Bharati skinęła lekko głową w moim kierunku idąc już do drzwi. Oddałem ukłon, zniknęła za drzwiami. Pozostał po niej delikatny, urzekający zapach perfum.

– Boże drogi! – mruknąłem.

– Spokój, spokój, drogi Robercie – odparła Amrita, a w jej głosie była nutka rozbawienia. – Kamakhya ma dwadzieścia dwa lata, jest zaręczona od jedenastu, zaślubiny odbędą się w październiku.

– Wielka szkoda – stwierdziłem i rzuciłem się na łóżko obok Wiktorii, która obróciła ku mnie główkę i zaczęła machać rączkami gotowa do zabawy. Uniosłem ją do góry i huśtałem. Dziecko wydawało okrzyki zachwytu i wierzgało nóżkami. – Ona jest rzeczywiście bratanicą Dasa?

– Mówi, że pomagała mu w pracy. Strugała ołówki, porządkowała manuskrypty, szukała materiałów źródłowych w bibliotece. Tak mówi.

– Ciekawe. Ile mogła mieć wtedy lat? Dziesięć?

Wiktorii piszczała z uciechy, gdy zataczałem nią koła w powietrzu.

– Miała trzynaście, kiedy zniknął Das – sprecyzowała Amrita. – Jej ojciec pokłócił się z Dasem przed śmiercią ich ojca...

– Ich ojciec? Aaa, ojciec Dasa?

Tak. Bracia zerwali ze sobą. Poważne nieporozumienia. W domu nie wolno było wymieniać imienia Dasa. Odniosłam wrażenie, że dziewczyna krępowwała się pytać o wuja w związku pisarzy czy choćby pana Chatterjee.

– Ale nie krępowwała się przyjść do nas.

– To zupełnie co innego – stwierdziła Amrita. – Jesteśmy cudzoziemcami. To się nie liczy. Czy idziemy na kolację?

Opuściłem Wiktorię na swój brzuch. Miała zaczerwienioną z radości buzię i zastanawiała się, czy warto zacząć płakać, ponieważ przyjemność

się skończyła. Chwilowo zaczęła wczółgiwać się na moje piersi. Jedną rączką uchwyciła się kołnierzyka i krawatu, szarpiąc je z całych sił.

– Gdzie zjemy kolację? Chcesz gdzieś iść? – Poinformowałem Amritę o rozmowie z Krishną i zaplanowanym na wieczór spotkaniu z Tajemniczym Nieznajomym.

– Jest zbyt późno, żeby wybierać się do miasta. Możemy zamówić do pokoju albo zejdziemy do restauracji na dół. Nazywa się Książęcą Salą. Reprezentacyjny lokal i tańczy tam podobno egzotyczna tancerka Fatima.

– Wiktoria może narobić zamieszania, ale sądzę, że wolałaby Fatimę od kolacji w pokoju.

– Doskonale. Schodzimy.

– Zaraz będę gotowa.



Egzotyczna tancerka Fatima okazała się pulchną Hinduską w średnim wieku. Jeśliby nawet popisywała się przed najmłodszymi harcerzami, to też nie byłoby w tym nic skandalicznego. Niemniej tłum otyłych par w średnim wieku, przeważnie płci męskiej, wydawał się bardzo podekscytowany owym spektaklem uświetniającym wieczory w Sali Książęcej. Wiktoria absolutnie nie była podekscytowana, raczej zdenerwowana. Zaczęła płakać. Cała nasza trójka opuściła więc restaurację podczas drugiej rundy przedziwnych wygibasów Fatimy.

Nie mieliśmy jeszcze ochoty wracać do pokoju, więc przeszliśmy się z Amritą po przyciemnionym wewnętrznym podwórzu hotelowym. Prawie cały wieczór padało, ale teraz widać było pojedyncze gwiazdy między czarno-żółtawymi chmurami. Wszystkie okna wychodzące na podwórze

miały zaciągnięte ciężkie zasłony i jedynie w paru miejscach widać było przez szczeliny światło przenikające z pokoi. Na zmianę nieśliśmy Wiktorię, która ciągle jeszcze popłakiwała. Jednakże po kilku minutach usnęła. Zatrzymaliśmy się przy basenie kąpielowym i usiedliśmy na niskiej ławeczce w pobliżu ciemnej teraz jadalni. Promienie światła z podwodnych reflektorów tańczyły na tropikalnej roślinności ogrodu i bambusowych parawanach. W płytszej części basenu pływał po wodzie jakiś ciemny kształt. Gdy wyteżyłem wzrok, dostrzegłem, że jest to zdechły szczur.

– Wiktorcia już mocno śpi – szepnęła Amrita. Gdy obróciłem głowę, ujrzałem zaciśnięte pięstki i oczka zamknięte z tą samą intensywnością, jaka często występuje u dzieci po popisie płaczu.

Wyciągnąłem nogi i odchyliłem głowę do tyłu. Ogarniało mnie straszliwe zmęczenie – chyba nadal efekt zmiany strefy czasowej. Spod oka przyglądałem się Amricie, która delikatnie kołysała dziecko nieobecna spojrzeniem i zamyślona, jak to często się zdarzało, kiedy rozgryzała poważny problem matematyczny.

– Jak odbierasz powrót do Indii? – spytałem.

– Słucham, Bobby? Co mówiłeś? – Obróciła się ku mnie zaskoczona.

– Znowu w Indiach! Jak to przeżywasz?

Pogładziła włoski Wiktorii i oddała ją mnie. Umieściłem dziecko w łuku ramienia i przyglądałem się nadal Amricie, która podeszła na skraj basenu i wygładzała spódnice. Od dołu podświetlały jej twarz reflektory z basenu wydobywając wydatne kości policzkowe. Mam piękną żonę, pomyślałem po raz tysięczny i któryś od dnia naszego ślubu.

– Troszkę jakby to było deja vu – odparła cicho. – Nie, nie tak, to niewłaściwe określenie. Raczej jakbym powracała do powtarzającego się snu. Żar, hałas, głosy, zapachy. Wszystko jest znajome, a zarazem obce.

– Przykro mi, jeśli wytrąca cię to z równowagi.

– Nie, Bobby. To mnie nie wytrąca z równowagi. To mnie przeraża. Przeraża mnie, a jednocześnie wabi, uwodzi.

– Wabi? – zdumiałem się. – Uwodzi? A cóż tu, do diabła, może wabić albo uwodzić? – Amrita nie używała nieprzemyślanych słów. Wyrażała swoje myśli z precyzją większą od mojej.

– Pytasz, co może uwodzić poza Kamakhyą Bharati? – Uśmiechnęła się. Zdjęła sandał i bosą stopą zamieszała wodę. Spojrzałem w kąt basenu, ale nie dojrzałem już zdechłego szczura. – Mówiąc poważnie, Bobby, Indie mnie uwodzą w przedziwny sposób. Czuję, jakbym przez wszystkie minione lata wykorzystywała jedynie połowę mojej tożsamości, a obecnie coś przywołuje tę drugą połowę.

– Czy chciałabyś zostać tu dłużej? – spytałem. – To znaczy poza czas potrzebny mi na załatwienie spraw? – Przyznaję, że byłem nieco zaskoczony słowami Amrity.

– Nie! – odparła krótko i nie było najmniejszej wątpliwości, że jest to ostateczna decyzja.

– Bardzo cię przepraszam, że zostawiłem cię samą przez całe popołudnie, a teraz zgodziłem się na wieczorne spotkanie. Dochodzę do wniosku, że ta wyprawa we troje była błędem. Nie zdawałem sobie sprawy, jak trudno będzie ci podróżować z Wiktorią. – Gdzieś z góry dobiegały głośne rozkazy, chyba po arabsku, a następnie popłynęła rzeka słów bengalskich. Trzasnęły drzwi.

Amrita powróciła do ławki i usiadła koło mnie. Wzięła ode mnie Wiktorię i położyła ją sobie na kolanach.

– Nic się nie stało, Bobby. Zdawałam sobie sprawę, jak to będzie. I wiedziałam, że nie będziesz potrzebował tłumacza, chyba dopiero po otrzymaniu manuskryptów.

– Jest mi bardzo przykro – powtórzyłem.

– Kiedy miałam siedem lat, a było to w lecie przed naszym wyjazdem do Londynu, widziałam ducha – powiedziała Amrita patrząc przed siebie.

Spojrzałem na nią osłupiały. Nie zdziwiłbym się bardziej, gdyby mi powiedziała, że zakochała się w starym windziarzu hotelowym i porzuciła mnie dla niego. Amrita zawsze była, aż do chwili obecnej, najbardziej racjonalną osobą, jaką znałem. Bezlitośnie racjonalną. Nie wyrażała najmniejszego zainteresowania zjawiskami nadprzyrodzonymi, nie wierzyła w żadne zjawy. Nie udało mi się zainteresować jej lichymi powieściami Stephena Kinga, które przynosiłem sobie w lecie na plażę.

– Ducha?

– Jechaliśmy pociągiem z New Delhi do wuja w Bombaju. Siostry i ja uwielbiałyśmy te podróże z matką. Zawsze w czerwcu do Bombaju. Ale tym razem moja siostra Santha zachorowała w pociągu. Wsiadliśmy na stacji za Bhopalem i przez dwa dni mieszkaliśmy w pobliżu stacji w kolejowym domu gościnnym. Miejscowy doktor opiekował się siostrą.

– Wyzdrowiała?

– Tak. Miała tylko odrę. Ponieważ jednak byłam jedynym dzieckiem, które przedtem nie przechodziło odry, nie mieszkałam w tym samym pokoju, ale na małym balkonie wychodzącym na las. Tylko że na balkon można się było dostać jedynie przez pokój, gdzie spała matka z siostrami. Monsun się jeszcze nie zaczął, było sucho i gorąco.

– I zobaczyłaś ducha?

– Obudziłam się w nocy słysząc płacz. – Amrita leciutko się uśmiechnęła. – Najpierw sobie pomyślałam, że to siostra albo matka. Po chwili zdałam sobie sprawę, że na krawędzi mojego łóżka siedzi stara kobieta w sari i płacze. Wcale się nie bałam, tylko zastanawiałam, dlaczego matka pozwoliła, żeby ta kobieta przeszła przez pokój i wyszła do mnie na balkon. Po co? Kobieta łkała cicho, ale przejmująco. Okropnie przejmująco.

Wyciągnęłam rękę, żeby ją pocieszyć, ale nim jej dotknęłam, przestała płakać i spojrzała na mnie. Wtedy dopiero zobaczyłam, że ona wcale nie jest stara, tylko ma twarz postarzałą jakimś straszliwym bólem.

– I co się stało? Skąd wiesz, że to był duch? Czy ona się rozpułnęła, po prostu zniknęła, czy też odeszła w przestrzeń. Może zamieniła się w kupę szmat?

Amrita przecząco pokręciła głową.

– Na kilka sekund księżyc skrył się za chmurami, a kiedy znowu się pojawił, kobiety już nie było. Zaczęłam wołać, a gdy przybiegły do mnie na balkon siostry i matka, zapewniły mnie, że przez pokój nikt nie przechodził.

– Hmm. Wygląda to podejrzanie. Miałaś wtedy siedem lat i po prostu coś ci się śniło. A nawet gdybyś nie spała, to przecież mogła to być pokojówka, która wdrapała się na balkon po drabinie.

– Zdaję sobie sprawę, że to nie jest typowa przerażająca opowieść o duchach – odparła Amrita unosząc Wiktorię. – Jednakże przez wiele lat bardzo się bałam. Wiesz dlaczego? Chwilę wcześniej, zanim księżyc schował się za chmurami, udało mi się spojrzeć prosto w twarz tej kobiety... i poznałam ją. – Amrita poklepała Wiktorię po plecach i spojrzała mi w oczy. – To byłam ja. Dorosła.

– Ty?

– Wówczas postanowiłam zamieszkać w kraju, gdzie nie ma duchów.

– Muszę cię rozczarować, kochanie – odparłem – ale zarówno Wielka Brytania, jak i Nowa Anglia słyną z duchów.

– Być może – powiedziała Amrita i wstała z Wiktorią w ramionach. – Ale ja ich tam nie widziałam.



Z bólem głowy z powodu upału i zmęczenia siedziałem o dziewiątej trzydzieści wieczorem w hotelowym holu. Oprócz tego czułem się dziwnie, bo wypilem zbyt dużo kiepskiego wina podczas kolacji. Zastanawiałem się, jaką przedstawić wymówkę Krishnie, aby nie iść na umówione spotkanie. Była za dziesięć dziesiąta, kiedy postanowiłem powiedzieć, że Amrita lub dziecko są chore. Po chwili uświadomiłem sobie, że w ogóle nie potrzebuję się już tłumaczyć, i wstałem, aby wrócić do siebie na górę. Właśnie wówczas pojawił się Krishna. Miał przekrwione i spuchnięte oczy, jakby płakał, był rozkojarzony i cały wymięty. Podszedł szybko i z wielką powagą podał mi rękę tak, jak podaje się podczas pogrzebu, a nie w hotelowym holu.

– Co się stało? – spytałem.

– Bardzo smutne wydarzenie – odparł, a głos mu się łamał. – Okropna wiadomość.

– Coś się stało pańskiemu przyjacielowi? – Poczulem wielką ulgę przewidując, że Tajemniczy Nieznajomy złamał prawdopodobnie nogę, wpadł pod jakiś pojazd lub dostał zawału serca, i nie muszę iść na spotkanie.

– Nie, ależ nie. Musiał pan przecież słyszeć. Umarł pan Nabokow. Okropna tragedia.

– Kto taki? – Z jego angielszczyzną byłem przekonany, że wymienił jakieś bengalskie nazwisko.

– Nabokow! Nabokow! Władimir Nabokow. Pisarz. Błady ogień, Ada. Największy prozaik w pańskim języku. Jest to wielka strata dla nas wszystkich. Dla wszystkich pisarzy na całym świecie.

Zdobyłem się jedynie na powiedzenie „ooo!”. Nigdy nie udało mi się zmobilizować nawet na tyle, żeby przeczytać Lolitę.

Przypomniałem sobie moje postanowienie, by nie iść na żadne spotkanie, gdy byliśmy już na ulicy w mrocznym, wilgotnym upale i Krishna prowadził mnie do rikszy. Na czerwonym siedzeniu drzemał drobnej postury kulis najwyraźniej krańcowo wycieńczony. Cofnąłem się o krok. Wszystko się we mnie buntowało na myśl, że ten bliski śmierci człowieczyna, podobny do stracha na wróble, będzie mnie ciągnął przez brudne ulice Kalkuty.

Weźmy taksówkę – zaproponowałem.

– Nie, nie. Ta riksza jest zarezerwowana dla nas. To krótki odcinek. Bardzo niedaleko. Nasz przyjaciel czeka.

Ceratowe siedzenie było mokre od wieczornych deszczów, ale stosunkowo wygodne. Kulis stanął między dyszlami sterczącymi do góry, uchwycił ich końce i podskoczył z zawodową zręcznością. Wraz z dyszlami pod obiema pachami powrócił na ziemię, dwukołowa riksza ustawiona była teraz idealnie poziomo, a my w niej, zawieszeni powyżej osi dwu potężnych kół. Nasz pojazd nie miał żadnych świateł pozycyjnych, tylko zawieszoną na haku naftową lampę z malutkim knotem. Wcale nie uspokajał mnie fakt, że ciężarówki i samochody przepychające się natrętnie z włączonymi klaksonami także nie miały zapalonych świateł. Tramwaje jeszcze krążyły, a w wagonach, za metalowymi siatkami zastępującymi szyby, w nieprzyjemnie żółtawym świetle słabych żarówek widać było spocone twarze. Mimo późnej pory pojazdy komunikacji miejskiej były obciążone. Autobusy ugięły się prawie do ziemi pod ciężarem ludzi uwieszonych żelaznych prętów otworów okiennych.

Ulicznych latarni było bardzo mało, natomiast w zaułkach, do których udawało mi się na chwilę zerknąć, unosiła się nad ziemią fosforyzująca warstwa gazów czy oparów z gnijących odpadków i śmieci. Tę właśnie poświatę widziałem z lądującego samolotu. Upał nie zelżał, choć było już

zupełnie ciemno. Wydawało mi się, że jest nawet goręcej niż w ciągu dnia. Nad wysokimi budynkami, które mijaliśmy, kłębiły się chmury, a ich rozpalona wilgotność wydawała się promieniować na ziemię.

Mój niepokój wzrastał. Nawet teraz trudno byłoby mi opisać rodzaj i powody tego niepokoju. Nie był to lęk przed niebezpieczeństwem fizycznym, chociaż czułem się przedziwnie bezbronny kolebiąc się w rikszy ciągniętej przez kulisa po wyboistej jezdni, przez tory tramwajowe i góry śmieci. Przypomniałem sobie ponadto, że w portfelu mam jeszcze dwieście dolarów w czekach podróźnych. Obawa o pieniądze powodowała, że miałem ściśnięte gardło i z trudem przełykałem.

Coś czało się w tej kalkuckiej nocy. Czułem się coraz gorzej. Krótkie paroksyzmy niemalże dzieciennego strachu drażniły moją podświadomość i potrzebowałem wielkiego wysiłku woli, aby to opanować. Odgłosy tej nocy nie wydawały się groźne same w sobie: odległe pokrzykiwania, jakieś szuranie, urywki rozmów mijanych ludzi... Dźwięki te wywoływały jednak we mnie reakcję równie nieprzyjemną, jak szept, który bym nagle usłyszał o północy spod mojego łóżka.

– Kaliksetra – odezwał się Krishna. Mówił cicho lub, jeśli kto woli, równie głośno, jak ciężko oddychający kulis, który stukał bosymi stopami o ziemię.

– Przepraszam, nie zrozumiałem?

– Kaliksetra. To znaczy siedziba bogini Kali. Chyba pan wie, że właśnie od jej imienia pochodzi nazwa naszego miasta?

– Nie. To znaczy chyba wiedziałem, ale zapomniałem.

Krishna obrócił ku mnie głowę. W mroku nie widziałem jego twarzy, ale czułem uważne spojrzenie.

– Tak, musiał pan o tym kiedyś słyszeć. Kaliksetra obrosła wioską Kalikate. W Kalikacie zbudowano Kaligat, najwspanialszą świątynię Kali.

Stoi ona po dziś dzień. Jakieś trzy kilometry od pańskiego hotelu. Chyba pan to wie?

– Hmmm! – Zza rogu wyjechał z dużą szybkością tramwaj. Nasz kulis skręcił nagle na drugą stronę ulicy przecinając tory. Ledwo umknął przed wagonem. Posypały się za nami przekleństwa. Wjechaliśmy w szerszą, mniej zatłoczoną ulicę.

– Kali to bogini, prawda? – spytałem. – Jedna z małżonek Siwy, tak? – Mimo mojego zainteresowania twórczością Tagorego, od wielu lat nie przeglądałem żadnej z wed.

Krishna wydał nieprawdopodobny odgłos. Z początku myślałem, że zakrztusił się ze śmiechu. Śmieje się ze mnie. Ale obróciłem głowę i zobaczyłem, że zatkał sobie palcem jedną dziurkę od nosa i wydmuchuje w dłoń zawartość drugiej.

Tak, tak odparł szybko widząc moje zdumione spojrzenie. – Kali to święta *sakti* Siwy. – Dokładnie obejrzał zawartość dłoni, z zadowoleniem skinął głową i otarł dłoń o bok rikszy. – Zna pan chyba dobrze jej wygląd? – zapytał.

Z ponurego domu, który mijaliśmy, dobiegły do mnie jazgotliwe głosy kłócących się kobiet.

– Niezbyt dokładnie. Widziałem, że jej posążek ma cztery ręce. Tak mi się wydaje. – Rozglądałem się dokoła ciekawy, czy już zbliżamy się do celu. Sklepów było coraz mniej, tylko rozpadające się budynki. Po prostu nie wyobrażałem sobie kafeterii w podobnych ruinach.

– Tak, tak, ma pan rację. Jest boginią, więc musi mieć cztery ręce. Musi pan obejrzeć jej świętą figurę w Kaligacie. Jest ona tam w pozycji *dzagrata* czyli „bardzo rozbudzonej” Kali. Jej ręce są w pozycji, czyli w *mudrach*, *abhaja* i *vara*. Uśmierzających lęk i udzielających łask. Ale jest to Kali

okrutna, wielka i posepna. Ma otwarte usta. Ma długi język i dwa... jak to się mówi... jak się nazywają zęby wampira?

– Kły? – Chwyciłem mocno mokre boczne oparcie rikszy zastanawiając się, po co mi Krishna opowiada te wszystkie brednie.

– Tak, tak, doskonale, kły! Spośród wszystkich bogów jedyna Kali pokonała czas. Ona pożera wszystkie istoty ludzkie, wszystkie pokolenia, to oczywiste w takiej sytuacji. *Parusam, aswam, gam, awim, ajam*. Jest niczym nie odziana, pięknymi stopami depcze trupa... W rękach trzyma pasa... to znaczy pętlę, *katwanga*... jakie to słowo po angielsku... kijek? Nie. O już wiem, drzewce z czaszką, *kadga*, czyli miecz, no i obciętą głowę.

– Obciętą głowę?

– Oczywiście! Chyba pan to wie?

– Niech no mnie pan posłucha, panie Krishna! – ogarniała mnie wściekłość. – Co to ma wszystko wspólnego...?

– Ooo! Dojechaliśmy, panie Luczak! Jesteśmy na miejscu. Niech pan wysiądzie. Szybko, bo jesteśmy spóźnieni. Kafeteria zamyka się o jedenastej.

Ulicę, na której się zatrzymaliśmy, nazwałbym raczej zaułkiem, którym spływały nieczystości i woda deszczowa. Nie widziałem żadnych witryn sklepowych ani szyldów, a tym bardziej kawiarni. Jedynym oświetleniem były nieliczne lampy w izbach na piętrze. Kulis pozwolił dyszłom powędrować w górę i zaczął zapalać malutką fajkę.

– Szybko, szybko! – powtórzył Krishna i strzelił mi przed nosem palcami w identyczny sposób, w jaki poprzedniej nocy popędział tragarzy. Nie ruszałem się z miejsca.

Nie czekając na mnie wyskoczył z rikszy, przekroczył jakiegoś człowieka śpiącego na ziemi i otworzył drzwi w murze. Przedtem ich w ogóle nie zauważyłem. Teraz dostrzegłem strome wąskie schody oświetlone

pojedynczą żarówką. Poszedłem za nim, nie było innego wyjścia. Drzwi na piętrze prowadziły do sporego holu.

– Widział pan budynek uniwersytetu, który mijaliśmy na tej samej ulicy?
– spytał mnie Krishna.

Skinąłem głową, chociaż nie widziałem żadnego budynku, który byłby okazalszy niż skład towarów czy magazyn.

– A my jesteśmy w uniwersyteckiej kawiarni... Nie, nie, w uniwersyteckiej kafeterii... Takiej, jakie są w Greenwich Village w Nowym Jorku, prawda?

Krishna skręcił w lewo i wprowadził mnie do naprawdę wielkiej sali. Wysokie sklepienie podtrzymywane przez rzędy kolumn oraz ściany bez okien – przypominało mi to olbrzymi garaż, jaki widziałem kiedyś w centrum Chicago. W mrocznym świetle dostrzegłem stoliki, z pół setki, a może i więcej, ale tylko kilka zajętych. Siedzieli przy nich w paru grupkach rozognieni dyskusją młodzi ludzie w białych koszulach. Pod sklepieniem na wysokości siedmiu metrów obracały się leniwie skrzydła wentylatorów. Były niezdolne do poruszenia ciężkiego, wilgotnego powietrza, za to co chwila przesłaniały zawieszony ponad nimi żarówki. Światło lekko migotało, co sprawiało wrażenie, że ogląda się niemy film.

– Kafeteria – powtórzyłem automatycznie.

– Tędy – powiedział Krishna i przeprowadził mnie między gęsto poustawianymi zielonymi stolikami w najdalszy kąt sali. Na ławie wbudowanej w mur siedział samotnie młodzieniec mogący mieć około dwudziestu lat. Wstał na nasze powitanie.

– To jest Jayaprakesh Muktanandaji, panie Luczak – przedstawił go Krishna i coś do niego powiedział po bengalsku.

Mrok nie pozwolił mi na dokładne przyjrzenie się rysom twarzy młodego człowieka, zauważyłem jedynie jej chudość, okulary o bardzo

grubych szklach i trądzik w stadium dojrzałych pryszczu połyskujących białymi główkami. Niepewnie podał mi wilgotną dłoń.

Przez długą chwilę staliśmy nic nie mówiąc. Młody człowiek wytarł dłonie o koszulę i ukradkiem zerknął na studentów przy stolikach. Niektórzy z nich przyglądali się nam, gdy wchodziliśmy, ale teraz wydawali się pogrążeni w dyskusjach.

W chwili gdy siadaliśmy, do naszego stolika podszedł stary człowiek z twarzą okoloną siwym zarostem i postawił przed nami filiżanki z kawą. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że są wyszczerbione, a emalia popękana. Ciemne żyłki rozchodziły się po filiżankach niby gałązki wyschniętego drzewa. Kawa była mocna i wyjątkowo dobra, to znaczy byłaby dobra, gdyby nie wsypano do niej już wcześniej cukru i nie dolano kwaśnego mleka. Stary człowiek nie odchodził od stolika, Krishna i Muktanandaji patrzyli znacząco na mnie. Pogrzebałem w portmonetce i wyjąłem banknot pięciorupiowy. Starzec wziął go i odszedł bez słowa nie wydając reszty.

– Panie Muktanandaji – odezwałem się dumny z zapamiętania tak trudnego nazwiska – czy ma pan jakieś informacje dotyczące kalkuckiego poety Dasa?

Młodzieniec potwierdził skinieniem głowy i powiedział coś do Krishny. Krishna ostro mu odpowiedział i obrócił się ku mnie z tym swoim rekinim uśmiechem na twarzy.

– Pan Muktanandaji nie mówi, niestety, biegle po angielsku. Prawdę mówiąc w ogóle nie zna angielskiego. Prosił mnie, abym w jego imieniu tłumaczył. Jeśli jest pan gotów, panie Luczak, to on może zacząć swoją opowieść.

– To miał być wywiad – odparłem.

– Tak, tak, oczywiście. – W geście obronnym Krishna podniósł prawą dłoń. – Musi pan zrozumieć, panie Luczak, że pan Muktanandaji zgodził się

mówić jedynie na moją gorącą prośbę, czyni gest wobec swego nauczyciela. I robi to bardzo niechętnie. Jeśli pan pozwoli mu opowiedzieć całą historię, to przełożę ją, jak będę potrafił najlepiej, a gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, przedstawię je panu Muktanandaji.

Byłem wściekły na siebie. Już po raz drugi tego samego dnia popełniłem błąd przychodząc na spotkanie bez Amrity. Przez chwilę miałem ochotę przeprosić i przełożyć rozmowę na inny termin. Porzuciłem jednak tę myśl. Lepiej mieć już to za sobą. Następnego dnia miałem otrzymać manuskrypt Dasa i wieczorem, przy odrobinie szczęścia, lecieć z powrotem.

– No dobrze – zgodziłem się.

Młody człowiek odchrząknął i poprawił grube okulary na nosie. Mówił głosem jeszcze bardziej piskliwym niż Krishny. Co kilka zdań milkł i bezmyślnie obmacywał pryszczatą twarz, podczas gdy Krishna tłumaczył. Z początku bardzo mnie to wszystko denerwowało, gdyż wydłużało spotkanie, ale po pewnym czasie niemalże hipnotycznie wsłuchiwałem się najpierw w śpiewne tony mowy bengalskiej, a następnie w urywaną choć swoiście melodyjną gamę szybko wypowiedzanych słów angielskich. Kosztowało mnie to niemal tyle wysiłku, co oglądanie zagranicznego filmu z angielskimi napisami. Wymaga to wielkiej koncentracji, aby zdążyć przeczytać dialogi.

Parokrotnie przerywałem, żeby zadać pytanie, ale to bardzo rozkojarzało pana Muktanandaji, więc po pewnym czasie zrezygnowałem i ograniczyłem się do słuchania i popijania małymi łyчками letniej już kawy. Krishna natomiast parokrotnie zwracał się do młodego człowieka po bengalsku, ten odpowiadał, a ja przeklinałem samego siebie za to, że jestem tylko jednojęzycznym głupkiem. Nie mam zresztą pewności, czy nawet Amrita byłaby zdolna wiele zrozumieć z tych szybko wypowiedzanych bengalskich słów.

Słuchając przekładu Krishny bardzo często w myślach ustawiałem słowa we właściwej kolejności lub zastępowałem je innymi, jeśli użył śmiesznego i nie pasującego w konkretnej sytuacji określenia. Od czasu do czasu próbowałem robić w notatniku jakieś uwagi lub formułować narzucające się w danej chwili pytania, ale wkrótce tego zaprzestałem, gdyż bardzo mnie to rozpraszało. Schowałem więc pióro. U sufitu obracały się wolno skrzydła wentylatorów, światła żarówek migotały jak odbicie odległych błyskawic podczas letniej nocnej burzy. Całą uwagę skoncentrowałem na opowieści Jayaprakesha Muktanandaji przekazywanej mi głosem i słowami Krishny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Prośba
*Kiedy umrę
Nie wyrzucajcie ciała i kości,
Ale połóżcie je na stos
I pozwólcie
Snuć im opowieść.
Zapachem swym opowiedzą.*

*Co na tej ziemi
Warte jest życie.
Co warta była miłość
– W ostatniej chwili.*
Kamela Das

Jestem biedakiem z kasty Sudra. Jestem jednym z jedenastu synów Jagdisvarana Bibhuti Muktanandaji, który towarzyszył Gandhiemu w jego Marszu do Morza.

Mój rodzinny dom znajduje się we wsi Anguda w pobliżu miasta Durgalapur na linii kolejowej z Kalkuty do Jamshedpuru. Jest to biedna wieś, którą nikt z zewnątrz nigdy się nie interesował z wyjątkiem jednego wydarzenia, kiedy tygrys rozszarpał dwóch synów Subhoranjana Venkatesvarani. Przyjechał wtedy dziennikarz z gazety w Bhubaneshwarze, żeby spytać Subhoranjana Venkatesvarani, co o tym sądzi i co czuje. Wydarzyło się to w czasie wojny, jakieś piętnaście lat przed moim urodzeniem.

Nasza rodzina nie zawsze była biedna. Niegdyś mój dziadek S. Mokeshi Muktanandaji pożyczał nawet pieniądze wioskowemu lichwiarzowi. Kiedy się urodziłem jako ósmy syn, już od dawna byliśmy zapożyczeni u lichwiarza. Aby spłacić narosłe procenty od naszego długu, mój ojciec musiał sprzedać dwa i pół hektara najlepszej ziemi, najbliżej wioski. Pozostało nam sześć hektarów w małych poletkach porozrzucanych na dużej przestrzeni. Sześć hektarów na jedenastu synów. Z tego, co przypadło na każdego z nas, nie wyżywi się nawet dwóch wołów.

Sytuacja tylko nieco się poprawiła, kiedy mój starszy brat Marmadeshwar z patriotycznego obowiązku poszedł na wojnę w 1971 roku i szybko zginął od pakistańskiej kuli. Przyszłość pozostałej dziesiątki nadal nie była różowa.

I wtedy mojemu ojcu przyszedł do głowy pomysł. Poprzednio przez osiem lat uczyłem się w niepełnym wymiarze godzin do Chrześcijańskiej Akademii Rolniczej w Durgalapurze. Utrzymywał ją bardzo bogaty pan Debee z Bengalskiego Instytutu Inseminacji Bydła. Akademia była małą szkółką. Mieliśmy niewiele książek i tylko dwóch nauczycieli, z których jeden wpadał powoli w obłęd z powodu syfilisu.

Niemniej byłem jedynym członkiem rodziny, który chodził do szkoły, wobec czego mój ojciec zdecydował, że pójdę na uniwersytet. Umyślił sobie, że zostanę lekarzem albo, jeszcze lepiej, kupcem i w ten sposób zaopatrzę w pieniądze całą rodzinę. Rozwiązywało to również problem mojego udziału w spadku. Było rzeczą oczywistą, że doktor albo bogaty kupiec nie potrzebuje poletka złej ziemi.

Jeśli o mnie idzie, to miałem bardzo mieszane uczucia. Po pierwsze jeszcze nigdy w życiu nie oddaliłem się od wioski na więcej niż dwanaście kilometrów, po drugie nigdy w życiu nie jechałem pociągiem ani samochodem. Mogłem przebrnąć przez łatwy tekst i napisać po bengalsku

kilka podstawowych zdań, ale nie znałem angielskiego, nie znałem hindi, a jeśli idzie o sanskryt, to mogłem wyrecytować zaledwie parę linijek z Ramajany i Mahabharaty. Krótko mówiąc nie sądziłem, abym był przygotowany do studiów medycznych.

Mój ojciec pożyczył więcej pieniędzy od wioskowego lichwiarza. Tym razem już na moje nazwisko. Mój nauczyciel, ten, który tracił rozum, napisał mi list rekomendujący mnie na studia uniwersyteckie i skierował do swego dawnego wykładowcy. Nawet pan Debee, który niegdyś, nim jeszcze trafił na chrześcijańską ścieżkę cnoty, przysiągł Gandhiemu, że służyć będzie pokornie naszym wsiom i że każe po śmierci rozsypać swe prochy wzdłuż głównej drogi przecinającej Angudę, nawet tenże pan Debee dał mi pismo do władz uniwersyteckich prosząc o łaskawe przyjęcie mnie, biednego, głupiego chłopskiego syna z niskiej kasty, do świątyni wiedzy.

W ubiegłym roku znalazło się wreszcie dla mnie miejsce. Większość pożyczonych pieniędzy poświęciłem na bakszysz dla mojego zwariowanego nauczyciela i dla sekretarza pana Debee i opuściłem rodzinny dom udając się do wielkiego miasta. Byłem okropnie przerażony.

Nie czas teraz opisywać moje reakcje na wszystkie wspaniałości Kalkuty. Wystarczy, że powiem, iż każda godzina przynosiła nowe olśnienie. Wkrótce jednak ogarnęło mnie przygnębienie. Moje niewielkie fundusze wystarczyły zaledwie na opłacenie nauki w pierwszym semestrze i nie mogłem nawet marzyć o zamieszkaniu w drogim akademiku, a nawet w skromnym schronisku studenckim. Pierwszy tydzień spędziłem śpiąc pod krzakami w parku, jednakże monsunowe deszcze i dwukrotne pobicie przez policję skłoniły mnie do poszukiwania jakiegoś dachu nad głową.

Raczej rozczarowały mnie wykłady z czterech przypisanych mi przedmiotów. Było nas czterystu studentów pierwszego roku na wykładach ze *Wstępu do historii państwa*. Nie miałem pieniędzy na kupno

podręcznika, a wykładowca bąkał pod nosem po angielsku – w języku, którego nie rozumiałem. Większość czasu spędzałem więc na poszukiwaniu jakiegoś kąta do zamieszkania. Przez cały czas żałowałem, że wyjechałem z Angudy. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli nawet ograniczę się do jednego posiłku dziennie najskromniejszego, jaki można: ryż i *czapati* – to i tak wystarczy mi pieniędzy zaledwie na parę tygodni. Jeśli z kolei znajdę dach nad głową, to nie będę miał pieniędzy na jedzenie.

Wszystko się nagle zmieniło, gdy odpowiedziałem na ogłoszenie ze studenckiej gazety. Jakiś student poszukiwał towarzysza do wspólnego pokoju. Okazało się, że ten pokój znajdował się na siódmym piętrze budynku, w którym mieszkali głównie przesiedleńcy z Bangladeszu i Birmy. Dziesięć kilometrów od uniwersytetu. Student, który dał ogłoszenie, rozpoczynał studia farmaceutyczne, ale w rzeczywistości zamierzał zostać wielkim pisarzem lub jeśli to się nie uda – fizykiem nuklearnym. Był o kilka lat starszy ode mnie, niesłychanie mądry. Nazywał się Sanjay i kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem wśród stert książek, papierów i brudnej odzieży, poczułem nagle, że moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Chciał dwieście rupii miesięcznie za połowę pokoju. Ale musiał wyczytać rozczarowanie w mojej twarzy. Miałem wówczas przy duszy niespełna sto rupii. Zdałem sobie sprawę, że na darmo szedłem tu przez parę godzin. Jeszcze mnie bolały podeszwy po laniu, jakie dostałem od policjantów przed kilkoma dniami. Dopiero później dowiedziałem się, że poważnie uszkodzili mi podbicie.

Wszystko to opowiedziałem Sanjayowi, który natychmiast się nade mną ulitował i wyraził wielkie oburzenie z powodu zachowania policji. Był wręcz wstrząśnięty, gdy mu powiedziałem o wysokości łapówki, jakiej żądają administratorzy domów studenckich. Dopiero później się zorientowałem, że nastroje Sanjaya przypominają monsunowe burze. Mógł

być spokojny, opanowany, nie drgnęła mu nawet powieka i oto nagle wpadał po prostu w szal, gdy usłyszał o czyjejś krzywdzie bądź niesprawiedliwości społecznej. W chwilach takich wybuchów potrafił pięścią przebić przepierzenie lub dać na schodach kopniaka jakiemuś birmańskiemu dzieciakowi.

Sanjay należał do Maoistowskiej Koalicji Studentów i do Komunistycznej Partii Indii. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że te organizacje wzajemnie się nie znosiły, a ich członkowie często brali się za łby. Swoich rodziców nazywał „dekadencckimi kapitalistycznymi pasożytami”. Byli oni właścicielami małej firmy farmaceutycznej w Bombaju i co miesiąc przysyłali synowi pieniądze. Początkowo wysłali syna na studia zagraniczne, ale szybko wrócił, by, jak to określił, „odnowić związek z walką rewolucyjną we własnej ojczyźnie”. Bardzo to rodziców przygnębiło. Jeszcze bardziej się zmartwili, gdy wybrał na miejsce studiów plebejski uniwersytet w Kalkucie, zamiast ubiegać się o dyplom w szacowniejszych uczelniach Bombaju czy Delhi.

Wszystko to opowiedział mi podczas pierwszego spotkania, a także wysłuchał mojej historii. I wówczas obniżył miesięczne komorne za pół pokoju z dwustu rupii na pięć, a ponadto zaproponował mi pożyczkę na przeżycie następnych dwóch miesięcy. Przyznaję, że rozplakałem się z radości.

W ciągu następnych tygodni Sanjay uczył mnie, jak przetrwać w Kalkucie. Jeszcze przed wschodem słońca wyruszyliśmy do śródmieścia którąś z licencjonowanych ciężarówek wiozących padłe czy zabite zwierzęta do kontraktujących je odbiorców. Sanjay wyjaśnił mi, że w mieście tej wielkości co Kalkuta, podziały kastowe nie mają już praktycznie żadnego znaczenia i wkrótce przejdą do historii, gdy nastąpi nieuchronna rewolucja. W zasadzie zgadzałem się z argumentacją Sanjaya, niemniej

wychowanie otrzymane w domu kazało mi zawsze zadawać sobie pytanie, do jakiej kasty należeć może szofer, koło którego siadam, lub sprzedawca klusek oferujący mi na ulicy swój produkt. Sanjay nauczył mnie też darmowej jazdy pociągami, wchodzenia do kina bez biletu w czasie przerwy podczas trzygodzinnego seansu, a także korzystania z usług ulicznego golibrody mającego liczne długi wdzięczności wobec Sanjay – dobroczyńcy.

Przestałem uczęszczać na wykłady. Moje oceny skoczyły z niedostatecznych czy ledwo dostatecznych do dobrych, a następnie ustabilizowały się na bardzo dobrych, bowiem Sanjay dokładnie mnie przeszkolił w metodach kupowania prac studentów wyższych roczników. Aby móc podołać temu nowemu wydatkowi, musiałem pożyczyć od Sanjaya następne trzysta rupii. Dał mi je bardzo chętnie.

Z początku Sanjay zabierał mnie na spotkania swoich dwóch partii, maoistowskiej i komunistycznej, ale niekończące się polityczne przemówienia i bezsensowne kłótnie dyskusje po prostu mnie usypiały. Po pewnym czasie mój nowy przyjaciel zrezygnował ze mnie. Znacznie przyjemniejsze były zbyt rzadkie, niestety, wizyty w nocnym klubie hotelu Lakshmi, dokąd Sanjay mnie zabierał, by popatrzeć na tancerki w bieliźnie. Zdawałem sobie sprawę, że oglądanie podobnego zberezeństwa nie przystoi pobożnemu hindusowi, a takim przecież byłem. Jednakże widowisko niesłychanie mnie podniecało. Sanjay uważał je za przejaw „burżuazyjnej dekadencji” i utrzymywał, że oglądanie tego jest naszym świętym obowiązkiem, by móc dawać przykłady chorobliwej deformacji systemu, który rewolucja miała wyprzeć i zastąpić czymś innym. Byliśmy tam chyba z pięć razy, żeby stać się wiarygodnymi świadkami dekadencji, i za każdym razem Sanjay pożyczał mi po pięćdziesiąt rupii.

Dopiero po trzech miesiącach wspólnego mieszkania Sanjay wspomniał o swoich kontaktach z gundami i Kapalikami. Właściwie to już przedtem podejrzewałem związki Sanjaya z gundami, ale o Kapalikach nigdy nic nie wiedziałem.

Nawet ja, naiwny przybysz ze wsi, szybko się zorientowałem, że całe rejony miasta są terroryzowane przez gangi azjatyckich zbirów i przez rodzime mafie gundów. Pobierali oni haracz za wstęp do miasta i schronisk, za zajmowanie miejsc na ulicy, kontrolowali przepływ i handel narkotykami mordując każdego, kto usiłował przeszkodzić w ich lukratywnej działalności przestępczej. Sanjay powiedział mi, że haracz muszą płacić nawet ci budzący litość biedacy z nadbrzeżnych slumsów, którzy kruchymi łupinami wypływają na rzekę, by kraść niebieskie i czerwone światła nawigacyjne na bojach, nie wiadomo po co i komu potrzebne. Wysokość haraczu za te światła wzrosła trzykrotnie po tym, jak wzięty przez gundów w czarter frachtowiec, płynący do Singapuru z ładunkiem opium, ugrzązł na mieliźnie rzeki Hugli, ponieważ nie było boi we właściwych miejscach. Sanjay dodał, że wszystkie potencjalne zyski z ładunku opium poszły na łapówki dla policji i władz portowych, by pozwolono ściągnąć frachtowiec z melizny i by mógł udać się w dalszą drogę.

O tej porze w zeszłym roku kraj znajdował się, jak wszyscy wiemy, w ostatniej fazie stanu wyjątkowego. W prasie szalała cenzura, więzienia były przepełnione więźniami politycznymi – tymi, którzy narazili się pani Gandhi. Krążyły nawet plotki, że na południu sterylizowano młodych ludzi, którzy zostali złapani w pociągach bez biletów. Kalkuta natomiast przeżywała dodatkowo swój własny, bardzo specyficzny stan wyjątkowy. Nikt już nie potrafił zliczyć uciekinierów, którzy w ciągu minionego dziesięciolecia przybyli tu ze Wschodniego Pakistanu. Jedni mówili, że jest

ich chyba dziesięć milionów, inni że piętnaście. W ciągu pierwszych czterech miesięcy, jakie spędziłem w Kalkucie, sześciokrotnie zmieniały się władze miejskie. Kiedy nikt już sobie nie mógł poradzić, oddano zarząd metropolii partii komunistycznej. Ale komuniści też nie mogli rozwiązać żadnego z problemów. Prawdziwi władcy miasta byli niewidzialni.

Dziś jeszcze policja boi się zapuszczać w dalsze rejony wielu dzielnic. W ubiegłym roku podjęto próbę wysyłania tam dziennych patroli. Dwuosobowych lub trójek. Szybko jednak zrezygnowano, gdy gundowie zaczęli je odsyłać w siedmiu lub ośmiu kawałkach. Komisarz policji zdecydowanie odmówił dalszego narażania życia policjantów i wysyłania patroli bez osłony wojska. Ale władze wojskowe oświadczyły, że mają ważniejsze sprawy na głowie.

Sanjay powiedział mi, że nawiązał kontakty z gundami poprzez swoje farmaceutyczne koneksje. Pod koniec pierwszego roku studiów na uniwersytecie rozszerzył krąg swoich zainteresowań. Wymuszał okup od kolegów w zamian za gwarancję „opieki”, był także łącznikiem między gundami a Związkiem Mistrzów Żebraczych działającym w północnej części miasta. Te wykonywane w imieniu gundów funkcje nie przynosiły mu wielkich dochodów, ale ugruntowywały prestiż. Właśnie Sanjay przekazał żebraczemu związkowi polecenie, aby czasowo ograniczono liczbę porywanych dzieci, gdy szanowany dziennik Times of India rozpoczął sezonową i zwykle krótkotrwałą akcję publikowania pełnych oburzenia komentarzy na temat niecznych praktyk uprowadzania dzieci w celach komercyjnych. Nieco później, kiedy moralizatorzy zajęli się problemem tak zwanych posagowych morderstw, Sanjay przekazał Mistrzom Żebraczym łaskawe zezwolenie na wznowienie łapanki nieletnich i odpowiedniego ich okaleczania w celu wzbudzenia litości.

I właśnie od Mistrzów Żebraczych Sanjay otrzymał propozycję zostania członkiem Stowarzyszenia Kapalików! Była to instytucja starsza od Braterstwa Gundów, a nawet od samego miasta Kalkuty.

Kapalikowie czczą boginię Kali. Przez długie lata czynili to jawnie, w świątyni Kaligat, ale ponieważ mieli w zwyczaju co piątek składać bogini ofiarę z żywego chłopca, Brytyjczycy zakazali działalności tej sekty i ogłosili jej rozwiązanie w 1831 roku. Kapalikowie zeszli do podziemia, gdzie wiodło im się jeszcze lepiej. Nacjonalistyczne nastroje w ciągu całego ubiegłego stulecia napędziły Kapalikom wyznawców bez liku. Byli sektą prześladowaną przez Brytyjczyków, a więc wartą poparcia. Trzeba było jednak płacić wysoką cenę za przyjęcie do ich grona. Przekonaliśmy się o tym wkrótce z Sanjayem.

Przez kilka miesięcy Sanjay i ja czekaliśmy, jakby to powiedzieć... u wrót. Przez cały czas go zbywano. Wreszcie na jesieni ubiegłego roku dano mu szansę. Wtedy byliśmy już przyjaciółmi, razem składaliśmy przysięgę wstępując do Braterstwa Gundów i każdy z nas pełnił „służbę”. Z początku byłem łącznikiem przenoszącym listy i przekazującym polecenia. W czasie choroby Sanjaya inkasowałem za niego haracz.

Byłem bardzo zaskoczony, kiedy Sanjay zaproponował mi, abym razem z nim wstąpił do Kapalików. Zaskoczony i przestraszony wahałem się. W naszej wiosce była świątynia Durgi, Boskiej Matki, w związku z czym znałem też jej groźną inkarnację pod postacią Kali. Durga była opiekuńcza i macierzyńska, jako Kali miała opinię rozwiązłej i sprośnej. Durga była skromna i godnie odziana, boginię Kali natomiast przedstawiano zawsze rozpustnie obnażoną, mającą za jedyne okrycie gęsty mrok. Gęsty mrok i naszyjnik z ludzkich czerepów. Czczenie bogini Kali poza dniami jej tradycyjnych świąt było równoznaczne z opowiedzeniem się za kultem *vamachary* – wyuzdanego bękartu tantry. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem,

mój starszy kuzyn pokazał mi któregoś dnia wizerunek kobiety – bogini! – spółkującej sprośnie z dwoma mężczyznami. Wuj zobaczył nas pochylonych nad tym obrazkiem i uderzył kuzyna w twarz. Następnego dnia zaproszony został do naszego domu dostojny bramin, aby nas pouczyć o niebezpiecznych konsekwencjach podobnych tantrycznych nonsensów. Nazwał to zgubnym skutkiem pięciu M – *madia, mamsa, matsja, mudra, maithun*. A właśnie owych pięciu M Kapalikowie mogli się domagać, pławić w nich, delektować się nimi: alkohol, mięso, ryby, nieprzystojne gesty i spółkowanie. Tak prawdę mówiąc, o spółkowaniu zaczynałem w owym czasie poważnie myśleć, ale świadomość tego, że pierwsze doświadczenie w tej dziedzinie zdobędę podczas ceremonii religijnej, przerażała mnie.

Jednakże wiele Sanjayowi zawdzięczałem i wiele byłem mu winien. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że chyba nigdy nie uda mi się spłacić zaciągniętych długów. Poszedłem więc z nim na pierwsze spotkanie u Kapalików.

Czekali na nas wieczorem na pustym o tej porze placu targowym blisko Kaligatu. Moje wyobrażenie o Kapalikach powstało na bazie opowiadań starszych, chcących poskromić i no straszyć niegrzeczne dzieci. Dwaj mężczyźni, którzy na nas czekali, nie odpowiadali popularnym wyobrażeniom. Przypominali zasobnych biznesmenów. Jeden z nich miał nawet teczkę. Obaj wysławiali się dobrze, grzecznie, nienagannie się zachowywali i nienagannie byli ubrani. Wobec nas byli uprzedzająco mili, a przecież dzieliły nas klasy i kasty.

Poszliśmy do świątyni. Odbывała się właśnie wzniosła i godna uroczystość ku czci Durgi z okazji pełni księżyca. Obok posążka Kali zatknięto na żelaznym szpikulcu łeb byka. Krew jeszcze spływała do marmurowej misy ustawionej na ziemi.

Ponieważ od wczesnego dzieciństwa z oddaniem wielbiłem Durgę, nie miałem żadnych trudności z dołączeniem się do chóralnie skandowanej litanii na cześć Durgi–Kali. Zmiany tekstu były znikome i łatwe do zapamiętania. Jednakże parę razy się omyliłem błędnie wzywając Parwati–Durgę zamiast Kali–Durgę. Obaj towarzyszący nam dżentelmeni tylko się uśmiechnęli okazując pełną wyrozumiałość. Jedna strofa litanii różniła się zasadniczo i musiałem na nowo jej się nauczyć:

*Bólem jest świat,
O, groźna małżonko Siwy,
Która karmisz się naszym ciałem.*

*Budząca grozę bogini,
Która jęczorem chłepcze krew,
Matko Mroku, Matko Naga,
Kochanko Siwy,
Bólem jest świat.*

Następnie odbyła się procesja wokół Kaligatu. Niesiono wielkie boskie podobizny skropione krwią złożonej ofiary. Jedne przedstawiały Kali we wcieleniu Czandi, inne jako Kali Okrutną lub jako Czinnamastę, czyli „tę bez głowy” z dziesięciu Mahawidja, kiedy to Kali sama obcięła sobie głowę, aby móc spijać własną krew.

Procesja ruszyła następnie na brzeg rzeki Hugli, którą, jak wiadomo, płynie woda ze Świętego Gangesu. Poszliśmy razem. Boskie podobizny wrzucono do wody w przekonaniu, że któregoś dnia powstaną. Wraz z tłumem śpiewaliśmy:

*Kali, Kali, bało bai,
Kali bai are gate nai.*

*Imię Kali głoście bracia,
Ona jedna was przygarnie...*

Byłem poruszony do łez. O ileż ta ceremonia była wspanialsza i piękniejsza od skromnych uroczystości w Angudzie. Towarzyszący nam dwaj dżentelmeni akceptowali nas. Najwidoczniej zaaprobowwała nas również *dżagrata* Kaligatu, gdyż otrzymaliśmy zaproszenie na zamknięte tym razem spotkanie Kapalików pierwszego dnia pełni w następnym miesiącu.

Krishna przerwał tłumaczenie, nieco już ochrypł.

– Czy ma pan jakieś pytania, panie Luczak?

– Nie. Proszę opowiadać dalej – odparłem.

Sanjay był bardzo podniecony przez cały ten miesiąc. Zdałem sobie sprawę, że brak mu jest tego religijnego wychowania, jakie ja miałem szczęście otrzymać. Podobnie jak wszyscy członkowie Komunistycznej Partii Indii miał do czynienia z politycznymi instrumentami wiary, które kolidują z kulturowym spadkiem hinduizmu. Musi pan zrozumieć, że dla nas religia nie jest abstrakcją wymagającą aktu wiary, by ją skonsumować. Religia to rzecz naturalna, jak oddychanie. Powiem więcej: hindusowi łatwiej byłoby zmusić własne serce do zatrzymania się, niż odrzucić swój hinduizm, cały bagaż religijnej tradycji. Zwłaszcza w Bengalu być hindusem oznacza ślepe akceptowanie wszystkiego dokoła, jako cząstki boskości. Nigdy się tu sztucznie nie oddziela rzeczy świeckich od boskich. Boskie jest wszystko. Sanjay w pełni zdawał sobie z tego sprawę, jednakże ta odrobina zachodniego myślenia zaszczerpiona jego duszy, hinduskiej duszy, odmawiała akceptowania tej prawdy.

W ciągu miesiąca poprzedzającego uczestniczenie w kolejnej uroczystości spytałem raz Sanjaya, dlaczego zabiegał o członkostwo w stowarzyszeniu Kapalików, skoro nie był zdolny całym sercem wielbić bogini. Był na mnie bardzo zły i obrzucił mnie wyzwiskami. Zagroził nawet podniesieniem czynszu i zażądaniem zwrotu długów. Potem jednak przeprosił za swój wybuch. Może po prostu dostrzegł mój smutek albo przypomniał sobie naszą braterską przysięgę.

„Chodzi o władzę, siłę”, wyjaśnił. „Jednym słowem o potęgę. W tym celu postanowiłem przyłączyć się do Kapalików, drogi Jayaprakeshu. Gundowie nie boją się nikogo... oprócz Kapalików. Już od dłuższego czasu wiem, że Kapalikowie dysponują potęgą nieproporcjonalnie wielką do swojej liczby. Żadni rzezimieszkowie i bandyci, choćby należeli do najgroźniejszych, nigdy nie wystąpią przeciwko Kapalikowi. Zwykli ludzie nienawidzą Kapalików albo udają sami przed sobą, że to tajne stowarzyszenie czy kult już nie istnieje. Jednakże ta nienawiść, o której wspomniałem, zrodziła się z zazdrości. Ludzie boją się słowa Kapalik”.

„Może raczej szanują”, odparłem.

„Nie!”, uciął Sanjay. „Właściwe słowo to strach!”.

Pierwszego dnia nowego księżyca, prawie w miesiąc po święcie Durgi, pierwszego wieczoru obchodów na cześć Kali czekał na nas na pustym placu targowym mężczyzna w czerni, aby nas zaprowadzić na zebranie sekty Kapalików. Szliśmy ulicą Glinianych Bóstw, a przyglądały się nam setki wyobrażeń Kali – z prymitywnie ulepionych torsów bogini wystawały słomiane „kości”.

Świątynia Kapalików znajdowała się w wielkim, starym magazynie. Podobnie jak w Kaligacie tak i tu pod częścią budowli płynęła rzeka. Jej cichy szmer towarzyszył całej uroczystości.

Na dworze mrok dopiero gęstniał, w magazynie natomiast było zupełnie ciemno. Sama świątynia była budynkiem w budynku. Rząd świec wskazywał drogę. Na cementowej posadzce bezszelestnie poruszały się węże. Było jednak zbyt ciemno, bym mógł określić czy to kobry, czy żmije, czy też mniej groźne okazy. Moim zdaniem stanowiło to melodramatyczny akcent.

Posąg Kali był mniejszy niż w Kaligacie, bogini posepniejsza, bardziej mroczna, z przenikliwszym spojrzeniem – straszna. W chybotliwym, słabym świetle jej usta wydawały się to otwarte, to przymknięte i wykrzywione okrutnym uśmiechem. Posąg był świeżo pomalowany – sutki na czerwono, przyrodzenie na czarno, wysunięty język na kolor jaskrawoszkarałatny. Długie zęby lśniły w mroku bielą, zwężone oczy wydawały się w nas wpatrywać, gdy podchodziliśmy. Były jeszcze dwie istotne różnice między tym posągiem a wyobrażeniem Kali w Kaligacie.

Po pierwsze ciało, na którym posąg bogini stał w tanecznej pozie, było prawdziwe. Na ziemi leżał trup, a odór gnijącego ciała poczuliśmy natychmiast po wejściu do właściwej świątyni zbudowanej w hali magazynowej. Trupi odór zmieszany z wonią kadzideł! Trup należał do mężczyzny o zbielałej, pomarszczonej skórze obciążającej kości wystające z wychudzonego ciała. Był artystycznie ułożony w symbolicznej pozycji śmierci. Jedno oko miał półotwarte.

Ceremonia z udziałem trupa niezbyt mnie zdziwiła. Zgodnie z tradycją Kapalikowie mieli naszyjniki z trupich czaszek i podobno przed każdą „mszą” gwałcili, a następnie zabijali w ofierze dziewczęcę. Przed paroma dniami Sanjay sobie zażartował, że mój brak doświadczeń seksualnych może sprawić, że wybiorą właśnie mnie. Teraz, w głębokim mroku świątyni, mając w nozdrzach zapach rozkładającego Ł się ciała, odetchnąłem z ulgą, że jednak nie ma obyczaju składania żywej ofiary.

Druga różnica była mniej zauważalna, ale tym bardziej przerażająca. Podobnie jak w Kaligacie bogini unosiła w gniewie swoje cztery ręce – w jednej dłoni trzymając trójzab, w drugiej miecz, trzecią proponując pętlę, czwarta dłoń natomiast, ta w której Kali ma zwykle obciętą głowę, była pusta, palce chwytają powietrze. Serce zaczęło mi mocno walić, a gdy zerknąłem na Sanjaya, zobaczyłem, że z trudem opanowuje strach. Do świętych zapachów kadzideł i trupiego smrodu dołączyła teraz kwaśna woń naszego potu.

Weszli Kapalikowie. Nie mieli specjalnych szat, żadnych kultowych oznak, niektórzy nosili zwykłe białe *dhoti* nadal popularne na wsi. Sami mężczyźni. Było zbyt ciemno, abym mógł dostrzec, czy są wśród nich bramini. Zakładałem jednak, że są obecni przedstawiciele kasty kapłańskiej. W sumie zgromadziło się około pięćdziesięciu osób. Odziany na czarno mężczyzna, który nas przyprowadził, wycofał się w głęboki mrok świątyni, gdzie kryło się jeszcze wiele postaci. Byłem tego absolutnie pewien.

Oprócz mnie i Sanjaya było jeszcze sześciu wtajemniczanych. Żadnego z nich nie znałem. Rozdygotani stanęliśmy półkolem przed posągiem bogini. Za nami zgromadzili się Kapalikowie i rozpoczęli pienia. Mój zeszywniały język z trudem formułował wymagane dopowiedzenia i zawsze zbyt późno. Sanjay w ogóle zrezygnował z uczestniczenia w litanii i po prostu stał z głupawym uśmiechem na zbiegających wargach. Był bardzo spięty. Pusta dłoń Kali przyciągała nasz wzrok jak magnes.

Wyśpiewywany hymn znałem jeszcze z dziecięcych lat. I zawsze kojarzyłem go z jasnymi promieniami słońca padającymi na kamienną posadzkę świątyni, z perspektywą festiwalowych uroczystości, z zapachem hojnie sypanych płatków kwiecia. Teraz wyśpiewywałem litanie podczas ciemnej nocy, odurzony zapachem ludzkiej padliny rozchodzącym się w

przesiąkniętym wilgocią powietrza. Słowa nabierały zupełnie innego znaczenia.

O Matko Moja, Córko Góry!

*Świat jest tylko cierpieniem,
Brzemiennym ciężarem przeszłości.*

*Bogactwo ułudą – nie łaknę,
Mam siłę, nie mam słabości.*

*Różowe jej stopy, jest tarczą,
Wieczystym odwagi echem.*

*Śmierć może stanąć tuż blisko,
Spotkam ją tylko z uśmiechem.*

Boska inwokacja zakończyła się dość szybko. Nie było potem żadnej procesji, tylko jeden z Kapalików wszedł na podwyższenie tuż pod podobizną bogini. Teraz, kiedy mój wzrok przyzwyczał się do mroku, zdałem sobie sprawę, że rozpoznaję twarz tego mężczyzny. Skoro mnie, który przebywał w Kalkucie zaledwie od kilku miesięcy, ten człowiek wydawał się znajomy, to znaczy, że była to ważna osobistość. Mówił przyciszonym głosem. Ledwo go słyszałem na tle szumu rzeki. Mówił o świętym związku Kapalików.

O Stowarzyszeniu! W pewnej chwili zaintonował: wielu jest wezwanych, lecz niewielu wybranych. Poinformował, że nasz nowicjat, będący próbą wierności, potrwa trzy lata. Aż dech we mnie zapało, gdy to usłyszałem, natomiast Sanjay tylko skinął głową. Zrozumiałem wtedy, że wiedział dużo więcej na temat wstępowania do sekty Kapalików, niż zechciał mi powiedzieć.

„Będziecie musieli spełnić wiele poruczeń, by udowodnić własną wartość i lojalność wobec Kali”, oświadczył kapłan, gdyż z pewnością był to kapłan. „Teraz możecie odejść i wrócić do siebie pamiętając, że kto raz wszedł na Świetlistą Drogę, nie ma odwrotu”.

Po tych słowach zapadła cisza. Rozejrzałem się po twarzach pozostałych kandydatów. Nikt się nie poruszył, nikt nawet nie drgnął. Ach, gdybym wówczas odszedł...! Miałem nieprzepartą chęć wziąć nogi za pas... Zrobiłbym to, gdyby nie Sanjay – stał jak skamieniały, usta miał zaciśnięte w zimnym uśmiechu. Nie miałem siły poruszyć nogami. Stały się nagle ciężkie jak kłocce. Serce mi waliło, niemal rozsadzając klatkę piersiową. Oddychałem z wielkim trudem. I zostałem!

„Doskonale”, powiedział kapłan. „Przed następnym spotkaniem jutro o północy wykonacie dwa zadania. Pierwsze z nich czeka was już teraz”.

Z fałd swojego *dhoti* kapłan wyjął mały sztylet. Niemal jednocześnie wciągnęliśmy z Sanjayem powietrze. Chyba bardzo głośno. Cała nasza ósemka kandydatów stała nieruchomo, wyprostowana, czujna, niespokojna. Kapalik na podwyższeniu tylko się uśmiechnął i ostrzem sztyletu naciął sobie skórę na dłoni. Szybko pojawiła się krew. W świetle świec wyglądała jak czarna rysa. Kapłan schował sztylet i z dłoni leżącego pod stopą bogini rozkładającego się trupa wyjął kilka łodyżek. Chyba były to źdźbła trawy. Tylko jedno uniósł do światła i jakby osłonił je od góry dłonią, z której zaczęły spadać na kamienną podłogę krople krwi. W tej grobowej ciszy słychać to było bardzo wyraźnie. Kilka szkarłatnych łez rozprysło się wcześniej na łodydze trawy. Z mroku wyłonił się drugi Kapalik, zebrał wszystkie łodyżki, włącznie z pokrwawioną, odwrócił się od nas plecami i zbliżył do posągu Kali.

Kiedy odszedł, zobaczyliśmy pęczek łodyg wystający z poprzednio pustej dłoni bogini. Nie było widać, które źdźbło splamione jest krwią

kapłana.

„Podejdz pierwszy”, zwrócił się do Sanjaya. „Weź dar z ręki *dżagraty!*”.

Na korzyść Sanjaya trzeba zapisać, że wahał się jedynie przez drobny ułamek sekundy. Kali wydała się nagle wyższa, gdy stanął pod jej wyciągniętą dłonią, by wybrać trawę. Poczułem nagle przeraźliwy smród, chyba z trupa pod stopami bogini wydobyły się uwięzione tam gazy.

Sanjay pochwycił trawkę i zacisnął ją w dłoni. Dopiero gdy wrócił na swoje miejsce, powoli rozprostował palce. Łodyżka była czysta.

Stojący na końcu naszego półkola korpulentny młodzieniec był następny. Gdy podchodził do bogini, trzęsły mu się nogi. Niemalże instynktownie zamknął w dłoni wybraną trawę, podobnie jak uczynił to Sanjay i jak mieliśmy obowiązek uczynić wszyscy. Wróciwszy na swoje miejsce podniósł do góry czyściutką łodygę, a na nalanej tłuszczem twarzy malowała się wielka ulga.

Podobnie potoczyły się sprawy z trzecim kandydatem, który nie mógł powstrzymać się od krótkiego okrzyku radości, gdy stwierdził, że też ma czystą trawę. Czwarty kandydat jakby załkał sięgając do dłoni Kali, która wydawała się spoglądać na nieszczęśnika, a jej czerwony jęzor sprawiał wrażenie o wiele dłuższego, niż kiedy się pojawiliśmy. Ale i czwarta trawka była czysta.

Ja byłem piąty z kolei. Gdy szedłem ku posągowi, miałem wrażenie, że przyglądam się sobie gdzieś z daleka. Posąg został tak ustawiony, że nie można się było do niego zbliżyć bez spojrzenia w twarz Kali nad sobą, nie widzieć pętli i pustych oczodołów. Z bliska wzrok przykuwał także miecz – klinga, chyba stalowa, ostra jak brzytwa. Usłyszałem beknięcie trupa – kolejna porcja wydobywających się gazów. A może to był odgłos rzeki przepływającej pod świątynią?

Zimne kamienne palce Kali nie chciały oddać mi łożki, którą wybrałem. Odnosiłem nieprzeparte wrażenie, że zaciskają się one tym mocniej, im silniej ciągnę. Wreszcie mi się udało i nie patrząc zacisnąłem obie dłonie na trawce. Pamiętam rozsadzającą mnie radość, gdy wracałem do półkola nowicjantów i dziwne rozczarowanie, gdy rozwarłszy dłonie ująłem delikatną łożkę i nie zobaczyłem śladu krwi. Podniosłem głowę i spojrzałem prosto w oczy bogini. Jej uśmiech wydawał mi się teraz szerszy, zęby bielsze.

Szósty kandydat był młodszy ode mnie, ledwo przestał być chłopcem. Odważnie, po męsku pomaszerował do *dzagraty* i bez chwili namysłu wybrał sobie łożkę. Gdy wrócił na miejsce i rozwarł dłoń, wszyscy natychmiast zobaczyliśmy ślady krwi.

Wstrzymaliśmy oddech czekając na... Właśnie, na co? Nic się nie wydarzyło. Kapłan wyznaczył siódmego kandydata, aby wziął z rąk bogini należny mu dar. Potem przyszła kolej na ósmego. Długo staliśmy w milczeniu zastanawiając się, co też sobie o tym wszystkim myśli chłopak, który wyciągnął zakrwawioną łożkę, i co będzie dalej. Dlaczego chłopak nie ucieka? W pewnej chwili pomyślałem, że może być tak, iż chłopak stał się pomazańcem Kali i tym samym uniknie losu, jaki czeka nas, pozostałych. Wielu jest wezwanych, niewielu wybranych! Tak powiedział kapłan, a jego słowa przyjąłem jako karykaturalną trawestację kazań chrześcijańskich misjonarzy, którzy uparcie kręcili się po wielkich placach, gdzie gromadzili się ludzie. Kapłan Kapalików chciał może dać do zrozumienia zupełnie co innego. I być może chłopak, który wyciągnął zakrwawioną słomkę, jest jedynym aprobowanym przez boginię nowicjantem. Myśli kłębiły mi się w głowie, a rozczarowanie mieszało z uczuciem ulgi.

Kapłan zwrócił się do nas ponownie: „Wasz pierwszy obowiązek spełniliście. Drugi spełnić musicie przed powrotem tutaj jutro o północy. Idźcie teraz wysłuchać rozkazu Kali, małżonki Siwy”.

Z mroku wystąpili dwaj mężczyźni w czerni i skinęli na nas. Poszliśmy za nimi w głąb świątyni ku zasłoniętym czarnymi kotarami wejściom do małych pomieszczeń. Gestami mistrzów ceremonii zapraszających na uroczystość ślubną Kapalikowie wskazali każdemu z nas jego celę. Zająłem ciemną alkowę sąsiadującą z alkową Sanjaya.

Pomieszczenie było ciasne i panowała w nim absolutna ciemność. Czarno odziany przewodnik kazał mi uklęknąć i zaciągnął czarną zasłonę zabierając resztkę światła. Zdażyłem się przedtem zorientować, że cela jest pusta. Żadnych mebli, żadnych obrazów.

Panowała śmiertelna cisza. Nie docierał tu nawet szmer rzeki. Jedyne żar nocy. Zacząłem liczyć uderzenia serca i doliczyłem się dwudziestu siedmiu, kiedy tuż nad uchem usłyszałem szept.

Był to głos kobiety. Właściwie nie – miękki, bezpłciowy głos. Aż podskoczyłem i wyciągnąłem ręce, ale nikogo nie było w pobliżu.

„Złożysz mi ofiarę”, szeptał głos.

Cały drżący rzuciłem się na kolana. Spodziewałem się, że jeszcze coś usłyszę albo poczuję dotyk. Po chwili jednak ktoś rozsunął kotarę, wstałem z kolan i wyszedłem.

Stanęliśmy z powrotem półkolem przed posągiem Kali. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jest nas tylko siedmiu. Chłopak umknął, pomyślałem. Świetnie! Poczułem dotyk ręki Sanjaya. Ruchem głowy wskazał na posąg bogini. Nagi trup, na którym tańczyła, był młodszy. Świeży. I pozbawiony głowy.

I żadna dłoń Kali nie była już pusta. Głowa, którą trzymała za włosy, lekko się kołysała. Na młodej twarzy malowało się zdziwienie. Na ziemię

skąpy wały głośno szkarłatne krople.

Żaden okrzyk przerażenia nie wydarł się z naszych krtani.

Śpiewaliśmy:

Kali, Kali, balo bai, Kali bai are gate nai...

Kapalikowie wtopili się w mrok świątyni. Mężczyzna odziany w czerń wyprowadził nas z budynku. W przedsionku włożyliśmy nasze sandały. W gmatwaninie uliczek znaleźliśmy drogę do Strandu, gdzie zatrzymaliśmy riksę, która odwiozła nas do domu.

„Czego ona od nas żąda?“, spytałem Sanjaya, gdy już leżeliśmy pod kocami. „Jakiej chce ofiary?“.

„Jesteś głupi zadając takie pytania“, odparł Sanjay. Cały się trząśł nie mniej ode mnie. Aż skrzypiała siatka jego łóżka. „Jutro do północy musimy jej przynieść ciało. Ludzkie ciało. Martwe ciało“.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Kalkuto, Kalkuto,
jesteś rozkochanym w nocy twojem
nieskończonego okrucieństwa
Jesteś prądem rwącym, na którym się
unoszę płynąc w nieznane.*
Sunilkumar Nandu

Krishna przestał tłumaczyć, a jego głos stał się jeszcze bardziej chrapliwy pasujący teraz doskonale do wyłupiastych ropuszych oczu. Z olbrzymim wysiłkiem odwróciłem wzrok od Muktanandajiego. Tak mnie wciągnęła ta opowieść, że przestałem sobie uświadamiać, iż dociera ona do mnie ustami Krishny. Gdy Krishna przestał tłumaczyć, ogarnęła mnie taka sama irytacja, jaką odczuwa ktoś, komu zepsuje się radio lub telewizor podczas słuchania czy oglądania ciekawej audycji.

– Co się stało? – spytałem.

Krishna wskazał ruchem głowy. Zbliżał się do nas właściciel lokalu o siwym zaroście. Zorientowałem się, że jesteśmy na sali zupełnie sami. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy wszyscy wyszli. Krzesła były już ustawione siedzeniami na stolikach. Wentylatory u sufitu przestały się obracać. Spojrzałem na zegarek – jedenasta trzydzieści pięć.

Właściciel – a może się myliłem, może nie właściciel! – zaczął coś mrużyć do Krishny i Muktanandajiego.

Krishna machnął ręką, a mężczyzna powtórzył to coś znacznie głośniejsze i dobitniej.

– O co chodzi? – spytałem raz jeszcze.

– Mówi, że musi już zamykać. Płaci za elektryczność. – Krishna dosłownie zaskrzeczał niczym żaba.

Spojrzałem na kilka słabiutkich żarówek rzucających nikłe światło i niemalże się roześmiałem.

– Możemy spotkać się jutro – powiedział Krishna, a Muktanandaji zdjął okulary i przecierał palcami zmęczone oczy.

– Ani mi się śni! – oświadczyłem i rzuciłem na stół kilka indyjskich banknotów, jakie miałem przy sobie. Wybrałem dwadzieścia rupii i podałem właścicielowi. Nie ruszał się z miejsca coś pomrukując. Dodałem jeszcze dziesięć rupii. Podrapał się po zarośniętym policzku i począpał z powrotem za ladę. Udało mi się zapewnić sobie dokończenie opowieści za niespełna trzy dolary.

– Niech Muktanandaji opowiada dalej! – poleciłem Krishnie.



Sanjay był pewien, że jakoś znajdziemy przed północą dwa trupy. Przecież mieszkaliśmy w Kalkucie.

W drodze do miasta zapytaliśmy naszego rozwoziciela padłych zwierząt, czy jego przedsiębiorstwo wozi także swoimi ciężarówkami ludzi. Odparkł, że do tego celu władze miejskie wynajmują kogo innego – biednych, ale kastowych, którzy o świcie objeżdżają ulice i zbierają z chodników trupy. Takie zbiórki odbywają się na koszt miasta jedynie w dzielnicy biznesu i w samym śródmieściu. W odleglejszych dzielnicach, gdzie ciągną się kilometrami slumsy, ludzie muszą sobie radzić sami. Zajmują się tym rodziny, no i psy.

Ciała wywozi się do kostnicy zwanej Sassoon.

O dziesiątej trzydzieści, po zjedzeniu śniadania w jakimś lokaliku w centrum miasta, udaliśmy się z Sanjayem do kostnicy Sassoon.

Kostnica zajmowała dwa piwniczne piętra i parter budynku w niegdyś angielskiej dzielnicy. Wejścia nadal pilnowały kamienne lwy, ale było ono zabarykadowane, od wielu lat nieużywane. Wchodzić trzeba było od tyłu, gdzie podjeżdżały ciężarówki.

W kostnicy był tłok. Należy raczej powiedzieć: przepełnienie. Owinięte białymi całunami ciała leżały stosami na wózkach w wielkim holu i nawet w korytarzach przed wejściem do biur. W nozdrza biła ostra woń. Byłem bardzo zdziwiony wyglądem tej kostnicy.

Z jakiegoś biura wyszedł pracownik w pożółkłym kitlu i uśmiechając się spytał nas, czym może służyć.

Nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć, ale Sanjay od razu zaczął mówić z wielkim ferworem i bardzo przekonująco: „Właśnie przyjechaliśmy z Benaresu. Musieliśmy przyjechać do Kalkuty, ponieważ niedawno przybyli tu dwaj nasi kuzyni w poszukiwaniu pracy, gdyż zostali pozbawieni ziemi. Dowiedzieliśmy się, że niestety zachorowali i zmarli na ulicy, nim znaleźli odpowiednie zatrudnienie. Żona jednego z naszych biednych kuzynów napisała do nas list przed wyjazdem do rodziny w stanie Tamil Nadu. Tej suce nie chciało się nawet zadać trudu, by odszukać ciało męża i drugiego kuzyna, ale na szczęście my przyjechaliśmy nie szcędząc kosztów, by zabrać naszych krewnych do Benaresu i godnie spalić”.

„Aha!”, wykrzyknął funkcjonariusz. „Te przeklęte kobiety z południa zawsze tak postępują. Nie umieją się odpowiednio zachować. Suki!”.

Energicznie mu przytaknąłem. Jakże wszystko okazywało się łatwe!

„Więc obaj płci męskiej? Starzy, młodzi czy dzieci?”, zapytywał funkcjonariusz kostnicy znudzonym głosem.

Sanjay nie od razu zrozumiał.

„No, ci dwaj kuzyni?”, niecierpliwił się urzędnik. „Muszę znać płeć, wiek, no i najlepiej dzień, w którym zostali zebrani z ulicy. Może być przybliżony. Więc płeć obu ustaliliśmy, tak? Męska?”.

„Męska”, odparł bez wahania Sanjay.

„Męska”, zawtórowałem.

„Ten, co żona uciekła, ile miał lat?”.

„Starszy ode mnie”, odparł dyplomatycznie Sanjay.

„O tak, starszy”, potwierdziłem.

„A ten drugi?”.

„Zupełnie stary”, powiedział Sanjay.

„Młodziutki, chłopaczyna”, wyrwałem się jednocześnie. Sanjay spojrzał na mnie wzrokiem, który zabijał. Funkcjonariusz kostnicy zatrzymał się.

„Bardzo przepraszam, moja omyłka. Biedny kuzyn obecnego tu Jayaprakesha jest w istocie bardzo młody. Ja przez cały czas myślami jestem z moim biednym kuzynem Samarem. Jayaprakesh i ja jesteśmy skoligaceni tylko przez małżeństwo jego wuja z moją ciotką”.

„Aha, aha!”, powiedział funkcjonariusz spoglądając na nas podejrzliwie. „A może jesteście studentami z uniwersytetu?”.

„Nie”, odparł Sanjay z uśmiechem. „Ja pracuję w fabryce dywanów u mojego ojca w Benaresie. A Jayaprakesh pomaga wujowi na gospodarstwie. Ja chodziłem trochę do szkoły. Jayaprakesh nie. A dlaczego pan o to pyta?”.

„Tak sobie, bez powodu, bez powodu”. Spoglądał na nas i nader uważnie przyglądał się mnie. Bałem się, że usłyszy walenie mojego serca. „Często się zdarza, że studenci medycyny z naszego uniwersytetu... tracą... ukochanych krewnych... którzy umierają na ulicy. Tędy proszę”. Poprowadził nas dalej.

Zeszliśmy do pomieszczeń piwnicznych. Były obszerne, wilgotne, nabrzmiałe buczeniem klimatyzatorów. Skroplona para spływała ze ścian strużkami na kamienną podłogę. Nagie ciała spoczywały na wózkach i stołach, posegregowane według płci i z grubsza wieku. Minęliśmy piwnicę po same brzegi wypchaną dziećmi.

Sanjay podał przybliżoną datę śmierci naszych krewnych mniej więcej przed tygodniem. Sprecyzował też wiek kuzyna Samara na czterdzieści kilka lat.

W piwnicy, w której składowano trupy mężczyzn w tym przedziale wieku, leżało ze dwadzieścia ciał, w różnym stanie rozkładu. Było tu za ciepło. Zatkaliśmy z Sanjayem nosy skrajami koszul. Do oczu napłynęły nam łzy. Smród był gryzący.

„To te ciągle wyłączenia prądu”, mruknął funkcjonariusz. „Przez wiele godzin dziennie. No i co? Jest?”. Podszedł do trupa o zasłoniętej ścierką twarzy. Odślonił ją, rozłożył dłonie w geście kupca przymilnie zachwalającego i byczka na sprzedaż.

„Nie, nie... żaden z tych... Zaraz, zaraz... Nie, niestety... Trudno powiedzieć”. Moim zdaniem Sanjay był strasznie wybredny.

Funkcjonariusz mruknął coś niezrozumiałego.

Sanjay chodził od wózka do wózka, od stołu do stołu, wpatrywał się w martwe twarze, one zbieleńcami oczami odwzajemniały jego spojrzenie; niektóre miały rozdziawione gęby, inne wywalone na wierzch języki. Parę trupów miało usta wykrzywione w makabrycznym uśmiechu, jakby kpiły sobie z naszych wysiłków.

„Nie, żaden z nich”, stwierdził Sanjay.

„To już są wszyscy z zeszłego tygodnia”, oświadczył funkcjonariusz. „Nie myli się pan co do daty?”. Widać było, że jest znudzony.

Sanjay poważnie potwierdził datę zgonu skinąwszy kilka razy głową. Zastanawiałem się nad grą mojego przyjaciela. Powinniśmy byli zidentyfikować pierwsze lepsze trupy i zmykać stąd.

„Zaraz, zaraz, chwileczkę. A to ciało w kącie?”, spytał Sanjay wskazując na zepchnięty w kąt metalowy stół, jakby świadomie zapomniany. Trup był sztywny, miał podniesione kolana i lekko uniesione ręce, dłonie zaciśnięte w pięści. Łysa głowa obrócona była twarzą do ściany, jakby wstydząc się, że ciało jest obnażone.

„Ten chyba za stary”, mruknął funkcjonariusz, ale Sanjay szybkim krokiem poszedł w kąt piwnicy. Pochylił się nad zmarłym, podniesiona pięść musnęła jego poddartą koszulę i wsparła się o obnażony brzuch mojego przyjaciela.

„Kuzyn Samar!”, załkał Sanjay i mocno pochwycił zeszywniałą dłoń.

„To chyba niemożliwe!”, zaprotestował funkcjonariusz. Głośno wytarł nos w skraj brudnej koszuli. „Tego przywieźli dopiero wczoraj”.

„Niestety, to właśnie mój biedny kuzyn Samar”, odparł Sanjay załamującym się głosem, a w jego oczach zobaczyłem najprawdziwsze łzy.

Funkcjonariusz wzruszył ramionami i zaczął przeglądać dokumenty, które trzymał w ręku. Wiele z nich przerzucił, nim trafił na właściwy.

„Tożsamość nieustalona. Przywieziony we wtorek rano. Znaleziony nagi na ulicy Suddera... Pasuje? Przypuszczalna przyczyna śmierci: skręcony kark. Spadł z czegoś albo powieszony. Prawdopodobnie napad rabunkowy. Dla samego ubrania. Przypuszczalny wiek... sześćdziesiąt pięć lat”.

„Kuzyn Samar miał czterdzieści dziewięć lat”, wyjaśnił Sanjay i otarł oczy skrajem koszuli, który następnie podsunął z powrotem pod nos, aby nie wdychać fetoru. „Jayaprakeshu, może poszukasz teraz swojego młodego kuzyna!”, zwrócił się do mnie. „A ja zajmę się zabraniem kuzyna Samara”.

„Ach nie, nie, to wykluczone!”, wykrzyknął funkcjonariusz.

„Dlaczego?”, zapytaliśmy równocześnie.

„Nie można zabierać ciała, póki nie zostanie zidentyfikowane”, odparł marszcząc poważnie brwi.

„Kiedy ja go właśnie zidentyfikowałem. To jest kuzyn Samar”. Sanjay nie puszczał dłoni trupa.

„Musi być oficjalnie zidentyfikowany. To trzeba zrobić na poczcie”.

„Na poczcie?”, spytałem zdziwiony.

„Tak, właśnie na poczcie. Tam jest Biuro Osób Zaginionych i Niezidentyfikowanych Zwłok. Trzecie piętro. Po zidentyfikowaniu trzeba uiścić opłatę dwieście rupii. Za każdą ukochaną osobę dwieście rupii”.

„Ajajaj!”, wykrzyknął Sanjay. „Za co te dwieście rupii?”.

„Za oficjalną identyfikację i wydanie zaświadczenia. Z tym zaświadczeniem trzeba iść do urzędu miejskiego na ulicy Waterloo. Przyjmowanie petentów tylko w soboty”.

„To dopiero za trzy dni!”, wykrzyknąłem.

„A po co tam trzeba iść?”, spytał Sanjay.

„Żeby zapłacić pięćset rupii za zabranie ciała z ulicy. Za przewiezienie do kostnicy. Zanim wydam ciało, muszę mieć poświadczenie tożsamości, kwit opłaty za zidentyfikowanie nieboszczyka, kwit za przewiezienie do kostnicy, no i kopię zezwolenia na wywóz zmarłego z kostnicy”.

„Ajajaj!”. Sanjay puścił dłoń trupa. „A gdzie wydają takie zezwolenia?”.

„Wszystkie licencje wydaje Urząd Stanowy. Jego biura są w Radź Bawanie”.

„A ile to kosztuje?”, zapytał Sanjay.

„Osiemset rupii za każdego nieboszczyka, którego chce się przewozić publicznymi środkami transportu. Są specjalne taryfy zniżkowe przy zezwoleniach na przewóz powyżej pięciu nieboszczyków”.

„I nic już więcej nie potrzeba?”, spytał Sanjay tonem, jaki zawsze poprzedzał kopniaki rozdawane birmańskim dzieciakom hałasującym na klatce schodowej lub na podwórzu.

„To by było wszystko z wyjątkiem metryki zgonu, którą ja sam mogę wydać”, odparł funkcjonariusz.

„Za ile?”, syknął przez zęby Sanjay.

„Tylko pięćdziesiąt rupii”, odparł z uśmiechem funkcjonariusz. „Pozostałby jedynie czynsz...”.

„Jaki znowu czynsz?”, spytałem ja z kolei przez koszulę, którą osłaniałem nos.

„Tak, tak, trzeba zapłacić czynsz. Jak panowie wiedzą, mamy tu straszny tłok. Za wynajęcie miejsca do leżenia pobieramy piętnaście rupii dziennie”. Zerknął w dokumenty. „Czynsz za pobyt pańskiego kuzyna Samara wyniósłby... sto pięć rupii...?”.

„Ale przecież jest on tutaj dopiero od wczoraj!”, wykrzyknąłem.

„To prawda, święta prawda. Ale musimy pobrać opłatę za cały tydzień, ponieważ zmarły ze względu na swój wiek miał tu specjalną opiekę... Czy będziemy teraz szukali tego młodszego kuzyna?”.

„Więc to by nas kosztowało prawie dwa tysiące rupii od każdego nieboszczyka?”, Sanjay mówił kipiącym ze złości głosem.

„Tak, tak. Mam nadzieję, że handel dywanami w Benaresie idzie dobrze”. Funkcjonariusz śmiał się całą gębą.

Sanjay oświadczył, że wychodzimy. Usiłowałem protestować mówiąc, że trzeba odszukać mojego kuzyna, ale Sanjay rzucił mi groźne spojrzenie.

Przed kostnicą stała pomalowana na biało ciężarówka. Sanjay podszedł do kierowcy w szoferce.

„Dokąd zawożone są ciała?”, spytał.

„Że co?”.

„Dokąd wywożone są ciała nie zidentyfikowane?”.

Kierowca zmarszczył brwi.

„Do prosektorium Szpitala Chorób Zakaźnych w Naidu”.

„A gdzie to jest?”.

„Przy ulicy Chitpur”.

Jechaliśmy tam godzinę tramwajem zatłoczonymi ulicami. Stary szpital pełen był ludzi, którzy chcieli doczekać tu śmierci lub otrzymać jakąś pomoc. Szerokie, długie korytarze zapchane łózkami przypominały kostnicę. Przez kraty w oknach wlatywały ptaki i siadały na pomiętej pościeli przeskakując z łóżka na łóżko, w nadziei znalezienia okruchów. Po splekanych ścianach goniły się jaszczurki. Widziałem też szczura przemykającego między nogami łóżek.

Drogę zastąpił nam wąsaty lekarz w kitlu.

„Kim jesteście?”, zapytał.

Zaskoczony Sanjay wymienił nasze nazwiska. Wiedziałem, że intensywnie myśli nad jakąś historyjką.

„Przyszliście w sprawie tych ciał?”.

Pojęcia nie mieliśmy, o czym on mówi.

„Jesteście dziennikarzami, tak?”.

„Tak, właśnie”, zgodził się Sanjay.

„Cholera, wiedziałem, że to wyjdzie na jaw”. Lekarz zaklął pod nosem.
„To nie była nasza wina”.

„Dlaczego pan tak uważa?”. Sanjay wyciągnął z kieszeni wymięty zeszyt, w którym notował kwoty haraczu wpłacanego na rzecz żebraczego bractwa, wydatki na pralnię i na żywność. „Może pan złożyć oświadczenie dla prasy?”. Poślinił koniec ołówka.

„Chodźcie ze mną!”, warknął lekarz i poprowadził nas przez oddział chorych na tyfus i przez kuchnię na zewnątrz, gdzie leżały stosy śmieci. Za

budynkiem szpitalnym znajdowało się spore pole porośnięte chwastami, a jeszcze dalej budy, namioty z worków i sterczące daszki z pordzewiałej blachy – jeszcze jedna dzielnica bezdomnych. W wysokim zielsku stał zardzewiały buldożer opierał się o niego starzec w obwisłych szortach i ze starodawnym karabinem w rękach.

„Hej tam!”, wrzasnął lekarz, a starzec aż podskoczył i zmierzył się do nas. „Tam, tam!”, krzyknął lekarz i wskazał palcem. Starzec wystrzelił, a echo odbiło się od budynku szpitalnego.

„Cholera, dwa razy cholera!”, zaklął lekarz i podniósł z ziemi kamień. Z zielska wysunął łeb pies z wystającymi zębami i przerażony patrzył na nas, ale zaraz umknął z podwiniętym ogonem i czymś czerwonym w pysku. Lekarz cisnął za nim kamieniem. Starzec przy buldożerze zmagął się z zamkiem starego karabinu.

Lekarz powtórzył słowo „cholera” trzy razy i poprowadził nas przez pole. Co parę kroków leżała góra ziemi, jakby ten stary buldożer od lat wygrzebywał tu nory. Stanęliśmy na krawędzi sporego dołu, skąd przed chwilą wyskoczył pies. Dół był płytki.

Krzyknąłem przerażony i odskoczyłem na bok. Z wilgotnej ziemi wystawała gnijąca ręka, o którą zawadziłem stopą. Rozejrzałem się ogarnięty paniką i zobaczyłem, że dokoła pełno jest takich płytkich nor i pełno psów.

„Przed dziesięcioma laty wszystko było dobrze”, tłumaczył lekarz. „Ale teraz te wszystkie zakłady przemysłowe w pobliżu...”. Przerwał, żeby cisnąć kamieniem w psią sforę nie opodal. Psy z wielkim spokojem odeszły w krzaki. Starcowi z karabinem udało się wreszcie pozbyć łuski i ładował nowy nabój.

„Czy to byli muzułmanie czy chrześcijanie?”, spytał Sanjay dotykając ołówkiem kartki zeszytu.

„Najprawdopodobniej hindusi. Kto to zresztą wie”. Lekarz splunął. „Krematoria nie przyjmują bezpłatnych klientów. I teraz od kilku miesięcy zwaliły się te hordy psów i kopia... Byliśmy gotowi zapłacić... Zaraz, zaraz. Wiecie, co się dziś wydarzyło? Dlatego się zjawiliście, tak?”.

„Oczywiście”, odparł Sanjay z absolutnym spokojem. „Niemniej chcielibyśmy usłyszeć pańską wersję”.

Ledwo słyszałem tę wymianę zdań, gdyż pochłaniał mnie widok dookoła. Z rozgrzebanej wszędzie ziemi wystawały szczątki ciał. Podobne do zdechłych ryb wypływających na powierzchnię wody. Z tego, co widziałem, nic nie nadawało się na ofiarę dla bogini Kali. Nisko nad ziemią I krążyły stada kruków. Starzec z karabinem usiadł na gąsienicy traktora i chyba zaczął drzemać.

„Mieliśmy dzisiaj wiele skarg, ale przecież musieliśmy j coś poradzić. Niech pan koniecznie napisze w swoim artykule, że szpital był gotów zapłacić za kremację!”, powiedział lekarz.

Sanjay udawał, że robi notatkę z tej ważnej informacji. Ruszyliśmy z powrotem w kierunku budynku szpitalnego. Między górami śmieci rodziny pacjentów rozbiły prymitywne namioty i wzniosły budy z tektury i szmat.

Lekarz tłumaczył dalej: „Coś musieliśmy zrobić. Z jednej strony te nieustanne wyłączenia prądu. Z drugiej strony psy. Nie mogliśmy robić tego co przedtem i zakopywać trupy na polu. Więc zapłaciliśmy miastu za transport. I właśnie dziś rano załadowano trzydziestu siedmiu nieboszczyków z prosektorium, żeby ich wywieźć na tereny kremacji w Ashutosh. Skąd mogliśmy wiedzieć, że oni zabiorą ciała otwartą platformą i że ciężarówka utknie w korku?”.

„W istocie, skąd?”, powiedział Sanjay i coś zapisał.

„A najgorsze, że jak przywieźli te ciała na tereny kremacyjne, to zrzucili je tam akurat wtedy, kiedy zebrały się już festiwalowe tłumy”.

„Właśnie, właśnie. *Kali pudża!* Dziś rozpoczyna się święto Kali”, wtrąciłem.

„No tak, ale skąd mogliśmy wiedzieć, że akurat zbierze się tam dziesięć tysięcy ludzi?”, spytał ostro lekarz, a przecież powinien wiedzieć, że Kali jest boginią wszystkich placów kremacji, wszystkich miejsc, gdzie zagląda śmierć, a nawet patronuje polom dawnych bitew i cmentarzom innych wyznań.

„Czy panowie wiedzą, ile czasu trwa kremacja zwłok nawet wtedy, gdy odbywa się na elektrycznych stosach zainstalowanych przez miasto?”, spytał następnie lekarz i sam sobie odpowiedział: „Dwie godziny! Dwie godziny na każde ciało!”.

„A co się stało z tymi trzydziestoma siedmioma?”, zainteresował się Sanjay. Było już po południu. Pozostało nam dziesięć godzin.

„No właśnie! Chodzi o te skargi. Wielu wiernych przybyłych na obchody święta zemdlało. Ranek był bardzo gorący. Wiele ciał musieliśmy zostawić. Kierowcy odmówili powrotu z pełnym ładunkiem zarówno tutaj, jak i do kostnicy Sassoon ze względu na ruch na ulicach”.

„Bardzo panu dziękujemy”, powiedział Sanjay chwytając rękę lekarza i potrząsając nią energicznie. „Nasi czytelnicy z pewnością w pełni docenią punkt widzenia szpitala. A jeszcze przy okazji jedno pytanie: czy po zmroku strażnik tu zostaje?”. Sanjay wskazał pole z trupami za szpitalem.

„Tak, tak!”, zapewnił spływający potem lekarz i dodał: „Chociaż na nic się to nie przydaje”. Podniósł kamień i cisnął nim w psa, który zanadto się zbliżył biegnąc z kawałkiem ludzkiego mięsa w pysku.

O dziesiątej wieczorem pojechaliśmy do Ashutosh na tereny kremacyjne. Sanjay pożyczył małą furgonetkę, którą bractwo żebracze rozwoziło i zabierało z posterunków kalekich żebraków. Pomieszczenie za

siedzeniami kierowców było małe i cuchnęło. Nie miałem pojęcia, że Sanjay potrafi prowadzić.

Dotarliśmy na miejsce po dłuższym slalomie w wieczornym ruchu, niemalże przy wyczerpanym akumulatorze przez ustawiczne trąbienie i wolną jazdę.

Brama na tereny kremacji była zamknięta, ale udało nam się wjechać przez przylegające do nich pole, gdzie urządzono otwarte pralnie. O tej porze woda już nie płynęła betonowymi kanałami, a cementowe kadzie i płyty do składania bielizny były puste. Kasta praczy opuściła swoje miejsce pracy udając się na nocny odpoczynek. Tereny pralni oddzielone były od terenów kremacji murem, ale w odróżnieniu od wielu innych murów w mieście nie było na ich szczycie ani wpasowanych w cement żelaznych ostrzy, ani kawałków szkła. Nie mieliśmy najmniejszej trudności z przejściem na drugą stronę.

Gwiazdy już świeciły, ale księżyc jeszcze się nie pokazał. Na tle ciemnego nieba widzieliśmy z daleka sylwetki pawilonów kremacyjnych – blaszane dachy podparte kilkoma słupkami. W pobliżu zamkniętej bramy dostrzeżliśmy inny spory kształt: gigantyczną platformę zadaszoną na wzór kremacyjnych pawilonów. Platforma stała na potężnych kołach.

„Boski pojazd na święto Kali”, wyszeptał mi do ucha Sanjay.

Skinąłem głową. Wiedziałem dobrze, co stoi pośrodku platformy osłonięte na noc blaszanymi parawanami: rozwścieczona, czteroręka czarna postać. Chociaż posągi festiwalowe nie były w zasadzie traktowane jako *dżagraty* – czyli świętości same w sobie, jak posąg Kali w Kaligacie, to jednak lichy wie, jakie moce mogły mieć te festiwalowe kopie w nocy, w parku śmierci, w samotności i ciszy.

Sanjay skierował kroki ku największemu pawilonowi kremacyjnemu, w pobliżu półkolistego podjazdu. Minęliśmy składowisko drewnianych polan

– kupowały je do palenia zwłok bliskich bogate rodziny – i drugie składowisko suszonych placków krowiego nawozu – dla biedniejszych. Dopiero z bliska zobaczyłem, że pawilon, do którego szliśmy nie ma dachu, jedynie ściany spoczywające na cementowej płycie podobnej do płyt w kostnicy, tyle że wielkiej, jakby czekała na ciało jakiegoś ogromnego boga. Zerknąłem z niepokojem na wóz bogini Kali.

Na skraju płyty w paru rzędach leżały ciała. Gdyby już świecił księżyc, to cień wozu Kali padałby właśnie na te trupy. Podeszedłem parę kroków i cofnąłem się zatykając nos.

„Jeśli dotknę któregoś z nich, to będę musiał jutro spalić swoje ubranie”, powiedziałem. Wyobrażałem sobie, jak będzie cuchnęło w upale dnia.

„Módl się o to, abyś doczekał jutra”, syknął Sanjay i podnosząc wysoko stopy zaczął chodzić pomiędzy groteskowo powyginanymi ciałami. Tylko niektóre owinięte były w jutowy całun lub koc. Większość leżała nago z twarzami ku niebu. Mój wzrok przystosował się do słabego światła gwiazd i dostrzegałem w mroku biel kości, które przebijały spod skóry obwisłej na wychudzonych ciałach. Tu i ówdzie sterczały wyłamane lub wykręcone kończyny. Zadygotałem przypomniawszy sobie dłoń, o którą zaczepiłem stopą na polu za szpitalem.

Sanjay wybrał ciało w drugim rzędzie i zaczął je ciągnąć w stronę muru.

„Poczekaj na mnie!”, krzyknąłem rozpaczliwie, ale Sanjaya już pochłonał mrok. Zostałem sam między trupami. W panice przeszedłem na środek trzeciego rzędu i natychmiast tego pożałowałem, bo ciała leżały tak blisko siebie, że nie miałem gdzie postawić stopy. Nagły podmuch wiatru porwał z ziemi jakieś strzępy, które przefrunęły o parę metrów ode mnie.

Usłyszałem szelest i jakby szarpnięcie od strony, gdzie stał boski pojazd. Stałem zeszywniały, dłonie zacisnąłem w pięści, wyteżyłem wzrok. Dostrzegłem źródło zamieszania. To jakieś ptaszysko, zbyt ociążałe, by

pofrunąć, biło skrzydłami. Przeskoczyło po trupach i zniknęło w czarnym mroku pod wozem Kali. Wyobraziłem sobie bożyszczce śmierci sięgające czterema dłońmi, niezadowolone, że coś zakłóca spokój w jej królestwie. Zrobiłem krok, to znaczy chciałem zrobić krok, ale coś złapało mnie za kostkę i mocno trzymało.

Wrzasnąłem, uskoczyłem w bok, potknąłem się i upadłem między zimne kończyny... Ręką wsparłem się o udo nieboszczyka, którego twarz obrócona była ku wysuszonej trawie. Uchwyt nie zelżał, wydawało się nawet, że coś ciągnie mnie za nogę do tyłu. Udało mi się podnieść na kolana, zacząłem dziko walić w to coś na prawej nodze. Poprzednio krzyknąłem tak głośno, że spodziewałem się przybycia strażnika z głównej bramy. Miałem nadzieję, że ktoś przyjdzie i mnie wyswobodzi. Ale nikt się nie pojawił. Nie było tu nocnej straży. Zacząłem wzywać Sanjaya, ale nie odpowiadał. Czuję pieczenie w prawej kostce. Opanowałem się na tyle, że przestałem ciągnąć i szarpać. Wstałem. To coś przestało ciągnąć. Ukląknąłem na jedno kolano i wlepiłem wzrok w to, co mnie zatrzymywało. Otóż jedno z ciał obszyte było w jedwabistą tkaninę, do której przyczepiono pętle do niesienia. Wstąpiłem po prostu w taką pętlę i szarpiąc zacisnąłem ją sobie na nodze. Teraz już uwolniłem się w parę sekund. Z rozprutego szwu jedwabistej tkaniny wystawała tylko biała dłoń. Wepchnąłem ją z powrotem czubkiem sandała. Uśmiechnąłem się z zadowoleniem. Doskonały egzemplarz! Niech się Sanjay boryka ze swoim nagim trupem, ja maro sprawę rozwiązana. Udało mi się dosłownie zrolować mojego nieboszczyka w jedwabistej oponczy, sznurowe pętle pozwoliły mi związać pakunek, który przerzuciłem sobie przez ramię, i umknąłem w stronę muru omijając pomniejsze płyty kremacyjne. Sanjay z niecierpliwością czekał na mnie pod murem. Znajdowaliśmy się dość daleko od świątyni Kapalików. Bez trudu przerzuciliśmy oba trupy przez mur.

Droga powrotna była koszmarem. Wyruszyliśmy już dobrze po jedenastej. Sanjay prowadził jak szalowiec tańcząc dosłownie między pojazdami. Głośnym trąbieniem spychał wózki ciągnięte przez woły na śpiących na poboczu ludzi i nacierał na pieszych, którzy woleli umykać w góry cuchnących śmieci, niż postradać życie. Migał też światłami nie dając pierwszeństwa mającym do tego prawo ciężkim pojazdom. Dwukrotnie wjeżdżał w ludzi na chodnikach, dwukrotnie jechał pod prąd. Tej nocy goniły nas setki przekleństw i wymysłów. Z tyłu furgonetki objęły się hałaśliwie dwa trupy.

Wreszcie stało się to, co musiało. Już w śródmieściu, w pobliżu placu Majdanu, Sanjay usiłował przeskoczyć skrzyżowanie przed trzema rzędami nadjeżdżających samochodów. Stojący pośrodku skrzyżowania policjant zeskoczył ze starej traktorowej opony służącej za podwyższenie, z którego kierował ruchem, i podniesieniem ręki kazał nam się zatrzymać. Przez chwilę myślałem, że rozszalały Sanjay po prostu go przejedzie. Jednakże obiema stopami wbił się w pedał hamulca i gwałtownie mocno skręcił w prawo. Furgonetka jadąc dalej na zablokowanych kołachomalże się nie przewróciła na bok. W ostatniej chwili stanęła prawie ocierając się o policjanta. Silnik zgasł. Jeden z nieboszczyków za nami poleciał z rozpędu przed siebie i jego noga wychynęła nagle na siedzeniu między Sanjayem i mną. Nim wściekły policjant obszedł wóz od strony kierowcy, udało mi się wypchnąć nogę za siebie i przykryć całunem.

Policjant wpackował kipiącą złością twarz w otwór okienny i zbliżył ją do twarzy Sanjaya.

„Co ty, taki owaki pieprzony, wyrabiasz?“, ryknął, a policyjny hełm podskakiwał mu śmiesznie na głowie. Dziękowałem bogom, że nie trafiliśmy na policjanta Sikha. Ale byśmy wpadli! Ten wymyślał nam po bengalsku, jednocześnie waląc pałką w drzwi furgonetki. Gdyby to był

Sikh, a tych wielu zatrudniano w policji, waliłby w nasze głowy. Sikhowie to bardzo dziwni ludzie.

Nim Sanjay zdobył się na jakąś odpowiedź, policjant odrzucony falą smrodu cofnął się o krok i zasłonił dłonią twarz.

„Co wy tam, do cholery, wieziecie?”, ryknął.

Skurczyłem się ze strachu. Wszystko przepadło. Zostaniemy aresztowani. Posadzą nas do końca życia w okropnym więzieniu w Hugli, ale nawet tam czeka nas krótkie życie, gdyż za kilka dni zabiją nas Kapalikowie.

Sanjay natomiast uśmiechnął się szeroko i wychylił przez okno. „Chyba szanowny pan policjant rozpoznaje ten pojazd, sir?”. I trzepnął dłonią we wgniecioną blachę drzwi.

Policjant zmarszczył brwi, coś mruknął i cofnął się jeszcze o krok, nie odsłaniając twarzy.

„Właśnie, właśnie!”, wykrzyknął radośnie Sanjay. „To jest własność szanownego Gopalakrishny Nirendrenatha G.S. Mahapatry, Głównego Mistrza Żebraków Chitpuru i Chittaranjanu. I wieziemy sześciu najbardziej dochodowych i budzących litość trędowatych. To są bardzo dochodowi żebracy, wielce szanowny panie komisarzu”. Sanjay zapuścił lewą ręką silnik, a prawą wskazał mroczne wnętrze furgonetki. „Jestem już o godzinę spóźniony. Na jedenastą miałem dostarczyć własność pana Mahapatry do nakarmienia i na nocny odpoczynek. Oberwie mi uszy, bo trędowaci spóźnią się jutro do pracy. Może będę miał jednak szczęście, że mnie aresztujesz, panie komisarzu, bo wówczas się wytłumaczę memu chlebodawcy. Jeśli więc chcesz nas aresztować, to powiedz od razu, panie, bym mógł otworzyć furgon. Trędowaci już nie chodzą, więc będziesz musiał mi pomóc, panie, w niesieniu ich do komisariatu”. Sanjay zaczął majstrować przy drzwiczkach, jakby chciał je otworzyć.

„Nie, nie!”, wrzasnął policjant i zamierzył się na dłoń Sanjaya na framudze drzwi. „Odjeżdżaj stąd natychmiast!”. Nie czekając na spełnienie polecenia powrócił szybko na swoją oponę pośrodku skrzyżowania, gdzie zaczął wymachiwać ramionami i przeciągle gwizdać na pojazdy, które w ciągu tych paru minut zablokowały ulicę.

Sanjay czym prędzej włączył bieg, objechał zator, wykorzystując po prostu parkowy trawnik, i powrócił na Strand w kierunku południowym.

Zaparkowaliśmy furgonetkę jak można było najbliżej magazynu, w którym stała świątynia. Ulica była ciemna, ale na szczęście z tyłu wozu znaleźliśmy latarnię, którą Sanjay zapalił, by w jej świetle odplątać nieboszczyka z całunu. Według mojego zegarka, który często się spóźniał – prezent od Sanjaya – była za dziesięć dwunasta.

Przy świetle latarni zorientowałem się, że nieboszczyk Sanjaya był bardzo stary, bezzębny, prawie całkiem łysy i miał bielmo na obu oczach. Przy wyjmowaniu z furgonetki zaplątał się w sznury mojego nieboszczyka.

Sanjay szpetnie zaklął i zaczął wyplątywać trupa. Miał z tyra trudności, gdyż sznurki były gęste tworząc prawie sieć. Musiał je przegryzać w paru miejscach.

„Zedrzyj szybko cały całun, wszystko! Oni chcą nagiego trupa!”.

Zacząłem protestować, ale Sanjay, bliski wybuchu, polecił robić tak, jak każe. Ze spoconej, poczerwieniałej twarzy oczy wychodziły mu niemal na wierzch. Latarnia prychała i syczała. „Cholera jasna, powinienem był zrobić to, co od początku zamierzałem. Wykorzystać ciebie, a nie uganiać się za gotowymi trupami. Nie miałbym takich kłopotów. Cholera, głupiec ze mnie!”. Wziął swojego nieboszczyka pod pachy i zaczął go wyciągać spośród sznurów.

Stałem skamieniały, krew spłynęła mi z twarzy. Nawet kiedy się przemogłem i zacząłem rozplątywać ostatnie supły, nie zdawałem sobie

sprawy, co robią moje ręce. Przypomniałem sobie słowa Sanjaya wypowiedziane podczas naszego pierwszego spotkania: Wiesz, co ci powiem, mój Jayaprakeshu? Jesteś ofiarą niesprawiedliwości społecznej. Twój los przejął mnie głęboko. Obniżam komorne z dwustu na pięć rupii miesięcznie. A jeśli na pierwsze kilka miesięcy potrzebujesz pieniędzy, to chętnie służę ci pożyczką.

Po policzkach spływały mi łzy i skąpy wały na leżący na ziemi całun. Z daleka słyszałem nawoływania Sanjaya, ale moje dłonie nie chciały się pośpieszyć i spokojnie odwiązywałem ostatnie supły. Jeszcze pamiętałem łzy szczęścia po otrzymaniu propozycji Sanjaya, żeby z nim zamieszkać, moje zaskoczenie i wdzięczność, gdy mi zaproponował wstąpienie do rodziny Kapalików.

Powinienem być zrobić to, co od początku zamierzałem!

Otarłem oczy, zerwałem resztki całunu z nieboszczyka i odrzuciłem je w głąb furgonetki.

Z gardła wyrwał mi się przeraźliwy ni to jęk, ni wycie. Odskokczyłem na ślepo i trzepnąłem o obudowę furgonetki, odbiłem się i niemal wpadłem w to, co odsłoniłem. Karbidowa latarnia spadła z haka i potoczyła się po metalowej podłodze. Ponownie wrzasnąłem.

Usłyszałem głos Sanjaya, który pędem powrócił, i jego okrzyk obrzydzenia, gdy zobaczył, co leży u moich stóp.

To coś, co dźwigałem z miejsca kremacji niby oblubienicę, może kiedyś było istotą ludzką, ale teraz bynajmniej jej nie przypominało. Coś opuchniętego, wstrętnego, wielkiego – raczej zdechła ryba morska niż kształt ludzki. Po twarzy jedynie ślad – biała podziurawiona masa z otworami tam, gdzie mogły być niegdyś oczy, nos i usta. To coś było diabelską sztuczką – ulepioną z gnijącego mięsa i porostów, masą o człekopodobnych kształtach. Ohyda!

Biała ohyda, z białą brzucha zdechłego karpia wyrzuconego na powierzchnię wody w rzece Hugli. Skóra przypominała sparciałą gumę i łuszczyła się płatami. Ciało puchło w oczach rozsadzane tworzącymi się we wnętrzu gazami.

Wydawało się, że za chwilę wszystko się rozpęknie. Tu i tam wystawały końce połamanych żeber podobne do patyków wetkniętych w drożdżowe ciasto.

„Topielec!”, powiedział Sanjay wzdrygając się.

Jakby na potwierdzenie jego słów z otworu w białej masie wyśliznął się zielonkawy stwór podobny do dużej kijanki i dokoła rozszedł się wyraźny zapach rzeczno-mułowy. Byłem pewny, że w tej oślizłej masie, która niegdyś była istotą ludzką, żerują liczne podobne paskudztwa.

Przecisnąłem się do tylnych drzwi furgonetki i byłbym uciekł w ciemną noc, gdyby Sanjay nie zastąpił mi drogi i nie wepchnął z powrotem do wnętrza w sąsiedztwo topielca.

„Bierz to!”, rozkazał.

Patrzyłem na niego nieprzytomnie. Przewrócona latarnia rzucała jeszcze migotliwe światło. Stałem dygocząc.

„Bierz to, Jayaprakeshu. Zostały nam zaledwie dwie minuty do rozpoczęcia obrzędów. Bierz to, do cholery!”, ryczał.

Byłem gotów skoczyć Sanjayowi do gardła. Byłem gotów go udusić. I wtedy zobaczyłem rewolwer. Pojawił się w jego ręku nagle, niespodziewanie, tak jak kwiat lotosu pojawia się znikąd w dłoni wędrownego magika. Mały rewolwer. Tak mały, że wyglądał na zabawkę. Ale to nie była zabawka, co do tego nie miałem wątpliwości. A czarny otwór lufy był wymierzony między moje oczy.

„Bierz to, mówię po raz ostatni!”. Nic na świecie nie skłoniłoby mnie do podniesienia tej okropnej rzeczy, gdyby nie absolutna pewność, że jeśli tego

nie zrobię, to za trzy sekundy będę trupem. Takim samym trupem jak ta... rzecz. Legnę obok niej. Ta ostatnia myśl przeważała szalę.

Ukląknę, postawiłem latarnię, wsunąłem obie ręce pod obrzydliwą masę. Ogarnęło mnie przedziwne uczucie, że ten bezkształt chętnie oddaje się w moje objęcia. Jedna z kończyn, która była niegdyś ręką, otarła się o mnie miłośnie. Moje palce zagłębiły się w tę białą masę. Czułem, że za chwilę przebija gumowatą skórę. Coś we wnętrzu topielca zabulgotało, gdy wycofywałem się z furgonetki. Wyprostowałem się z ciężarem w ramionach niepewny, czy to, co dźwigam, nie rozplynie się jak rzadkie ciasto i nie przecieknie mi przez palce.

Uniosłem głowę ku rozgwieżdżonemu niebu i potykając się ruszyłem ku magazynowi kryjącemu w sobie świątynię. Za mną szedł Sanjay ze swoim cuchnącym ciężarem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

*Sa etan panca pasun apasyat –
puru–sam, aswam, gam, awim, ajam...
Puru–sam prathamam alabhate,
puruso hi prathamam pašunamm...*

Wyśpiewywaliśmy święte słowa z księgi Satapatha Brahmana.

„I kolejność składania ofiar będzie następująca... najpierw człowiek, potem koń, byk, tryk, koza... Człowiek jest najprzedniejszym zwierzęciem i najmiłszym bogom...”. Klęczeliśmy w mroku przed świętym posągiem Kali. Wszystkim nam kazano wdziąć zwykłe *dhoti*. Byliśmy boso. Na czołach wymalowano nam znaki. Było nas siedmiu klęczących w półkolu tuż przed Kali. Po drugiej stronie widzieliśmy półkole zapalonych świec, a za nimi Kapalików. Przed nami, tuż pod boginią, leżały przyniesione przez nas ciała. Nasze ofiary składane Strasznej Pani! Duchowny Kapalik na brzuchu każdej z ofiar położył małą, białą czaszkę. Ludzkie czaszki, zbyt małe, by mogły być czaszkami dorosłych ludzi. Puste oczodoły wpatrywały się w nas z tą samą intensywnością, z jaką spoglądały głodne ofiar oczy bogini.

*Bólem jest świat,
O, groźna małżonko Siwy,
Która karmisz się naszym ciałem.*

Głowa ósmego nowicjanta nadal zwisała z dłoni Kali, ale jego twarz była teraz kredowo biała, a usta wykrzywione grymasem śmierci. Jego ciało zniknęło spod posągu bogini i jej podniesiona stopa zawisała w powietrzu.

*Budząca grozę bogini,
Która jęzorem chłepcze krew,
Matko Mroku, Matko Naga...*

Klęcząc nie odczuwałem nic. W myślach obracałem słowa Sanjaya. Powinienem był zrobić to, co od początku zamierzałem! Jestem wioskowym głupcem. A co gorsze – wioskowym głupcem, który już nigdy nie może wrócić do swojej wioski. Bez względu na to, jak dalej potoczą się sprawy tej nocy i następnych, proste prawdy i nieskomplikowane j życie Angudy pozostawiłem na zawsze za sobą.

Kochanko Siwy, Bólem jest świat.

W świątyni zapadła grobowa cisza. Zamknęliśmy oczy i oddając się najgłębszej kontemplacji, jaka jest możliwa jedynie w obecności świętej postaci. *Dzagrata dhjana!* W ciszę wdarły się teraz obce dźwięki. Szmer rzeki wymrukującej swe posłanie, szelest czegoś, co przebiegło koło moich nóg. Nie czułem nic. Przestałem myśleć. Kiedy wreszcie otworzyłem oczy, spostrzegłem, że czerwony jęzor bogini wysunął się jeszcze bardziej. Nic mnie już nie dziwiło.

Kapalikowie zbliżyli się do nas. Każdy z nowicjantów miał teraz przed sobą swojego duchownego. Dzielili nas jedynie bariera złożonych przez nas w ofierze ciał. Mój duchowny bramin wyglądał pocziwie. Pomyślałem sobie, że w życiu prywatnym może być bankierem. Kimś, kto dla interesu uśmiecha się do innych ludzi.

*O, Kali, bogini grozy,
O, Czinamasto, która pozbawiłaś się głowy,*

O, Czandi, najgroźniejsza z wcieleń,
O, Kamaski, pożeraczko dusz,
Wysłuchaj naszej modlitwy, strach budząca małżonko Siwy!

Mój kapłan ujął moją prawą rękę i obrócił dłonią do góry, jakby zamierzał wróżyć. Drugą ręką sięgnął w fałdy swojego *dhoti*, a kiedy ją wyjął, zabłysła stal.

Główny kapłan oparł czoło o podniesioną stopę Kali. Przemówił łagodnym głosem: „Bogini przyjmie teraz ofiarę waszego ciała i waszej krwi”.

Na te słowa wszyscy kapłani jednocześnie wykonali ruch, jakby kosili młode pędy bambusa. Na nożu każdego z nich pozostał plasterek z dłoni nowicjanta. Wszyscy głośno westchnęliśmy, tylko jeden no wiej ant, ten tłuścioch, krzyknął z bólu.

„O Wielka Bogini, która tak łakniesz cielesnych ofiar, przyjmij dar krwi i ciała tego śmiertelnika!”.

Znałem dobrze tę inwokację. Wysłuchiwałem jej zawsze w październiku podczas skromnych obchodów na cześć Kali w naszej wiosce. Każde bengalskie dziecko zna tę litanie. Zawsze jednak było to składanie symbolicznego daru. Nigdy jeszcze nie widziałem bramina, który by trzymał na nożu różowy płatek mojego ciała i wkładał ów dar w usta leżącego przed nim trupa.

Kłęczący naprzeciwko mnie łagodny, miły bramin obrócił moją dłoń zranioną stroną do dołu. Kryjący się w głębokim mroku pozostali Kapalikowie zaczęli niemalże jednym głosem recytować najświętszą z najświętszych *gajatri mantri*, a ciemne krople krwi z mojej dłoni skapywały powoli na zbielełe szczątki mojego topielca.

Po zakończeniu mantry mój kapłan–bankier jak sztukmistrz wyciągnął kawałek białego płótna zza swojego *dhoti* i opatrzył mi dłoń. Modliłem się

do bogini Kali, aby wszystko szybko się skończyło. Czuję w sobie pustkę i zbierało mi się na mdłości. Zaczęłam cały dygotać i obleciał mnie strach, że zemdleję. Nowicjant–tłuscioch, o trzy miejsca dalej, zemdlał i runął jak kłoc na pomarszczoną zimną pierś bezzębnej staruchy, którą tu przydźwigał w ofierze. Jego kapłan bez słowa wycofał się w mrok.

„Bogini moja, zakończ to wszystko”, modliłam się.

Ale koniec nie nastąpił. Jeszcze nie!

Główny kapłan oderwał czoło od stopy bogini i spojrzał w naszą stronę. Potem wstał i ruszył powoli wzdłuż półkola klęczących nowicjantów, jakby przeprowadzał inspekcję przyniesionych przez nas darów. Na nieco dłużej zatrzymał się przede mną. Nie miałem siły, by podnieść głowę i spojrzeć mu w oczy. Byłem przekonany, że kapłan zdyskwalifikuje topielca, uzna jako dar niegodny. Zapach mułu rzecznego i smród gnijącego ciała rozchodził się niby oddech zza grobu. Jednakże po chwili kapłan poszedł dalej nie wypowiadając ani słowa. Widziałem, jak uważnie przygląda się ofierze Sanjaya.

Spoglądając ukradkiem zdążyłam jeszcze zauważyć, jak kapłan spycha nogą omdlałego tłusciocha z jego śmiertelnej poduszki, a inny Kapalik pośpiesznie kładzie z powrotem dziecięcą czaszkę na piersi trupa. Otyły no wiej ant leżał teraz nieprzytomny obok zimnej towarzyszki – byli jak para nieprawdopodobnych kochanków, których odłączono od siebie. Nikt z nas nie wątpił, czyją głowę uniesie jako następną groźną bogini.

Ledwo udało mi się opanować rozdygotanie, kiedy główny kapłan ponownie stanął przede mną. Trzepnął palcami i w mgnieniu oka podeszło do niego trzech Kapalików. Mój wzrok padł na Sanjaya i dostrzegłem w jego twarzy i zachowaniu nie ukrywane pragnienie pozbycia się mnie ze swej świadomości i odsunięcia ode mnie jak najdalej. Spłynęła na mnie fala zimna, opanowała wszystkie kończyny, wygasła nawet strach, pozbawiła

zdolności myślenia. Pustka! Miałem nawet ochotę wybuchnąć śmiechem, kiedy trzech Kapalikowie pochylili się przede mną. Nie roześmiałem się jednak, wybrałem milczenie.

Kapalikowie niemalże z czułością i umiłowaniem podnieśli opuchnięte resztki, które już dawno przestały być zwykłym trupem, i zanieśli na marmurową płytę przed posąg bogini. Następnie skinęli na mnie.

Wydarzenia następnych kilku minut są tylko zbitką różnych wrażeń utrwalonych w mojej pamięci. Pamiętam, że wraz z Kapalikami ukląknęliśmy przed niekształną, zbielałą masą. Wydaje mi się, że zaczęliśmy recytować litanie Parusha Sukta z dziesiątej mandali Rig Vedy. Z mroku wyłonili się następni Kapalikowie z wiadrami wody, którą chlustali na gnijące resztki człowieka złożone przeze mnie w ofierze. Przypominam sobie, że bardzo rozbawiła mnie wówczas myśl, że oni kąpią coś, co spędziło tyle czasu w świętej rzece. Nie roześmiałem się jednak.

Główny kapłan wyjął źdźbło trawy pokryte zaschłą krwią – to samo, które poprzedniego dnia zdecydowało o śmierci młodego nowicjanta. Kapłan umoczył źdźbło w mazistej sadzy, podanej mu w pięknym kielichu, i nad oczodołami trupa wymalował dwa półkola. Przypomniałem sobie, że na świętych malowidłach tak właśnie oznacza się powieki. Znowu ogarnęła mnie wesołość. W mojej wiosce w ten sposób obdarzano zdolnością widzenia gliniane wyobrażenia bóstwa.

Podeszli jeszcze inni Kapalikowie i na czole opuchniętego trupa położyli trawy i kwiaty. Groźna Kali spoglądała na nas z wysoka, gdy sto osiem razy recytowaliśmy podstawowe *mula mantri*. Potem główny kapłan dotknął wskazującym palcem każdej z gnijących kończyn i położył kciuk w miejscu, gdzie kiedyś było serce. Wtedy wszyscy wyrecytowaliśmy odmianę wedycznej mantry kończącej się słowami: „Niech Wisznu obdarzy

cię genitaliami, Twasta nada kształt, Prajapati dostarczy spermę, a Kali przyjmie twoje nasienie”.

Następnie chór głosów wypełnił mroczną przestrzeń po raz wtóry odśpiewując najświętszą wedę, mantrę *gajatri*. W trakcie wykonywania tej pieśni, w świątyni zawył głośno wiatr. W pierwszej chwili pomyślałem, że to wzbiera rzeka chcąc nas wszystkich potopić.

Czułem zimno tego wiatru, który przelatując nad nami, szarpał nasze włosy i odzienie oraz zdmuchnął większość świec. Przypominam sobie jednak, że nie zapadły absolutne ciemności. Niektóre świece paliły się nadal, ich płomyki skakały tylko jakby przestraszone. Jeśli nie zapadły ciemności i moja pamięć mnie nie zawodzi, to naprawdę trudno mi wytłumaczyć to, co nastąpiło zaraz potem.

Nie poruszając się klęczałem nie dalej niż półtora metra od bogini Kali i złożonej jej ofiary. Nie wyczuwałem żadnego ruchu. Mogłem się go najwyżej domyślać za sobą, gdzie kilku Kapalików zapalało zapalki, aby z kolei zapalić nimi zgaszone przez wiatr świece. Trwało to zaledwie parę sekund. Wiatr już przeminął, posąg Kali z powrotem jaśniał odbitym blaskiem świec.

Złożone w ofierze gnijące ciało topielca uległo transformacji. Stopa Kali opierała się teraz na nieboszczyku, który bez wątpienia był mężczyzną. Ciało pozostało nagie, zbielałe jak poprzednio, kwiaty nadal spoczywały na czole, sadze oznaczały miejsce oczu, ale tam, gdzie poprzednio łączyły się tylko gnijące kończyny leżał fallus.

Wzrok mój przyciągnęła przede wszystkim twarz. Nadal brakowało warg, nosa i powiek, ale pojawiły się wyraźniejsze ślady ludzkich rysów. I oczy! Nie było też widać wystających poprzednio kawałków kości. Nastąpiło uczłowieczenie „rzeczy”!

Zamknąłem oczy i zaniósłem dziękczynną modlitwę – nie pamiętam już, do którego z bóstw. Uwagę moją zwrócił stłumiony dźwięk, jaki wydał Sanjay. Leżące przede mną zbiegłe ciało topielca oddychało! Piers podniosła się, potem usłyszałem wydech, uniosła się po raz drugi... Trup zaczął oddychać równomiernie, powietrze ze świstem wlatywało i wylatywało przez otwór, który niegdyś był ustami. Poruszył się, bez specjalnego wysiłku usiadł i ucałował stopę Kali. To nie wszystko: spuścił nogi z kamiennego postumentu i chwiejnie wstał. Obrócił twarz ku mnie, zbliżył się o krok. Patrzyłem na wilgotne miejsce, gdzie niegdyś znajdował się nos...

Stałem jak sparaliżowany. Człekokształtna, cuchnąca, biała masa zrobiła jeszcze dwa kroki. Już nas prawie nic od siebie nie dzieliło. Przesłoniła mi posąg bogini, zawisała niemal nade mną, oddychając ciężko, jakby miała płuca nadal wypełnione wodą. I rzeczywiście – w pewnym momencie woda chlusnęła z otwartych ust. Dopiero gdy dzieliło nas może ćwierć metra, zdołałem opuścić wzrok. Byłem skąpany w oparach smrodu, trupiej zgnilizny i wszystkich zapachów mulistej rzeki. Zmartwychwstała postać wyciągnęła kończynę i musnęła nią moje czoło. Dotknięcie było chłodne, miękkie i mokre. Nawet kiedy kończyna się cofnęła i opadła, czułem nad oczami ten dotyk, niby po wsze czasy wypalone znamię – zimny płomień przepalił mi skórę, wdzierał się do mózgu.

Kapalikowie zaczęli wyśpiewywać ostatnią litanię. Moje usta bezwiednie włączyły się do tej modlitwy.

*Kali, Kali, balo bai
Kali bai are gate nai.
Imię Kali głoście bracia,
Ona jedna was przygarnie...*

Skończyły się pienia. Dwaj kapłani pomogli Pierwszemu Braminowi odprowadzić zmartwychwstały, cuchnący człekopodobny kształt w głąb świątyni. Pozostali Kapalikowie gdzieś się rozeszli. Rozejrzałem się po półkolu nowicjantów i stwierdziłem, że tłuściocha nigdzie nie ma. Zostało nas tylko sześciu spoglądających niepewnie na siebie. Minęła minuta, nim wrócił główny kapłan, ale teraz był zupełnie inny. Nie szedł sztywno, ale jakby beztrąsko, zachowywał się swobodnie, jak aktor po dobrze odegranej roli, który po zmyciu jednej charakterystyki wchodzi w tłum wielbicieli ubierając twarz w wyraz „prywatności”.

Uśmiechnął się szeroko, każdemu z nas podał rękę wypowiadając sześciokrotnie tę samą formułkę: „*Namaste!* Jesteś teraz Kapalikiem. Oczekuj kolejnego wezwania ukochanej bogini”. Kiedy potrząsał moją dłońią wypowiadając te słowa, tyk jego palców wydał mi się mniej rzeczywisty niż tamto muśnięcie przez zmartwychwstałego topielca. Jeszcze czułem w tym miejscu pieczenie.

Czarno odziany mężczyzna wyprowadził nas do świątynnego przedsionka, gdzie w milczeniu przebraliśmy się w swoje odzienie. Czterej nowicjanci rozeszli się pokrzykując wesoło jak gromadka dzieci po wizycie u dentysty. Zostaliśmy sami. Sanjay i ja. „Jesteśmy Kapalikami”, wyszeptał mi Sanjay do ucha i z radosnym uśmiechem wyciągnął do mnie rękę. Spojrzałem na niego, spojrzałem na jego dłoń i splunąłem na ziemię. Potem obróciłem się na pięcie i bez słowa wyszedłem ze świątyni.

Od tego czasu już go nie widziałem. Przez wiele miesięcy wędrowałem z kąta w kąt po całym mieście, nie ufając nikomu. Przez cały ten czas oczekiwałem w wielkim strachu „kolejnego wezwania ukochanej bogini”. Nie nadchodziło. Z początku odczuwałem z tego powodu ulgę, ale potem jeszcze większy strach. Teraz już mnie nic nie obchodzi. Ostatnio jawnie

powróciłem na uniwersytet, na znajome ulice i do dawno uczęszczanych miejsc. Na przykład do tej kawiarni.

Dawni znajomi wyczuwają, że się zmieniłem. Unikają mnie. Obcy na ulicy przyglądają mi się, a potem obchodzą z daleka. Może jestem teraz jednym z Niedotykalnych. Może mimo ucieczki jestem Kapalikiem. Sam nie wiem. Nigdy nie wróciłem do świątyni Kaligat. A może posiadam jakieś wyczuwalne znamię nie jako Kapalik, ale ofiara Kapalików. Czekam na wyjaśnienie... od losu.

Chciałbym na zawsze opuścić Kalkutę, wyjechać jak najdalej, ale nie mam pieniędzy. Jestem biedakiem kasty Sudra ze wsi Anguda. I jestem kimś, kto już nigdy nie będzie chyba mógł być tym, kim był.

Jedynie pan Krishna pozostał moim przyjacielem. On mi kazał opowiedzieć panu moją historię. Właśnie ją skończyłem.



Ostatnie zdania tłumaczenia Krishna wypowiedział okropnie już ochrypłym głosem. Jakby rozbudzony z sennego koszmaru zamrugałem i rozejrzałem się dokoła. Zza lady wyglądały nogi śpiącego na ziemi właściciela lokalu. Sala była pusta i cicha. Nie dochodziły żadne odgłosy z zewnątrz. Mój zegarek wskazywał drugą dwadzieścia nad ranem.

Zerwałem się na równe nogi i niechcący wywróciłem krzesło. Bolały mnie plecy, byłem przygnębiony i okropnie zmęczony. Skutki różnicy czasu jeszcze dawały o sobie znać.

Muktanandaji także wyglądał na wyczerpanego. Zdjął okulary, przecierał oczy i masował grzbiet nosa. Krishna sięgnął po resztki kawy

Muktanandajiego, połknął ją jednym haustem i zaczął chrząkać, by przeczyścić sobie gardło.

– Czy ma pan... hrrr... jakieś pytania, panie Luczak?

Wpatrywałem się tępo w obie twarze. Bałem się otworzyć usta, żeby nie wybuchnąć. Krishna hałaśliwie wytarł nos pomagając sobie palcami, splunął flegmą na posadzkę i ponowił pytanie.

– Czy coś wymaga wyjaśnienia, panie Luczak?

Jeszcze przez parę sekund wpatrywałem się w niego zimno, nim odparłem: – Chcę wiedzieć tylko jedno! Tylko jedno!

Krishna podniósł wyczekująco brwi.

– Co, do cholery... co, do jasnej cholery, ta cała opowieść ma wspólnego z poetą Dasem? – Tak mocno trzepnąłem pięścią w stół, że aż podskoczyły kubki. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z mojego zachowania.

Z kolei Krishna spojrział na mnie ze zdumieniem. Przypomniałem sobie w tym momencie spojrzenie, jakim obdarzyła mnie pani w przedszkolu, kiedy któregoś popołudnia podczas drzemki zrobiłem w majtki. Krishna powoli nałożył okulary i odpowiedział akcentując wyraźnie sylaby.

– Chyba jest dla pana jasne, że mówiliśmy właśnie o panu Dasie...

– Kto? Który? – odparłem zaskoczony. – Co to znowu za bzdury? Chce pan powiedzieć, że główny kapłan to właśnie on? Mówi pan to poważnie?

– Ach nie! – odparł Krishna. – Żaden kapłan.

– Więc kto...?

– Ofiara – powiedział Krishna powoli, jakby mówił do tępego dziecka. – Dar! Pan Das to właśnie zwłoki, jakie Muktanandaji złożył w ofierze bogini Kali.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*Kalkuto, na bazarach sprzedajesz sznury,
na których można wieszać ludzi.*

Tushar Roy

Przez resztę godzin tej nocy śniły mi się korytarze i jaskinie, a pod sam koniec akcja przeniosła się do hurtowni mebli w południowym Chicago, gdzie pracowałem przez wakacje po pierwszym roku uniwersyteckich studiów. Magazyn był zamknięty, ale mimo to chodziłem po różnych „pokojach” urządzonych z wystawionych między przepierzeniami kompletów mebli. Było ich bez liku. Pachniało obiciami ze sztucznego włókna i tanimi politurami. Nagle zacząłem biec potykając się o gęsto stojące meble, bo przypomniałem sobie, że na którejś z tych wystaw znajdują się Amrita i Wiktoria, i że jeśli szybko ich nie odnajdę, to dozorczy zamkną nas w magazynie na noc. Nie chciałem zostawić ich samych w ciemnościach, przestraszonych, więc biegałem jak szalony, wykrzykiwałem ich imiona, potykałem się, szukałem w każdym zestawie mebli.

Zadzwonił telefon. Po omacku sięgnąłem po podróżny budzik na stoliku obok łóżka, ale dzwonek nie ustawał. Była godzina ósma pięć. Nim dotarło do mnie, że to dzwoni telefon, z łazienki wyszła Amrita i podniosła słuchawkę. W czasie jej rozmowy znowu przysnąłem. Obudził mnie ze snu głośny szum wody w prysznicu.

– Kto to był? – wykrzyknąłem w stronę łazienki.

– Pan Chatterjee – odparła równie głośno, aby przebić się przez szum wody. – Teksty Dasa będziesz mógł dostać dopiero jutro. Pan Chatterjee bardzo przepraszał za opóźnienie. Poza tym wszystko jest przygotowane.

– A niech to...! Jeszcze jeden dzień. – Byłem bardzo niezadowolony.

- Jesteśmy zaproszeni na herbatę o czwartej.
- Przez kogo? Gdzie?
- Przez pana Michaela Leonarda Chatterjee. Przyśle samochód. A teraz, czy zejdiesz na śniadanie z własną córką i żoną?

Coś mruknąłem, przykryłem twarz poduszką i zasnąłem.

Wydawało mi się, że upłynęło najwyżej pięć minut, kiedy się obudziłem. Amrita właśnie wchodziła do pokoju niosąc Wiktorię, a za nimi szedł kelner w białym kitlu i niósł tacę. Budzik wskazywał dziesiątą dwadzieścia osiem.

– Dziękuję! – powiedziała Amrita i posadziwszy Wiktorię na dywanie dała kelnerowi kilka rupii napiwku. Wiktorie klaskała odprowadzając wzrokiem wychodzącego z pokoju kelnera. Amrita wzięła tacę, zgrabnie podparła ją dłonią, drugą dłoń ułożyła pod brodą i uśmiechając się dygnęła z gracją przede mną.

– *Namaste* i dobre rano, sahibie! Dyrekcja życzy panu wspaniałego, radosnego dnia, chociaż niestety spora jego część już panu umknęła. Tak, tak, tak!

Usiadłem w łóżku, Amrita z powagą strzepnęła serwetką wyimaginowany pył z pościeli i postawiła tackę na bocznych nóżkach obejmujących moje wyciągnięte kończyny. Dygnęła raz jeszcze i wyciągnęła otwartą dłoń po napiwek. Dałem jej listek pietruszki.

- Resztę proszę zatrzymać – powiedziałem.
- Dzięki, wielkie dzięki, hojny sahibie – wyśpiewała cofając się pokornie w niskich ukłonach. Wiktorie włożyła trzy palce do buzi i przyglądała się dość krytycznie.

– Myślałem, że idziesz rano upolować swoje sari?

Amrita odsunęła z okien ciężkie zasłony. Oślepiiony nagłym blaskiem zamknąłem oczy.

– Chryste panie! – wykrzyknąłem. – Czyżby to było słońce? Słońce w Kalkucie?

– Już byliśmy z Kamakhyą, gdzie trzeba. Wspaniały sklep. Ceny umiarkowane.

– Kupiłaś coś?

– Oczywiście. Dostarczą to później. Ona i ja kupiliśmy niezliczoną ilość metrów. Chyba wydałam całą twoją zaliczkę.

– Psiakrew! – Spojrzałem na tacę i skrzywiłem się.

– Co się stało? Kawa niedobra, zimna?

– Nie, nie. Doskonała. Po prostu uświadomiłem sobie, że straciłem okazję ponownego spotkania Kamakhyi. Dlatego powiedziałem „psiakrew”.

– Jakoś to przeżyjesz – odparła Amrita i posadziła Wiktorię obok mnie na łóżku, żeby ją przebrać.

Kawa była rzeczywiście doskonała. W metalowym garnuszku czekała druga porcja. Zdjąłem aluminiowy klosz z talerza, na którym ujrzałem dwa smażone jajka, tosty i cudo cudów na azjatyckim kontynencie: trzy plastry najprawdziwszego boczku.

– Ależ wspaniałości! Dziękuję ci, kochanie! – Cmoknąłem z zadowolenia.

– Drobiazg, mój drogi panie – odparła Amrita. Kuchnia była już właściwie nieczynna, ale im powiedziałam, że to jest śniadanie dla sławnego poety z pokoju 612. Ten poeta spędza noce na wojennych wspomnieniach przesiadując gdzieś z chłopakami, a nad ranem wraca ukontentowany i tak hałasuje, że budzi żonę i córkę.

– Bardzo mi przykro, że cię obudziłem.

– Co to była za nocna konferencja? Coś mruzczałeś przez sen i musiałam cię parę razy porządnie szturchnąć.

Założyła Wiktorii świeżą pieluszkę, a potem usiadła koło mnie na łożku.

– No, opowiedz mi, Bobby, jakie to rewelacje miał Tajemniczy Nieznajomy? Jakiś poważny człowiek?

Podąłem jej kawałek grzanki. Najpierw pokręciła przecząco głową, ale zaraz potem wzięła ją ode mnie i zaczęła pogryzać.

Wypiłem łyk kawy. Postanowiłem mówić mniej obrazowo niż Krishna i opuszczać rażące szczegóły. Zdecydowałem się na lekki, nieco sarkastyczny ton. Od czasu do czasu przerywałem opowieść, by wnieść własne uwagi i krótkie komentarze. Trzygodzinny monolog Muktanandajiego streściłem w dziesięć minut.

– O Boże! – odezwała się Amrita, gdy skończyłem. Była wyraźnie zaniepokojona i jakby zmieszana.

– Nie był to w każdym razie wymarzony wieczór mego pierwszego dnia w Kalkucie – stwierdziłem.

– Nie bałeś się? – spytała.

– Nie. Dlaczego miałbym się bać, dzieciно? Owszem, bałem się, że mogę wrócić do hotelu bez portfela.

– No wiesz... ja już nie mówię o innych rzeczach, ale spędziłeś pół nocy w towarzystwie... szaleńca. Żałuję... bardzo żałuję, że nie było mnie, żeby ci tłumaczyć.

– Wiesz, ja też o tym myślałem i żałowałem. Ten Muktanandaji mógł równie dobrze powtarzać w kółko przetłumaczone na bengalski wystąpienie Abrahama Lincolna... a Krishna wymyślił całą tę nieprawdopodobną historię.

– Więc nie wierzysz, że chłopak opowiedział ci prawdziwą historię?

– Co ty rozumiesz przez „prawdziwą historię”? – Zmarszczyłem brwi. – Że topielcy zmartwychwstają? Że zmarli poeci po kilkuletnim pobycie w mule rzeki zaczynają na nowo tworzyć? Das zniknął przed ośmiu laty. Dziś

byłby z niego, pozwolisz, że użyję delikatnego słowa, spróchniały zombi, prawda?

– Zupełnie nie o to mi chodziło. – Amrita uśmiechnęła się blado, jakimś dziwnie zmęczonym uśmiechem. Nie powinienem był jej zabierać w tę podróż! Popełniłem niewybaczalne głupstwo, a wszystko dlatego, że stale drżałem, że się tu z nikim nie porozumiem. – Nie o to mi chodziło – powtórzyła Amrita. – Ten chłopak mógł być przekonany, że mówi prawdę. On mógł rzeczywiście chcieć wstąpić do tej sekty Kapalików, czy jak tam się ona nazywa. Mógł być świadkiem czegoś, czego nie potrafił po prostu pojąć, właściwie zinterpretować.

– Zupełnie możliwe – zgodziłem się. – Sam nie wiem. Chłopak był w strasznym stanie. Przekrwione oczy, niezdrowa cera, jakieś przedziwne, konwulsyjne ruchy. Może to narkoman, nie wiem. Mam natomiast wrażenie, że Krishna ubarwiał, a nawet zmieniał wiele fragmentów. Przypominało mi to skecz, który widziałem kiedyś w kabarecie. Chińczyk z tłumaczem. Chińczyk coś krótko mruknął, a tłumaczowi nie zamykały się potem usta przez dziesięć minut. Możliwe, że chłopak chciał wstąpić do jakiegoś tajnego stowarzyszenia... Wyprawiano z kandydatami różne hece, aby ich postraszyć i wywrzeć odpowiednie wrażenie. Ale myślę, że to raczej Krishna sam powymyślał te historie...

Amrita zabrała z łóżka tackę i postawiła na niskim kredensie. Stała nad nią i w zamyśleniu przestawiała talerzyki. Obrócona tyłem spytała: – Dlaczego tak sądzisz? Żądali od ciebie jakichś pieniędzy?

Odrzuciłem prześcieradło, wstałem i podszedłem do okna. Środkiem jezdni jechał tramwaj, z którego w biegu wysiadali ludzie. Wsiadali w ten sam sposób. Na niebie było sporo białych chmur, ale słońce jakoś się przeciskało i było dostatecznie jasno, by cienie mogły kłaść się na połamane płyty chodnika.

– Nie. Nie żądali pieniędzy wprost. Jednakże Krishna do opowieści dodał własne zakończenie. Bardzo sugestywne. Długo mi wyjaśniał, że jego przyjaciel nie ma pieniędzy, a musi znaleźć jakiś sposób, żeby uciec z Kalkuty. Do Delhi albo gdzieś dużo dalej. Na przykład do Południowej Afryki. I dał mi do zrozumienia, że kilkaset dolarów bardzo by się w tym wypadku przydało.

– Ale bezpośrednio o nic cię nie prosił? – zapytała Amrita akcentując słowa nieco inaczej niż zwykle.

– No nie. Bezpośrednio nie.

– Ile mu dałeś? – W jej głosie kryła się wyłącznie ciekawość. Nie wyrzut. – Ile im dałeś?

Podreptałem bosą do walizki, by z niej wyjąć czystą bieliznę i skarpetki. Raz jeszcze zdałem sobie sprawę, że istnieje na świecie jeden argument nie do zbitcia przeciwko instytucji małżeństwa. Przebywanie przez długie lata z jedną osobą nieodwołalnie i ostatecznie niszczy złudzenia, że człowiek posiada wolną wolę. Jakże można mówić o wolnej woli, skoro ta druga, lepsza, połowa zawsze potrafi z góry lub po fakcie przewidzieć zachowanie małżonka w każdej sytuacji.

– Dwadzieścia dolarów – odpowiedziałem. – Był to czek o najmniejszym nominale, jaki miałem. Prawie wszystkie rupie zostawiłem tobie na przechowanie.

– Dwadzieścia dolarów... – powtórzyła w zamyśleniu Amrita. – Według obecnego kursu jest to jakieś sto osiemdziesiąt rupii. Wystawiłeś czek na Muktanandajiego?

– Zostawiłem in blanco.

– Trudno mu będzie dojechać do Afryki Południowej za sto osiemdziesiąt rupii – zauważyła ironicznie.

– To mnie nie obchodzi. Mogą sobie za te pieniądze kupić cukierki albo założyć rachunek bankowy i zacząć przyjmować donacje na Fundusz Ocalenia Muktanandajiego Przed Zemstą Kapalików, wolny od podatku. Mów, o co ci chodzi?

Amrita milczała dyplomatycznie.

– Spójrz na to z tej strony... – tłumaczyłem. – Dziś za dwadzieścia dolarów nie znajdziemy nikogo do pilnowania dziecka przez parę godzin, by ze spokojnym sumieniem pójść do kina kupując po drodze dwa hamburgery. Otóż opowieść obu tych gagatków była bardziej interesująca niż niejeden film, na który specjalnie jeździliśmy do Bostonu biorąc do dziecka niańkę. Pamiętasz może, jak się nazywał ten głupi film, za którego obejrzenie z Danem i Barbarą zapłaciliśmy po pięć dolarów? Tuż przed naszym wyjazdem?

– *Gwiezdne wojny* – odparła bez wahania Amrita. – Czy sądzisz, że będziesz mógł wykorzystać ten materiał do artykułu w Harper's?

– Samo spotkanie, opis kawiarni uniwersyteckiej z pewnością tak. Będę też usiłował wpleść wątek surrealistycznych i niemalże absurdalnych postaci, jakie napotkałem w czasie zgłębiania tajemnicy, jak okryte są postaci i losy Dasa. Niestety nie będę mógł wykorzystać bredzenia panów Muktanandaji i Krishny. W każdym razie niewiele z tego, co mówili. Owszem, mogę coś tam wspomnieć, ale ta cała historia Kapalików wydaje mi się nieprawdopodobna. Składanie ofiar w postaci żywych ludzi i trupów rozmaitym boginiom skończyło się wraz z ostatnim serialem telewizyjnym na ten temat. Ale sprawdzę historię od innej strony. Kapalikowie mogą być po prostu przestępczym gangiem. Taka kalkucka odmiana sycylijskiej mafii. Jednakże cała reszta jest zbyt nieprawdopodobna, żeby o tym pisać w poważnym artykule, i to w dodatku poświęconym doskonałemu poecie. Bredzenie Muktanandajiego jest nie tylko chore, ale... – zabrakło mi słowa.

- Zboczone? – podsunęła Amrita.
- Zdecydowanie seksualnie zboczone. Redakcja nie miałaby nic przeciwko zdrowej erotyce, ale nie to. Poza tym w tym zboczeniu jest szablon. Nic oryginalnego.
- A ty nie znosisz szablonów – stwierdziła nieco ironicznie.
- Trafiaś, dziecino – odparłem, bo cóż innego mogłem powiedzieć.
- No dobrze, Bobby, i co dalej?
- Bardzo słuszne pytanie. – Bawiłem się z Wiktoria w chowanego. Do owego chowania służył kawałek prześcieradła. Albo ja kryłem za nim twarz, albo Wiktoria. Wiktoria wolała się zresztą chować za swoje paluszki. Zasłaniała nimi oczy, a ja udawałem, że jej nie widzę. Uwielbiała tę zabawę. – Chyba wezmę prysznic, to po pierwsze. Następnie wsadzimy ciebie i pannę Wiktoria do popołudniowego samolotu lecącego do Londynu. Dotychczas nie było nic do tłumaczenia oprócz szwargotu tragarzy. Mam już dość płacenia za żywienie takich darmozjadów jak wy. Nie ma najmniejszego powodu, byście miały tu na mnie czekać. Ja sam poczekam, aż pan Chatterjee będzie łaskaw wręczyć mi materiały. Zresztą chodzi tylko o jeden dzień. Dziś jest sobota, możesz sobie pobyć u rodziców przez weekend, a potem wsiąść w samolot do Nowego Jorku, gdzie wylądujesz mniej więcej w tym samym czasie co ja, powiedzmy... we wtorek wieczorem.
- Niestety, Bobby. To jest niemożliwe z kilku powodów.
- Bzdura. Nie ma rzeczy niemożliwych. – Wiktoria właśnie mnie znalazła i zachichotała. – Wymieniaj swoje niemożliwości, a ja będę kolejno je obalał.
- Po pierwsze jesteśmy umówieni na czwartą u pana Chatterjee.
- Przepraszę w twoim imieniu. Co dalej?
- Sklep nie przysłał jeszcze materiałów, które kupiłam.

- Odbiorę i przywiozę ci. Co jeszcze?
- Mnie i Wiktorii będzie cię okropnie brakowało. Prawda, kochanie?
- Wiktorii posłusznie podniosła główkę i spojrzała na matkę. Potem natychmiast zmieniła zasady gry naciągając sobie prześcieradło na głowę.
- Przykro mi, ale przegrałaś. Ani jednego punktu. Mnie też cię będzie brakowało, ale jakoś wytrzymam. Może nawet skorzystam z waszego wyjazdu i spotkam się z Kamakhyą. Jestem pewien, że o drugiej leci samolot do Londynu. A jeśli nie o drugiej, tylko później, to poczekam z wami na lotnisku.

Amrita zebrała parę zabawek Wiktorii i spokojnie schowała je do szuflady.

– Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jeszcze jeden problem – powiedziała.

– Jakiż to?

– BOAC i Pan Am odwołały wszystkie loty z Kalkuty z wyjątkiem jednego. O szóstej czterdzieści pięć rano, samolot BOAC w drodze z Tajlandii. Powiedziano mi, że nastąpiły poważne problemy związane z bagażami czy coś takiego. Bo ja już myślałam o powrocie do Londynu, mój panie. I zadzwoniłam na lotnisko wczoraj wieczorem, kiedy miałam wszystkiego dość czekając tu na ciebie.

– Psiakrew! Chyba żartujesz? Cholera! – Wiktorii wyczuła zmianę tonu w moim głosie i zdjęła z głowy prześcieradło. Buźkę miała wykrzywioną, gotową do płaczu. – Ale przecież musi być jakiś sposób wydostania się z tej... kloaki... przepraszam, kochanie, z tego miasta, niech już będzie...

– Oczywiście, że jest sposób. Krajowym lotem Air India z przesiadką na Pan Am w Delhi lub w Bombaju. Albo też na jakąkolwiek inną międzynarodową linię. W związku z tym wolę na ciebie poczekać tutaj. Nie

chcę podróżować po tym kraju bez ciebie. Miałam tego aż nadto, gdy byłam dzieckiem.

– Rozumiem, kochanie. – Objąłem ją czule. Wobec tego polecimy razem w poniedziałek rano. A teraz zrealizuję część moich planów i wezmę prysznic, dobrze?

– Świetnie – odparła podnosząc z łóżka Wiktorię. Pytałam w biurze linii lotniczej i powiedzieli mi, że nie ma ograniczeń, jeśli idzie o prysznic.



Wczesnym popołudniem bez większego entuzjazmu poszliśmy zwiedzać miasto. Zapakowałem Wiktorię do nosidła i założyłem je na plecy. Tuż za drzwiami hotelu otumanił nas żar, hałas i chaos. Wilgotność powietrza była bliska maksymalnemu nasyceniu, temperatura w okolicach czterdziestu stopni. Lunch zjedliśmy w restauracji o nazwie „Szah–in–Szah”, a następnie taksówką udaliśmy się do Muzeum Narodowego przy Chowringhee. Napis przy wejściu obwieszczał, że *W OGRODACH MUZEALNYCH ZAKAZANE SĄ SUROWO ĆWICZENIA JOGI*. W salach muzealnych było upalnie, prawie pusto – jeśli nie liczyć ordynarnie hałaśliwej niemieckiej wycieczki – a warstwa kurzu na oszklonych gablotach utrudniała obejrzenie eksponatów. Moje lekkie zainteresowanie wzbudził eksponat archeologiczny na pierwszym piętrze.

– Co to jest? – spytała Amrita, gdy zobaczyła, że stoję pochylony nad jedną z gablot.

Pod małym, czarnym posążkiem znajdowało się wyjaśnienie: Wyobrażenie Durgi we wcieleniu Kali, lata osiemdziesiąte p.n.e. Ani stryczka, ani czaszki czy uciętej głowy. W jednej ręce coś podobnego do

gałązki, w drugiej jakby odwrócony kieliszek do jajka, w trzeciej coś, co mogło być trójzębem, choć bardziej mi przypominało turystyczny scyzoryk z kilkoma otwartymi ostrzami. Czwarta dłoń była otwarta i oferowała coś podobnego do obwarzanka. W każdym razie było to żółte. Podobnie jak wszystkie inne statuetki bogiń w muzeum czarna Kali miała jędrne piersi, wysoki stan i dość długie uszy. Twarz wykrzywiona złością, liczne ostre zęby, ale ani śladu kłów czy wysuniętego ozora. Na głowie wianek z płomieni. Moim zdaniem znacznie okrutniej wyglądała statueta stojąca w oszklonej szafie obok, określona po prostu jako Durga. Ta łagodniejsza podobno inkarnacja bogini Parwati miała dziesięć ramion, a w każdej dłoni trzymała jakiś przedmiot przeznaczony do zadawania bólu lub wręcz uśmiercania, jeden okrutniejszy od drugiego.

– Twoja przyjaciółka Kali nie wydaje się wcale taka groźna – zauważyła Amrita. Wiktoria wyciągnęła główkę ze swojego nosidła, żeby też przyjrzeć się statuetce.

– To jest figurynka sprzed dwóch tysięcy lat. Może dopiero potem tak zbrzydła i stała się żądna krwi – odparłem.

– Możliwe. Niektóre kobiety nie potrafią się zestarzeć z godnością – zgodziła się Amrita i przeszła do następnej gabloty. Wiktorii bardzo podobał się Ganeśa w brązie – zabawny, korpulentny bóg dobrobytu. Miał słoniową głowę i dyskretny uśmiech.

Resztę czasu w muzeum spędziliśmy na wyszukiwaniu podobizn tego właśnie boga – kto znajdzie więcej – ku uciesze własnej i Wiktorii.

Amrita wyraziła chęć odwiedzenia pałacyku imienia królowej Wiktorii, gdzie znajduje się muzeum brytyjskiej epoki w Indiach, ale było już dość późno, więc tylko pojechaliśmy taksówką w dół Chowringhee i w prawo do parku, by z daleka pokazać naszej Wiktorii budowlę jej imienia: Victoria Memorial Hall.

W czasie drogi powrotnej do hotelu lało. Weszliśmy na górę, aby się przebrać, a gdy zeszliśmy, czekał już na nas samochód pana Chatterjee. Przestało też padać.

Po raz pierwszy od wielu dni założyłem krawat i czułem się w nim bardzo nieswojo w wilgotnym upale. W taksówce nieustannie poprawiałem węzeł usiłując go rozluźnić i żałując, że nie mam koszuli o numer większej lub szyi o numer mniejszej. A koszula już po pięciu minutach przykleiła mi się do pleców. Poczujęm się nagle cały wymięty i niewłaściwie ubrany. Spojrzałem z ukosa na Amritę: jak zwykle wyglądała świetnie. Ubrana nieskazitelnie, i jakby jej wcale nie było gorąco. A ja spływałem potem. Jeszcze raz zerknąłem na żonę. Miała na sobie białą, bawełnianą sukienkę kupioną w Londynie i naszyjnik z lapis lazuli, jaki jej ofiarowałem jeszcze przed ślubem. Zdumiała mnie perfekcja jej uczesania. Zgodnie z prawami fizyki jej włosy powinny teraz zwisać w mokrych strąkach, tymczasem opadały na ramiona świetlistą, puszystą kaskadą.

Jechaliśmy prawie godzinę, co mi uświadomiło, że Kalkuta jest większa od Nowego Jorku. Na jezdniach panował obłądny ruch i chaos, ale milczący kierowca bezbłędnie wynajdywał wąskie korytarze, którymi udawało mu się przemknąć. W wielu miejscach, przeważnie przy większych skrzyżowaniach, stały ogromne tablice, które bynajmniej nie działały kojąco na pasażera samochodu. *PROWADŹ OSTROŻNIEJ! W CIĄGU TEGO ROKU ZGINEŁO TU [x] OSÓB*, ostrzegały w hindi, po bengalsku i po angielsku. W kwadraty były wpięte blaszki z cyframi. Tą samą metodą ogłaszano dawniej wyniki na meczach baseballowych. Rekord biło skrzyżowanie z liczbą 28. Ciekawe, czy to dotyczy całego odcinka drogi czy też samego skrzyżowania, rzekomo bezkolizyjnego? Jechaliśmy też bulwarami, które przecinały miasta bezdomnych: aż po horyzont budy z drewna, z tektury, daszki z pordzewiałej blachy, namioty ze starych płacht,

chatynki z podsuszonych glinianych klocków i z wyschniętego na kamień łajna – przeraźliwe slumsy przekrawane setkami wąziutkich, tonących w błocie uliczek. Czasami horyzont bywał odcięty masywem budynków fabrycznych z kominami wypluwającymi kłęby czarnego dymu i tony sadzy, która szybko stapiała się z nisko zwisającymi monsunowymi chmurami. Tak, dla rozpaczliwie dążących do uprzemysłowienia państw słowa takie jak „ekologia”, „zagrożenie środowiska” i tym podobne, były luksusem, na który nie można sobie pozwolić nawet w rozmowie. Kalkuckie powietrze nie nadawało się do oddychania, do życia, do przetrwania. Śmiertelny koktajl słodkich wyziewów rynsztokowych, kwaśnego smrodu wysypisk śmieci na chodnikach wszystkich ulic, zapachu spalenizny z miliona kuchni i ognisk karmionych krowim nawozem, a także miazmatów z milionów palenisk konsumujących wszystko od śmieci aż po ludzkie ciała. Koktajl wzmocniony spalinami miliona aut, setek kominów fabrycznych i przenikającymi wszystko trującymi wyziewami odpadów przemysłowych.

Mijane przez nas fabryki były relikdami przeszłości, a jednocześnie stanowiły zapowiedź przyszłości, kiedy to przeminie epoka wielkiego przemysłu, podobnie jak minęła epoka dinozaurów: pozostały szkielety, gnijące trupy rozrzucone w krajobrazie. Wielkie budowle z wysłużonej już, pociemniałej cegły i rdzewiejącej stali, obrosnięte chwastami sięgającymi wybitych okien! Olbrzymie, gnijące cielska, ale jeszcze dyszące resztką sił. Gęsty dym wlatywał w górę z najbardziej nawet zrujnowanych budynków, w otworach w czarnej cegle pojawiali się obdarci robotnicy, w innych otworach znikali. Nawet nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak można tu mieszkać, jak można pracować w tych fabrycznych ruinach. Myśli Amrity musiały iść podobnym torem, gdyż także milczała wpatrzona w ten świat ludzkiej beznadziei.

W ciągu zaledwie paru minut otaczający nas krajobraz diametralnie się zmienił. Po przejechaniu wiaduktu kolejowego nad płataniną torów, znaleźliśmy się na handlowej ulicy parterowych domków małego miasteczka. Następnie kierowca zjechał w dzielnicę obsadzonych drzewami uliczek, obudowanych dostojnymi rezydencjami za wysokimi murami i zaryglowanymi bramami. Słabiutkie promyki słońca odbijały się tysiącami iskerek od pokruszonych kawałków szkła umieszczonych na szczycie murów, a na ścianach dostojnych willi widoczne były ciemne smugi wyżłobione przez deszcz i plamy pleśni. Za żelaznymi kratami stały na podjazdach wypucowane limuzyny, a na samych kratach zakończonych groźnymi szpikulcami wisiały tabliczki ostrzegające w trzech językach przed groźnymi psami.

Nietrudno było się domyślić, że to była niegdyś brytyjska dzielnica rezydencyjna, oddalona na bezpieczną odległość od zgiełku miasta i jego tubylców. Dziś i ta dzielnic straciła urodę chyląc się ku upadkowi: nieodnawiane, spleśniałe tynki, odpadające dachówki, pozabijane deskami okna. W pewnym sensie był to upadek kontrolowany, ograniczany jak można, by nie dopuścić do rozkładu opanowującego całą Kalkutę. Tu i ówdzie widać było próby podkreślenia specjalnego statusu tych ulic przez posadzenie krzewów obsypanych jaskrawym kwieciem i ułożeniu trawników, które dostrzegało się tu i ówdzie za bramami.

Do jednej z nich właśnie podjechaliśmy. Kierowca wyskoczył z wozu i kluczem na łańcuchu otworzył kłódkę. Półkolisty podjazd obsadzony był wysokimi, kwitnącymi krzewami.

Przed domem powitał nas Michael Leonard Chatterjee, obok którego stała żona z małym chłopcem. Początkowo wzięliśmy go za syna, ale szybko przekwalifikowaliśmy na wnuka. Pani Chatterjee miała

sześćdziesiąt parę lat. W związku z tym podniosłem poprzeczkę wieku pana Chatterjee.

– Aaa, pan i pani Luczak! Witam państwa!

Pan Chatterjee należał do kategorii owych całe życie lekko łysiejących dżentelmenów o gładkich twarzach, którzy raz osiągnąwszy wiek pięćdziesięciu lat prawie nie starzeją się przez następne dwadzieścia.

Przez chwilę gwarzyliśmy o niczym na schodkach wejściowych. Porcję komplementów otrzymała najpierw Wiktoria, drugą porcję wnuk państwa Chatterjee. Potem oprowadzono nas szybko po domu, aby następnie wskazać jako cel wędrowki spore patio.

Bardzo mnie zainteresował dom. Była to pierwsza okazja, by zobaczyć, jak mieszkają zamożne rodziny. Uderzyły mnie przede wszystkim, jak by to powiedzieć, kontrastowe zestawienia. Duże, wysokie salony i płyty farby odpadające z brudnych ścian; prześliczny kredens nieprawdopodobnie porysowany, a na nim wypchana mangusta o wyleniałym futrze, ze szklanymi oczami powleczonymi warstwą zaschłego kurzu; prawdziwy kaszmirski dywan rzucony na łuszczące się linoleum; spora, niegdyś nowoczesna kuchnia zapchana brudnymi butelkami, niezliczoną liczbą skrzynek, obwieszona popalonymi, nigdy nie szorowanymi garnkami. Do tego grill ustawiony na samym środku podłogi. Niegdyś biały sufit – pokryty grubą warstwą sadzy.

– Będzie nam wygodniej na zewnątrz – powiedział pan Chatterjee wprowadzając nas na patio wychodzące na boczną uliczkę.

Kamienne płyty były jeszcze mokre po niedawnej ulewie, ale poduszki na fotelach okazały się suche. Między fotelami znajdował się już zastawiony stół. Przyłączyła się do nas dorosła córka państwa Chatterjee, tęgawa, młoda kobieta o przepięknych oczach. Pozostała na tyle długo, by móc przez kilka minut pogwarzyć z Amritą w hindi, a następnie odeszła

zabierając syna. Pan Chatterjee wydawał się zaskoczony lingwistycznymi talentami Amrity i zadał jej pytanie po francusku. Amrita odpowiedziała płynnie i oboje się roześmieli. Następnie przeszedł na język tamilski. Dopiero później dowiedziałem się, że to był tamilski. Amrita także gładko mu odpowiadała. Wreszcie oboje zaczęli gwarzyć po rosyjsku. Ja popijałem herbatę i uśmiechałem się do pani Chatterjee. Ona uśmiechała się do mnie i raz po raz proponowała małe kanapki z plasterkami ogórka. Uśmiechaliśmy się tak do siebie przez kilka dobrych minut różnojęzycznej rozmowy Amrity i pana Chatterjee, aż Wiktoria zaczęła marudzić. Amrita zabrała dziecko z moich kolan i pan Chatterjee obrócił się w moją stronę.

– Czy może jeszcze herbaty...?

– Nie, chwilowo dziękuję.

– Może miałby pan ochotę na coś mocniejszego?

– No...

Pan Chatterjee trzepnął w palce i natychmiast pojawił się służący. Dosłownie po kilku sekundach stawał już przed nami tacę z kilkoma karafkami i szklankami.

– Czy pije pan szkocką, panie Luczak? – spytał pan Chatterjee.

Czy papież jest katolikiem, pomyślałem sobie.

– Tak, proszę – odparłem. Amrita ostrzegała mnie, że robiona w Indiach „szkocka” whisky to straszne paskudztwo, ale jeden łyk przekonał mnie, że pan Chatterjee uznaje wyłącznie najlepsze trunki, a jego karafka z whisky zawiera prawdziwy nektar, co najmniej dwunastoletni i bez wątplenia pochodzący ze Szkocji.

– Prawdziwa Glenlivet – wyjaśnił. – Wolę ją od najlepszych whisky komponowanych.

Przez następne kilka minut rozmawialiśmy o poezji i poetach. Usiłowałem skierować rozmowę na poetę Dasa, ale pan Chatterjee

wyraźnie stronił od tego tematu informując mnie jedynie, że Gupta już wszystko przygotował, aby przekazać mi jutro manuskrypt. Ustaliliśmy podczas rozmowy, że zarówno w Ameryce, jak i w Indiach poważnemu pisarzowi trudno jest zarobić na dostatnie życie. Odniosłem wrażenie, że majątek pana Chatterjee jest pochodzenia rodzinnego, i że ma on różne źródła dochodów i liczne obszary zainteresowania.

Rozmowa zesłała nieuchronnie na tematy polityczne. Pan Chatterjee nie ukrywał głębokiego zadowolenia z powodu przegranej pani Gandhi w ostatnich wyborach. Bardzo interesowałem się postępowaniem demokratyzacji życia w Indiach i miałem nadzieję, że zdobędę jakieś skrawki informacji, które włączę do mojego artykułu o Dasie.

– Gandhi była tyranem, panie Luczak. Tak zwany stan wyjątkowy był dla niej tylko instrumentem, który miał ukryć szpetne oblicze jej tyrańskich rządów.

– I nie sądzi pan, że pani Gandhi powróci na arenę życia politycznego? – spytałem.

– Nigdy, już nigdy, panie Luczak!

– A ja myślałem, że ona ma dobrą bazę polityczną i że Partia Kongresowa ma szansę odnieść zwycięstwo w przyszłych wyborach, jeśli obecna koalicja się rozsypie.

– Nie, nie. – Pan Chatterjee energicznie zaprzeczył także ruchem ręki. – Pan nic nie rozumie. Pani Gandhi i jej syn są skończeni. Przed upływem roku znajdą się w więzieniu. Niech pan zapamięta moje słowa. Już jest prowadzone dochodzenie w sprawie skandalicznych wydarzeń i okrucieństw, których jest winien jej syn. Kiedy prawda ujrzy światło dzienne, to nie wiem, czy wywinie się on od kary śmierci.

– Czytałem, że zraził sobie wielu tymi drastycznymi programami kontroli urodzeń.

– Zwykły łobuz! – oświadczył pan Chatterjee. – Arogancki nieuk, dyktatorska Świnia. Jego plany kontroli urodzeń to zwykłe ludobójstwo. Żerował na biednych i niewykształconych, chociaż w istocie sam należy do tych ostatnich. Nawet jego własna matka boi się potwora, którego zrodziła. Gdyby dziś wyszedł na ulicę, to ludzie rozszarpaliby go gołymi rękami. Sam wziąłbym w tym udział. Jeszcze herbaty, pani Luczak?

Za żelaznym, ażurowym ogrodzeniem od bocznej ulicy przejechał samochód. Na szerokie liście banianowego drzewa, tuż nad naszymi głowami, upadło z głośnym szmerem kilka kropli deszczu.

– Pańskie wrażenia z Kalkuty, panie Luczak? – spytał pan Chatterjee.

Nie byłem przygotowany na to pytanie. Wypiłem mały łyk szkockiej i odczekałem kilka sekund, by odpowiedzieć dopiero wtedy, gdy po moim ciele rozejdzie się miłe ciepło.

– Kalkuta to fascynujące miasto – odparłem dyplomatycznie. – Ale zbyt... skomplikowane, bym mógł wyrobić sobie opinię w ciągu dwóch dni. Szkoda, że nie będę miał więcej czasu, by je dokładniej poznać.

– Wyraża się pan bardzo oględnie, panie Luczak.

I dyplomatycznie. Streszczając to, co pan powiedział, chciał mi pan dać do zrozumienia, że Kalkuta jest przerażająca. Zraził się pan do tego miasta, prawda?

– Przerażająca to może niewłaściwe słowo. To prawda, że bieda, nędza robią na mnie przygnębiające wrażenie...

– Tak, tak, bieda... – Pan Chatterjee uśmiechnął się tak, jakby słowo bieda trąciło ironią. – To prawda, że w naszym mieście jest dużo biedy. Wedle zachodnich standardów panuje tu okropna nędza. To odpycha Amerykanów, obraża ich poczucie ludzkiej godności, ponieważ Ameryka postawiła sobie za cel wyeliminowanie biedy. Wasz były prezydent Johnson

powiedział... że trzeba wydać wojnę biedzie, tak? Sądziłem, że jego wojna w Wietnamie ukontentuje go pod tym względem.

– Niestety, walka z biedą jest kolejną, którą przegraliśmy – odparłem. – Ameryka nie potrafiła wyeliminować biedy u siebie.

Odstawiłem pustą szklankę whisky i natychmiast pojawił się u mojego boku służący, aby ją napełnić.

– Tak, tak, ale mówimy teraz o Kalkucie – odezwał się pan Chatterjee. – Jeden z naszych lepszych poetów określił Kalkutę jako miasto podobne do na pół rozgniecionego karalucha. Natomiast jeden z pisarzy porównał Kalkutę do starej, umierającej kurtyzany, wokół której stoją butle z tlenem i leżą rozsypane gnijące skórki pomarańczy. Zgodziłby się pan na podobną definicję, panie Luczak?

– Zgadzam się, że metafora jest dosadna, panie Chatterjee.

– Czy pani mąż jest zawsze taki ostrożny w formułowaniu opinii, pani Luczak? – Pan Chatterjee uśmiechnął się do nas obojga ponad szklanką whisky. – Proszę się nie krępować. Na pewno się nie obrażę. Znam wielu Amerykanów i ich reakcje na nasze miasto. Reakcja może być dwojaka. Albo określają Kalkutę jako niesłychanie „egzotyczne” miejsce, koncentrując się wyłącznie na obiektach turystycznych i przyjemnościach, albo też od pierwszej chwili są przerażeni i starają się zapomnieć o tym, co zobaczyli, a czego nie zrozumieli. Tak, tak, amerykańska dusza jest całkowicie przewidywalna. Powiedziałbym... wydelikacona. Podobnie jak sterylny i łatwo ulegający rozstrojowi amerykański system trawienny. Bardzo źle reagujący na Indie.

Rzuciłem okiem na panią Chatterjee, ale była bez reszty zajęta bujaniem Wiktorii na kolanie i chyba nawet nie dosłyszała wypowiedzi męża. Jednocześnie napotkałem wzrok Amrity, która wydawała się ostrzegać mnie

spojrzeniem. Uśmiechnąłem się, aby pokazać, że nie mam zamiaru wdawać się w jakikolwiek spór na temat amerykańskiej duszy i żołądka.

– Być może ma pan całkowitą rację – odparłem. – Jednocześnie przyznaję ze wstydem, że nie mam pojęcia, na czym polega „amerykańska dusza” albo na czym miałyby polegać „hinduska dusza”. Wątpię nawet, czy coś podobnego istnieje. Zgadzam się, że zawsze pierwsze wrażenia są dość powierzchowne. I rozumiem to. Od dawna jestem miłośnikiem indyjskiej kultury, jeszcze nim poznałem moją żonę, a ona wprowadziła mnie jeszcze głębiej w piękno hinduskiej kultury. Natomiast przyznaję, że Kalkuta mnie przytłoczyła. Jest w tym mieście coś... unikatowego... niepowtarzalnego i niepokojącego. Mówię o problemach urbanistycznych, gęstości zaludnienia... Może chodzi po prostu o skalę problemu. Przyjaciele opowiadali mi, że Mexico City, przy całej swej urodzie, boryka się z podobnym problemem.

Chatterjee pokiwał głową, uśmiechnął się i odstawił szklanekę. Splótł palce i spojrzał na mnie wzrokiem profesora, który usiłuje się zorientować, czy warto studentowi poświęcić jeszcze trochę czasu.

– Nie podróżował pan wiele, panie Luczak? – spytał.

– Nie. Wiele lat temu objechałem z plecakiem Europę. Trochę czasu spędziłem w Tangerze.

– Ale nie w Azji?

– Nie.

Chatterjee opuścił dłonie, jakby wystarczająco dowiódł swego. Ale jeszcze ze mną nie skończył. Strzelił palcami i wydał jakieś polecenie służącemu, który po chwili podał swemu panu cienką, niebieską książkę. Nie mogłem dostrzec tytułu.

– Proszę mi powiedzieć, czy uważa pan za sprawiedliwy i rozsądny następujący opis Kalkuty. – Pan Chatterjee zaczął czytać: ...gąszcz domów

tak starych, że wydają się rozpadać, między domami wąskie, kręte zaułki i przejścia tylko przez grzeczność nazywane ulicami. Nie istnieje pojęcie domowego zacisza. Kto się tu zapuszcza, ryzykuje spotkanie z włóczęgami i rabusiami, a przez częściowo tylko oszklone okna widzi izby przepełnione do niemożliwości... zastygłe bajora rynsztoków, zaułki z górami śmieci... mury domów oblepione wyblakłą sadzą, drzwi opadające z zawiasów, chmary kręcących się dzieci załatwiających na każdym kroku swoje naturalne potrzeby...

Skończył czytać, zamknął książkę i pytająco uniósł brwi. Postanowiłem nadal odgrywać rolę układowego studenta, jeśli to tak bawiło pana Chatterjee.

– No owszem, w tym opisie widać zbieżności z rzeczywistością – odparłem.

– Właśnie. – Pan Chatterjee uśmiechnął się szeroko i podniósł wysoko niebieską książkę. – To był opis Londynu w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Trzeba wziąć pod uwagę, wydając opinię na temat Kalkuty, że Indie dopiero obecnie wkraczają na drogę rewolucji przemysłowej. To, co pana w tym mieście tak szokuje i wytrąca z równowagi, i proszę nie zaprzeczać, że tak nie jest, to po prostu produkt uboczny tej rewolucji. Ma pan wielkie szczęście, panie Luczak, że pańska kultura już przeszła ten etap.

Skinąłem głową. Zdusiłem w sobie impuls, by mu powiedzieć, że przeczytany przez niego opis pasowałby dokładnie do południowych dzielnic Chicago, gdzie się wychowałem. Pomyślałem sobie, że warto jeszcze raz spróbować wyjaśnić dokładnie, co odczuwam na temat Kalkuty.

– Ma pan rację, panie Chatterjee. Rozumiem pana doskonale. Moje myśli szły podobnym torem, gdy tutaj dziś jechałem. Bardzo dobrze uwypuklił pan problem. Ale jednocześnie muszę dodać, że w czasie mojego

krótkiego pobytu w Kalkucie wyczułem coś... coś zupełnie specyficznego. Nie jestem pewien, co to jest... Może nazwać to klimatem... gwałtu? Tak, chyba gwałtu. Tuż pod skorupą czai się przemoc...

– A może to jest obłąd? – spytał obojętnym głosem Chatterjee.

Nic nie odpowiedziałem.

– Wielu krytyków naszego miasta stwierdza to co pan, panie Luczak. Piszą o przenikającej zmysły atmosferze nieustannego zagrożenia. Widzi pan tę uliczkę? Tę za ogrodzeniem. Jedzie nią dwukołowy wózek ciągniony przez wołu. Poza tym uliczka jest pusta. Gdyby nie ten wózek za rzędem banianowych drzew, mogłaby to równie dobrze być jakaś uliczka w starej rezydencyjnej dzielnicy amerykańskiego miasta.

– Tak, widzę – odparłem.

– Przed kilkoma laty, gdy tu siedziałem jedząc śniadanie, widziałem, jak na niej mordowano całą rodzinę. Mordowano nie oddaje dostatecznie tego, co się tu działo. Rąbano rodzinę na kawałki. Tak jest, po prostu rąbano. Tu, właśnie w tym miejscu, gdzie znajduje się teraz wózek.

– Jak to się stało?

– Podczas rozruchów. Wyrzynali się nawzajem muzułmanie i hindusi. W domu miejscowego lekarza mieszkała biedna muzułmańska rodzina. Przyzwyczailiśmy się do ich sąsiedztwa. Ojciec rodziny był stolarzem i mój ojciec wielokrotnie korzystał z jego usług. Jego dzieci bawiły się z moim młodszym bratem. W 1947 roku, w roku największego napięcia, rodzina zdecydowała się wyemigrować do Wschodniego Pakistanu. Widziałem, jak cała piątka jedzie uliczką wozem zaprzężonym w konia. Najmłodsze dziecko było jeszcze na rękach matki. Jadłem śniadanie, kiedy usłyszałem zamieszanie. Tłum ludzi zatrzymał jadących. Muzułmanie zaczęli coś wykrzykiwać. Ojciec rodziny popełnił fatalny błąd używając bata, by smagnąć prowodyra tłumu. Napastnicy rzucili się na wóz. Siedziałem tu,

gdzie pan teraz siedzi, panie Luczak. Doskonale wszystko widziałem. Tłuszcza uzbrojona była w pałki, kamienie, a ci, którzy mieli tylko gołe pięści, używali zębów. Kiedy się to skończyło i napastnicy umknęli, ze stolarza i jego rodziny pozostały na ziemi pokrwawione ochłapy. Nawet koń został zmasakrowany.

– Mój Boże! – powiedziałem. – Chce mi pan powiedzieć, panie Chatterjee, że podziela pan pogląd, iż Kalkuta jest zarażona wirusem obłądu?

– Wręcz odwrotnie, panie Luczak. Opowiedziałem panu tę historię dlatego, że uczestnicy tamtej napaści byli... i są... naszymi sąsiadami: nauczyciel, pan Golwalker; piekarz, pan Sirsik oraz stary pan Muhkerjee, który pracuje na poczcie w pobliżu pańskiego hotelu. Zwykli ludzie, panie Luczak, którzy do czasu tego godnego pożałowania incydentu prowadzili normalne życie i którzy po incydencie do normalnego życia powrócili. Opowiadam o tym, ponieważ chcę pokazać, jak nierozsądnie jest przedstawiać Kalkutę jako bengalski azyl dla psychicznie chorych. O każdym mieście można powiedzieć, że pod powierzchnią kryje szaleńcze skłonności. Czytał pan dzisiejsze wydanie miejscowego 77 mesa po angielsku?

– Gazetę? Nie.

Chatterjee wziął gazetę, która leżała złożona koło cukiernicy. Podał mi ją. Wiadomość na pierwszej stronie dotyczyła Nowego Jorku. Ubiegłej nocy nastąpiło wyłączenie prądu podobne do tego katastrofального z 1965 roku. W miejskich gettach i w ubogich dzielnicach zaczęto rabować sklepy, wybijać szyby i niszczyć samochody. Tysiące ludzi uczestniczyło w bezmyślnych aktach wandalizmu. Tłumy przyglądały się i zachęcały okrzykami rodziny, które rozbijały wystawy sklepowe i umykały z telewizorami, z ubraniami, ze sprzętem, co tylko udawało się udźwignąć.

Aresztowano setki chuliganów, jednakże rzecznicy burmistrza i szefa policji oświadczyli dziennikarzom, że siły porządkowe nie mogły sobie poradzić ze względu na rozmiary problemu.

Gazeta przedrukowała fragmenty komentarzy redakcyjnych kilku amerykańskich dzienników. Liberałowie oceniali wydarzenie jako początek nowej fali społecznego protestu, potępiali dyskryminację, nędzę i głód, które według nich były przyczyną nocnych rozruchów. Konserwatywni komentatorzy cierpko stwierdzali, że ludzie głodni nie zaczynają od kradzieży zestawów stereo, i domagali się bardziej zdecydowanego działania sił porządkowych. Te rzekomo uzasadnione i przemyślane komentarze nie brzmiały przekonująco w świetle oczywistego faktu, że bezmyślne niszczenie i kradzieże inspirowane były właśnie brakiem światła. Zupełnie jakby jedynie uliczna lampa chroniła wielkie miasta przed barbarzyństwem.

Oddałem gazetę Amricie.

– Rzeczywiście smutne zjawisko, panie Chatterjee. W pełni pana rozumiem. I nie miałem zamiaru obłudnie załamywać rąk nad problemem Kalkuty.

Chatterjee uśmiechnął się i po raz wtóry splótł po profesorsku palce. W szklach jego okularów widziałem odbicie mojej twarzy. Skinął głową i powiedział sentencjonalnie: – Mogę się zgodzić z pańską opinią, o ile umieszcza ją pan w kontekście problemu urbanistycznego. Problem pogłębia dodatkowo bieda i rodzaj imigrantów, którzy milionami napłynęli do miasta. Kalkutę zalała fala niewykształconych cudzoziemców. Mamy trudny problem, lecz nie jest to problem, jakiego by nie mieli inni. To nie jest nasz specyficzny problem.

W milczeniu skinąłem głową.

– Jestem innego zdania – odezwała się Amrita.

Chatterjee i ja obróciliśmy ku niej głowy, niesłychanie zdziwieni. Amrita lekkim ruchem odrzuciła gazetę na stół.

– Nie zgadzam się z panem, panie Chatterjee. Moim zdaniem jest to problem zrodzony przez spadek kulturowy. Unikatowy dla Indii. Unikatowy dla Kalkuty.

– Ooo? – wyraził zaskoczenie Chatterjee. Bębnił palcami o palce. Mimo uśmiechu na twarzy był wyraźnie poirytowany sprzeciwem kobiety. – Co pani ma na myśli?

– Skoro jest przyjęte w dzisiejszych czasach ilustrowanie poważnych problemów anegdotami, pozwoli pan, że podzielę się z nim dwoma zaobserwowanymi przeze mnie wczoraj incydentami.

– Ależ proszę, proszę bardzo, pani Luczak. – Uśmiech Chatterjee’ego nabrał cech przykrego grymasu.

– Wczoraj jadłam śniadanie w ogródku hotelu Oberoi. Siedziałyśmy same z Wiktorią, to znaczy przy naszym stoliku same. W lokalu było sporo osób. Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku pilotów Air India. Parę metrów od nas kobieta ścinała trawę ręcznymi nożycami... Należała do Niedotykalnych.

– Przepraszam panią – wtrącił Chatterjee z bardzo teraz kwaśnym uśmiechem. – My wolimy mówić „osoba nomenklaturowej klasy”...

– Jestem tego w pełni świadoma – odparła Amrita z niewinnym uśmiechem. – Nomenklaturowa klasa lub Harijanie, „Umiłowani przez Boga”. Wiem, byłam wychowywana według tych konwencji. Ale są to jedynie eufemizmy. Jestem pewna, że pan dobrze to wie. „Nomenklaturowa klasa”, ponieważ biedaczka urodziła się poza jakąkolwiek kastą i umrze bezkastowa. A jej dzieci przez całe życie będą wykonywały jedynie pracę fizyczną. Najcięższą, gdyż są niedotykalne!

Cierpki uśmiech przywarł na stałe do twarzy pana Chatterjee. Na szczęście już nie przerywał.

– Więc wracam do mojej opowieści. Kobieta siedziała w kucki i ścinała trawę. Posuwała się powoli jakby kaczym chodem. Według mnie były to męczące kroczki, nawet bolesne. Może jednak lepsze niż podnoszenie się co chwila. Nikt na nią nie zwracał uwagi. Była nie tylko niedotykalna, ale dla hotelowych gości i dla obsługi również niewidzialna, jak źdźbła trawy, które ścinała. W nocy ulewa czy wiatr strąciły kabel elektryczny z pergoli. Kabel upadł na trawę, ale nikomu nie przyszło do głowy zreperować uszkodzenie lub choćby wyłączyć prąd. Kelnerzy kręcący się wokół basenu kąpielowego po prostu przeskakiwali druty. Kobieta dostrzegła jeden z drutów na swej drodze. Wzięła go w palce, aby odsunąć. W tym miejscu nie było izolacji. Doznała szoku, rzuciło ją na ziemię, ale nie była zdolna puścić drutu. Musiała strasznie cierpieć, wydała przeraźliwy okrzyk. Zwijała się na ziemi wstrząsana prądem. Na naszych oczach umierała. Powiedziałam „na naszych oczach”, panie Chatterjee. Kelnerzy założyli ręce na piersiach i przyglądali się. Robotnicy na rusztowaniu spoglądali obojętnie. Jeden z siedzących niedaleko mnie pilotów powiedział jakiś żarcik i powrócił do swojej kawy. Nie jestem osobą działającą szybko i myślącą szybko. Przez całe prawie życie pozwalałam innym wykonywać za mnie nawet najprostsze czynności. Miałam zwyczaj prosić siostrę, by kupowała dla nas bilety kolejowe. Nawet dziś, kiedy chcę kupić pizzę, to proszę, żeby Bobby zamówił ją przez telefon. Kiedy jednak upłynęło pół minuty i stało się jasne, że żaden z obecnych w kawiarni mężczyzn, a było ich przecież kilkunastu, nie ruszy się, aby uratować biedną kobietę od niechybnej śmierci, zaczęłam działać. Nie wymagało to ani nadzwyczajnego myślenia, ani odwagi. Przy wejściu stała szczotka na kijku. Chwyciłam ją i wytrąciłam przewód elektryczny z dłoni kobiety.

Zdumiony patrzyłem na żonę. Nie wspomniała mi o tym wydarzeniu ani słowem. Chatterjee z roztargnieniem potakiwał głową. Pierwszy odzyskałem głos: – Czy była w bardzo złym stanie?

– Wyobraź sobie, że nie. Ktoś tam mówił o wysłaniu jej do szpitala, ale po piętnastu minutach ona z powrotem kucnęła, żeby ścinać trawę.

– Tak, tak, bardzo interesująca historia – odezwał się Chatterjee – ale trzeba ją rozpatrywać we właściwym kontekście...

– Drugie wydarzenie miało miejsce w godzinę potem – kontynuowała niezrażona Amrita. – Poszłyśmy z przyjaciółką do sklepu z sari w okolicach kina Elitę. Na ulicy był korek na kilka przecznic, gdyż pośrodku jezdni zatrzymała się stara krowa. Ludzie krzyczeli, kierowcy naciskali klaksony, ale nikt nie próbował ruszyć krowy z miejsca. W pewnej chwili krowa zaczęła się załatwiać. Na skraju chodnika, w pobliżu nas stała bardzo ładna, może piętnastoletnia dziewczyna. Miała na sobie białą wykrochmaloną bluzkę z czerwoną chustką. Dziewczyna wyskoczyła na środek jezdni, podstawiła dłoń pod strumień uryny i opryskała sobie czoło.

Gdy Amrita zamilkła, ciszę wypełniał tylko szelest liści w ogrodzie. Chatterjee przenosił wzrok z żony na Amritę. Palcami bębnił o palce.

– I to jest owo drugie wydarzenie? – spytał.

– Tak.

– Droga pani Luczak, chociaż od dziecka przebywa pani poza Indiami, chyba pani pamięta, że krowy obdarzamy wielkim szacunkiem. Są żywymi symbolami naszej religii.

– Wiem o tym.

– I chyba pani również wie, że nie wszyscy mieszkańcy Indii podzielają obwieszczane przez społeczności zachodnie... oburzenie na system podziałów klasowych?

– Tak, wiem.

– A czy wie pani, że uryna, zwłaszcza ludzka uryna... jest przez wielu uważana za lekarstwo i... eliksir duchowych wartości? Czy wie pani, że nasz obecny premier, pan Desai, wypija dziennie stokilkadziesiąt gramów własnej uryny?

– Owszem, wiem o tym.

– W takim razie szczerze pani powiem, pani Luczak, że zupełnie nie rozumiem, na co przytoczone przez panią wydarzenia czy incydenty mają wskazywać, poza, być może, pani osobistym kulturowym szokiem lub zgoła niechęcią do własnych kulturowych tradycji.

– Tu nie chodzi o kulturowy szok, drogi panie Chatterjee. – Amrita potrząsnęła kilka razy głową, jakby się litowała nad swoim rozmówcą. – Jako matematyczka podchodzę do różnych kultur raczej... abstrakcyjnie, jak do odrębnych zespołów wartości o pewnych wspólnych elementach. Lub jeśli pan woli inną definicję: jak do ciągu ludzkich eksperymentów na temat sposobu życia, myślenia i wzajemnego stosunku ludzi do siebie. I być może właśnie dlatego, że pochodzę z takiego a nie innego pnia kulturowego i że jako dziecko wiele poza tym podróżowałam, potrafię się zdobyć na pewną obiektywność oceny różnych kultur, jakie poznałam i na których obszarze żyłam.

– Co z tego wynika?

– Moja obecna ocena, panie Chatterjee. W zestawie wartości składających się na kulturę indyjską znajduję pewne elementy, których inne kultury nie posiadają, a jeśli kiedyś posiadały, to wolały się ich pozbyć. Dostrzegam tu, w moim rodzinnym kraju, głęboko wrośnięty rasizm, który trudno nawet porównywać z innymi rasizmami. Różni się od nich. Stwierdziłam też, że owa filozofia odrzucająca gwałt, filozofia, na której byłam wychowana i która w zasadzie bardzo mi odpowiada, jest w dalszym ciągu unicestwiana przez świadome działania grup ludzi objawiających

zwykle zezwierżenie. A fakt, że pański premier wypija w ciągu dnia kilka szklanek własnej uryny, wcale mnie nie skłania do naśladownictwa. I prawdę mówiąc nikogo na świecie do tego nie skłonił. Mój ojciec często mi przypominał, że kiedy Mahatma wędrował od wioski do wioski, to zawsze zaczynał swoje kazania, niech mi będzie wolno tak nazwać jego przemówienia, nie od podkreślania braterstwa ludzi czy od przedstawiania zasad cywilnego nieposłuszeństwa wobec władz brytyjskich, ale potrzeby mycia się i zachowania higieny w życiu codziennym. Tak więc, miły gospodarzu, jako rodowita hinduska śmiem nie zgodzić się z pańską oceną, iż problemy Kalkuty to po prostu uniwersalne problemy urbanizacji.

Chatterjee przyglądał się mojej żonie przez bębniące o siebie palce. Pani Chatterjee poruszyła się niespokojnie. Wiktoria spojrzała na matkę, ale nie wydała żadnego odgłosu. Nie mam pojęcia, kto by się pierwszy odezwał i co by powiedział, bo nagle z trzaskiem pistoletowych wystrzałów zaczęły padać na ziemię potężne krople, zapowiadające kolejną ulewę.

Gdy wokół nas rozszalał się już sztorm, pani Chatterjee powiedziała: – Będzie nam chyba wygodniej w salonie.



Obecność kierowcy Chatterjee'ego skłaniała do ostrożności w rozmowie podczas jazdy powrotnej do hotelu. Jednakże każde małżeństwo potrafi się porozumiewać własnymi zakodowanymi zdaniami.

- Powinnaś pracować w ONZ – zauważyłem.
- Pracowałam w ONZ – odparła Amrita. – Już zapomniałeś? W czasie wakacji, dwa lata przed naszym poznaniem. Jako tłumaczka.
- Ile wojen wywołałaś?

- Pozostawiałam to dyplomatom.
- Nic mi nie powiedziałaś o tej kobiecie porażonej prądem?
- Nie pytałeś.

Są chwile, kiedy nawet tępy mąż wie, że trzeba się zamknąć. Przez gęstą zasłonę deszczu spoglądaliśmy na mijane slumsy. Wielu ludzi nie czyniło najmniejszego wysiłku, by schować się przed ulewą. Siedzieli martwo w błocie, pochylając jedynie głowy.

– Widzisz dzieci? – spytała cicho Amrita. Nie widziałem przedtem, dostrzegłem teraz.

Siedmio- i ośmioletnie dziewczynki siedziały z niemowlętami wspartymi o biodra. Uświadomiłem sobie nagle, że był to obraz, który w czasie minionych dwóch dni najbardziej wbił się w moją podświadomość: dzieci trzymające na rękach dzieci. Podczas każdego deszczu zapełniały szczerlnie suche miejsca pod markizami sklepów, pod wiaduktami, w otwartych sieniach i pod daszkami z połatanego brezentu. I prawie zawsze w jaskrawych, choćby nawet poszarpanych, sari. Jednakże najbardziej kłujące w oczy czerwienie i błękity nie potrafiły ukryć brudu odzienia. Dziewczynki miały na przegubach chudych rąk i nóg złote bransolety zadatek na przyszły posag.

– Tu jest bardzo dużo dzieci – stwierdziłem.

– A jednocześnie dzieci prawie wcale nie ma – odparła Amrita prawie szeptem.

Potrzebowałem paru sekund, aby zrozumieć. Większość owych dzieciaków miała już dzieciństwo za sobą. Weszły teraz w przyszłość polegającą na wychowywaniu młodszego rodzeństwa i ciężkiej pracy. Potem przyjdzie wczesne małżeństwo i wychowywanie własnych dzieci. Zawsze ciężka praca. Wiele z tych dzieciaków, które widzieliśmy uganiające się nago w błocie, nie przeżyje następnych paru lat. A te, które

przeżyją i dożyją naszych lat, wejdą w dwudziesty pierwszy wiek Indii katastrofalnie przeludnionych – z ponad miliardem mieszkańców – Indii stojących w obliczu głodu i chaosu.

– Wiem, że amerykańskie szkoły podstawowe nie traktują poważnie matematyki, ale później chyba miałeś wykłady z geometrii euklidesowej, prawda, Bobby?

– Nie obawiaj się, amerykańscy uczniowie wiedzą nawet, co to jest trójkąt – odpowiedziałem.

– Wiesz wobec tego, że istnieją geometrie nieeuklidesowe.

– Słyszałem jakieś plotki na ten temat.

– Nie kpij, Bobby. Ja mówię poważnie. Chcę coś tu zrozumieć.

– Mów!

– Zaczęłam się nad tym zastanawiać po tym, jak wspomniałam panu Chatterjee o zestawach wartości i eksperymentach kulturowych.

– No, no?

– Jeśli miałam rację, jeśli kultura indyjska, tak jak inne, była w założeniu eksperymentem, to moje zachodnie uprzedzenia i wychowanie podszeptują mi, że eksperyment się nie udał. Nie udał się w sensie przystosowania ludzi do zbiorowego życia i ich ochrony przed siłami zewnętrznymi, no i klęskami żywiołowymi.

– W pełni się zgadzam.

– Ale jeśli kultura indyjska jest po prostu jednym z zestawów wartości, jak to proponuje moja metafora, to jednocześnie rodzi się znacznie gorsza możliwość.

– Mianowicie jaka?

– Jeśli będziemy myśleli kategoriami zestawów różnych, odrębnych wartości, to dojdziemy do wniosku, że moje dwie kultury, odziedziczona i nabyta, zachodnia, są nie do pogodzenia, wzajemnie się wyłączają. A ja

jestem produktem dwóch kultur. Jestem wspólnym elementem dwóch zestawów nie posiadających wspólnego elementu.

– Stare powiedzenie, że Wschód to Wschód, a Zachód to Zachód i że nigdy się nie spotkają...

– Dostrzegasz mój problem, prawda, Bobby?

– Może dobry doradca w sprawach małżeńskich mógłby...

– Przestań z tymi głupstwami. Metafora, jakiej użyłam w rozmowie z panem Chatterjee, kazała mi pomyśleć o innej zatrważającej możliwości. A mianowicie, że wszystko, co jest dla nas obce w Kalkucie, jest może nie tyle rezultatem ukształtowania się w rzeczywistości innego zestawu wartości kulturowych, co innego wymiaru, innej geometrii.

– Nie rozumiem różnicy?

– Powiedziałaś, że znasz Euklidesa?

– Przedstawiono nas, ale nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy.

Amrita westchnęła i obróciła głowę w stronę przeraźliwego kompleksu przemysłowego, który mijaliśmy. Był to podniesiony do dziesiątej potęgi Fitzgeraldowski obraz z Gatsby'ego – wizji przemysłowego pustkowia. Uświadomiłem sobie nagle, że moje zapasy literackich skojarzeń zaczynają być nawiedzane i podgryzane przez matematyczne metafory Amrity.

Mignął nam siedzący w kucki przy samej drodze półnagi, wypięty mężczyzna. Załatwiał swoją potrzebę. Miał koszulę zarzuconą na głowę, obok postawił mosiężne naczynie z wodą do umycia palców lewej ręki.

– Zestawy i teorie liczbowe częściowo się pokrywają – powiedziała Amrita. Z tonu jej głosu wynikało, że mówi bardzo poważnie. – Natomiast geometrie się nie pokrywają, nie zazębiają. Poszczególne geometrie opierają się na osobnych teorematkach, twierdzeniach, postulują różne aksjomaty, stanowią podstawę różnych rzeczywistości.

– Różnych rzeczywistości? – zdziwiłem się. Jakże mogą istnieć różne rzeczywistości?

– Może nie mogą. Może jest tylko jedna rzeczywistość. Może tylko jedna geometria jest prawdziwa. Ale powstaje pytanie: co stanie się ze mną, z nami wszystkimi, jeśli wybraliśmy złą geometrię?



W hotelu czekała na nas policja.

– Przyszedł do pana jakiś pan – poinformował mnie recepcjonista podając mi klucz do pokoju. Rozejrzałem się po holu szukając wzrokiem Krishny, lecz mężczyzna, który na mój widok wstał z kanapki obitej ciemnofioletowym materiałem, był wysoki, miał brodę, a na głowie biały turban. Sikh!

– Czy pan Luk-zak? – spytał.

– Luczak, tak, to ja.

– Nazywam się Singh. Jestem inspektorem policji metropolitalnej – przedstawił się. Pokazał mi policyjną odznakę i legitymację z wyblakłą fotografią w pożółkłym plastyku.

– Inspektorem policji? – Wstrzymałem się od podania mu ręki.

– Panie Luczak, chciałbym zamienić z panem parę słów w związku z prowadzoną przez nas sprawą.

Pomyślałem sobie, że to Krishna wpakował mnie w jakąś aferę.

– A o co chodzi, inspektorze?

– O zniknięcie pana Dasa.

– Aaa! – Oddałem klucz do pokoju Amricie. Nie miałem zamiaru zapraszać policjanta na górę. – Z moją żoną nie chce pan rozmawiać? Bo

akurat jest czas na karmienie naszej córki.

– Nie, nie. Tylko z panem. To zajmie parę minut. Przepraszam, że zabieram panu czas.

Amrita poszła z Wiktoria do windy, a ja zacząłem się rozglądać za jakimś ustronnym miejscem. Recepcjonista i paru portierów przyglądali się nam ciekawie.

– Może pójdziemy do Licencjonowanej Sali, inspektorze? – Licencjonowana Sala była hotelowym eufemizmem na bar.

– Doskonale.

Chociaż w barze było mroczno, po zamówieniu dzinu z tonikiem dla siebie i samego toniku dla inspektora, mogłem lepiej przyjrzeć się wysokiemu Sikhowi.

Inspektor zachowywał się z pewnością siebie człowieka reprezentującego władzę i przyzwyczajonego do posłuchu. Jego akcent zdradzał spędzone w Anglii lata – nie tyle w Oksfordzie, co w akademii wojskowej w Sandhurst i jeszcze jakiejś wyższej uczelni wojskowej. Miał na sobie dobrze uszyty, beżowy garnitur, krojem przypominający mundur wojskowy. Turban był koloru czerwonego wina.

Jego ogólny wygląd potwierdzał to, co wiedziałem o Sikhach. Stanowiący mniejszość religijną Sikhowie byli najbardziej agresywnym i produktywnym elementem indyjskiego społeczeństwa. W pełni rozumieli mechanizację, czym nie mogli wykazać się Hindusi. Chociaż większość Sikhów zamieszkiwała Pundżab, można ich było znaleźć wszędzie, głównie za kierownicami taksówek i przy obsłudze ciężkiego sprzętu. Ojciec Amrity mówił, że dziewięćdziesiąt procent jego pracowników w kabinach buldożerów to Sikhowie. Sikhowie zajmowali również wyższe stanowiska w wojsku i policji. Z tego co mi opowiadała Amrita, głównymi beneficjentami Zielonej Rewolucji i nowoczesnej technologii uprawy ziemi

byli również Sikhowie, kierujący wielkimi spółdzielniami rolniczymi na północy Indii.

W dużej mierze Sikhowie byli także odpowiedzialni za masakry ludności muzułmańskiej w okresie podziału Indii.

– Na zdrowie! – powiedział inspektor unosząc szklanę z tonikiem. Zagrzechotała stalowa bransoletka obijając się o jego wielki zegarek na przegubie. Bransoleta była takim samym symbolem wiary jak broda i sztylecik, który z pewnością miał przy sobie. Kiedy na lotnisku w Bombaju przechodziliśmy przez bramkę kontrolną, jeden ze strażników zapytał stojącego przed nami Sikha, czy ma przy sobie jakąś broń oprócz sztyleciku. I chociaż my wszyscy musieliśmy poddać się kontroli i obmacywaniu, Sikh przeszedł mruknąwszy tylko, że nic innego nie ma.

– W czym mogę panu pomóc, inspektorze? – spytałem.

– Może się pan ze mną podzielić wszystkimi informacjami, jakie pan ma na temat miejsca pobytu pana Dasa.

– Das zniknął wiele lat temu, inspektorze – odparłem. – Aż dziwne, że jeszcze to pana interesuje.

– Sprawa jest nadal otwarta, dochodzenie trwa. Dochodzenie w roku 1969 wykazało, że pan Das najprawdopodobniej padł ofiarą mordercy. Czy w pana kraju morderstwo ulega przedawnieniu?

– Chyba nie, ale po to, by można było mówić o morderstwie, musi być *corpus delicti*. Ciało ofiary.

– Otóż to. I dlatego bylibyśmy niesłychanie wdzięczni za wszelkie informacje, jakimi pan dysponuje. Pan Das pozostawił wielu wpływowych przyjaciół. Wielu z tych ludzi zajmuje jeszcze bardziej eksponowane stanowiska niż osiem lat temu, w chwili gdy pan Das zaginął.

Odpowiedziałem, że w pełni rozumiem sytuację i wyjaśniłem inspektorowi moje związki z miesięcznikiem Harper's i porozumienie

zawarte ze związkiem Pisarzy Bengalskich. Zastanawiałem się, czy nie opowiedzieć mu całej historii z Krishną i Muktanandajim, ale doszedłem do wniosku, że podobnie nieprawdopodobna wersja skomplikowałaby tylko moją sytuację.

– Nie ma pan wobec tego żadnego innego dowodu, że pan Das żyje, oprócz poematu, który pan otrzyma lub którego pan nie otrzyma ze związku pisarzy?

– Owego poematu oraz listu odczytanego przez pana Michaela Leonarda Chatterjee podczas mojego spotkania z zarządkiem związku.

Singh skinął głową, jakby dobrze wiedział o istnieniu tego listu.

– I ma pan otrzymać manuskrypt jutro?

– Tak.

– A jego wręczenie ma się odbyć tu w hotelu?

– Tego nie wiem. Jeszcze mi nie powiedziano.

– O której godzinie?

– Tego mi również nie powiedziano.

– Czy w tym samym czasie przewidziane jest spotkanie z Dasem?

– Nie. To znaczy, nie sądzę. Właściwie jestem pewien, że nie.

– Skąd ta pewność?

– Wszystkie moje starania, bym mógł się spotkać z tym wielkim poetą i potwierdzić, że żyje, spełzły na niczym. Jakbym bił głową o mur.

– Głową o mur?

– Nie chciano nawet rozpatrywać mojej prośby. Definitywna odmowa.

– Aha... I nie ma pan żadnych planów, żeby podobne spotkanie z panem Dasem zorganizować, starając się o to innymi kanałami?

– Nie. Chociaż bardzo bym tego pragnął. Mój artykuł w Harper's wymagałby w zasadzie wywiadu z nim. Mówiąc jednak szczerze, inspektorze, będę szczęśliwy, jeśli dostanę ten cholerny manuskrypt i

opuszczę Kalkutę jutro rano wraz z żoną i córką. Niech sobie ustalają, czy poemat wyszedł spod piorą pana Dasa, czy nie.

Singh skinął głową z pełnym zrozumieniem. W każdym razie chciał mi dać do poznania, że sympatyzuje z Następnie coś zapisał w notatniku i dopił swój tonik.

– Bardzo panu dziękuję, panie Luczak. Otrzymałem od pana cenne informacje. Jeszcze raz przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu.

– Ależ to głupstwo – odparłem.

– Aaa, jeszcze jedna rzecz!

– Słucham, inspektorze?

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, żeby jutro, kiedy pójdzie pan odbierać domniemany manuskrypt pana Dasa, dyskretnie towarzyszyło panu paru agentów policji. Nie będą widoczni. Bardzo by nam to pomogło w sprawie.

– Żeby poszli za mną? Śledzili mnie? – Dopilem dzin. Jeśli zaprotestuję, to mogę mieć większy kłopot, a poza tym policjanci i tak za mną pójda. Ponadto obecność policjantów może złagodzić pewien niepokój, jaki, sam nie wiem dlaczego, odczuwałem w związku z jutrzejszym spotkaniem.

– Pańscy... kontrahenci nie będą o niczym wiedzieli – zapewnił mnie Singh.

Skinieniem głowy wyraziłem zgodę. Poza tym absolutnie mnie nie obchodziło, czy Chatterjee lub Gupta są zamieszani w cokolwiek, czy nie.

– Dobrze, inspektorze. Jeśli ma to panu pomóc w sprawie. Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Czy Das żyje, czy nie. Chętnie panu pomogę.

– Doskonale! – ucieszył się Singh. Wstał i uścisnęliśmy sobie dłonie. – Życzę panu szczęśliwej podróży do Stanów, panie Luczak. I powodzenia w pisaniu.

– Dziękuję, inspektorze.



Deszcz nie przestawał padać przez cały wieczór. Projekty dotyczące spędzenia sobotniego wieczoru w mieście rozplynęły się, gdy po rozsunięciu zasłon zobaczyliśmy ubłocony i nieszczęśliwy świat w monsunowym deszczu. Świetlista smuga na horyzoncie, obwieszczająca tropikalny zachód słońca i przedział między szarym dniem i ciemną nocą, utrzymała się zaledwie przez kilka minut. Potem zostały tylko nikłe światełka pod płachtami na zalanym wodą placu.

Wiktorcia była zmęczona i rozkapryszona, więc wcześniej położyliśmy ją spać w wymoszczonym gniazdku na dużym łóżku. Potem zadzwoniliśmy do kuchni i czekaliśmy godzinę na przyniesienie kolacji. A kiedy ją wreszcie przyniesiono, to stanowiła dowód, że w hinduskim świecie nie wolno zamawiać kanapek z rostbefem. Wiele bym oddał za wspaniałe chińskie danie w wykonaniu Amrity.

O dziewiątej wieczorem, kiedy Amrita brała prysznic przed pójściem spać, usłyszałem pukanie do drzwi. Był to ociekający wodą chłopak z zakupami Amrity. Na szczęście przyniósł materiały w plastikowej torbie. Dałem mu dziesięć rupii, ale chłopiec prosił, żebym mu je zmienił na dwa pięćrupiowe banknoty. Banknot dziesięćrupiowy był naddarty i najwidoczniej waluta indyjska przestaje być traktowana poważnie, jeśli jest uszkodzona. Rozmowa z chłopcem na temat wartości papierowych pieniędzy rozzłościła mnie. Na dodatek, kiedy Amrita wyszła z łazienki i otworzyła torbę, stwierdziła, że to nie są jej zakupy. W sklepie pomyłono je ze sprawunkami Kamakhyi. W związku z tym spędziliśmy następane

dwadzieścia minut szukając w książce telefonicznej właściwej osoby noszącej nazwisko Bharati, co okazało się niemożliwe, gdyż jest to nazwisko równie popularne jak w nowojorskiej książce telefonicznej Jones. Poza tym Amrita doszła do wniosku, że rodzina Kamakhyi prawdopodobnie w ogóle nie ma telefonu.

– Do diabła z tym! – oświadczyłem.

– Łatwo ci tak mówić. Nie spędziłeś godziny w sklepie wybierając właściwe odcienie.

– Z pewnością Kamakhya sama tu przyjdzie, kiedy zobaczy że dostała złą paczkę.

– Mam nadzieję, że zrobi to jutro. Skoro odlatujemy w poniedziałek rano...

I poszliśmy spać. Wiktoria raz się obudziła pochlipując w jakimś dziecięcym śnie, który w dodatku nakazywał jej, pedałować w powietrzu nóżkami i wymachiwać rączkami. Musiałem pochodzić w nią dokoła pokoju, aż usnęła śliniąc się obficie na moim ramieniu. Przez następne dwie godziny było mi albo zbyt gorąco, albo zbyt zimno. Mury przedziwnie wibrowały, jakby przekazywały pracę jakiejś maszynierii. Momentami wydawało mi się, że to krążą po piętrach ręczne windy do przewożenia posiłków – niezliczona liczba ręcznych wind wciąganych i opuszczanych na skrzypiących blokach. Arabskie towarzystwo o dwa pokoje dalej śmiało się i pokrzykiwało w otwartych drzwiach korytarza. Ani im było w głowie zamknąć drzwi.

O jedenastej trzydzieści wstałem z mokrych od potu prześcieradeł i podszedłem do okna. Na jezdnię ciemnej ulicy ciągle lał deszcz. Żadnego ruchu pojazdów.

Otworzyłem walizkę. Ze Stanów zabrałem tylko dwie książki. Mój własny tom poezji wydany ostatnio w twardej oprawie i popularne wydanie

kupione w jakiejś księgarni w Londynie – zbiór poezji Dasa. Usiadłem na krześle przy drzwiach i zapaliłem lampkę do czytania.

Przyznaję, że najpierw otworzyłem mój tom. Przypadkowo na stronie z tytułowym wierszem Duchy zimy. Usiłowałem czytać, ale ostre niegdyś obrazy starej kobiety, chodzącej po swojej farmie i toczącej ożywione rozmowy z przyjaznymi duchami na polach pokrytych grubą warstwą śniegu, wydały mi się teraz wyblakłe wobec gorącej kalkuckiej nocy i przy bezlitosnym biciu monsunowego deszczu w szyby hotelowego pokoju. Odłożyłem własne poezje i wziąłem wiersze Dasa.

Jego poezja natychmiast przykuła moją uwagę. Ze wszystkich krótkich utworów na początku najbardziej podobał mi się Rodzinny piknik z ironicznym, choć nie patronizującym stwierdzeniem, że w życiu należy zawsze okazywać wielką wyrozumiałość w obliczu ekscentrycznego zachowania bliskich.

W paru strofach znalazłem dwie wzmianki pozwalające mi zlokalizować piknik we wschodnich Indiach:

...błękitne, rekinami groźne wody Bengalskiej Zatoki, Ni płótnami żagli splamione, ni dymem z parowców...

...świątynia w Mahalipuram z piaskowca startego do rdzenia Wodami wieczystego morza i milionami modlitw – Dziś miejsce dziecięcych igraszek wśród opasłych kamieni I wieczny temat fotografii wujka Nani...

Na poemat *Pieśń o Matce Teresie* spojrzałem zupełnie innymi oczami. Mniej widoczne wydawały mi się obecnie akademickie ślady wpływu Tagorego, natomiast znacznie wyraźniejsze bezpośrednie odniesienia. Na przykład: *...Uliczna śmierć...*

...Śmierć w rynsztoku...

...Beznadzieja, wśród której tkwiła...

...Gorące błaganie dziecka o pokarm...

...Dziecka wczepionego w wyschniętą pierś bezmlecznego miasta...

Zastanawiałem się głęboko, czy ta epicka opowieść Dasa będzie kiedyś uznana za klasyczny przykład poezji współczującej. Moim zdaniem tak ją należało nazwać, ową opowieść o młodym człowieku, który posłuchał apeli Matki Teresy, choć przybył do Kalkuty z zupełnie inną misją. Z misją niesienia pomocy cierpiącym masom w godnym umieraniu.

Spojrzałem na ostatnią stronę okładki, gdzie znajdowało się zdjęcie Dasa. Poprawiło ono moje samopoczucie. Wysoko sklepione czoło i smutne zapatrzone w świat oczy przypominały mi fotografie Jawaharlala Nehru. Twarz Dasa wyrażała tę samą szlachetną elegancję i godność. Tylko nieco zbyt pełne usta, z kącikami skierowanymi ku górze, sugerowały zmysłowość i pewien egocentryzm nieodzowny poecie. Wydawało mi się, że wiem, po kim Kamakhya odziedziczyła swą zmysłową urodę.

Kiedy zgasłem światło i wśliznąłem się do łóżka obok Amrity, poczułem się znacznie lepiej. Przestałem się bać nadchodzącego dnia.

Za oknami deszcz bił z całych sił w bezładnie stłoczone miasto.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Kalkuto, Kłębka Nerwów Pani,
Dlaczego chcesz mnie zniszczyć?
Będę tu wiecznie obcy. Mam konia,
Wracam więc do mojego rodzinnego miasta.*
Pranabendu Das Gupta

Dość dziwna grupa ludzi udawała się w niedzielę rano na ceremonię przekazania mi manuskryptu. Byłem już na nogach od dwóch godzin, kiedy zadzwonił do mnie Gupta.

O ósmej czterdzieści pięć. W czasie śniadania w hotelowej kafeterii Amrita oznajmiła, że będzie mi towarzyszyć w spotkaniu. Nie potrafiłem jej od tego odwieść. W głębi ducha byłem zadowolony z jej decyzji.

Gupta rozpoczął rozmowę telefoniczną w niepowtarzalnym stylu indyjskim. Na moje „słucham” otrzymałem trzykrotne „halo, halo, halo!” wypowiedziane z nieukrywaną radością, a głos rozmówcy dochodził do mnie tak, jakbyśmy korzystali z kilometra sznurka połączonego z dwiema blaszanymi puszkami. Do tego należało dodać chrypiący szum linii.

- Pan Gupta?
- Halo, halo, halo!
- Dzień dobry, witam pana, panie Gupta.
- Halo, halo, pan Luczak? Halo!
- Tak, to ja.
- Halo! A więc oto, co ustaliliśmy... Halo? Pan Luczak! Halo?
- Jestem, słucham.

– A więc wszystko jest zorganizowane. Uda się pan na spotkanie sam, kiedy przyjedziemy po pana do hotelu o dziesiątej trzydzieści.

– Moja żona też pojedzie, panie Gupta. Ustaliliśmy, że...

– Że co? Co? Halo!

– Nie, nie, nie! Wszystko jest ustalone. Musi pan pojechać sam.

– Tak, tak, tak! – Postanowiłem zastosować hinduską metodę trzykrotnego powtarzania kluczowego słowa. – Albo moja żona pojedzie ze mną, albo ja nigdzie nie jadę. A mówiąc szczerze, panie Gupta, mam już dosyć tych głupstw w stylu Jamesa Bonda. Przyjechałem tu z odległości bliskiej połowie obwodu ziemi, żeby otrzymać literacki utwór, a nie w celu samotnego przemykania się zaułkami Kalkuty. Gdzie ma się odbyć to spotkanie?

– Nie, nie, nie! Byłoby znacznie lepiej, gdyby pan udał się na nie sam.

– A dlaczegoż to? Jeśli to jest takie niebezpieczne, to chciałbym się dowiedzieć...

– Ależ skąd, tu nie ma mowy o żadnym niebezpieczeństwie.

– Raz jeszcze pytam, panie Gupta, gdzie odbędzie się spotkanie? I powtarzam, że nie mam czasu na żadne głupstwa. Jeśli wrócę do siebie bez manuskryptu, to i tak coś napiszę. Mam co opisywać. A z wami najprawdopodobniej skontaktują się adwokaci Harper's. – Wiedziałem dobrze, że moja groźba jest bez pokrycia, niemniej po drugiej stronie zapadło milczenie. Pozostały jedynie szumy i trzaski na linii.

– Halo, halo, panie Luczak? – usłyszałem po dłuższej chwili.

– Tak?

– Bardzo dobrze, panie Luczak. Pańska żona będzie, oczywiście, mile widziana. Mamy spotkać się z pełnomocnikiem pana Dasa. W domu Tagorego...

– W domu Tagorego? – wyraziłem zdziwienie.

– Tak, tak, tak. Jak pan wie, tam jest muzeum.

– Doskonale! – ucieszyłem się. – Miałem nadzieję zobaczyć kiedyś dom Tagorego. Bardzo się cieszę.

– Pan Chatterjee i ja przyjedziemy po państwa do hotelu o dziesiątej trzydzieści. Halo, panie Luczak?

– Słucham?

– Do widzenia, panie Luczak!

Chatterjee i Gupta pojawili się dopiero o jedenastej, ale kiedy już wcześniej zeszliśmy do holu, czekał tam Krishna w tej samej brudnej koszuli i wymiętych spodniach. Zachowywał się tak, jakby szalał z radości na nasz widok. Nisko kłaniał się Amricie, wzburzył rzadkie włoski Wiktorii i bardzo długo ścisnął mi rękę, a po chwili zaczął ścisnąć po raz drugi. Wyjaśnił mi, że przyszedł, by mi powiedzieć, że „nasz wspólny przyjaciel, pan Muktanandaji” mógł powrócić do rodzinnej wsi Angudy dzięki mojemu hojnemu darowi.

– Przecież powiedział, że już nigdy nie będzie mógł tam wrócić?

– Aaa! – odparł Krishna wzruszając ramionami.

– Wynika z tego, że zarówno Thomas Wolfe, jak i pan Muktanandaji nie mieli racji.

Krishna przez długą chwilę patrzył na mnie okrągłymi ze zdumienia oczami, a potem wybuchnął śmiechem tak głośnym, że Wiktorii zaczęła płakać.

– Czy dostał pan poemat Dasa? – spytał, gdy Wiktorii się uspokoiła.

– Właśnie za chwilę jedziemy go odebrać – odpowiedziała za mnie Amrita.

– Aaa! – Zauważyłem błysk w oczach Krishny.

Powodowany impulsem spytałem:

– Chciałby pan nam towarzyszyć? Może interesuje pana, jaki utwór potrafi spłodzić topielec.

– Bobby! – wykrzyknęła Amrita, Krishna natomiast skinął tylko głową, a jego uśmiech jeszcze bardziej przypominał mi rozdziawioną paszczę rekina.



Gupta i Chatterjee nie byli zachwyceni moją decyzją wyprawy w rodzinnym gronie. Wprost nie miałem serca im powiedzieć, że będzie nam ponadto towarzyszyć absolutnie nie znany przedstawiciel kalkuckiej społeczności.

– Pan Gupta! Moja żona, Amrita! – przedstawiłem.

Amrita wymieniła z panami Gupta i Chatterjee kilka grzecznościowych zdań w języku hindi.

– A to jest, panowie, nasz przewodnik, pan Krishna. On również będzie nam towarzyszył...

Gupta i Chatterjee skinęli głowami, twarze mieli ściągnięte, natomiast Krishna dosłownie promieniał.

– Myśmy się już poznali, panie Chatterjee powiedział Krishna. – Nie pamięta pan?

Michael Leonard Chatterjee zmarszczył brwi i poprawił okulary na nosie.

– Nie przypomina sobie pan? Ani pan też nie, panie Gupta? To było przed kilku laty po moim powrocie z ojczyzny pana Luczaka. Złożyłem wówczas podanie o przyjęcie mnie do związku pisarzy...

– O tak, tak – odezwał się pan Chatterjee, chociaż widać było, że niczego sobie nie przypomina.

– Tak, tak, właśnie. Powiedziano mi, że w mojej prozie „brak jest dojrzałości, stylu i dyscypliny”. I w związku z tym nie zostałem, oczywiście, przyjęty.

Chatterjee i Gupta okazali zakłopotanie. Krishna najmniejszego. Zaczęło mnie to bardzo bawić. Byłem zadowolony, że go zaprosiłem.

Odjechaliśmy spod hotelu bardzo przeładowaną limuzyną indyjskiej produkcji. Gupta, Chatterjee i umundurowany szofer Chatterjee’ego jechali z przodu. Z tego, co widziałem z tylnego siedzenia, szofer trzymał jedną rękę na zewnątrz wozu, drugą nieustannie poprawiał sobie czapkę, prowadził kolanami. Skutek był taki sam, jakby trzymał kierownicę obiema rękami.

Siedziałem ściśnięty między Kriszną i Amritą trzymającą na kolanach Wiktorię. Wszyscy bardzo się pociliśmy. Z tym, że Krishna zaczął się pocić dużo wcześniej.

Upał był nieprawdopodobny. Prawie natychmiast po opuszczeniu klimatyzowanego hotelu szkła okularów Chatterjee’ego i obiektyw aparatu fotograficznego Amrity zmatowiały od pary. Temperatura na zewnątrz dochodziła do czterdziestu stopni. Bawełniana koszula po paru minutach przykleiła mi się do pleców. Na zaśmieconym placu w pobliżu hotelu rozsiadło się w zbitej gromadzie kilkudziesięciu mężczyzn. Podkurczone kościste kolana sięgały im powyżej podbródków. Byli wyposażeni w sprzęt murarski. Spytałem Kriszny, co oni tutaj robią. Wzruszył ramionami i odparł krótko, że „jest niedzielny poranek”. To enigmatyczne wyjaśnienie wydawało się wszystkich satysfakcjonować, więc nie pytałem dalej.

Jechaliśmy w dół Chowringhee. Skręciliśmy w prawo koło Raj Bhavanu – rządowego budynku z czasów administracji brytyjskiej – i pojechaliśmy

ulicą Dharamtala. Wpadające przez opuszczone okna powietrze było nie tylko gorące, ale wydawało się drażnić skórę rąk i twarzy niby papier ścierny. Zmatowiałe i zlepione w kosmyki włosy Krishny wiły się na wietrze niby węże. Przed każdym znakiem nakazującym zatrzymanie się lub przed skrzyżowaniem, na którym kierował ruchem policjant, kierowca wyłączał silnik. W milczeniu i nabrzmiałej ciszy czekaliśmy, aż ruszy.

Wjechaliśmy na tak zwaną Górną Obwodnicę, w kierunku wschodnim, a następnie zjechaliśmy na ulicę Rajy Dinendry – krętą arterię biegnącą wzdłuż kanału. Zatechła woda cuchnęła. W tym brunatnym ścieku kanalizacyjnym kąpały się nagie dzieci.

– Niech pan spojrzy! – Chatterjee wskazał w prawo gdzie wznosiła się bogato zdobiona świątynia we wszystkich barwach tęczy. – Świątynia Jainów. Bardzo interesująca.

– Jainom nie wolno pozbawiać życia żadnej istoty odezwała się Amrita. – Kiedy kapłani Jainów wychodzą ze świątyni, idą przed nimi słudzy z wielką ostrożnością zmiatający wszystko z drogi, by nie nastąpić przypadkiem na jakiegoś robaczka.

– Kapłani noszą też chirurgiczne maseczki z gazy, zęby przypadkiem nie połknąć muchy – dodał Chatterjee.

– Nie kąpią się z szacunku dla bakterii żyjących na skórze – uzupełnił Krishna.

Skinąłem głową myśląc sobie, że Krishna chyba też przejął ów obyczaj Jainów. Przyznam się, że czułem lekki zawrót głowy wdychając miazmaty kalkuckich ulic wzmocnione smrodem z kanału i wonią ciała Krishny.

– Religia nie pozwala im jeść niczego, co żyje lub żyło – dorzucił Krishna bardzo zadowolony ze swej erudycji.

– Zaraz, zaraz, to przecież obejmuje absolutnie wszystko – zareagowałem. – Czym oni się wobec tego żywią?

– Aaa! Pytanie za tysiąc dolarów – odparł Krishna.
Jechaliśmy dalej.



Dom Rabindranatha Tagore znajdował się w Chitpur. Po zaparkowaniu samochodu w bocznej uliczce weszliśmy przez furtę na jeszcze węższe od uliczki podwórze, tam zdjęliśmy obuwie na werandzie pod daszkiem i dopiero wtedy wkroczyliśmy do piętrowego domu.

– Z szacunku dla Tagorego budynek ten jest traktowany jak świątynia – poinformował mnie uroczyście Gupta.

– Wcześniej czy później każdy zabytek staje się świątynią – powiedział Krishna i roześmiał się. – Na przykład w Benaresie władze kazały wznieść szopę, w której umieszczono model Indii, taką gipsową trójwymiarową mapę. Chodziło o to, żeby niepiśmiennym chłopom dać jakieś wyobrażenie o naszym kraju. I teraz ludzie zrobili z tego świątynię. Sam widziałem, jak się tam modlą. Jest nawet festiwal tej mapy, święty dzień. Wyobrażacie sobie, państwo! Święto gipsowej mapy!

– Sza! – powiedział Chatterjee. Poprowadził nas na górę ciemnymi schodami.

W izbach, które zajmował niegdyś Tagore, nie było żadnych mebli, natomiast na ścianach wisały fotografie, jedna obok drugiej, a wokół stały gabloty pełne manuskryptów wartych dziś fortunę. Między manuskryptami leżały pudełeczka ulubionej tabaki mistrza.

– Jesteśmy tu sami? – zdziwiła się Amrita.

– O tak! – potwierdził śpiesznie Gupta. Przypominał mi w tym momencie uśmiechniętego szczura. – W niedziele muzeum jest zazwyczaj

zamknięte. Zostaliśmy wyjątkowo wpuszczeni.

– Wspaniale! – odparłem, ot tak, by coś powiedzieć.

Nagle z głośników rozległ się głos Tagorego. Niski i świszczący. Poeta czytał fragmenty własnej poezji i przeplatał to śpiewaniem skomponowanych przez siebie ballad.

– Doskonale! – dodałem.

– Przedstawiciel pana Dasa powinien wkrótce się pojawić – powiedział Chatterjee.

– Nie śpieszy mi się – odparłem. Na jednej ze ścian wisiały duże obrazy olejne Tagorego. Poeta bowiem także malował. Styl przypominał mi trochę ilustratora N.C. Wyetha. Tak, impresjonizm w wersji ilustratora!

– Tagore dostał nagrodę Nobla – poinformował Chatterjee.

– Wiem – odparłem.

– Skomponował nasz hymn narodowy – powiedział Gupta.

– Tak, teraz sobie przypominam – mruknąłem.

– Napisał wiele wspaniałych sztuk – dodał Gupta.

– Założył wspaniały uniwersytet – uzupełnił Chatterjee.

– W tym domu umarł – zakończył Krishna. – Właśnie tu!

Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy w kierunku wskazywanym przez Krishnę: w pusty kąt pokoju. Pusty z wyjątkiem pokładu kurzu.

– W roku 1941 – zaczął wyjaśniać Krishna – stary poeta tu właśnie umierał. Żył jeszcze ostatnimi tchnieniami. Jak nie nakręcony zegarek... jeszcze idzie, jeszcze trochę... Było tu z nim kilku jego uczniów. Na początku kilku. A potem zaczęło schodzić się coraz więcej. Przybywali coraz to nowi, aż cały dom zapełnił się ludźmi. Niektórych poeta w ogóle nie znał. Mijały dni. Serce nadal biło. Ludzie czekali i żeby się nie nudzić, zorganizowali wielką zabawę. Ktoś poszedł do dowództwa amerykańskiego... Bo wtedy był tu już garnizon amerykański... i

wypożyczył projektor i kilka pudeł z filmami. Oglądano Flipa i Flapa i filmy rysunkowe z Myszką Miki. Mistrz był już nieprzytomny, leżał sobie w kącie, wszyscy o nim zapomnieli. Były chwile, kiedy odzyskiwał przytomność. Powracał ze śmiertelnego snu jak ryba, która wypływa na powierzchnię wody. Możecie sobie państwo wyobrazić chaos w jego głowie, gdy widział w takich chwilach tylko tyły głów swoich przyjaciół i nie znanych sobie ludzi wpatrzonych w migocące obrazki na ścianie.

– A tutaj jest pióro, którym Tagore pisał swoje wspaniałe sztuki – odezwał się głośno pan Chatterjee chcąc nas odciągnąć od Krishny.

– I Tagore zdążył jeszcze napisać poemat na ten temat – kontynuował nie zniechęcony Krishna. – O umieraniu w czasie igraszek Flipa i Flapa. W tych ostatnich dniach życia datował wszystkie wiersze wiedząc, że każdy z nich może być ostatnim. I w tych godzinach świadomości między długimi okresami, kiedy był nieprzytomny, zapisywał też dokładny czas. Wtedy uleciał już gdzieś jego sentymentalny optymizm. Zniknęła też dobroduszość tak charakterystyczna dla jego twórczości. A wszystko dlatego, że te ostatnie wiersze przedzielone były śmiertelnym mrokiem. Właściwie krainą śmierci. Tagore był po prostu bardzo starym, przerażonym człowiekiem. Ale te wiersze...! Te jego ostatnie wiersze są przepiękne... I wyrażają boleść. Boleść z powodu bliskiej śmierci. Tagore patrzył na ruchome obrazki na ścianie i myślał sobie: „Czy my wszyscy jesteśmy tylko migającym wyobrażeniem? Czy jesteśmy obrazem na mgnienie oka rzuconym na ekran ku uciechu znudzonych bogów?”. A potem umarł. Właśnie tam, w tamtym kącie.

– Chodźmy tędy – warknął ze złością Gupta. – Mamy jeszcze wiele do zobaczenia.

W istocie było dużo do zobaczenia. Fotografie przyjaciół Tagorego i jego współczesnych z dedykacjami... Einsteina, G.B. Shawa i bardzo

wówczas młodego Willa Duranta.

– Tagore wywarł duży wpływ na twórczość pana W.D. Yeatsa – powiedział Chatterjee. – Czy pan wie na przykład o tym, że okrutna bestia w Drugim Objawieniu, owo cielsko lwa z głową człowieka, została zapożyczona przez Yeatsa z opisanego mu przez Tagorego piątego wcielenia Wisznu?

– Nie wiedziałem – odparłem.

– To prawda – zgodził się Krishna. Przeciągnął dłonią po pokrytej kurzem szybie gabloty i uśmiechnął się do Chatterjee’ego. – A wiecie państwo, co się wydarzyło, kiedy Tagore posłał Yeatsowi oprawny tom swych bengalskich poematów? Yeats był wówczas w salonie swego londyńskiego mieszkania, kiedy mu wręczono przesyłkę. Poderwał się z fotela, podbiegł do ściany, zerwał z mej otrzymaną niegdyś w podarunku samurajską szablę i posiekał na kawałki książkę Tagorego... – Krishna nie zwrócił uwagi na podniesione ze zgorzenia brwi panów Chatterjee i Gupty. Padł na kolana i połączonymi dłońmi zamierzył się wyimaginowaną szablą.

– Naprawdę? – spytała Amrita.

– Tak było naprawdę, pani Luczak! I Yeats zaczął płakać wykrzykując: „Niech Tagore będzie przeklęty! Jest piewcą miłości i pokoju, podczas gdy prawda tkwi we krwi”.

Nagranie ze słowami i muzyką Tagorego nagle się skończyło. Do pokoju wszedł biednie ubrany chłopiec w wieku około ośmiu lat. W dłoni trzymał małą płócienną torbę. Była jednak zbyt mała, by mogła pomieścić rękopis, na który czekałem. Chłopiec rozejrzał się po twarzach obecnych, a potem podszedł do mnie.

– Pan jest pan Luczak? – spytał. Właściwie wyrecytował na pamięć wyuczone dźwięki, jakby nie znał angielskiego.

– Tak.

– Proszę za mną. Pójdziemy do pana Dasa.



Na podwórzu czekała riksza. Było tam miejsce dla chłopca, Amrity z Wiktorią i mnie. Gupta i Chatterjee poszli do samochodu, by jechać za nami. Krishna pozostał w drzwiach straciwszy zainteresowanie.

– Nie jedzie pan? – spytałem go.

– Nie jadę. Zobaczę się z panem później – odparł.

– Wyjeżdżamy jutro z samego rana – poinformowała go Amrita.

Krishna wzruszył ramionami. Chłopiec powiedział coś do rikszarza. Wyjechaliśmy na ulicę, samochód Chatterjee’ego za nami. Stojąca nieco dalej popielata limuzyna też ruszyła. Za nią powłókł się zaprzężony w dwa woły wózek z kilkoma obdartusami. Ubawiła mnie myśl, że woźnica tego pojazdu był policjantem mającym mieć na nas oko. Chłopiec wykrzyknął coś po bengalsku do rikszarza, ten krzykliwie odpowiedział i zaczął biec truchtem.

– Co on mu powiedział? Dokąd jedziemy? – spytałem Amrity.

– Chłopiec kazał mu pośpieszyć się, a rikszarz odpowiedział, że amerykańskie świnie są ciężkie – wyjaśniła z uśmiechem Amrita.



Przejechaliśmy przez zatłoczony most Haura na rzece Hugli. Nie widziałem takiej masy przeróżnych pojazdów na żadnej z kalkuckich ulic. Pieszycy było jeszcze więcej niż pojazdów i cała ta zbita, pełznąca masa

zajmowała szczelnie oba poziomy mostu. Przedziwnie splątane, stalowe kratownice mostu spinały oba brzegi odległe od siebie o kilkaset metrów. Ta mostowa konstrukcja przypominała mi złożoną przez obdarzonego bogatą wyobraźnią chłopca gigantyczną zabawkę z zestawu „Mecano”. Pożyczyłem od Amrity aparat, żeby zrobić zdjęcie.

– Po co ci to? – spytała Amrita.

– Obiecałem twojemu ojcu.

Chłopiec zaczął wymachiwać rękami i coś gwałtownie, z niezadowoleniem wykrzykiwać.

– Co on mówi?

– Nie jestem pewna... – Amrita zmarszczyła brwi – ale coś na temat mostu. Że podobno nie wolno go fotografować.

– Powiedz mu, żeby się nie przejmował.

Amrita coś mu odpowiedziała po hindusku, chłopiec odpowiedział po bengalsku, nadal podniecony.

– Powiedział, że musi się martwić. I niech Amerykanie szpiegują swoimi satelitami, ale nie z bliska.

Jezu drogi! Riksza zatrzymała się przed nieskończone długim budynkiem z cegły. Dworzec kolejowy Haura. Obejrzałem się. Ani czarnego wozu pana Chatterjee, ani popielate, limuzyny. Nieskończony ciąg pojazdów na moście, zjeżdżających z mostu i skręcających w lewo do dworca.

– I co teraz?

Chłopiec podał mi płócienny woreczek. Zdziwiłem się, że jest taki ciężki. Rozplątałem tasiemkę i zajrzałem do środka.

– Monety! – wykrzyknęła zdumiona Amrita.

– Ale patrz, jakie! Półdolarówki z Kennedym. Jest ich tu kilkadziesiąt.

Chłopiec mówiąc coś wskazał na wejście do dworcowej hali.

– Masz iść na dworzec i rozdać je – wyjaśniła Amrita.

– Rozdać je? Komu?

– On mówi, że będą tacy, co o nie pytają.

Chłopiec pokiwał głową, jakby wszystko rozumiał, sięgnął do woreczka, wyjął z niego cztery półdolarówki. Potem wyskoczył z rikszy i zniknął w tłumie.

Wiktorcia sięgnęła rączką do worka. Szybko go odsunąłem i zaciągnąłem tasiemkę.

– No i co? Jesteśmy pozostawieni sami sobie. – Spojrzałem na Amritę.

– Idź, mężu, pierwszy!



W okresie mego dzieciństwa największym budynkiem świata wydawała mi się hala targowa w Chicago. W latach sześćdziesiątych miałem okazję zwiedzić halę montażu pojazdów kosmicznych w Ośrodku Lotów Kosmicznych imienia Kennedy'ego na Florydzie. Oprowadzający mnie przyjaciel powiedział, że czasami pod sklepieniem formują się chmury.

Ten dworzec jednak zrobił na mnie znacznie większe wrażenie. Była to budowla na gigantyczną skalę. Zaraz po wejściu do głównej hali zobaczyłem około tuzina peronów, pięć lokomotyw stojących i wiele sapiących; do tego setki sprzedawców oferowało tajemnicze produkty z wózków, z których ulatywały w górę pióropusze gryzącego dymu; tysiące spoconych ludzi ocierało się o siebie w biegu; tysiące koczowało, spało, gotowało strawę – po prostu tu mieszkali. Do moich uszu dotarła kakofonia dźwięków tak ogłuszających, że nie było mowy o usłyszeniu własnego głosu. Nie było też mowy o myśleniu. Dworzec Kolejowy Haura!

– Matko litościwa! – mruknąłem pod nosem.

Metr nad moją głową obracało się niemrawo lotnicze śmigło usiłując rozruszać ciężkie powietrze. Dziesiątki podobnych śmigieł opuszczonych spod sklepienia warczało swoją melodię dołączając się do morza innych dźwięków.

– Co powiedziałaś? – spytała Amrita tuląc do piersi Wiktorię.

– Nic, absolutnie nic!

Zaczęliśmy iść przed siebie bez celu, przepychając się przez tłum zmierzający donikąd. Amrita pociągnęła mnie za rękaw. Przechyliłem głowę, aby mogła mówić mi wprost do ucha.

– Czy nie powinniśmy poczekać na Guptę i Chatterjee’ego?

– Niech sobie sami sprawią worek półdolarówek...

– Co powiedziałaś?

– Nic.

Podeszła do nas krępa kobieta. Na plecach niosła coś, co mogło być jej mężem: wygięty w precel kręgosłup, wystający suchy obojczyk, pozbawione mięśni nogi zaplątane w sari, którym kobieta był okręcona. Niesiony stwór wyciągnął ku nam kościstą rękę, otworzył dłoń.

– Baba, baba! – wymamrotał.

Tylko chwilę się wahałem. Potem sięgnąłem do płóciennego woreczka, wyjąłem półdolarówkę i położyłem na dłoni. Kobieta rozwarła szeroko oczy i wyciągnęła ku mnie obie ręce.

– Baba! – powtórzyła.

– Czy powinienem wszystko jej dać? – spytałem Amrity, ale nim zdołała mi odpowiedzieć, już kilkanaście wyciągniętych dłoni tańczyło mi przed oczami.

Usiłowałem się wycofać, ale plecami i karkiem tramem w inne dłonie podstawione z tyłu. Zacząłem szybko rozdawać półdolarówki. Widziałem

dłonie, które chwyciły srebrne krążki, umykały z nimi, by po chwili puste pojawić się powtórnie. Amrita z Wiktoria były już o kilka metrów dalej. Bardzo dobrze, że się odsunęły.

Tłum niepokojąco rósł. Otaczało mnie teraz ponad pół setki wrzeszczących ludzi. Z początku czułem się jak dobry ojciec rozdający dzieciom cukierki, ale to niefrasobliwe złudzenie zniknęło, gdy z tłumu wychylna zohydzona trądem dłoń i pacnęła mnie w nos.

Cofnąłem się z obrzydzeniem i coś krzyknąłem, ale ten dźwięk utonął w ryku tłumu, który liczył teraz chyba już kilkaset osób prących bezlitośnie do środka, gdzie stałem ja. Napierano na mnie ze wszystkich stron, coraz silniej. Jakaś ręka rozerwała mi koszulę, a nim się wycofała, oznaczyła mi pierś czerwonymi pręgami. Oberwałem cios w głowę wysuniętym łokciem i z pewnością upadłbym na ziemię, gdyby parcie z przeciwnej strony nie utrzymało mnie w pozycji stojącej.

– Baba, baba, baba! – przeraźliwy ryk tłumu, który zaczął mnie wyraźnie nieść, zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Z przerażeniem stwierdziłem, że cała ta masa ludzka, ze mną pośrodku, zbliża się do skraju peronu. Byliśmy już bardzo blisko. Tory znajdowały się okropnie głęboko – chyba ze dwa metry poniżej. Kobieta z wyschniętym kaleką na plecach nagle przeraźliwie krzyknęła. Niesiony przez nią ciężar spadł i zniknął w zezwierzęconym stadzie ludzi. Jakiś mężczyzna koło mnie zaczął po prostu wyć i raz po raz walić swego sąsiada w twarz.

– Pocałujcie mnie... – mruknąłem do siebie i rzuciłem woreczek w górę. Woreczek leniwie obrócił się do góry dnem spadając łagodnym łukiem, a srebrne monety posypały się na tłum i stojącego tuż obok sprzedawcę ryżu. Wrzask spotęźniał i rozgorączkowany tłum rzucił się w kierunku przeciwnym do torów. Usłyszałem, że na tory pada coś ciężkiego. Odgłos był głuchy połączony z jękiem. Stojąca obok kobieta dziko wrzasnęła i

prychnęła śliną. Jej krople trafiły na moją twarz. Otrzymałem potężny cios w kark, poleciałem do przodu, chwyciłem kurczowo jakieś sari i padłem na kolana. Wciąż znajdowałem się w środku tłumu. Wpadłem w panikę, zasłoniłem twarz dłońmi. Raz po raz waliły w moją głowę czyjeś kolana, czułem smród brudnych szmat, o twarz ocierały się nogawki podartych spodni. Nie potrafiłem się dźwignąć. Ktoś się o mnie potknął i runął na ziemię przez moje plecy. Ktoś inny runął znów na tego, który upadł poprzednio. Wydawało mi się, że cały tłum wgniata mnie w ziemię. Leżałem teraz plackiem, z twarzą przy cementowej płycie. Chyba usłyszałem krzyk Amrity przebijający się przez ryk tłumu, już otwierałem usta, aby jej odpowiedzieć, gdy otrzymałem kopniaka prosto w twarz bosą, brudną stopą. Jednocześnie ktoś stanął mi na nodze i poczułem straszliwy ból.

Przejście z beznadziejnego mroku, w którym tratował mnie skłębiony tłum, do jasności dnia był nagły. Zobaczyłem światło dzienne wpadające przez rozbite świetliki w stropie gdzieś wysoko. I twarz Amrity pochylonej nade mną. Lewą ręką obejmowała mocno Wiktorię, a prawą odganiała pojedynczych żebraków, którzy jeszcze pozostali na placu boju. Tłuszcza się rozplynęła. Amrita pomagała mi usiąść na niesłychanie brudnej posadzce dworca Jak zwykle miałem pod ręką literacką metaforę: wielka fala przyływu! Przetoczyła się, poczyniła szkody, a potem już nakarmiona zniszczeniem wycofała z łagodnym szmerem, wtopiła w morze ludzkie zalewające dworcową halę. Blisko mnie siedział w kucki jakiś starzec pilnie bacząc na czajnik z gotowaną wodą. Trudno mi było uwierzyć, że starzec, czajnik i kuchenka przetrwali to, co się tu przed chwilą wydarzyło.

– Przepraszam, bardzo cię przepraszam! – powtarzałem w kółko, odzyskując powoli oddech i zdolność myślenia. Kiedy najgorsze już minęło, Amrita na zmianę łkała i śmiała się tuląc mnie i pomagając mi

wstać. Sprawdziliśmy, czy Wiktorია nie ma żadnych zadrapań. Nasza córka wybrała tę chwilę na płacz. Płakała tak rozdzierająco, że obojgu nam zabrakło sporo czasu, by ją wreszcie uspokoić, i kosztowało bardzo wiele całusów. – Raz jeszcze cię przepraszam za moją głupotę – powiedziałem.

– Spójrz! – powiedziała Amrita wskazując coś palcem.

Prawie pod moimi stopami leżała tania, tekturowa teczka. Podniosłem ją. Przepchnęliśmy się przez tłum wydzierających się rikszarzy, wyszliśmy poza zgiełk przed głównym wejściem, znajdując stosunkowo ustronne miejsce pod jakimś murem, za którym kłębił się zbity tłum. Raz jeszcze obejrzeliliśmy dobrze Wiktorię. Żadnego zadrapania. Mała mrugała tylko w jaskrawym świetle i widać było, że się zastanawia, czy już nadszedł czas na rozpoczęcie kolejnego seansu płaczu.

– Zobaczmy szybko, co jest w tej teczce, i jedźmy stąd. – Amrita ścisnęła moje ramię.

– Zobaczę później – odparłem.

– Otwórz i zobacz teraz, Bobby – nalegała. – Będzie nam potem bardzo głupio, jeżeli się okaże, że w tej teczce jest śniadanie jakiegoś biednego urzędnika.

Skinąłem głową i odpiąłem sprzączki liczej teczki. Zawartością nie było niczyje śniadanie, lecz kilkaset stron tekstu. Jedne strony pisane ręcznie, inne przepisane na maszynie. Różne kolory papieru, różne rozmiary kartek. Pobieźnie przerzuciłem kilka stron i stwierdziłem, że mam do czynienia z poezją i że tekst jest po angielsku.

– Dobrze, zmykamy stąd! – powiedziałem.

Zapiąłem teczkę i zacząłem wzrokiem szukać taksówki, kiedy z piskiem zahamowała koło nas czarna limuzyna i wyskoczyli z niej panowie Gupta i Chatterjee, pokrzykując coś w podnieceniu.

– Witajcie! – powiedziałem zrezygnowanym głosem. – Co panów zatrzymało w drodze?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ciałem i duszą myślę...

O kobietach Kalkuty.

Ananda Bagchi

Przeraziłem się swojego odbicia w lustrze. Zobaczyłem jakieś rozczochrane straszidło w rozchełstanej koszuli, w umorusanych i wymiętych niegdyś białych spodniach. Na piersi miałem czerwone pręgi po zadrapaniach. Zniszczoną koszulę cisnąłem na podłogę. Amrita pieczołowicie obmywała mi skaleczenia watką umoczoną w wodzie utlenionej.

– Panowie Gupta i Chatterjee nie byli zachwyceni...

– A czy to moja wina, że w teczce nie ma bengalskiej wersji poezji Dasa? – odparłem.

– Chcieliby mieć też więcej czasu na zapoznanie się z wersją angielską.

– Mogą sobie poczytać jej fragmenty w Harper's albo poczekać na wiosenne wydanie Voices. Oczywiście jedynie wtedy, gdy eksperci Morrowa zdecydują, że jest to dzieło Dasa. Ja mam poważne wątpliwości.

– Nie poczytasz tego dzisiaj?

– Ani mi się śni! Rzucę okiem jutro w samolocie, a dokładnie przeczytam po powrocie do domu.

Amrita skończyła oględziny mojej klatki piersiowej.

– Chciałabym, żeby po powrocie obejrzał to doktor Heinz.

– Niech obejrzy – zgodziłem się.

Poszliśmy do pokoju i usiedliśmy na łóżku. W mieście nie było prądu, klimatyzacja nie działała, było gorąco jak w łaźni parowej. Otwarcie okna nic nie pomagało – wdzierał się jedynie dodatkowo hałas i smród z ulicy.

Wiktorija siedziała na podłodze na swojej kołderce. Miała na sobie tylko pieluszkę w gumowych majteczkach. Zadowolona zmagiała się z piłką zaopatrzoną w środku w hałaśliwe dzwoneczki. W tych zapasach piłka brała górę.

Nawet dziwiłem się trochę samemu sobie, że nie łapię od razu za teksty domniemanej poezji Dasa. Moją cechą nie było bynajmniej duszenie w sobie naturalnego odruchu ciekawości bądź odkładanie na potem przyjemności będącej ukoronowaniem jakiegoś wysiłku. A trzeba przyznać, że wysiłek w zdobyciu tego materiału był spory. Jednakże poczułem się okropnie zmęczony i zgaszony. Zrodził się we mnie jakiś irracjonalny opór, by choćby zerknąć na te teksty przed szczęśliwym opuszczeniem tego kraju.

A gdzie była policja, kiedy mnie tratował tłum?

Nie widziałem popielatej limuzyny i zacząłem mieć wątpliwości, czy w ogóle pojechała za nami na dworzec. W Kalkucie nic nie działało sprawnie. Nawet policja. Niby dlaczego miałyby być wyjątkiem?

– Co więc będziemy dziś robić? – spytała Amrita.

Opadłem na łóżko biorąc przedtem do ręki przewodnik.

– Możemy zwiedzić Fort William, określony jako godny obejrzenia, lub meczet Nakhoda z przydomkiem Wspaniały. Aha, napisali tu, że wzorowany jest na mauzoleum Akbara. Nie wiem, kto to był Akbar. Możemy też pojechać na drugą stronę rzeki, do ogrodu botanicznego.

– Za gorąco – stwierdziła Amrita. Miała teraz na sobie szorty i bawełnianą koszulkę z napisem: *MIEJSCE KOBIETY JEST W DOMU – I W SENACIE*. Ciekawe, co powiedziałby pan Chatterjee, gdyby ją zobaczył tak ubraną.

– No to pójdziemy do muzeum kolonialnego. Do Victoria Memorial. Jestem pewna, że nie ma tam nawet zwykłych wentylatorów. Chodźmy tam,

gdzie może być trochę chłodniej.

– Chyba tylko w barze.

– Ale dziś jest niedziela.

– Zapomniałem. Przy okazji! Już dawno miałem cię zapytać, dlaczego w Indiach zamykane są wszystkie...

– Już wiem! – przerwała mi Amrita. Możemy iść do parku, na Majdan, tuż koło toru wyścigowego Pamiętasz, widzieliśmy z taksówki? W parku powinien być jakiś wiaterek.

– Możemy spróbować! – Westchnąłem. W każdym razie nie będzie tak gorąco jak w hotelowym pokoju bez klimatyzacji.



W parku było równie gorąco. I ponadto bezustannie oblegały nas gromadki żebraków przypominając poranną przygodę na dworcu. Nawet częste gwałtowne i krótkie monsunowe ulewy nie zniechęcały żebrzących. Bardzo szybko pozbyłem się wszystkich drobnych pieniędzy, ale wołania o litość i wsparcie jedynie się potęgowały. Wyłuskałem jeszcze z kieszeni dwie rupie na bilety do parkowego ogrodu zoologicznego. Udało nam się tam umknąć. W ogrodzie było bardzo niewiele zwierząt. Siedziały smutno w klatkach i leniwie opędyły się ogonami przed chmarami much i innych owadów. Dyszały ciężko z gorąca wywalając języki. Zapachy zwierząt mieszały się z mdłym smrodem ścieków płynących wąskim dopływem rzeki Hugli przecinającym park. Usiłowaliśmy zainteresować Wiktorię wyleniałym, zmordowanym tygrysem i paroma ponuro spoglądającymi małpkami, ale dziecko wolało spać wtuliwszy główkę w moją przepoconą koszulę. Kiedy nie wiadomo już który raz zaczęło lać, schroniliśmy się do

jakiejś altany, gdzie najwyżej siedmioletni chłopczyk czuwał nad niemowlęciem leżącym na popękany kamiennym cembrowaniu. Od czasu do czasu chłopiec odpędzał dłonią muchy usiłujące wylądować na buzi dziecka. Amrita próbowała z nim porozmawiać, ale tylko na nią patrzył szeroko otwartymi, brązowymi oczami siedząc nad niemowlęciem w kucki. Wsunęła mu w dłoń kilka rupii i długopis. Deszcz przestał padać, więc poszliśmy.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, był już prąd. Jednakże zmordowany latami ciężkiej pracy klimatyzator potrzebował jeszcze wiele czasu, by odpowiednio obniżyć temperaturę w pokoju. Amrita zdążyła wziąć prysznic, a ja rozebrać się, by uczynić to samo, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi.

– Aaa! Panie Luczak! *Namaste!*

– *Namaste*, panie Krishna! – odparłem stając w drzwiach.

– Czy transakcja została uwieńczona sukcesem, panie Luczak?

– Tak, dziękuję.

– Ale nie przeczytał pan jeszcze poematu pana Dasa? – Krishna uniósł brwi.

– Nie, jeszcze nie. – Przygotowywałem się na ewentualną prośbę, bym pożyczył teksty do przeczytania.

– Tak, tak, rozumiem. Nie chcę panu przeszkadzać, panie Luczak. Jednakże przed pańskim spotkaniem z panem Dasem chciałbym coś panu dać. – Wręczył mi pomietą, papierową torebkę.

– Nie przewiduję spotkania z...

– Tak, tak, rozumiem. – Krishna wzruszył ramionami. – Ale kto wie, kto wie... Do widzenia, panie Luczak. – Podał mi rękę.

Potrząsnąłem nią i zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć lub zajrzeć do torebki, pogwizdując odszedł w stronę windy.

– Kto to był? – zawołała Amrita z łazienki.

Usiadłem na łóżku.

– Krishna – odparłem i otworzyłem torebkę, było w niej coś luźno owinięte szmatami.

– Czego chciał?

Ze szmat wyjąłem rewolwer. Nie! Pistolet automatyczny, chromowany, malutki, lekki, podobny do zabawki na kapiszony. Miałem taki jako dziecko. Jednakże to był prawdziwy pistolet, a kiedy wykombinowałem, jak wysunąć magazynek, okazało się, że są w nim prawdziwe naboje. Na rękojeści było wytłoczone: *GIUSSEPPE*, kaliber 2,5 mm.

– Jasna cholera! – zakląłem cicho.

– Pytałam, czego on chciał? – powtórzyła Amrita.

– Niczego! – odkrzyknąłem rozglądając się dokoła. Czterema susami doskoczyłem do szafy. – Chciał się tylko pożegnać.

– A co przed chwilą zamruczałeś do siebie?

– Nic, absolutnie nic! – Oddzielnie włożyłem pistolet i magazynek do torebki, owinałem szmatami i wrzuciłem jak można najdalej na górną półkę głębokiej szafy, powyżej drążka z wieszakami.

– Kiedy słyszałam, że coś mruyczysz – upierała się Amrita wychodząc z łazienki.

– Żebyś się pośpieszyła. To mówiłem. – I wyciągnąłem z szafy zieloną dzianą koszulę i czyste spodnie.



Zamówiłem taksówkę na lotnisko na czwartą czterdzieści pięć rano. Poszliśmy wcześniej spać. Leżałem nie mogąc zasnąć. Mój wzrok

przyzwyczajają się powoli do mroku i zacząłem dostrzegać zarysy mebli.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że byłem zadowolony z przebiegu moich rozmów i w ogóle wizyty w Kalkucie. Leżąc tak w ciemnym, przesyconym wilgocią pokoju przebiegałem myślami wszystkie godziny, wszystkie wydarzenia. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że uczestniczyłem w bezcelowych poczynaniach, a tam, gdzie trzeba było okazać zdecydowanie, okazywałem chwiejność i wahanie. W połowie wypadków zachowywałem się jak głupawy turysta, w drugiej połowie pozwoliłem tubylcom traktować mnie, jakbym nim był. Jaki zebrałem materiał? Co ja właściwie napiszę? Dlaczego dopuściłem do tego, że to miasto mnie pokonało? Bez najmniejszego powodu zacząłem się go bać. Niesprecyzowany lęk... kretyński strach zdominował mnie całkowicie wpływając na moje postępowanie, wbrew wszelkiej logice...

Krishna! Chory umysłowo sukinsyn! Po diabła ma mi być potrzebny pistolet? Usiłowałem wytłumaczyć sobie, że ów prezent Krishny to jeszcze jeden z bezsensownych, melodramatycznych gestów tego typka. No a jeśli jest to element jakiegoś wymyślnego planu, który mnie dotyczy? Może Krishna już zawiadomił policję, że Amerykanin posiada nielegalnie broń? Poderwałem się i usiadłem na łóżku oblewając się zimnym potem. Nie, chyba nie poszedł na policję. Jaką miałby z tego korzyść? Czy w Kalkucie wolno posiadać broń? A może każdy ją tu nosi? Nie miałem pojęcia.

Przed północą wstałem i zapaliłem małą nocną lampkę. Amrita poruszyła się niespokojnie, ale nie otworzyła oczu. Wiktorcia spała smacznie pod prześcieradłem, pupą do góry. Otworzyłem walizkę. Odskakujące na sprężynach klapki zamków głośno zaszczękały w nocnej ciszy.

Kartki papieru były pozółkłe, postrzępione, ułożone nierówno i nie po kolei. Ale były numerowane dużymi cyframi pisanymi wiecznym piórem. Wystarczyło kilka minut, by wszystko uporządkować. Ponad pięćset stron!

Spory kęs poezji. Uśmiechnąłem się smętnie myśląc o reakcji amerykańskiego redaktora, któremu ktoś proponuje przeczytanie pięciuset stron utworów poetyckich.

Nie było wstępu, nie było tytułu, nie było listu przewodniego ani nazwiska autora na żadnej ze stron. Gdybym nie wiedział, że domniemanym autorem tego wielkiego dzieła jest pan Das, to nie domyśliłbym się tego z załączonego pliku kartek.

Pierwsza strona była bardzo złą kopią kalkową. Zbliżyłem ją do światła i zacząłem czytać.

*I demon Mahiszasura
Z odrażającej wychynął głębiny
Wielką swą przywołując armię,
I Dewi, Bhawani, Katiajani;
Parwati w swoich pięknych strojach
Pożegnawszy Siwę szybko odjechała
Na ostateczną batalię ze swymi wrogami.*

Następne strofy tego chropowatego wiersza zawierały przerażający opis demona Mahiszasury, przepotężnej, wrogiej istoty, która potrafiła zagrozić nawet bogom. Na stronie trzeciej zmieniła się drastycznie kadencja i ton. Z trudem udało mi się odczytać nabazgraną na marginesie notatkę: *Kalidasa Kumarambhawa, 400 n.e., nowy przekład.*

*Upiorne stado ptaków piekielnych
Gotowe ucztować na armii demonów
Przeleciało ponad gniazdem bogów,
Przesłaniając niebo niby chmurą.*

*Na drodze Parwati zjawiły się nagle
Przepotężne węże, czarne niczem sadza,
I ziały trucizną z podniesionych łbów,
A kształt ich pokrętny przerażał.*

*Słońce się odziało w śmiertelną koszulę
Z kłębowiska żmij,
Jakby tylko po to, by oznajmić radość
Ze śmierci demonów czy bogów.*

Ziewnąłem. Wyobrażam sobie reakcję Cheta Morrowa, gdy mu pokażę to wierszydło. Albo Abe'ego Bronsteina, gdybym mu to przedstawił jako „najnowszy epos Dasa”. Przerzuciłem kilka dalszych stron podobnie napuszonych rymów. Nie odłożyłem od razu wszystkiego tylko z własnej ciekawości, jak też poradzi sobie Parwati z podobno niepokonanym demonem Mahiszasurą. Strofa po strofie ciągnął się opis rozpoczęcia batalii między bogami i demonami. Były to popłuczyny po Horacym.

*Rozpalił się nieboskłon od skraju do skraju,
Płomieni języki tryskały dokoła
I ze strasznym łoskotem trwożąc wszystkie serca
Spadł groźny piorun z bezchmurnego nieba.*

*Czereda wrogów zbiła się w popłochu,
Padały konie, potykały się słonie,
A piesi wojownicy truchleli ze strachu,
Bo ziemia się zatrzęsa i wezbrał ocean
Chcąc poruszyć góry.*

*W obliczu demonów bogom nieprzychylnych
Psy pyski uniosły, by spojrzeć na słońce,
I wszystkie razem przeciągle zawyły, aż bębrenki pękały
Po czym się skuliły i szybko odbiegły.*

Sytuacja jasna. Współczułem psom. Natomiast Parwati była w poważnych kłopotach. Nawet z pomocą Siwy nie mogła sobie poradzić z potężnym Mahiszasurą. Czytałem dalej. W końcu Parwati przybrała postać wojowniczej Durgi. Można powiedzieć, że się odrodziła jako Durga, a w każdej z dziesięciu rąk trzymała jakieś narzędzie walki. Batalia trwała przez tysiąclecia, Mahiszasura był nie do pokonania.

*Szakale także do słońca ryczały
Złowrogo wszystkie razem,
Gotowe krew spijać przepotężnych bogów,
Którzy padli w walce.*

Bogowie wycofali się z pola walki, aby przedyskutować sytuację i rozważyć opcje. Zwykli śmiertelnicy błagali ich, by nie pozostawiali Matki Ziemi na łasce humorów Mahiszasury. Bogowie podjęli trudną decyzję. Z konieczności poszli na kompromis. Z czoła Durgi wyskoczyła zupełnie nowa bogini – bardziej demoniczna niż boska. Była wcieleniem potęgi, uosobieniem gwałtu, nie podporządkowana granicom i wymiarom czasu, który sprawował kontrolę nad pozostałymi bogami i śmiertelnikami. Ta straszna bogini wędrowała po niebiosach odziana w szatę ciemniejszą niż głęboka noc, rzucając cień lęków nawet na tych bogów, którzy powołali ją do istnienia.

Otrzymała wezwanie do bitwy. Przyjęła wyzwanie, ale przed udaniem się na plac boju przeciwko Mahiszasurze i jego demonicznym legionom

zażądała ofiary. Straszliwa to miała być ofiara. Ze wszystkich miast i wiosek całej ziemi, od skraju do skraju, zwołano przed oblicze bogini mężczyzn i kobiety, dzieci i starców, dziewice i kobiety zdeprawowane. Z ledwością odcyfrowałem notatkę na marginesie, być może zapis Dasa: *Bawabhuti Malatimadawa*.

Okropność tego miejsca ci się uwydatni, Gdy poznasz, że chorobą jego przeludnienie, Zastępy opryszków, przestępców, a płomienie Ze stosów kremacyjnych tak skąpe są w światło, Bo przesycały się trawionych ciał szczątkami, Więc mrok ponury je otacza. Dysonansem Jest radość bladych duchów i wstrętnych chochlików – Ich wrzasków przenikliwych echo brzmi dokoła, Krąży zmysły rażąc bezpowrotnie.

Wszyscy obwieszczają radośnie Wiek Kali.

Epoka Kali się rozpoczęła!

Wszyscy obwieszczają radośnie Wiek Kali.

Śpiewać się będzie teraz Pieśń Kali!

Właściwie powinno mi to wystarczyć, jak na jedną noc, ale zobaczywszy tekst na następnej stronie, przetałem oczy i zacząłem czytać:

*Do: Głównego Biura Konstrucyjnego Od: A. Topf i Synowie, Erfurt
Dotyczy: Krematoria nr 3 i nr 4*

Niniejszym potwierdzamy otrzymanie waszego zamówienia na pięć potrójnych pieców łącznie z dwoma podnośnikami do podnoszenia ciał oraz jednym podnośnikiem zapasowym.

Gwarantujemy wydajność i trwałość wyżej wymienionych pieców. Zapewniamy także jakość robocizny i najwyższą jakość stosowanych materiałów.

Zobowiązujemy się również wypełnić dodatkowe zamówienie na transporter prochów oraz odpowiedniej wielkości pojemnik z czerpalnikiem

węgla.

Oczekując potwierdzenia proponowanych w załączniku terminów dostawy i zapewniając o gotowości do dalszych usług.

Pozostajemy z poważaniem

I.A. Topf i Synowie Erfurt

Następna kartka nieoczekiwanie nawiązywała do dalekiej przeszłości: proponowany na niej wiersz był w stylu *sambhawa* z piątego wieku.

Z nieba lały się potoki popiołu Rozpalonego do czerwoności.

Zmieszana z nim była krew i ludzkie kości.

Płonący świat dymem wypełniły, a dym był barwy oślej szyi.

Niech żyje, niech żyje Kamunda–Kali. Potężna bogini niech żyje!

Uwielbiamy, gdy się bawisz odtrącając w tańcu glob ziemski.

Radość i zachwyt ogarniają wtedy dwór Siwy.

Mrok cię odziewa i ukrywa, w tańcu kołysze się wraz z tobą.

Rozbiegane wirujące pazury rozdzierają Łuki twoich brwi, a z rozszarpanego oczodołu Skapuje nektar; każda czaszka, co zdobi Twój naszyjnik – śmieje się.

Nastąpił Wiek Kali. Teraz można śpiewać Pieśń!

Był to tylko wstęp do ponurego eposu. Silna poetycka indywidualność Dasa dostrzegalna była niesłychanie rzadko, by zaraz ustąpić klasycznej wiedzy lub zwykłej informacji wygrzebanej z jakichś archiwów historycznych. Czasami odzywały się tony publicystyki. Jednakże pieśń, zawołanie, apel były te same.

Przez stulecia, poza liczoną przez nas czasem, bogowie nieustannie się zmawiali, by w jakiś sposób poskromić nieokiełznaną, mroczną potęgę, jaką sami stworzyli. Została ograniczona, zjednana i ukryta w boskim

panteonie, jednakże zachowała swój charakter. I paradoksalnie ona jedna – potęga, bogini – rosła w siłę i utrwałała się w ludzkiej świadomości, podczas gdy inne boskie istoty traciły na znaczeniu, szły w zapomnienie. Działo się tak dlatego, że ona jedna symbolizowała ponury mrok życzliwego w zasadzie wszechświata. Takiego wszechświata, jakiego rzeczywisty wizerunek był przez tysiąclecia kształtowany wysiłkiem bogów i ludzi. Był produktem ich sumienia.

Jednakże ona, bogini, była naczyniem, w którym zbierał się osad wszystkich atawistycznych pragnień i działań – takich, jakie miały odejść w przeszłość i być zapomniane właśnie dzięki tysiącletnim świadomym działaniom połączonych wysiłków bogów i ludzi.

Poemat rozwijał się poprzez niezliczone opowieści, historyczne anegdoty i ludowe legendy. We wszystkim tkwiła jakaś trudna do zdefiniowania prawda. I każda opowieść ujawniała jakąś skazę czy nawet rozdarcie w szokującej zmysły materii zwanej rzeczywistością. Przez te rozdarca wdzierało się echo Pieśni Kali. Ludzie, miejsca i chwile stawały się kanałami, którymi przedostawały się potężne impulsy energii.

Na którejś stronie przeczytałem stwierdzenie: w obecnym stuleciu Pieśń Kali rozbrzmiewa głosami potężnego chóru. Dym z sakralnych ofiar składanych bogini sięga ponurego wnętrza jej świątyni. Bogini obudziła się, by wysłuchać tej pieśni.

I tak strona po stronie. Niektóre wiersze były zwykłym bredzeniem. Były też strony, na których ręczne bazgroły po angielsku nie dały się rozszyfrować. Między strofy po angielsku wciśnięto ręcznie pisane teksty w sanskrycie i po bengalsku, czasami z braku innego miejsca wypełniając całe marginesy. Ze stron tych wyłapywałem pojedyncze obrazki: – prostytutka na ulicy Sudder zamordowała swego kochanka i łakomie pożarła jego ciało w imię miłości.

Wiek Kali się rozpoczął.

– We współczesnym świecie ryk się dobywa z martwych brzuszysk rzezanych milionów, z masowych grobów użyźniających nasz wiek dobywa się chóralny protest.

Wiek Kali się rozpoczął.

– Sylwetki bawiących się dzieci na wieki utrwalone na ocalonym skrawku zburzonej ściany – w ułamku sekundy, gdy bomba rozbłysła i betony zwęgliła.

Wiek Kali się rozpoczął.

– Ojciec czekał cierpliwie na powrót ze szkoły ostatniej z czterech córek. Łagodnym ruchem przystawił lufę rewolweru do jej skroni. Dwukrotnie pociągnął za spust, a potem ułożył ciepłe ciało koło ciał matki i trzech sióstr. Gdy odnalazła go policja, śpiewał trupom kołysankę.

Wiek Kali się rozpoczął.

Przerwałem lekturę mając jeszcze ze sto stron do przejrzania. Oczy same mi się zamykały, dwukrotnie przysnąłem z głową opuszczoną na piersi. Wepchnąłem cały plik do teczki i spojrzałem na zegarek.

Była godzina trzecia czterdzieści pięć rano. Za kilka minut zadzwoni nastawiony przeze mnie budzik i trzeba Będzie szykować się szybko do wyjazdu na lotnisko Droga do domu, wliczając przerwę w Londynie, trwać będzie jeszcze dwadzieścia osiem godzin.

Jęknąłem ze zmęczenia i wsunąłem się na kilka minut do łóżka obok Amrity. W pokoju panował przyjemny chłód. Ba! O tej porze! Okryłem się prześcieradłem i zamknąłem oczy. Przedrzemać się te kilka minut, nim zabrzączy alarm!

Tylko kilka minut!



Obudziłem się zupełnie gdzie indziej. Ktoś mnie tu wniósł. Jest mroczno, ale nie mam trudności z określeniem miejsca, w którym się znajduję: Świątynia Kali.

Bogini stoi przede mną. Stoi na jednej nodze. Drugą ma podniesioną, zawieszoną w przestrzeni. Jej cztery dłonie są puste. Nie widzę jej twarzy, ponieważ leżę na ziemi chyba z boku posągu.

Wcale się nie boję.

Wiem, że jestem nagi. To jednak nie ma znaczenia. Leżę na macie. Na skórze czuję jej chłód. Wokół pali się kilka świec. W powietrzu unosi się zapach kadzideł i ciężkich perfum. Gdzieś za sobą słyszę męskie wysokie pienia. Ale niezbyt głośne. A może to jest tylko szmer płynącej wody? To zresztą nieważne.

Posąg się poruszył.

Kali obróciła głowę i spojrzała na mnie.

Czuję tylko ciekawość i zachwyt. Podziwiam jej urodę. Urodę kobiety w upojeniu. Idealny owal twarzy. Usta delikatne, wilgotne, pełne. Bogini uśmiecha się do mnie.

Wstaję. Bosymi stopami wyczuwam równoległe ułożone, cienkie trzcinki maty. Czuję lekki dreszczyk, gdy chłodny wiatr przebiega po moim nagim ciele.

Kali rusza się cała. Widzę grę jej palców, cztery ramiona zginają się zapewniając równowagę przy schodzeniu z piedestału. Teraz bogini stoi przede mną na obu nogach. Ani na chwilę nie spuszcza ze mnie świetlistego spojrzenia.

Zamykam oczy, ale wizerunek bogini pozostaje. Widzę delikatny deseń światła na jej ciele. Ma jędrne, pełne piersi. Zniewalające i kuszące. Duże sutki sterczą z delikatnie zarysowanych aureoli. Jest nieprawdopodobnie wiotka w stanie i szeroka w miednicy stanowiącej kuszące łożo dla męskich

bioder. Miętko zarysowane podbrzusze i wydatny wznósek Wenus w formie ciemnego trójkąta. Uda tancerki lekko rozwarte, łączą się zmysłowo wewnętrznymi łukami w kuszącym mroku. Stopy ma drobne i wysoko sklepione, a na kostkach błyskają i pobrzękują bransolety – przy lada ruchu nóg! Teraz rozchyła uda i widzę ciemny, zapraszający trójkąt.

Czuję napięcie mięśni pośladków, rosnące pożądanie, erekcję. Rozsadza mnie potężna siła namiętności.

Kali zstępuje lekko z piedestału. Słyszę chrzęst trupich czaszek jej naszyjnika, bransolety na stopach dźwięczą niby dzwonki. Delikatne, ledwo słyszalne plaśnięcia bosych stóp na kamiennej posadzce!

Dzieli ją ode mnie najwyżej pięć kroków. Jej ramiona falują niby szuwary na niewyczuwalnym wietrze. Całe jej ciało wibruje w melodyjnym rytmie szmerzącej rzeki. Kali podnosi wysoko kolano i dotyka nim łokcia jednej ze zgiętych rąk. Obejmuje mnie fala zapachu uperfumowanego ciała.

Chciałbym podejść do bogini, ale nie mogę uczynić ruchu. Klatkę piersiową wypełnia łoskot serca walącego w rytmie dziękczynnego hymnu. Nieświadom niczego innego oprócz pulsującego, sztywnego penisa, gwałtownymi pchnięciami rozpoczynam miłosny akt.

Kali podnosi nogę, zatacza mą łuk i zbliża się do mnie o krok. Bransolety pobrzękują.

Unnala–nabhi–pamke–ruha, śpiewa rzeka, a ja wszystko rozumiem.

Wszystkie cztery ramiona bogini falują w bezszelestnym tańcu. Palce tańczą swój własny taniec: wyginają się, wiją, dotykają, wędrują w cklwie słodkim powietrzu coraz bliżej ku mnie. Pełne piersi podskakują jednocześnie niby syjamskie bliźnięta.

Zwycięstwo Oblicza Córy Gór!

Bogini zbliża się, jest już blisko. Jej palce muskają, pieszczą mój policzek, ocierają się o ramię. Głowę ma odchyloną do tyłu,

półprzymknięte oczy rozgorzałe namiętnością. Z bliska dostrzegam doskonałość jej twarzy, rozpalone policzki i drżące usta.

Kamakhya?

Iva jenawabhati Sambur 'api.

Dżajati parusaitajas tadanam Sajla–kanjajah.

Kali czyni jeszcze jeden krok i obejmuje mnie czterema ramionami, a jej długie włosy spływają niby strumyczki ze zbocza góry. Jej gładka, niemal błyszcząca skóra pachnie delikatnymi perfumami, a między wzniesieniami piersi iskrzą się kropelki potu. Teraz dwie ręce unieruchamiają moje ramiona, a trzecia głaszcze policzek. Czwarta dłoń wędruje ku mojemu przyrodzeniu, ujmuje je, jakby waży, a potem przesuwa się po napiętym penisie.

Jestem Sambu–Siwa pod postacią Wisznu.

Lotos i jego łodyga wyrastają z mojej pępownicy.

Nie potrafię stłumić jęku. Mój penis dotyka jej podbrzusza. Bogini spogląda w dół, a potem jej przepiękne oczy przysłonięte gęstymi rzęsami obracają się ku mnie. Widzę w nich lubieżność. Rozedrgany wzniesienie Wenery napiera na mnie, cofa się, napiera.

Wreszcie mogę się poruszać. Natychmiast obejmuję boginię i ona nadal trzyma mnie w objęciach. Miękkie piersi wtapiają się we mnie. Kali unosi prawą nogę, obejmuje mnie, delikatnymi palcami wprowadza mnie w siebie. Na pośladkach czuję dotyk bransolet.

Kali, Kali, balo bai.

Ten śpiew wypełnia całą przestrzeń. Śpiew w rytmie dokonującego się aktu. Gorące ciało bogini parzy mnie. Kali otwiera usta, wysuwa język, wciska go w moje usta. Szaleję. Porywam ją, podnoszę. Jej piersi suną po

mnie na podściółce rozpalonego potu. Wyginam się w łuk, aby zagłębić się w niej jeszcze bardziej, dotrzeć jeszcze dalej.

Cały wszechświat ogranicza się do żaru, który we mnie rośnie, by za chwilę buchnąć pełnym płomieniem.

*Jestem Siwa,
Kali, Kali balo bai,
Kali bai are gate nai.
Jestem Bogiem.*

To chyba ja krzyknąłem „O Boże!” zrywając się z poduszki. Moje prześcieradła były mokre od potu, a spodnie piżamy pełne zastygającej spermy.

Jęknąłem chowając w dłonie pękającą z bólu głowę. Amrity obok mnie nie było. Przez szczeliny w zasłonie wdzierało się słońce. Budzik wskazywał dziesiątą czterdzieści osiem!

– Psiakrew, psiakrew, jasna cholera! – zakląłem wyskakując z łóżka i biegnąc do łazienki. Piżamę wrzuciłem do torby na brudną bieliznę i sprawiłem sobie prysznic jak nigdy. Gdy po piętnastu minutach spod niego wyszedłem, nadal trzęsły mi się nogi, a głowa tak pękała z bólu, że przed oczami tańczyły mi czarne kropki.

Szybko się ubrałem i połknąłem cztery aspiryny. Na bladej twarzy sterczał ciemny zarost, ale postanowiłem się nie golić. Wyszedłem z łazienki w chwili, gdy do pokoju wracała Amrita z Wiktoria.

– Gdzieście, do cholery, byli? – wybuchnąłem.

Amrita stanęła jak wryta, a z jej twarzy powoli zniknął uśmiech powitania. Wiktoria patrzyła na mnie jak na obcego.

– Dowiem się czy nie? – warknąłem.

– Poszłam do sklepu z materiałami, żeby dowiedzieć się adresu Kamakhyi. – Amrita się wyprostowała. Stała sztywno i mówiła z kamiennym spokojem. – Usiłowałam najpierw zatelefonować, ale linie są nieczynne. Postanowiłam zmienić materiał, skoro mamy zostać jeszcze jeden dzień... Nie widziałeś kartki, którą ci zostawiłam?

– O tej porze mieliśmy już dolatywać do Londynu. Co się, do diabła, stało? – Mówiłem ciągle jeszcze ostrym tonem, chociaż gniew zaczął mijać.

– Ja nie rozumiem, o czym ty mówisz, Bobby?

Jak to o czym? O budziku nastawionym na czwartą, o zamówionej taksówce, o locie! O tym mówię.

Amrita różnym krokiem podeszła do łóżka i usadziła na nim Wiktorię. Następnie gniewnym gestem rozsunęła zasłony okienne omalże ich nie zrywając i wtedy dopiero stanęła naprzeciwko mnie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

– A więc tak. Cholerny budzik zadzwonił o czwartej. Ja wstałam. Ty nie chciałeś wstać. Nie dałeś się rozbudzić. Potrząsałam tobą przez parę minut. A kiedy wreszcie zmusiłam cię, żebyś usiadł, powiedziałeś: „Zostanemy jeszcze jeden dzień”. A wszystko dlatego, że przez całą noc czytałeś.

– Ja tak powiedziałem? – Opadłem na skraj łóżka. Miałem najgorszego, jaki można sobie wyobrazić, kaca. Byłem bliski wymiotów. Kaca? Po czym? – Powiedziałem, że zostaniemy jeszcze jeden dzień?

– Tak powiedziałeś – odparła zimnym głosem Amrita. Miała powody: w czasie naszego małżeństwa niesłychanie rzadko na nią pokrzykiwałem.

– Cholera! Przepraszam, przepraszam! Powiedziałem to chyba przez sen. To ten cholerny manuskrypt.

– Wczoraj twierdziłeś, że zaczekasz z czytaniem do samolotu.

– Taki miałem zamiar.

Amrita opuściła ręce i podeszła do toaletki, żeby poprawić uczesanie. Jej pobladłe wargi nabierały koloru.

– Nic się nie stało, Bobby. Nie przeszkadza mi, że zostaniemy tu jeszcze jeden dzień.

– Mnie bardzo przeszkadza! – warknąłem czując jakiś ucisk w gardle. – Nie zostaniemy tu, do cholery! Zdecydowanie nie. Nie pozwolę, żebyście tu z Wiktoria zostały. O której lata Air India do Delhi?

– Dziewięta trzydzieści rano i pierwsza. Ale dlaczego taki pośpiech?

– Polecisz z Wiktoria o pierwszej, w Delhi złapiesz samolot Pan Am do Londynu.

– Nic nie rozumiem. Mówisz, że ja z Wiktoria. A ty? Dlaczego ty masz nie lecieć? Skoro już masz teksty Dasa...

– Wy polecicie, a ja zostanę. Mam kilka rzeczy do sprawdzenia w związku z tymi cholernymi materiałami. Wystarczy mi jeden dzień.

– Przecież wiesz, Bobby, że nienawidzę podróżować sama z Wiktoria...

– Wiem, ale nic na to nie poradzę, kochanie. Zapakuj swoje rzeczy.

– Wcale ich nie rozpakowywałam.

– To świetnie. I przygotuj Wiktoria. Zejdę na dół, zamówię taksówkę i przyślę portiera. – Podeszedłem do Amrity i pocałowałem ją w policzek. W innej sytuacji Amrita nie ustąpiłaby tak łatwo, ale tym razem brzmienie mojego głosu spowodowało, że nie usłyszałem słowa protestu.

– No trudno – odparła. – Ale się pośpiesz. Wiesz przecież, że w Indiach nie ma rezerwacji biletów lotniczych przez telefon. Trzeba być wcześniej na lotnisku i stanąć w kolejce.

– Dobrze. Zaraz wrócę.



- Pan Gupta? – Telefon w holu był czynny.
- Halo! Tak, halo?
- Pan Gupta? Tu mówi Robert Luczak.
- Tak, tak, panie Luczak! Halo?
- Proszę posłuchać, panie Gupta. Chcę, żeby mi pan zorganizował spotkanie z panem Dasem. Prywatne, w cztery oczy.
- Co? Co takiego? To nie będzie możliwe! Halo?
- Niech pan się postara, żeby było możliwe, panie Gupta. Niech pan wykorzysta wszystkie kontakty i powie Dasowi, że chcę się z nim spotkać jeszcze dzisiaj! Powtarzam, dziś!
- Nie, panie Luczak. Pan nic nie rozumie. Pan Das nie zezwolił nikomu...
- Wszystko to już słyszałem. Ale jestem pewny, że ze mną się spotka. Nalegam na to, aby pan natychmiast uruchomił wszystkie...
- Bardzo mi przykro, ale...
- Niech mnie pan posłucha: moja żona i córka za chwilę opuszczają Kalkutę. Ja odlatuję jutro. Jeśli odleczę nie spotkawszy się z panem Dasem, to i tak muszę napisać mój artykuł dla Harper's. Czy chciałby pan usłyszeć, co ten artykuł będzie zawierał?
- Panie Luczak, po raz ostatni tłumaczę panu, że jest absolutnie niemożliwe, żebym zorganizował panu spotkanie z panem Dasem. Halo, halo?
- W artykule napiszę, że z powodów znanych tylko im samym, członkowie bengalskiego związku literatów usiłują dokonać największego oszustwa literackiego od czasu sławnej afery Clifforda Irvinga. Z tychże samych, im tylko znanych powodów, ludzie ci przyjęli poważną sumę pieniędzy za manuskrypt, który przedstawiają jako aktualne dzieło człowieka nieżyjącego od ośmiu lat. Co więcej...

– To wszystko nieprawda, panie Luczak! Wszystko nieprawda. I to jest zaskarżalne! Wniesiemy przeciwko panu pozew. Wytoczmy proces. Nie ma pan żadnych dowodów.

– Co więcej – ciągnąłem – ludzie, o których mówię, hańbią nazwisko wielkiego poety produkując i przypisując mu pornograficzny poemat na cześć miejscowej bogini diabelskiego rodu. Kompetentne źródła kalkuckie sugerują, że związek pisarzy utrzymuje przestępcze kontakty z ugrupowaniem tak zwanych Kapalików, zdelegalizowaną sektą mającą powiązania ze światem przestępczym oraz znaną ze składania ofiar z ludzi swojej demonicznej bogini. Jak się panu podoba mój artykuł, panie Gupta? Halo? Panie Gupta? Halo?

– Tak, panie Luczak. – I milczenie.

– Co pan o tym sądzi, panie Gupta? Czy mam to opublikować, czy też rozmowę z panem Dasem?

– Sprawa będzie załatwiona. Proszę do mnie zadzwonić za trzy godziny.

– Ooo? ...I jeszcze jedno, panie Gupta...!

– Tak?

– Kopia wstępnego szkicu, który panu przed chwilą opisałem, została już wysłana do nowojorskiego wydawcy z instrukcją, aby otworzył kopertę, ale tylko w wypadku, gdyby mój powrót się opóźniał... Mam nadzieję jednak, że się nie opóźni i że tę wersję będę mógł wyrzucić do kosza. Naprawdę wolę wywiad z panem Dasem.

– Jestem pewien, że wywiad się panu uda, panie Luczak.



Kierowcami wszystkich taksówek krążących między śródmieściem Kalkuty a dworcem lotniczym Dum–Dum byli weterani indo–pakistańskiej wojny w 1971 roku. Nasz kierowca miał szramę na prawym policzku i czarną opaskę na oku, co skłoniło mnie do zamknięcia oka i sprawdzenia, w jakim stopniu utrudnia to prowadzenie pojazdu na zatłoczonej arterii szybkiego ruchu.

Znów zaczęło padać. Wszystko dokoła miało barwę błota: chmury, szosa, stłoczone na poboczach niby to namioty mieszkalne ze starych worków jutowych, zabudowania fabryczne. Jedynymi innymi barwami były biało–czerwone oznakowania ochronne na banianowych drzewach rosnących w pobliżu szosy. Opuszczając miasto przejeżdżaliśmy przez osiedle wznoszonych właśnie bloków mieszkalnych. Między budynkami oplecionymi rusztowaniami z bambusowych prętów stały w błocie buldożery. I tylko to świadczyło, że bloki są nowe, bo wyglądały jak najstarsze ruiny w centrum miasta. Może jednak tak się tutaj buduje. Tuż za ostatnimi domami rozciągało się inne „osiedle” – tekturowych i jutowych bud kipiących życiem, gdzie być może mieszkali robotnicy z budowy czy też przyszli lokatorzy tych bloków. Był to po prostu jeszcze jeden z wielu żywiołowo powstających pod osłoną pustych murów rezerwat upodlonej nędzy, cząstka owych sześciuset kilometrów kwadratowych błotnistych nor obrastających Kalkutę.

Minęliśmy wielką białą tablicę, która po raz pierwszy mignęła mi w drodze z lotniska do miasta. Po tej stronie widniały słowa: *KALKUTA ŻEGNA I ŻYCZY DOSKONAŁEGO ZDROWIA!*

Pod tablicą siedziała w kucki w błocie stara kobieta z mosiężnym dzbanem na głowie.

Lotnisko było zatłoczone, ale chaos panował znacznie mniejszy niż owej nocy, gdy przylecieliśmy. Do Delhi wszystkie bilety były wykupione, ale na

szczęście zwolniło się jedno miejsce. Potwierdzono bez problemu lot z Delhi do Londynu o siódmej wieczorem.

Oddałem bagaż. W wielkim holu nigdzie nie było wolnego fotela czy krzesła. Po paru minutach jednak znaleźliśmy spokojniejszy kąt, gdzie mogliśmy zmienić Wiktorii pieluszkę. Zostało jeszcze trochę czasu na wypicie soku w barku.

Rozmawialiśmy mało. Amrita była zamyślona, a mnie pękała głowa. Chwilami przypominały mi się fragmenty snu, robiło mi się wówczas wstyd, a jednocześnie czułem przedziwne podniecenie.

– Gdybyś miała pecha i nie dostała się na samolot Pan Amu, to chyba możesz zatrzymać się na noc u ciotki w New Delhi, prawda?

– Oczywiście.

– Albo wziąć pokój w którymś z dobrych hoteli przy dworcu lotniczym.

– Owszem, to też byłoby wyjście.

Do małego barku wcisnęła się grupa belgijskich turystów. Przerażliwie brzydka kobieta w spodniach z bardzo przejrzystej siateczki dźwigała gipsową figurę Ganeśy, boga o ludzkim ciele i głowie słonia. Cała grupa śmiała się hałaśliwie.

– Po przylocie do Bostonu zadzwoń od razu do Dana i Barbary.

– Zadzwonię.

– Powinienem przylecieć następnego dnia po tobie. Aha, czy zadzwonisz do rodziców z lotniska w Londynie?

– Słuchaj, Bobby, ja naprawdę chętnie bym tu na ciebie poczekała ten jeden dzień. Może będzie ci potrzebna pomoc... z tłumaczeniem. Bo przecież to wszystko ma związek z tym manuskrytem, prawda?

– Już za późno, kochanie, bagaż został nadany. Ty poradziłabyś sobie bez zapasowej sukienki, ale nie dalibyśmy rady bez pieluszek.

Amrita nawet się nie uśmiechnęła.

– Mówiąc poważnie: chodzi tutaj o pewne wyjaśnienia, jakie mam otrzymać od Gupty i tych jego typów ze związku. Po prostu nie mam dość mięsa do mojego artykułu. Sama wata. W ciągu jednego dnia wszystko powinienem załatwić. – Ująłem dłoń Amrity.

– Rozumiem. Bądź jednak ostrożny. – Skinęła głową i paznokciem puknęła parę razy w moją obrączkę. – Po pierwsze pij wodę tylko z zapieczętowanych butelek. A kiedy przyjdzie Kamakhya, żeby wymienić materiały, to pamiętaj, że masz wymienić tylko materiały...

– Oczywiście, moja droga... – Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Powiedz mi, Bobby, dlaczego nie wpuściłeś pokojówki?

– Że co?

– Nie wpuściłeś pokojówki, żeby posprzątała. Przed samym naszym odjazdem powiedziałaś jej, żeby poczekała do jutra.

– Manuskrypt! – odparłem szybko. Nie chcę, żeby ktoś się kręcił w jego pobliżu.

Amrita skinęła głową akceptując wyjaśnienie. Dopilem ciepły już sok, spojrzałem na jaszczurkę biegnącą po ścianie i usiłowałem nie myśleć o pistolecie na górnej półce hotelowej szafy.



Pasażerów odlatujących do Delhi wezwano na pokład samolotu. Ucałowałem Amritę i Wiktorię. Amrita miała już odejść, kiedy sobie coś przypomniała: – Jeśliby Kamakhya nie zjawiła się, to bardzo cię proszę, wpadnij do niej do domu i odbierz mój materiał. – Zaczęła czegoś szukać w torebce.

– Czy to jest takie ważne? – spytałem.

- No nie, ale bardzo chciałabym go odzyskać.
 - Skoro już poszłaś po raz drugi do sklepu, dlaczego nie wzięłaś tego, za co zapłaciłaś, a czego z ich winy nie otrzymałaś?
 - Mieli kilka odciętych kuponów, ale nie takiej długości jak mój, a poza tym byłam pewna, że Kamakhya się zjawi. Do licha, byłam przekonana, że mam kwit kasowy. Na nim był adres Kamakhyi! Nic nie szkodzi. Pamiętam.
 - Amrita wyjęła z torebki kartonik z zapalnikami i na nim zapisała adres. – Oczywiście, jeśli będziesz miał czas... – powiedziała głosem, który wyrażał nadzieję, że ów czas znajdzie.
 - Dobrze! – odparłem wiedząc doskonale, że czasu nie będę miał. Raz jeszcze pocałowaliśmy się poprzez wciśniętą między nas Wiktorię, trochę przestraszona ogólnym hałasem i tłumami ludzi. Pogłaskałem malutką główkę, zachwycając się, jak zwykle, miękkością jej włosów.
 - Szczęśliwej podróży – wypowiedziałem tradycyjne życzenie. – Zobaczymy się za parę dni.
- Na lotnisku Dum–Dum nie było rękawów prowadzących prosto do samolotów. Pasażerowie wyszli na mokry asfalt płyty i w grupce udali się do stromych schodków ustawionych pod samolotem Air India. Amrita pomachała mi jeszcze pulchną rączką Wiktorii, by po chwili zniknąć we wnętrzu francuskiego airbusa. W zwykłych warunkach czekałbym do odlotu. Tym razem, spojrzawszy na zegarek, poszedłem szybko do rzędu kabin telefonicznych przy wejściu do hali odlotów. Gupta podniósł słuchawkę po piątym dzwonku.
- Spotkanie zorganizowane, panie Luczak. Oto adres.
- Sięgnąłem do kieszeni po notes, ale trafiłem na zapaliki z adresem Kamakhyi. I pod nim zapisałem informację otrzymaną od Gupty.

– Ooo... i jeszcze jedna rzecz, panie Luczak – powiedział Gupta, gdy już odkładałem słuchawkę.

– Mianowicie?

– Tym razem musi pan być... będzie pan sam.



Gdy wysiadałem z taksówki, deszcz już nie padał. Parująca z jezdni i chodników woda przesłaniała widok. Białe kosmyki mgiełek snuły się nad ziemią między starymi budynkami. Pojęcia nie miałem, gdzie jestem. W każdym razie na skrzyżowaniu ulic w starej dzielnicy miasta. To był adres podany mi przez Gupta. Miejsce, jakich wiele w Kalkucie.

Jezdnie i chodniki szybko zapełniały się pojazdami i ludźmi, jak zwykle po wielkiej ulewie. Potęgował się jazgot rowerowych dzwonek. Wilgotne, nieprzejrzyste powietrze zaczęło jeszcze bardziej gęstnieć od spalin silników motocyklowych. Na samym środku zatłoczonej ulicy leżał stary bawół. Skóra jego była pokryta bliznami i nowymi otarciami. Pojazdy starannie go omijały.

Stałem na samym skrzyżowaniu i czekałem. Chodnik był półtorametrowej szerokości pasmem ubitej gliny między rynsztokiem a ścianami starych domów. Między domami znajdowały się metrowej szerokości przejścia. Znudzony ruszyłem z miejsca i zajrzałem w głąb pierwszego z nich. Buchnęła na mnie fala smrodu.

Tę przestrzeń między domami trudno było nazwać przejściem. Pozostała zaledwie parunastocentymetrowa ścieżyna wzdłuż ciągnącego się w głąb wału gnijących i cuchnących śmieci, wysokości chyba dwóch metrów – powyżej głowy człowieka. W tym ohydny zwalisku grzebali ludzie.

Wycofałem się szybko i stanąłem nad ściekowym strumyczkiem, który oznaczał granicę między chodnikiem a jezdnią.

Spoglądałem uważnie w każdą twarz w mijającym mnie tłumie. Podobnie jak w innych miastach na świecie piesi przywdziali maski poirytowanego pośpiechu. Wielu mężczyzn porzuciło tradycyjne stroje na rzecz sztywnych, nylonowych koszul i spodni o humorystycznie szerokich nogawkach u dołu, tak zwanych dzwonów. Zdumiewało mnie, że w tropikalnym kraju, który produkuje najlepsze na świecie i najtańsze bawełniane materiały, symbolem elegancji klasy średniej są nieprzewiewne tkaniny ze sztucznych włókien. Czasami jakaś spocona twarz pod czapą czarnych, wypomadowanych włosów obracała się ciekawie w moją stronę, ale nie zatrzymał się nikt z wyjątkiem paru półnagich dzieciaków w wymorusanych szortach, które obtańcowywały mnie przez kilka minut wykrzykując wśród chichotów swoje „baba, baba”.

Nic ode mnie nie dostały, więc zniechęcone, rozpryskując bosymi stopami brudną wodę w kałużach, pognały w głąb ulicy.

– Pan jest Luczak?

Zaskoczony aż drgnąłem. Podczas gdy obserwowałem ruch na ulicy, z tyłu podeszło do mnie dwóch mężczyzn. Jeden w nylonowej koszuli, drugi w bawełnianych szortach i kurtce koloru khaki. Podobne stroje noszą policjanci, dozorczy i tragarze na bazarach. Nie robili wrażenia ani inteligentnych, ani miłych. Ten w nylonowej koszuli, wyższy, miał wąską, trójkątną twarz, wystające kości policzkowe i małe usta. Mężczyzna w khaki był dość niski, tęgi i wydawał się znacznie bardziej tępy od swojego towarzysza. W jego sennych oczach kryła się pogarda, jaką często się spotyka u urodzonych brutalni.

– Tak, jestem Luczak.

– Idziemy!

Ruszyli przez tłum tak szybko, że musiałem dołączyć do nich prawie biegiem. Z początku zacząłem zadawać szybkie pytania, ale ponieważ spotkałem się z murem milczenia, zaprzestałem. Zresztą hałas na ulicy był tak wielki, że i tak chyba nie usłyszałbym odpowiedzi. Potulnie szedłem więc za nimi.

Spacer ten trwał blisko godzinę. Już po wyjściu z taksówki niezbyt dobrze wiedziałem, gdzie jestem, natomiast pod koniec tej wędrówki byłem całkowicie zdezorientowany. Nie mogłbym nawet określić ogólnego kierunku, gdyż nad miastem zwiśla ciężka pokrywa chmur. Szliśmy wąziutkimi uliczkami, gęsiego, ponieważ po obu stronach leżały góry odpadków od lat wyrzucanych z okien przez mieszkańców domów. Czasami prowadzący mnie mężczyźni zagłębiali się w tunele przejść pod domami lub pędzili przez podwórza bloków i starych kamienic. Wszędzie uganiały się rozwrzeszczane dzieci, a dorośli siedzieli w kucki pod murami. Kobiety na nasz widok przesłaniały do połowy twarze rąbkami sari i przyglądały się podejrzliwie czarnymi oczami. Z balkonów o przeżartych rdzą żelaznych balustradach patrzyli martwym wzrokiem starcy. Z przejścia w przejście, z tunelu w tunel. Zewsząd płakały niemowlęta. Na betonowych podestach zewnętrznych klatek schodowych paliły się małe ogniska. Dym wisiał w ciężkim powietrzu tuż nad ziemią.

Kryte przejście pod domem wyprowadziło nas na długą ulicę bardziej zatłoczoną niż niejedna ulica amerykańskiego miasta. Weszliśmy na teren, gdzie stare budynki rozebrano i wywieziono gruz, ale już wyrosło tam miasto bud i jutowych namiotów. Minęliśmy stare nierozebrane i niezasypane fundamenty, zalane przez monsunowe ulewy. Powstała sadzawka była pełna brudnej wody z pływającymi w niej odpadkami. W tym „basenie” pluskały się dziesiątki mężczyzn i chłopców, a z okna drugiego piętra, stojącego tuż nad fundamentami nierozebranego jeszcze

domu, skakali chłopcy łakomi chwały wyczynowców. Na skraju sadzawki siedziały dwa nagie dzieciaki i patykami szturchały leżącego na powierzchni wody zdechłego szczura.

Gdy uszliśmy jeszcze kilkadziesiąt metrów, znowu pojawiły się slumsy: chatynki wsparte o resztki zwałonego muru lub stosy kamieni, budy, nawet kilkupiętrowe, ze starych tablic reklamowych, arkuszy przerdzewiałej blachy i szczątków desek. Na pustym, błotnistym poletku kilkudziesięciu mężczyzn załatwiała naturalną potrzebę. Nieco dalej, na skalnej ławie, siedziały w zbitej gromadce dziewczyny i iskały głowy tkwiących im między nogami maleństw. Gdzieniedzie przemykały się chyłkiem oblaźle z sierści, pokryte liszajami psy – żaden z nich nie czuł się panem tego terenu. Wyczuwałem raczej, niż widziałem skryte spojrzenia ludzi tkwiących w wejściach do nor i w zaułkach. Od czasu do czasu wypadło ku nam z mroku dziecko, wyciągając rączkę, ale natychmiast odwoływał je głos osoby znajdującej się poza polem mojego widzenia.

Nagle poczułem zapach kadzideł i szczypanie w oczach. Mijaliśmy właśnie walący się budynek pomalowany na zielono. Słyszając pobrzękiwanie dzwonek i śpiew płynący z głębi domyśliłem się, że to świątynia. Przed wejściem starucha z wnuczką wyjmowały z kosza garście kro wieńca i lepily z niego okrągłe placki, które służyć będą wieczorem na podpałkę, aby przygotować posiłek. Murowana ściana zielonego, świątynnego budynku była oklejona schnącymi plackami krowieńca, zdobnymi w głębokie odciski ludzkich palców. Na błotnistej drodze za świątynią grupka mężczyzn starała się ustawić bambusowy szkielet nowego „domostwa” wielkości komórki. Na nasz widok mężczyźni przerwali pracę i w milczeniu czekali, aż przejdziemy. Właściwie nie miałem już wątpliwości, że moimi przewodnikami są Kapalikowie – zbyt głęboka cisza towarzyszyła naszej wędrówce przez slumsy.

– Daleko jeszcze? – spytałem. Zaczęło padać, nie miałem parasola. Białe spodnie ubłociłem po kolana, a sportowe półbuty bezpowrotnie zniszczyłem. Nie otrzymawszy odpowiedzi stanąłem. – Czy jeszcze daleko?

I tym razem nie otrzymałem słownej odpowiedzi. Mężczyzna w stroju khaki obrócił się i jedynie przecząco potrząsnął głową wskazując jednocześnie palcem zespół szarych budynków fabrycznych na pagórku za polem mieszkalnych nor. Na pagórek trzeba było się wspinać. Dwa razy osunąłem się na kolana. Było bardzo ślisko. Wreszcie dotarliśmy do ogrodzenia z siatki, blisko samego szczytu. Nad siatką był jeszcze nawis z drutu kolczastego. Za siatką leżały stosy beczek po ropie, a może z ropą, za nimi bocznicę kolejowe wchodziły między fabryczne budynki.

– I co teraz? – spytałem. Jednocześnie obróciłem się ku pozostawionemu w dole morzu slumsów. Dachy domostw z blachy i dykty obciążone były kamieniami, w izdebkach bez drzwi migąły płomienie palenisk, ku górze sączyły się setki strumyków dymu, który wsiąkał szybko w coraz silniej padający deszcz tworząc wraz z nim półprzezroczystą zasłonę.

– Idziemy! – oświadczył mężczyzna o wąskiej twarzy odsuwając segment ogrodzenia.

Zawahałem się. Moje serce biło szybko nie tylko z powodu wspinaczki po śliskiej ścieżynie. Zbliżając się do kresu wędrówki byłem podniecony, jakbym z wysoko ustawionej deski szykował się do skoku do wody.

Skinąłem głową i wszedłem za ogrodzenie.

Na terenie fabrycznym panowała absolutna cisza. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, jak bardzo przyzwyczailem się do hałasu i ludzkiej aktywności wokół siebie w tym ponad miarę zatłoczonym mieście. Zawsze i wszędzie otaczał mnie tłum. Idąc teraz pustymi przejściami fabrycznymi w przegrzanym wilgotnym powietrzu czułem niemalże fizycznie ciężar

ciszy. W tym kompleksie chyba już nic się nie działo, nic nie produkowano. Zielsko sięgało powyżej okien, bluszcze czy powoje – dachów. Większość szyb była powybijana, tu i ówdzie tylko pozostały małe kwadraciki szybek. Przez ciemne otwory wlatywały i wylatywały ptaki. I te beczki! Teraz byłem pewien, że są puste. Wszędzie beczki – niegdyś jaskrawożółte, czerwone i niebieskie, a teraz zżarte rdzą.

Skręciliśmy w wąski, chyba ślepy zaułek. Tak to w każdym razie wyglądało. Stałem. Prawą rękę włożyłem do dolnej kieszeni bawełnianej koszuli w stylu safari. Miałem w niej spory kamień, który podniosłem w czasie wspinaczki na pagórek. Zdumiewające było to, że nie czułem strachu, a tylko ciekawość tego, co uczynią teraz moi przewodnicy. Zerknąłem za siebie, aby sprawdzić, czy mam czyste tyły. W myślach opracowywałem drogę ewentualnej ucieczki przez gmatwaninę uliczek i przejść. Patrząc na obu Kapalików doszedłem do wniosku, że bardziej trzeba strzec się grubasa.

Wskazał palcem drewniane zewnętrzne schody, przytulone do budynku, i wypowiedział jedno słowo: „Tam!”. Drzwi u szczytu schodów były wyraźnie wyższe niż zwykłe drzwi. Na ścianie budynku nie było okien, obrastał ją bluszcz.

Tkwiałem w miejscu zacisnąwszy dłoń na kamieniu. Mężczyźni czekali jeszcze przez chwilę, spojrzeli po sobie, a następnie odwrócili się na pięcie i ruszyli z powrotem drogą, którą przyszliśmy. Uznałem, że po prostu odchodzą, więc odsunąłem się pod ścianę, aby ich przepuścić. Poszli sobie nie oczekując, że ruszę za nimi. Przewidywali, że zostanę. Jeszcze przez chwilę słyszałem ich kroki na żwirowej alejce, po czym zostałem sam, a jedynym dźwiękiem był mój głośny oddech.

Przyjrzałem się stromym, drewnianym schodom. Kiedy zadarłem wysoko głowę i nad wysokim dachem ujrzałem skrawek nieba, zakręciło mi

się w głowie. Spod samego dachu wyskoczyło z jakiegoś zagłębienia stado gołębi i z głośnym trzepotem skrzydeł – brzęczącym w ciszy niby rewolwerowe strzały – uleciało w ołowiane niebo. Trudno mi było uwierzyć, że jest dopiero wpół do czwartej po południu.

Wróciłem do zakrętu dróżki i za załomem rozejrzałem się na lewo i na prawo. W promieniu co najmniej stu kroków nie było nikogo. Kamień w kieszeni uspokajał miłym ciężarem, koił chłodem. Broń jaskiniowca! Wyjąłem go z kieszeni. Był oblepiony czerwonawą gliną. Spojrzałem jeszcze raz na drzwi dziesięć metrów nade mną, na obrośniętej bluszczem ścianie. Dopiero teraz zauważyłem, że w drzwiach było zamalowane farbą okienko.

Na chwilę zamknąłem oczy usiłując oddychać równo, spokojnie. Schowałem kamień z powrotem do kieszeni i zacząłem wspinać się po przegniłych stopniach na spotkanie losu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

*...Kalkuto, suko,
Która sikasz żółtym trądem do chorych szczyn podobnym,
Tworząc fresk szaleńczy...*

Tushar Roj

Mroczny pokoik, w nim stół z oliwną lampką pośrodku. Płomyk prycha i nie daje światła, gdyż jego promienie pochłaniają czarne kotary wiszące dokoła. Pomieszczenie bardziej przypomina kryptę niż izbę mieszkalną. Po obu stronach stołu czekają dwa puste krzesła. Na pękniętym blacie leży książka, której tytułu nie widzę w tym lichym świetle, ale wiem, że to jest tom moich własnych poezji.

Do tego pokoiku prowadził od drzwi korytarzyk tak wąski i ciemny, że mimo woli się uśmiechnąłem, gdyż przy pominął mi Dom Strachów w lunaparku, który lubiłem odwiedzać jako dziecko.

Idąc korytarzykiem ocierałem ramionami o odpadający po obu stronach tynk. Powietrze było ciężkie zapachem gnijącego drewna. I znów wspomnienie: tak samo pachniało gdy jako dziecko wczołgiwałem się pod drewnianą werandę przy domu, by cieszyć się mroczną kryjówką na wilgotnej ziemi.

Nie wszedłbym do tego korytarzyka, gdyby nie skusiło mnie słabiutkie światełko oliwnej lampki na stole, jeszcze bardziej zduszone zawieszoną na całej wysokości wylotu korytarzyka czarną gazą, w którą pacnąłem nosem wchodząc do pokoiku. Bez trudu odsunąłem gazę, która rozpadała się przy dotyku niby porzucona przez pająka sieć.

Jeśli celem wyłożenia tomiku moich poezji było wzbudzenie we mnie zainteresowania, to cel został osiągnięty.

Zatrzymałem się o metr od stołu. Zaciskałem dłoń na kamieniu w kieszeni, choć zdawałem sobie sprawę, że to dziecinada z mojej strony. Nie wiem, dlaczego po raz drugi przypomniałem sobie lunapark. I znów uśmiechnąłem się do siebie. Gdyby cokolwiek wyskoczyło wówczas na mnie z mroku, nieźle oberwałoby tym kamieniem.

– Hej, hej, dowcipnisiu! – Czarne kotary pochłonęły moje wołanie mniej skutecznie, niż pochłaniały światło. – Hej tam, potworze z głębin, zabawa skończona! Wyłaź z kryjówki! – Chciało mi się chichotać. Sytuacja była w istocie groteskowa. Ale jednocześnie miałem ochotę wyć ze strachu. – Już dobrze, zaczynamy przedstawienie! – powiedziałem, podszedłem do stołu, wysunąłem krzesło i usiadłem. Kamień położyłem na książce – niby przycisk do papierów. Po chwili schowałem go jednak z powrotem do kieszeni. Założyłem ręce i siedziałem wyprostowany jak struna. Ot, grzeczny chłopczyk pierwszego dnia w szkole. Mijały sekundy. Żaden odgłos nie zamącił ciszy. Było tak gorąco, że pociłem się okropnie, a ponieważ siedziałem blisko stołu, pot skąpy wał na zakurzony blat. Czekałem.

Płomyk lampki wyczuł ruch powietrza i zadygotał.

Ktoś wychodził zza czarnej kotary.

Potężna sylwetka, zanim weszła w krąg światła, zatrzymała się na chwilę w mroku. Najpierw dostrzegłem oczy. Wilgotne, inteligentne, dojrzałe latami patrzenia na ludzkie cierpienie. Tak, oczy pełne wiedzy o cierpieniu, co do tego nie miałem najmniejszej wątpliwości. To były oczy poety! Spoglądałem na Dasa! Zbliżył się do stołu i kurczowo chwycił skraj blatu.

Patrzyłem na postać powstałą z grobu, postać odzianą w zszarzałe strzępy, które mogły być niegdyś całunem. Zęby wyszczerzone w

śmiertelnym grymasie, strzępy żywej tkanki zamiast ust. Nos wyjedzony aż do krwawej masy niezdolnej już zasłonić dwu otworów w czaszce. Przed zniszczeniem ocalało dumne niegdyś czoło, ale łuszczące się plamy tylko w niektórych miejscach pozostawiły kępki białych włosów, sterczących teraz w różne strony. Lewe ucho było bezkształtną masą.

Das wysunął drugie krzesło, by usiąść. Spostrzegłem, że brakuje mu połowy dwu palców prawej ręki, a pozostałe palce i dłoń miał owinięte strzępami szmaty, powyżej której, na nadgarstku, widać było gnilne plamy.

Usiadł ciężko, zachwiała mu się głowa, jakby szyja nie potrafiła jej utrzymać. Szmaty na piersiach unosiły się i opadały w rytmie spazmatycznego oddechu. Całe pomieszczenie było pełne świstu naszych urywanych oddechów.

– Trąd! – wyszeptalem w szoku, choć wydawało mi się, że z moich ust wyrwał się okrzyk. Malutki płomyk lampka migotał i chwiał się grożąc zgaśnięciem. Widziałem wpatrzony w siebie wilgotne, brązowe oczy. Dopiero teraz zauważyłem, że choroba zjadła już częściowo powieki. – Boże drogi, Das? Co się z panem dzieje, na miłość Boską? Trąd?

– Ta–a–a–k...

Właściwie trudno było mi określić rodzaj tego głosu. Brak warg uniemożliwiał formułowanie pewnych dźwięków, inne wychodziły zniekształcone, świszczące, gdy język opierał się o zęby. Ale mimo tego wszystkiego, mimo niewiarygodności sytuacji, potrafiłem z tego półbełkotu wyłuskać ślady oksfordzkiego akcentu i eleganckiej składni. Wypowiadane przez Dasa zdania były wypracowane, choć pojedyncze słowa gubiły się w świszczących, jęikliwych dźwiękach wyrzucanych przez oślinione zęby. Jednakże wszystko rozumiałem. Drobiny śliny pryskały na stół i oliwną lampkę. Nie byłem zdolny oderwać wzroku. Nie byłem zdolny zrobić najmniejszego ruchu.

– Trąd, panie Luczak. Chociaż dzisiaj określa się to bardziej elegancko mianem choroby Hansena – powiedział poeta Das, a słowo „dzisiaj” zaświszczalo bardziej niż pozostałe.

– Rozumiem. Bardzo mi przykro. – Wreszcie poruszyłem się, ale nadal nie mogłem oderwać wzroku od tego ludzkiego wraku. Uświadomiłem sobie, że kurczowo zaciskam palce na skraju blatu. Dotyk chropowatego drewna był jakby łącznikiem z rzeczywistością. – Mój Boże! Jak to się stało? Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

– Przeczytałem pańską książkę, panie Luczak wyświstał Das. – Jest pan poetą sentymentalnym.

– Skąd pan dostał egzemplarz? – Co za pytanie. Idiota ze mnie! Weź się w garść, człowieku! – To znaczy, chciałem zapytać, dlaczego uważa pan moją poezję za sentymentalną?

Das zamrugał szczątkami powiek, które – podobne do podartych firanek – nie zasłaniały całkowicie białek oczu. W chwilach kiedy inteligentne spojrzenie ginęło, siedząca przede mną zjawa wydawała mi się jeszcze okropniejsza. Z trudem opanowywałem chęć ucieczki. Mimo woli wstrzymałem oddech do chwili, gdy przestał mrugać.

– Czy rzeczywiście bywa tyle śniegu w stanie Vermont, panie Luczak? – W pytaniu zabrzmiała tęsknota.

– Że co? Aa, chodzi panu... tak. Tak, nie zawsze, ale niektóre zimy są bardzo śnieżyste. Zwłaszcza w górach. Skraje dróg i przydrożne skrzynki na listy oznaczane są kijami, a na ich końcach widnieją pomarańczowe proporczyki. – Plotłem coś trzy po trzy po to, by nie zatkać ust pięścią lub nie zacząć wyć.

– Aaa! – Das wydał dźwięk podobny do odgłosu, jaki mógłby wyjść z paszczy ginącego potwora morskiego. – Jakże bym chciał to zobaczyć! – Świst!

- Przeczytałem pański ostatni poemat, panie Das...
 - No i co? – To „co” przeciągle zaświstało.
 - Poemat o Kali. Pan mi go przysłał?
 - Ja.
 - Po co? Dlaczego?
 - Nie rozumiem, panie Luczak?
 - Dlaczego chce go pan opublikować właśnie za granicą? Dlaczego mnie go pan dał?
 - To musi być wydane! – Po raz pierwszy w jego głosie pojawiły się emocje. – Nie podobał się panu?
 - Nie, nie podobał. Absolutnie mi się nie podobał. Są w nim jednak fragmenty... wżerające się w pamięć. Okropne i zapadające w świadomość.
 - Rozumiem.
 - Dlaczego pan to napisał?
- Das ponownie przysłonił oczy strzępami powiek. Okropna głowa skłoniła się ku mnie... Nie, opadła na pierś. Przez chwilę myślałem, że zasnął. Łuskowate plamy na czaszce wydawały się zielonkawe w świetle oliwnej lampki.
- To musi ukazać się w druku! – szepnął ochryple. – Pomoże mi pan?
- Zawahałem się. Nie byłem pewien, czy ostatnie zdanie było twierdzeniem czy pytaniem.
- Dobrze, pomogę. Ale niech mi pan powie, dlaczego i po co pan to napisał. I co pan robi tutaj, w tym miejscu?
- Otworzył oczy, wlepił je we mnie i spojrzeniem dał mi do zrozumienia, że nie jesteśmy sami. Zerknąłem chyłkiem na boki, ale wszędzie widziałem jedynie czerń. W straszliwym gorącu, jakie tu panowało, krople potu spływały mi gęsto po policzkach.
- Jak pan... Jak doszło do takiego stanu?

– Pyta pan o trąd?

– Tak.

– Trąd towarzyszy mi od bardzo dawna. Z początku nie zwracałem uwagi na pierwsze objawy. Kiedy jeszcze podczas spotkań autorskich podpisywałem książki i rozdawałem autografy, kiedy jeszcze prowadziłem seminaria na uniwersytecie, często traciłem czucie w dłoniach i martwiały mi policzki. Znałem prawdę, mm jeszcze pojawiły się pierwsze otwarte rany. Długo przedtem, nim pojechałem na pogrzeb ojca.

– Ale są przecież lekarstwa! Teraz już są! – wykrzyknąłem. – Musiał pan o tym wiedzieć! Teraz można się wyleczyć!

– Nie, panie Luczak! Wyleczyć się nie można. Nawet ci, którzy wierzą w te lekarstwa, przyznają, że można jedynie ograniczyć objawy, czasami opóźnić rozwój choroby. Ale ja jestem wyznawcą filozofii zdrowia głoszonej przez Gandhiego. Kiedy pojawiła się pierwsza wysypka i zaczęły się bóle, pościłem, stosowałem różne diety, lewatywy. Tak, oczyszczałem ciało i umysł. Czyniłem tak przez całe lata. Nie pomogło. Wiedziałem, że nie pomoże.

– Skoro pan wiedział, że nie pomoże...? Wciągnąłem głęboko powietrze, a wilgotne dłonie otarłem o nogawki spodni.

– Niech mnie pan posłucha, panie Luczak – Das wyświstywał słowa szeptem. – Nie mamy wiele czasu. Opowiem panu pewną historię. Było to w lecie 1969 roku. Dla mnie w innym stuleciu i innym świecie. Ciało mojego ojca zostało spalone w rodzinnej wiosce. Tam się urodziłem. Od wielu tygodni miałem już otwarte, krwawiące rany. Braciom powiedziałem, że to alergja. Poszukiwałem samotności. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Długa droga z powrotem do Kalkuty dała mi szansę przemyślenia mojej sytuacji. Czy widział pan kiedykolwiek leprosorium w Indiach, panie Luczak?

– Nie.

– I niech pan ich nie ogląda. Mogłem oczywiście wyjechać za granicę. Pieniądze miałem. Lekarze w oświeconych i rozwiniętych krajach jak pański rzadko kiedy spotykają się z tak posuniętymi przypadkami choroby Hansena. Trąd już właściwie nie istnieje w krajach rozwiniętych. Jest to choroba brudu, gnoju i niehigienicznych warunków życia. Zachód od średniowiecza już o tym zapomniał. Ale Indie żyją z tym na co dzień. Moje ukochane Indie niestety cierpią na tę chorobę. Czy pan wie, panie Luczak, że w samym Bengalu jest pół miliona trędowatych?

– Nie wiedziałem.

– Ja też przedtem nie wiedziałem. Ale większość z nich umiera z zupełnie innych przyczyn, zanim w pełni zawładnie nimi trąd. Zaraz, gdzie to ja skończyłem...? Aha. Więc przyjechałem na dworzec Haura i miałem już gotowy plan. Wiedziałem, co zrobię. Miałem różne opcje. Między innymi rozważałem możliwość poddania się leczeniu za granicą. Mogłem zdecydować się na lata cierpienia, podczas gdy choroba rozpełzłaby się po mnie stopniowo. Rozważając upokorzenie i osamotnienie, które by mi towarzyszyły, gdybym się poddał leczeniu zachodnimi metodami, opcję tę odrzuciłem. I podjąwszy taką decyzję, poczułem ogarniający mnie spokój. Wreszcie byłem w zgodzie ze sobą i całym światem. Tak, owego wieczoru, patrząc z okna przedziału pierwszej klasy na dworcowe światła, poczułem ukojenie.

Zapadło długie milczenie, a potem usłyszałem pytanie: – Czy wierzy pan w Boga, panie Luczak? Bo ja nie. Nie wierzyłem wówczas, nie wierzę teraz... to znaczy nie wierzę w boga światła, w boga dobra... Są inne... Ale gdzie to ja skończyłem? Aha, wyszedłem z pociągu w dobrym nastroju. Moja decyzja pozwoliła mi nie tylko uchronić się przed bólem, jaki sprawia inwalidztwo, ale również przed tym bólem, jakim byłoby opuszczenie

kraju. Tak mi się w każdym razie wówczas wydawało. Wszystkie moje rzeczy, walizki, oddałem zdumionemu żebrakowi jeszcze na dworcu. A przy okazji... Musi mi pan wybaczyć moją metodę przekazania panu wczoraj na dworcu rękopisu. Jedną z niewielu przyjemności, jakie mi pozostały, jest ironia. To była dygresja. Gdzie stanęliśmy? Aha! Wyszedłem z dworca i pomaszerowałem do wspaniałego dzieła inżynierów, jakim jest most Haura. Widział pan ten most? Oczywiście, że pan widział. Zadałem głupie pytanie. Zawsze uważałem ten most za doskonały przykład rzeźby abstrakcyjnej, zupełnie niedoceniony jako dzieło sztuki. Tej nocy most był praktycznie opustoszały, przemierzało go najwyżej kilkuset przechodniów. Znowu zapanowała martwa cisza. Po chwili, westchnąwszy, Das wznowił opowieść: – Zatrzymałem się na samym środku mostu. Od mrocznej powierzchni rzeki Hugli dzieliło mnie ponad trzydzieści metrów. Nie chciałem tracić czasu na zbędne rozmyślenia, więc zacząłem komponować sonet. Krótki sonet, można go nazwać wierszem pożegnalnym. Ja też byłem kiedyś poetą sentymentalnym. A potem skoczyłem. Nie wahałem się, nie było już na to czasu. Wydawało mi się, że spadam w wieczność. Zapewniam pana, panie Luczak, że gdybym wówczas zdawał sobie sprawę, jak olbrzymi odcinek czasu dzieli rozpoczęcie i moment kulminacyjny takiego samobójstwa, to zaplanowałbym to wszystko zupełnie inaczej. Przy upadku z takiej wysokości woda uderza w człowieka z siłą betonu. Miałem wrażenie, że w czaszce rozkwita mi gorejący kwiat. Coś pękło w karku i kręgosłupie. Głośno. Jakby łamała się gałąź. Moje ciało poszło pod wodę. Powiedziałem „moje ciało”, ponieważ umarłem, panie Luczak. Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Jednocześnie nastąpił przedziwny fenomen. Po śmierci dusza nie opuszcza natychmiast ciała, ale pozostaje przy nim i przygląda się dalszemu ciągowi wydarzeń jak przypadkowy widz. Jakże inaczej mógłbym opisywać przedziwne doświadczenie

patrzenia na pokręcone ciało opadające w muł na dnie rzeki Hugli? Widziałem ryby skubiące moje oczy i kończyny. Obserwowałem to wszystko bez najmniejszego niepokoju, bez przerażenia, a nawet z niezbyt wielkim zainteresowaniem. To właśnie przeżyłem, panie Luczak. Tak wygląda owa śmierć, której ludzie tak się boją... Przeżycie równie banalne, jak i wszystkie inne, które towarzyszą naszemu godnemu politowania istnieniu.

Zapadło kolejne milczenie. Siedziałem osłupiały.

– Pojęcia nie mam, jak długo moje ciało leżało na dnie rzeki – ciągnął Das. – Nie wiem, jak długo zespalało się z mułem, zanim uniosły je prądy, wzbudzone być może przez jakiś statek, i wyrzuciły, zniekształcone, na brzeg. Odnalazły mnie dzieci. Następnie pojawili się Kapalikowie. Delikatnie mnie ponieśli, chociaż owa delikatność nic wówczas dla mnie nie znaczyła. Aha, te dzieci, które mnie znalazły, nakłuwały mnie patykami śmiejąc się przy tym głośno. Kapalikowie zanieśli mnie do jednej z ich wielu świątyń. Obudziłem się w objęciach Kali. Jest to jedyne bóstwo, które potrafi przeciwstawić się śmierci i czasowi. Z jej woli zmartwychwstałem. Ale jedynie dla jej własnego celu. Wyłącznie dla jej niezbadanych celów, gdyż, jak pan widzi, oddając mi oddech nie zabrała choroby.

– Jakie były te jej cele, panie Das? – spytałem.

– Chyba to jasne, po co przywróciła mi zdolność istnienia. W ograniczonym zakresie. – Grymas resztek ust Dasa był okrutną imitacją uśmiechu. – Stałem się poetą bogini Kali. Ja, niegodny, służę jej jako poeta, kapłan i jestem... jej wcieleniem.



Przez cały czas słuchałem Dasa jakby w oderwaniu podobnym do tego, które opisywał mówiąc o swej duszy przyglądającej się tonięciu własnego ciała. Jakaś część mojej świadomości zdawała się unosić pod sufitem przyjmując opowieść z chłodną uwagą bliską obojętności. Natomiast inna cząstka mojego „ja” miała ochotę śmiać się histerycznie, głośno wyrażać niewiarę, protestować przeciwko absurdalności całej historii, i uciekać z tego odrażającego mroku emanującego grozą.

– To wszystko co miałem panu do opowiedzenia, panie Luczak. Co pan na to?

– Sądzę, że choroba namąciła panu w głowie, panie Das.

– Tak pan sądzi? – zaświstał.

– Albo też, że jest pan zdrów na umyśle, ale że g pan komedię. W jakimś celu. Dla kogoś odgrywa pan...

Das nic nie odpowiedział, ale jego wzrok pomknął na chwilę w bok.

– Jest jeszcze jeden drobny problem z pańską historią – powiedziałem zdumiony zdecydowanym brzmieniem swego głosu.

– A mianowicie?

– Skoro pańskie... skoro ciało zostało odnalezione dopiero w ubiegłym roku, to wątpię, aby pozostało z niego wiele... Nie po blisko siedmiu latach.

Głowa Dasa aż podskoczyła. Jak głowa diabełka wyskakującego z magicznego pudła. W przesłoniętej czarnymi kotarami ciemności rozległo się lekkie skrzypienie.

– Ooo! A skąd pan wie, że ciało odnaleziono w ubiegłym roku?

Poczułem ucisk w gardle i bez większego zastanowienia zacząłem mówić: – Zgodnie z tym, co powiedział pan Muktanandaji, mityczne zmartwychwstanie nastąpiło w ubiegłym roku.

Gorący podmuch powietrza zakołysał płomykiem lampki, cienie zatańczyły na zrujnowanej twarzy Dasa i zlały się z jej okropnym

grymasem. Usłyszałem szelest za kotarą.

– Aaaa! – Das wypuścił wstrzymywany oddech. Zjedzona chorobą, owinięta szmatą ręka przejechała po stole jakby mimowolnym ruchem. – Od czasu do czasu... bywają... pewne... odtworzenia tkanek...

Pochyliłem się nisko nad stołem. Prawą dłoń trzymałem w kieszeni. Obejmowałem mocno kamień. Wzrok utkwilem w zjedzonej prawie przez trąd postaci po drugiej stronie stołu i powiedziałem: – Dlaczego, Das? Na miłość boską, dlaczego Kapalikowie? Po co ci Kapalikowie? Po co ten wstrętny, plugawy epos o Kali powracającej, by rządzić światem czy coś w tym rodzaju? Był pan wielkim poetą. Wyśpiewywał pan... tkał strofy prawdy i niewinności... – Wypowiedziane słowa zaczęły mi się wydawać zbyt słabe i nieadekwatne, ale inaczej nie potrafiłem wyrazić tego, co w danej chwili czułem.

Das cofnął się jak smagnięty. Zaczął ciężko świstać otworami nosowymi i dyszeć zniekształconą jamą ustną. Jak długo można żyć w takim stanie rozkładu? Tam, gdzie nie dotarła jeszcze zgnilizna, skóra była prawie przezroczysta i wydawała się krucha jak pergamin sprzed wieków. Kiedy ta istota po raz ostatni spoglądała na słońce?

– W bogini tkwi niewyobrażalne piękno... – wyszeptał Das.

– Piękno w śmierci i zniszczeniu? Piękno w gwałcie? Niech pan mi powie, Das, od kiedy to uczeń Tagorego wyśpiewuje hymn na cześć przemocy?

– Tagore był ślepy! – W syczącym szepcie pojawiła się jakaś nowa siła. – Tagore nie potrafił dostrzec prawdy. Chyba że w chwili śmierci. Być może. I jeśli tak było, to z pewnością zwrócił się ku niej. Każdy z nas zwraca się do niej, gdy śmierć zjawia się w naszej sypialni i ujmuje naszą dłoń.

– Ucieczka w jakąkolwiek inną religię nie usprawiedliwia akceptowania gwałtu! – odparłem. – Nie upoważnia do opiewania zła w pochwalnych strofach, jak to pan uczynił...

– Opiewania zła! Też mi...! – Ze zżartych trądem ust trysnęła strużka żółtej flegmy i padła na ziemię. – Jest pan ignorantem. Zło! Nie ma takiej rzeczy. Zło nie istnieje. Nie istnieje gwałt. Jest tylko potęga. Władza. Potęga lub, jeśli pan woli, siła. Siła jest filarem, na którym opiera się wszechświat. Zapewnia ład. Siła jest jedyną rzeczywistością. Tak zwany gwałt jest po prostu próbą zaprowadzenia ładu, jest manifestacją potęgi. Gwałt jest potęgą. Wszystko, czego się boimy, i sam lęk są rezultatami manifestacji siły stosowanej wobec nas. I wszyscy szukamy sposobów wyzwolenia się z owego lęku. Wszystkie religie są po prostu próbami zastosowania siły wobec innych formacji pragnących przejąć nad nami kontrolę. I właśnie ONA jest naszym jedynym ratunkiem. Tylko Pożeraczka Dusz potrafi nam zapewnić *abhaja mudras* i wyzwolić od lęku. Reprezentuje Najwyższą Władzę, jest samym wcieleniem potęgi, siłą poza czasem i poza granicą naszych zdolności zrozumienia.

– Co za ohyda! – odparłem. – Tam argument na rzecz okrucieństwa.

– Okrucieństwa? – Das się roześmiał. Przypominało to grzechotanie kamieni w pustym, glinianym naczyniu. Okrucieństwa! Chyba nawet sentymentalny poeta, który plecie o wiecznych prawdach, wie, że to, co określa mianem okrucieństwa, jest jedyną prawdą akceptowaną we wszechświecie. Życie opiera się na idei gwałtu i przemocy.

– Nie mogę się z tym zgodzić!

– Ooo? – Das dwukrotnie zamrugał. Bardzo wolno. – Nigdy nie zasmakował pan eliksiru potęgi? Nigdy nie uciekł się pan do przemocy?

Zawahałem się. Czy mogłem mu się przyznać, że przez całe życie z trudem usiłuję opanować własną wybuchowość? Mój Boże, o czym my

rozmawiamy? Co ja tutaj robię?

– Nie – odparłem.

– Bzdura!

– To święta prawda. Owszem, uczestniczyłem w kilku bijatykach, ale zawsze unikałem stosowania przemocy! Miałem wówczas chyba dziesięć lat, a Sara osiem. W lesie na skraju leśnego rezerwatu. Zdejmij szorty, jazda!

– Kłamie pan. Każdy kiedyś zakosztował krwawego wina Kali.

– Nie ma pan racji! – Uderzyłem ją wtedy w twarz. Jeden raz. Drugi raz. Łzy spływały po jej twarzy, wykonała rozkaz. Przypomniały mi się ślady moich palców na jej chudych ramionach. – Drobnie wydarzenia z dzieciństwa. To wszystko.

– Nie ma drobnych okrucieństw czy nieistotnych.

– Mówi pan absurdalne rzeczy! – I to obezwładniające podniecenie przygodą. Nie tylko na widok jej bladej nagości i przedziwnej, erotycznej intensywności przeżycia. Nie, to było coś innego! Podniecała mnie jej całkowita bezradność, uległość. Mogłem wówczas zrobić wszystko, czego bym chciał.

– Zobaczymy! – odparł.

Mogłem zrobić wszystko!



Das z trudem wstał. Wstałem i ja.

– Wydrukuj pan mój poemat? – głos jego zasyczał teraz jak rozżarzone węgle oblane wodą.

– Nie wiem. Może nie. Niech pan jedzie ze mną, Das! Nie musi pan tu pozostawać. Niech pan leci ze mną. Sam go pan opublikuje.

Kiedy miałem siedemnaście lat, mój skretyniały kuzynek namówił mnie na zabawę w „rosyjską ruletkę” rewolwerem swojego ojca. Włożył jeden nabój, zakręcił bębenkiem. W idiotycznym szczenięcym odruchu przyłożyłem rewolwer do skroni i pociągnąłem za spust. Usłyszałem suchy trzask iglicy trafiającej w pustą komorę. Od tamtego czasu nie wziąłem do ręki broni palnej. Jednakże w tej chwili, tu w Kalkucie, miałem wrażenie, jakbym bez wyzwania i bez istotnego powodu znowu podnosił nabity jednym nabojem rewolwer.

Milczenie się przedłużało.

– Nie. Pan to musi opublikować. To jest bardzo ważne.

– Dlaczego? Czy nie może pan stąd wyjechać? Co więcej mogę dla pana zrobić? Jak pomóc? Niech pan ze mną jedzie, Das!

Das zasłonił oczy resztkami powiek. W tym momencie nawet nie przypominał człowieka. Jego szmaty wydzielaly zapach cmentarnej ziemi. Z ciemności sączyły się szmery. – Wybrałem pozostanie tutaj. Jest jednak rzeczą niesłychanej wagi, by Pieśń Kali dotarła do pańskiego kraju.

– Dlaczego? – spytałem raz jeszcze.

Język Dasa przypominał zwierzątko poruszające się w jamie ustnej i ocierające o zęby.

– Pieśń Kali to coś więcej niż moja ostatnia praca. To jest proklamacja. Tak to należy rozumieć. Proklamacja narodzin. Czy pan to opublikuje?

Dziesięć głuchych uderzeń serca w absolutnej ciszy doprowadziło mnie do skraju jakiejś otchłani, której nie pojmowałem. Skinąłem lekko głową.

– Tak – odparłem. – To będzie opublikowane. Może nie w pełnej objętości, nie całość, ale będzie opublikowane.

– To dobrze – odparł poeta i odwrócił się, by odejść. Potem chwilę się zawahał i znowu zwrócił ku mnie jakby nieśmiało. Po raz pierwszy pojawiła się w jego głosie nuta ludzkiego najzwyczajszego pragnienia. – Jest jeszcze... jedna rzecz, panie Luczak...!

– Mianowicie? Słucham?

– Ale w tym celu musiałyby pan tu jeszcze raz wrócić. Ugięły się pode mną kolana.

– Dlaczego, po co?

– Mało mam książek do czytania... – wskazał na mój tomik poezji leżący na stole. – Oni... Ci, którzy troszczą się o moje potrzeby... czasami dostarczają mi książki, o które poproszę podając tytuły. Często jednak przynoszą nie te, których żądam. Znam tak niewielu poetów nowej generacji. Czy mógłby pan... Czy zechciałby... wskazać kilka pozycji według własnego wyboru?

Starzec szarpnął się, jakby zatoczył, trzy kroki do przodu i przez jedną okropną chwilę myślałem, że chce pochwycić moją dłoń w swoje kikuty. Zatrzymał się w ostatniej chwili, obie jego dłonie zawisły w powietrzu w jakimś wzruszającym geście bezradnego błagania.

– Obiecuję, że to zrobię. Otrzyma pan książki! – O nie! Ja tu nie wrócę, pomyślałem. Przekażę przez jego przyjaciół Kapalików. Za żadne skarby nie wrócę! Nim jednak mogłem to jakoś uprzejmiej wyrazić, Das odezwał się ponownie: – Zależy mi zwłaszcza na przeczytaniu utworów młodego, amerykańskiego poety, Edwina Arlingtona Robinsona. Wpadł mi w ręce tylko jeden jego wiersz pod tytułem Ryszard Cory. Jego zakończenie jest takie piękne, tak pasuje do mojej sytuacji, do moich własnych ambicji, że nieustannie przychodzi mi on na myśl. Bardzo chciałbym zapoznać się z innymi utworami tego poety. Mógłby mi pan je dostarczyć?

Ze zdumienia zaniemówiłem. Młody, amerykański poeta? Obawiając się powiedzenia czegoś niewłaściwego, skinąłem tylko głową i wymruczałem, że się postaram.

Żałosna postać opuściła pomieszczenie. Po chwili uczyniłem to ja. Gdy wchodziłem w korytarzyk, czarna gaza przyłgnęła do mnie, jakby chciała mnie zatrzymać, uniemożliwić ucieczkę. Po krótkim szamotaniu zdołałem się wyswobodzić.

Udało się. Byłem wolny.



Kalkuta wydała mi się nagle piękna. Słabe słońce przeciskające się przez chmury, ludzkie mrowie, szaleństwo ulicznego ruchu – patrzyłem na to wszystko z radosnym uczuciem ulgi, który dodawał blasku oglądanemu światu. Przypomniały mi się jednak pewne uwagi Dasa i naszły mnie wątpliwości. Nie, teraz nie będę o tym myślał. Potem.

Teraz jestem wolny.

Obaj Kapalikowie czekali na mnie u podnóża schodów. Potrzebowałem ich pomocy zaledwie przez kilka minut. Przeprowadzili mnie ścieżką między budami i norami do głównej arterii. Tam udało mi się złapać taksówkę. Przed odejściem jeden z Kapalików wręczył mi wysmolony prostokąt kartonu, na którym widniały słowa: przed Kaligatem o dziewiątej. Zapytałem, czy tam mam przynieść książki. Potwierdził skinieniem głowy, które było jednocześnie pożegnaniem.

Po chwili jechałem czarno–żółtą taksówką, która z trudem przeciskała się pomiędzy ledwo poruszającymi się pojazdami. Przez pierwsze dziesięć minut po prostu pławiłem się w radosnym uczuciu, jakie przychodzi

zawsze, gdy ustępuje napięcie. Ależ przeżycie! Morrow mi nie uwierzy, kiedy mu opowiem. Mnie samemu trudno było w to uwierzyć, że siedziałem sam na sam ze szczątkami jednego z największych poetów naszej ery, a pilnowali nas kalkucy gangsterzy! Co za przeżycie!

Ta opowieść zupełnie nie pasuje do Harper's. Można by ją umieścić w sensacyjnym National Enquirer, ale nie w Harper's. Głośno się roześmiałem, a spocony drobny kierowca odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co też wyprawia zwariowany Amerykanin. Przez następnych kilka minut rozbawiony układałem w myślach nagłówki, by wzbudzić zainteresowanie Morrowa odpowiednią dozą cynizmu. Zbyt późno zdałem sobie sprawę, że powinienem był baczniej obserwować drogę i zanotować kilka szczegółów pozwalających zlokalizować miejsce spotkania z Dasem. Niestety, taksówka ujechała już sporo kilometrów od chwili kiedy do niej wsiadłem, nie wiedząc nawet gdzie.

Rozpoznałem parę budynków dopiero blisko śródmieścia, jakieś dwie przecznice od mojego hotelu. Kazałem kierowcy stanąć przed dość obskurną witryną, nad którą wisiał szyld obwieszczający, że tu właśnie niejaki Manny prowadzi handel książkami. Gdy wszedłem do środka, znalazłem się w labiryncie żelaznych półek i niezliczonych stosów książek – starych, nowych, często obrośniętych grubą warstwą kurzu. Głównie wydania angielskie.

Po pół godzinie miałem już osiem tomów dobrej współczesnej poezji. Nie znalazłem oddzielnej pozycji Robinsona, natomiast tania publikacja pod tytułem Współczesne wiersze zawierała Robinsonowskiego Ryszarda Cory, a także Ciemne Wzgórza i wiersze Walta Whitmana. Przerzucałem poźółkłe kartki z mieszanymi uczuciami. Czyżbym źle zrozumiał posłanie Dasa? Chyba nie.

Odłożyłem sprawę do dalszego przemyślenia i spędziłem w księgarni jeszcze kilka minut dobierając dwie pozycje, raczej ze względu na ich objętość niż treść. Kiedy sprzedawca wyliczał mi resztę w dziwnego kształtu monetach, spytałem, gdzie tu się mieści jakiś skład apteczny. Początkowo nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi, i przecząco potrząsał głową, ale gdy mu wytłumaczyłem, rozpogodził twarz, wykrzyknął „Chemia Medyczna” i wyjaśnił, że przybytek taki znajduje się między księgarnią a hotelem.

Zbliżała się szósta po południu, gdy wróciłem do hotelu. Na chodniku koczowały pikietki komunistyczne, nad małutkimi ogniami gotowano herbatę. Pomachałem im niemalże wesoło i wstąpiłem w klimatyzowany, bezpieczny świat. Inny świat.



Gdy Kalkuta szykowała się na gorący wieczór, ja drzemałem. Opuściło mnie buńczuczne podniecenie i uczucie ulgi. Byłem wyprany z sił i woli. Czuję się zmęczony i niepewny. Raz po raz przywoływałem na pamięć poszczególne sceny z popołudniowego spotkania usiłując jednocześnie wyeliminować przeraźliwy obraz gnijącego człowieka. Bez powodzenia. Obraz ten wdzierał się na pierwszy plan. Im bardziej usiłowałem nie myśleć o fizycznych aspektach przeżycia, tym silniej oddziaływa! na mnie obraz zjedzonej przez chorobę twarzy poety.

...takie piękne, tak pasuje do mojej sytuacji, do moich własnych pragnień – nie tak: do moich własnych ambicji.

– że nieustannie przychodzi mi on na myśl...

Wcale nie musiałem szukać poematu w kupionej przed paroma godzinami książce, aby zacytować wiersz Robinsona:

...I wróciwszy do domu którejs cichej nocy lata Richard Cory zakończył płoche życie rewolweru kulą.

Simon i Garfunkel w poprzedniej dekadzie przybliżyli ten obraz każdemu w głośnej piosence.

Nieustannie przychodzi mi on na myśl!

Dochodziła siódma. Umyłem się, zmieniłem spodnie i zszedłem do restauracji na lekką kolację. Zamówiłem ryż z curry i do tego hinduski specjał – rodzaj chlebków który Amrita zawsze nazywała *puri*, choć w tutejszym menu nosił miano *luczi*. Do tego posiłku wypilem dwie butelki bombajskiego piwa. Kiedy po godzinie wracałem do pokoju, byłem znacznie mniej przygnębiony.

Idąc korytarzem do pokoju, miałem wrażenie, że dzwoni u mnie telefon, ale nim otworzyłem drzwi i wszedłem, dzwonek zamilkł.

Brunatna torebka leżała tam, gdzie ją cisnąłem: w głębi górnej półki szafy. Automatyczny pistolet wydał mi się jeszcze mniejszy niż poprzednio. Być może to jego podobieństwo do zabawki zdecydowało o moim następnym kroku.

Z torebki przyniesionej ze składu aptecznego wyjąłem paczuszkę żyletek i buteleczkę kleju. Obejrzałem dokładnie trzy najgrubsze książki. Do mojego celu nadawał się jedynie tom poezji Lawrence'a Durrella w sztywnej okładce. Aż się wzdrygnąłem zaczynając robotę. Miałem obsesję – niszczenie książek było dla mnie zbrodnią.

Pracowałem przez czterdzieści minut wycinając środki stron, a przez cały czas bałem się, że odetnę sobie palce.

Kosz na śmieci był wypełniony ścinkami papieru. Gdy skończyłem, wewnątrz książki wyglądało, jakby wygryzły je szczury, niemniej pistolet

świetnie się tam zmieścił.

Z wrażenia zaczęło mi mocniej bić serce.

Drobne wątpliwości zbywałem wmawianiem sobie, że jeśli zmienię zamiar, to będę mógł całą książkę z jej zawartością wyrzucić w jakimś zaułku. A sama książka jest doskonałym schowkiem. Przecież nikt nie pomyśli, że niosę w niej pistolet. Ze spokojem wyjdę z hotelu. Tak sobie myślałem.

Na chwilę wyjąłem pistolet i włożyłem do niego magazynek z nabojami. Zaskoczył. Doskonale. Obejrzałem dokładnie broń i nie znalazłszy żadnej blokady włożyłem z powrotem do książki. Następnie starannie pokleiliśmy wycięte żyłkami strony.

Nieustannie przychodzi mi on na myśl.

Pokiwałem głową i wszystkie książki zapakowałem do torby z napisem *Księgarnia Manny'ego*. Poezje Durrella były trzecie od dołu.

Godzina ósma pięćdziesiąt. Zamknąłem na klucz pokój i ruszyłem w stronę windy. Winda właśnie zatrzymała się na moim piętrze. Otworzyły się drzwi i wyszła przez nie Amrita z Wiktorią na rękę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I oto północ. Bestialskie wołania...

Kto komu wrogiem, kto –

W dziczy fałszywego miasta?

Siddheswar Sen

– To było okropne, Bobby! Przewidziany na pierwszą odlot opóźniony do trzeciej. Siedzieliśmy w rozgrzanym samolocie, klimatyzacja prawie nie działała. Stewardesa powiedziała, że to jakiś problem techniczny, ale siedzący obok mnie biznesman z Bombaju wyjaśnił, że to kłótnia pilota z mechanikiem pokładowym. Że trwa to już od kilku tygodni. Wreszcie wylecieliśmy, ale samolot wkrótce powrócił na lotnisko. Kazano nam wszystkim wsiąść. Wiktoria opluła mi bluzkę, nie miałam nawet czasu, żeby zmienić na inną z podręcznego bagażu. To wszystko było okropne, Bobby!

Coś mruknąłem patrząc na zegarek. Była dokładnie dziewiąta. Amrita siedziała na łóżku, a ja nadal stałem w otwartych drzwiach. Trudno było mi uwierzyć, że Amrita i Wiktoria są tu, w Kalkucie. Niech to wszyscy diabli, niech to jasna cholera! Miałem ochotę ująć Amritę za ramiona i potrząsnąć, żeby sprawdzić, czy ona tu rzeczywiście jest. Byłem zupełnie zagubiony.

– ...No a potem kazano nam wsiąść do innego samolotu lecącego do Delhi przez Benares i Khadzuraho. I nawet zdążyłabym jeszcze na lot Pan Amu z Delhi, gdyby ten samolot wystartował o czasie.

– Ale nie wystartował – stwierdziłem głucho.

– Oczywiście, że nie. I w dodatku nie przeładowano na ten drugi samolot naszego bagażu. Postanowiłam mimo wszystko lecieć. O siódmej trzydzieści do Bombaju, a następnie linią British Airways do Londynu.

Tylko że samolot z Bombaju, którym chciałam lecieć, zamiast do Kalkuty musiał polecieć do Madrasu, gdyż w Kalkucie powstał jakiś problem ze światłami na pasach startowych. Przełożyli lot na jedenastą wieczorem. Ale byłam już okropnie zmęczona, Wiktorcia przez cały czas płakała...

– Rozumiem – odpowiedziałem.

– Bobby, Bobby, dzwoniłam i dzwoniłam do hotelu, ale ciebie nie było. W recepcji obiecali, że przekażą ci wiadomość...

– Nie przekazali. Przechodziłem koło recepcji wracając, widzieli mnie, kierownik hotelu też mnie widział, i nikt nic nie powiedział.

– Sukinsyny – mruknęła Amrita. – A obiecali. Amrita nigdy nie przeklinała, chyba że w języku, którego nikt z obecnych nie rozumiał. Wiedziała, że nie znam rosyjskiego, więc teraz zaklęła po rosyjsku. Nie przypuszczała jednak, że jednym z ulubionych przekleństw mojego polskiego dziadka było właśnie owo słowo po rosyjsku.

– To nieważne – powiedziałem, a pomyślałem, że to wszystko zmienia.

– Przepraszam za kłopot, który ci zrobiłam. Ale musiałam. Marzyłam o prysznicu, o nakarmieniu Wiktorii i powrocie jutro z tobą.

– Oczywiście! Rozumiem. – Podszedłem i pocałowałem Amritę w czoło. Jeszcze nie widziałem Amrity tak roztrzęsionej. – Wszystko w porządku. Polecimy rano. – Znowu zerknąłem na zegarek. Była dziewiąta osiem. – Zaraz wracam.

– Musisz iść?

– Muszę. Na kilka minut. Muszę komuś oddać te książki. To nie potrwa długo, kochanie. – Raz jeszcze zatrzymałem się w drzwiach. – Zamknij dobrze drzwi, zasun zasuwę i załóż łańcuch. Nikomu nie otwieraj. Nikomu. Jeśli zadzwoni telefon, nie odbieraj. Rozumiesz?

– Ale dlaczego? Co się...?

– Zrób, co ci mówię, psiakrew! Wrócę za pół godziny. Mniej więcej za pół godziny. Proszę cię, Amrito, zrób, co ci mówię! Później ci wszystko opowiem.

Już się odwracałem, kiedy zobaczyłem, że Wiktoria wymachuje nóżkami i rączkami leżąc na kocyku, na którym Amrita ją przewijała. Wróciłem i podniosłem Wiktorię do góry, głośno dmuchając w goły brzusek. Dziecko było uszczęśliwione. Uśmiechało się szeroko sięgając rączkami do mojej twarzy. Pachniała szamponem dla dzieci firmy Johnson and Johnson, miała niewyobrażalnie delikatną skórkę. Ułożyłem ją z powrotem na kocyku i jeszcze zrobiłem kilka razy rowerek nóżkami.

– Opiekuj się mamą, póki nie wrócę, dobrze, malutka?

Wiktoria przestała się kręcić i spojrzała na mnie bardzo poważnie.

Raz jeszcze pocałowałem ją w brzusek, a Amritę w policzek i wyszedłem.



Nie poszedłem do Kaligatu. Gdy zamknęły się za mną drzwi hotelowe, zrobiłem jeszcze tylko kilka kroków i stanąłem zastanawiając się, w jaki sposób pozbyć się grubego tomu poezji Durrella. Właśnie wtedy podjechała czarna limuzyna. Za kierownicą siedział grubas w kurtce khaki. Tylne drzwiczki otworzył ktoś zupełnie mi obcy i wystawił głowę.

– Proszę wsiąść, panie Luczak.

Cofnąłem się parę kroków przyciskając torbę z książkami do piersi.

– Kiedy... miałem iść... spotkać się z kimś przed Kaligatem... – wyjąkałem bardzo niemądrze.

– Proszę wsiadać!

Przez kilka sekund stałem jak skamieniały. Następnie rozejrzałem się dokoła. Wejście do hotelu było dwadzieścia kroków za mną. Hinduska para – widać z ubioru, że zamożna – śmiała się stojąc pod hotelową markizą, podczas gdy portier wynosił ich bagaże z szarego mercedesa.

– Niech pan to weźmie – powiedziałem podając torbę mężczyźnie, który kazał mi wsiadać. – To są poezje, które mu obiecałem.

– Proszę wsiąść do samochodu, panie Luczak! – powtórzył z naciskiem mężczyzna, najwyraźniej nie mając zamiaru wziąć ode mnie plastikowej torby.

– Po co?

Mężczyzna westchnął i potarł nos.

– Poeta chce się z panem widzieć. To potrwa krótko. Mówi, że pan mu to obiecał.

Grubas za kierownicą zmarszczył brwi i obrócił się w moją stronę, jakby chciał coś powiedzieć, ale ten drugi z tyłu chwycił go za ramię i powiedział do mnie: – Poeta chce coś panu wręczyć. Proszę wsiąść, panie Luczak.

Sam byłem zdumiony, że się pochylam i wsiadam do samochodu. Zatrzasnęły się za mną drzwiczki i wóz ruszył w kalkucką noc.



Deszcz i rozpalone ogniska pod daszkami. Główne arterie, boczne uliczki, wąskie dróżki, błotniste koleiny i porośnięte zielskiem ruiny. Światełka latarni i migotliwe światła miasta. Przez cały czas bałem się, że siedzący obok mnie Kapalik zażąda torby, żeby sprawdzić jej zawartość, przejrzeć wszystkie książki. I kiedy to zrobi, rozpoczną się krzyki, może i bijatyka.

Jechaliśmy w milczeniu. Torbę z książkami trzymałem na kolanach, twarz miałem obróconą ku szybie drzwiczek, chociaż nie przypominam sobie teraz żadnych szczegółów z wyjątkiem własnego, bladego odbicia. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed wysoką, żelazną bramą. Gdzieś blisko z dwóch ceglanych kominów buchały kłęby iskier i dymu. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Wiedziałem tylko, że poprzednio tą drogą nie jechałem. Odziany na czarno człowiek wyszedł zza bramy w deszcz, otworzył żelazne podwoje, wjechaliśmy.

W świetle reflektorów ujrzałem puste budynki, bocznicę kolejową i górę odpadów, na której tkwiła ciężarówka na poły skryta przez zielsko. Zatrzymaliśmy się ponownie przed szerokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami oświetlonymi żółtą żarówką, na którą nacierały legionami insekty.

– Wsiadamy – oznajmił mężczyzna siedzący obok.

Potem były jeszcze inne drzwi i korytarze. Dołączyli do nas dwaj odziani na czarno mężczyźni z latarkami. Dochodziły do mnie dźwięki sitary i bębnów. Wąskimi schodami weszliśmy na piętro. Tam się zatrzymaliśmy i mój towarzysz podróży powiedział coś ostrym tonem do kierowcy w stroju khaki. I wtedy zaczęło się obszukiwanie.

Jeden z mężczyzn odebrał mi torbę z książkami, drugi mnie obmacywał. Całe ciało, a nawet wewnętrzną stronę ud. Podałem się temu ze spokojem. Kierowca otworzył torbę i wyjął trzy pierwsze książki w miękkich okładkach. Wstrzymałem oddech. Niemal ze złością przerzucił kartki i włożył książki z powrotem do torby wyjmując grubszy tom w sztywnej okładce. Pokazał go pozostałej trójce. To nie były poezje Durrella. Po chwili wrzucił tom do torby i oddał mi ją bez słowa.

Odzyskałem oddech.

Kapalik w czerni dał znak ręką trzymającą latarkę. Poszedłem za nim schodami na następne piętro. Te schody były znacznie krótsze. Potem

poprowadził mnie wąskim korytarzem, zatrzymał się przy drzwiach, otworzył je i zaprosił do wejścia.

Wszedłem. Pomieszczenie nie było większe od tego, które poznałem po południu, ale nie miało czarnych kotar. Na drewnianej półce stała lampa naftowa, obok kubek, kilka drewnianych misek i mały posążek Buddy.

Das przygarbiony siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, przy niskim stoliku. W rękę trzymał cienki tomik. Gdy wszedłem, podniósł głowę znad stron. W jaśniejszym świetle lampy naftowej jego twarz wyglądała jeszcze straszniej.

– Aaa, pan Luczak!

– Pan Das!

– Miło z pana strony, że zechciał pan wrócić.

Rozejrzałem się po niewielkim pokoju. Otwarte drzwi w głąb prowadziły w mrok. Napływał tu skądś zapach kadzideł. Dochodziły też nikłe, rozproszone dźwięki sitary.

– Czy to są książki? – spytał Das wskazując nieporadnie owiniętą w szmaty ręką moją torbę.

– Tak – odparłem klękając na podłodze i kładąc torbę na niskim stoliku. Złożenie ofiary! Naftowa lampa zaskwierczała. Zielonożółte światło oświetlało gnijące rany na prawym policzku poety, a rozkładające się liszaje na głowie wydawały się prawie białe przy ciemnej skórze, jeszcze nieskażonej chorobą. Pozostałe po nosie otwory zapchane były flegmą. Świst oddechu Dasa był głośniejszy od syczenia lampy.

– Aaa! – Das westchnął. Niemal z nabożeństwem położył rękę na torbie. – Księgarnia Manny’ego. Znałem go dobrze, panie Luczak. Dawno temu, podczas wojny, kiedy potrzebowałem pieniędzy na komorne, sprzedałem Manny’emu mój zbiór poezji romantycznej. I wie pan co? On go odłożył na bok, żebym go mógł odkupić, kiedy będę miał pieniądze. I odkupiłem go po

kilku latach. – Das obrócił wzrok na mnie. I znowu aż poraził mnie ogrom bólu w jego oczach. – A przyniósł mi pan Edwina Arlingtona Robinsona?

– Tak – odparłem, a głos mi lekko zadrżał. Odchrząknąłem. – Nie cenię go równie wysoko jak pan. Niech pan się dobrze zastanowi. Moim zdaniem Ryszard Cory nie jest wart poety. Nie zawiera nawet krztyny nadziei.

– Czasami nie można mieć nadziei – wyszeptał Das.

– Nadzieja istnieje zawsze, panie Das – odparłem.

– Nie, panie Luczak. Czasami znika. Czasami zostaje tylko cierpienie. I akceptacja cierpienia. A czasami chęć rzucenia wyzwania światu, który żąda od ludzi podobnego cierpienia.

– Wyzwanie jest formą nadziei, nieprawdaż? – spytałem.

Das długo mi się przyglądał, rzucił krótkie spojrzenie w głąb mrocznego pokoju i podniósł tomik, który czytał, gdy wchodziłem.

– To jest dla pana, panie Luczak. – Położył tomik na stoliku, abym nie musiał go brać z jego ręki.

Było to jakieś bardzo stare wydanie, cienkie, ale pięknie oprawione, z kartkami z grubego pergaminu. Przeciągnąłem palcami po tłoczonych, płóciennych oprawie i otworzyłem książkę. Cienkie karty nie pożółkły i nawet nie skruszyły się z wiekiem. Nie ucierpiał też grzbiet. Wszystko świadczyło o trosce posiadacza i doskonałym wykonaniu wolumenu.

Jedne wiersze były po bengalsku, inne po angielsku. Te po angielsku rozpoznałem natychmiast. Strona przedtytułowa miała ręczny wpis po bengalsku, ale ta sama dłoń dopisała jeszcze ostatnie zdanie po angielsku: *Młodemu Dasowi, najbardziej obiecującemu z „Wybranej Ósemki” szczerze oddany...*

Podpis byłby dla mnie nieczytelny, gdyby nie to, że niedawno go widziałem, oprawiony w szkło, na ostatniej stronie przemówienia

towarzyszącego przyjęciu Nagrody Nobla: *Rabindranath Tagore*. I data: *marzec 1939 roku*.

– Nie mogę tego przyjąć, sir! – Świadomie użyłem wyrażającego wielki szacunek tytułu „sir”.

Das tylko wpatrywał się we mnie. Oczami wyrażającymi bezmiar przeżytego czasu, smutnymi, ale pełnymi stanowczości, jakiej przedtem u niego nie widziałem. Patrzył i nic nie mówił.

Potem całym jego ciałem zawładnęło jakieś drżenie i wtedy zdałem sobie sprawę, ile wysiłku wymaga od tego człowieka mówienie i skoncentrowanie uwagi. Wstałem, by odejść.

– Nie! – wyszeptał. – Bliżej!

Z powrotem ukląknęłam na jedno kolano. Gnijące ciało starego człowieka cuchnęło. Gdy pochylałem głowę, aby lepiej słyszeć, poczułem ciarki na plecach.

– Mówiłem dziś o potędze – wykrztusił. – Każdy gwałt jest przejawem siły, a siła to potęga. Ona jest uosobieniem takiej potęgi bez granic. Czas nie ma dla Niej żadnego znaczenia. Nastał Jej własny czas. Cierpienie ma dla Niej miłą woń ofiary Jej składanej. Jej pieśń nie ma końca. Jej czas powrócił. Rozumie to pan? – Das przeszedł na bengalski, potem na łamany francuski i na końcu z jego ust popłynął potok słów w języku hindi. Majaczył. Wzrok miał wlepiony w przestrzeń, cierpiał.

Zdobyłem się na jedno słowo: tak.

– Przemoc oznacza potęgę. Cierpienie to potęga. Trwa Jej czas. Czy pan to wreszcie zrozumiał? – Ostatnie zdanie wykrzyczał.

Bardzo chciałem go uciszyć, nim wpadną tu Kapalikowie zwabieni hałasem, ale nie potrafiłem wydobyć głosu ani się ruszyć. Tkwiałem tak na jednym kolanie i słuchałem. Lampa naftowa prychała jakby w akompaniamencie do jego syczącego głosu.

– Centrum dłużej się nie utrzyma. Anarchia zalewa świat! To dopiero początek Jej pieśni...

Starzec pochylił się ku mnie, ze schorowanych piersi dobywało się ze świstem zgniłe powietrze. Powoli jakby się opanowywał i odzyskiwał władze umysłowe. Z jego oczu zniknął obłęd i pojawiło się w nich straszliwe zmęczenie. Trędowną dłonią głaskał przyniesione przeze mnie książki, jakby głaskał grzbiet kota. Gdy znów się odezwał, mówił już spokojnie: – Niech pan jedno zapamięta, panie Luczak: żyjemy w wieku ohydnych, nie do opisanie. Są jednak postęпки gorsze od ohydnych.

Słuchałem osłupiały. Das mówił do mnie, patrzył jednakże w przestrzeń.

– Ludzie zawsze byli zdolni do popełniania czynów pełnych grozy, niedających się nawet opisać – ciągnął szeptem. – Ona jest zdolna do czynów niewyobrażalnych. Mamy wolną wolę iść w jej ślady... – Zamilkł, ślina spływała mu na brodę.

Było jasne, że Das przestał myśleć racjonalnie. Milczenie trwało długie minuty. Starzec otrząsnął się wreszcie z drętwoty i z wielkim wysiłkiem skoncentrował wzrok na mnie. Podniósł owinięty w szmaty, gnijący kikut i uczynił znak, jakby mnie błogosławił.

– Proszę sobie iść! Teraz! Proszę iść!

Wyszedłem na korytarz. Cały dygotałem. W ciemnościach widziałem zbliżające się ku mnie latarki. Ktoś wyrwał mi ofiarowaną przez Dasa książkę – tomik poezji Tagorego – i po przejrzaniu zwrócił. Chwyciłem ją mocno w obie ręce i poszedłem za krążkiem światła latarki labiryntem korytarzy, holi, klatek schodowych.

Gdy już ktoś otwierał drzwi na zewnątrz i zobaczyłem czekający samochód, a jednocześnie poczułem zapach deszczu, nagle rozległy się strzały. Dwa głośne wystrzały, jeden po drugim. Można by nawet

powiedzieć, że jednocześnie. Zabrzmiały głucho w ciemnościach. Ostateczne dopełnienie.

Czwórka towarzyszących mi mężczyzn stanęła jak wryta. Następnie wszyscy zaczęli się przekrzykiwać po bengalsku. Zawrócili na pięcie i pobiegli schodami na górę. Przez wiele sekund pozostawałem sam w otwartych drzwiach, patrząc tępo w deszcz. Stałem tak jak odrętwiały, niezdolny uwierzyć w to, co się stało, zbyt przerażony, by działać, ledwo zdolny myśleć. Ze schodów zbiegł grubas w ubraniu khaki, chwycił mnie za przód koszuli i pociągnął za sobą na górę, gdzie czekali pozostali.

Zaprowadzono mnie do tego samego pokoju. Lampa naftowa nadal rozsiewała blade światło, dokoła tańczyły snopy światła z latarek. Wypchnięto mnie na środek pokoju.

Das siedział z głową opartą o skraj stołu. W lewej ręce trzymał malutki, chromowany pistolet, którego lufa niemalże sprośnie tkwiła w opuchniętym otworze ust. Jedno oko było prawie zamknięte strzępami przegniłej powieki, drugie łyskało białkiem i wydawało się jakby gotowe do wyskoczenia z czaszki. Miałem wrażenie, że za chwilę to nastąpi, że ciśnienie w obciągniętym skórą czerepie rośnie z sekundy na sekundę. Na stół spłynęło już sporo krwi z ust, uszu i otworów nosowych. I nadal spływała cieniutkimi jak nitka strumyczkami. Powietrze było przesycone zapachem kadzideł i kordy tu.

Wszyscy coś krzyczeli. A było ich teraz chyba z dziewięciu w małym pokoiku, a jeszcze kilku pokrzykiwało na korytarzu. Jeden wrzeszczał, inny przypadkowo trzepnął mnie z całej siły w klatkę piersiową, gdy obracał się nieprzytomnie wymachując rękami. Grubas w stroju khaki pochylił się i wyjął pistolet z zaciśniętych zębów Dasa. Wyłamał mu przy tym jeden ząb. Zaczął wymachiwać zakrwawionym pistoletem i wyć przejmująco. Mogły

to być zarówno przekleństwa, jak i modlitwa. Do pokoju wpakowało się jeszcze kilku mężczyzn.

Nie mogłem uwierzyć, aby to się działo naprawdę. Prawie nic nie czułem. Słyszałem jedynie brzęczenie w uszach. Cały ten hałas i harmider wokół mnie należał do innego, odległego wymiaru.

Wszedł starszy, łysy mężczyzna w wieśniaczym stroju – miał na sobie jedynie *dhoti*. Jednakże właśnie przed mną wszyscy się kornie rozstąpili. Przez chwilę spoglądał w milczeniu na ciało Dasa, a potem łagodnie, niemalże z szacunkiem dotknął jego głowy. Głaskał ją podobnie, jak przed paroma minutami Das głaskał otrzymane ode mnie książki. Następnie skierował ciemne oczy ku mnie i powiedział coś do zebranych.

Poczułem na sobie dziesiątek dłoni i zostałem uniesiony gdzieś w mrok.



Nawet nie wiem, jak długo siedziałem sam w pustym pokoju. Za drzwiami słyszałem jakieś dźwięki. Mrok rozświetlała mała lampka oliwna. Siedziałem na ziemi usiłując bezskutecznie skoncentrować myśli na Amricie i Wiktorii. Nie potrafiłem o niczym myśleć. Bolała mnie głowa. Otworzyłem tomik, którego mi nie zabrano i przeczytałem kilka wierszy Tagorego po angielsku.

Potem przyszło trzech mężczyzn. Jeden z nich podał mi filiżankę na spodku. Gorąca, mocna herbata jeszcze parowała.

- Nie. Dziękuję! – powiedziałem i powróciłem do przerwanej lektury.
- Pić! – rozkazał największy z trójki.
- Nie.

Grubas w khaki ujął moją lewą rękę i jednym zręcznym ruchem złamał mi mały palec. Wrzasnąłem z bólu, tomik poezji spadł na ziemię. Chwyciłem przegub lewej ręki i zacząłem nią kołysać szalejąc z bólu. Ponownie zaproponowano mi herbatę.

Posłusznie wypilem. Na języku poczułem straszną gorycz. Zakrztusiłem się i zacząłem wypluwać pozostałe w ustach resztki płynu. Cała trójka pilnie mnie obserwowała. Mój mały palec sterczał pod śmiesznym kątem, czułem ból biegnący przez całą rękę aż do karku.

Któryś z obecnych wziął z mojej ręki pustą filiżankę i wyszedł wraz z towarzyszem. Pozostał grubas w khaki. Krzywił złośliwie gębę i klepał mnie po plecach, jak klepie się dziecko. Pociłem się okropnie, po całym ciele przebiegały zimne dreszcze. Wreszcie i grubas wyszedł. Pozostałem sam z gorzkim smakiem herbaty i strachu w ustach.

Usiłowałem nastawić palec myśląc, że może jest tylko wybity w stawie. Jednakże nawet lekkie dotknięcie sprawiło mi taki ból, że wrzasnąłem bliski zemdlenia. Oblała mnie kolejna fala zimnego potu. Podniosłem z ziemi tomik poezji prawą ręką, otworzyłem na stronie, na której poprzednio czytałem wiersz na temat przypadkowego spotkania w pociągu. Pojękiwałem z bólu. W ustach miałem gorzki smak tego, co dosypano do herbaty. Po kilku minutach drukowane słowa zaczęły tańczyć mi przed oczami, potem zsuwać na skraj strony i poza nią.

Usiłowałem wstać, ale właśnie w tej samej chwili oliwna lampka zajaśniała oślepiającym blaskiem i zgasła.



Ciemność. Ból i ciemność.

Właśnie ból pozwolił mi wydobyć się ze spokojnego, bezbolesnego mroku w mniej przyjemną, absolutną ciemność pełną przykrych doznań. Leżałem na gołej, kamiennej posadzce. Pomieszczenia nie rozświetlał nawet najmniejszy promyk. W podobnej czerni znajdowałem się poprzednio tylko raz w życiu, kiedy w Missouri łączyliśmy z przyjaciółmi po grotach i wygasiliśmy w ramach eksperymentu wszystkie karbidowe lampy. Była to ciemność klaustrofobiczna, napierająca, usiłująca zdusić człowieka. Aż jęknąłem, kiedy przyszła mi do głowy nowa myśl: a jeśli oni mnie oślepiłi?

Lekko dotknąłem powiek. Wydawały się zupełnie normalne. Na twarzy nie odczuwałem najmniejszego bólu. Miałem tylko zawroty głowy po wypiciu tej przeklętej herbaty. „Nie, dziękuję!”. Tak najpierw odpowiedziałem. Zachichotałem. Dobry dowcip! Czułem jednocześnie niewłaściwość tego odruchu.

Zacząłem się czołgać przyciskając do piersi pulsującą bólem lewą rękę. Prawą trafiłem na mur. Palcami wymacałem gładkość powierzchni. Chyba tynk. A może jednak kamień? Znajdowałem się na ziemi czy pod ziemią?

Wstałem, ale wtedy zawroty głowy wydały mi się jeszcze dotkliwsze. Oparłem się o chłodny mur tuląc do niego policzek. Obmacałem się. Pozostawili mi ubranie. Postanowiłem sprawdzić kieszenie. W kieszeniach koszuli był rachunek z linii lotniczych, mniejszy z moich dwóch notesów, pisak oraz okruchy gliny z kamienia, który włożyłem przedtem do kieszeni. W kieszeniach spodni miałem klucz do pokoju hotelowego, portfel, drobne monety, jakąś małą kartkę i zapalki w kartoniku z reklamą restauracji. Dała mi je Amrita.

Zapalki!

Z wielkim wysiłkiem umieściłem kartonik w palcach bolącej ręki, palcami prawej potarłem zapalkę. Rozbłysła. Uniosłem ją.

Znajdowałem się w pomieszczeniu typu alkowy: trzy ściany i czwarta przestrzeń osłonięta czarną kurtyną. Deja vu, deja vu! Nim zapałka zgasła, parząc mi przy okazji opuszki palców, zdążyłem jeszcze unieść róg zasłony i zajrzeć w ciągnący się za nią w nieskończoność mrok.

Czekałem nasłuchując, gdyż poczułem prąd powietrza. Nie ośmieliłem się zapalić następnej zapałki w obawie, że ktoś się czai za kotarą. Poza własnym urywanym oddechem słyszałem szum. Oddech giganta. Albo rzeki.

Wymacując drogę stopą zrobiłem krok poza ciężką kotarę. Nic nie widziałem, ale w bezkresnej czerni wyczuwałem jakąś nieokreśloną przepotężną obecność. Powietrze było tu chyba nieco chłodniejsze i ruchome. Zapach kadzideł stał się intensywniejszy. Kadzideł i jeszcze czegoś! Czegoś kwaśno–ostrego. Na przykład gnijących od tygodnia odpadków.

Posuwałem się krótkimi krokami, prawą rękę miałem wyciągniętą przed siebie. Usiłowałem odrzucać powracające stale obrazy – echo opisu, którego wysłuchałem niedawno w śpiewnej hinduskiej angielszczyźnie od Dasa. W tym mroku obrazy stawały się jeszcze żywsze. Zrobiłem dwadzieścia pięć kroków w czarnej nicości. W każdej chwili mogli powrócić Kapalikowie. Może nawet są już tam, w głębi. Zacząłem biec. Nieprzytomnie, w czerń, lewą rękę przyciskając do siebie.

Otrzymałem potężny cios w głowę. Ujrzałem wszystkie kolory tęczy, upadłem na ziemię, na kamień i spadałem dalej. Wreszcie wylądowałem właśnie na lewej ręce i wrzasnąłem z bólu. Zapałki wypadły mi z ręki. Poderwałem się na kolana i nieprzytomnie po omacku, niepomny bólu, zacząłem ich szukać spodziewając się lada chwila drugiego ciosu w głowę.

Palce prawej dłoni wymacały kartonik z zapałkami. Tak się trząsałem, że udało mi się zapalić dopiero trzecią zapałkę. Płomyk wystrzelił w górę, za

nim powędrował mój wzrok.

Kłęczałem u stóp postumentu bogini Kali. Podnosząc głowę trzepnąłem z całej siły w jej dolną wyciągniętą dłoń. Z rozciętej skóry nad brwią zaczęły skapywać mi do oka krople krwi.

Wstałem mimo obezwładniającego zawrotu głowy. Nie będę klęczał przed tym...!

– Słyszysz, suko! – niemalże zawyłem do ciemnego, kamiennego oblicza. – Nie uklęknię przed tobą! Słyszysz?

– Martwe oczy nawet na mnie nie patrzyły. Zęby i jęzor z komiksu! – Suka! – zdążyłem jeszcze powiedzieć, mm zgasła zapałka. Kuśtykając odsunąłem się od posągu w mrok. Zrobiłem jakieś dziesięć kroków i stanąłem. Nie było powodu, bym chodził po omacku. Miałem mało czasu. Zapaliłem więc znowu zapałkę i wymacałem w kieszeni rachunek z linii lotniczych. Podpaliłem go i małą pochodnią oświetliłem przestrzeń dokoła. Szukałem jakichś drzwi czy okna. Nagle zastygłem w bezruchu, z którego wyrwał mnie dopiero ból, bo dopalający się papier oparzył mi palce. Posąg bogini zniknął! Był piedestał, ale Kali zniknęła.

Drapanie i szuranie w ciemnościach. Jakiś ruch po lewo.

Zapaliłem następną zapałkę. Nikły płomyk nie sięgał w głąb ciemności do postumentu ani nawet do kamiennego ołtarzowego podwyższenia. Ledwo oświetlał mnie. Wyjąłem notatnik, wyrwałem z niego zębami kilka kartek. Wsadziłem je między palce lewej ręki. Zapałka zgasła. Usłyszałem szmer w ciemnościach, nie dalej niż trzy metry ode mnie.

Jeszcze jedna zapałka. Zmiałem wyrwane kartki i ułożyłem w stosik na ziemi. Zdążyłem podpalić, nim zapałka zgasła.

Buchnął płomień. Coś pełzło ku mnie na sześciu kończynach, niby wielki, wyłysiały pajak. Na chwilę zamarło w pół ruchu, ale palce niektórych kończyn macały ziemię i spazmatycznie drgały. Czarna głowa

na końcu wygiętej w łuk szyi skierowana była ku mnie, opadające ku ziemi czarne piersi wyglądały jak worki pełne cieczy. Kali!

Ty nie istniejesz!

Kali wydała ostry syk. Rozwarła na oścież szkarłatne wargi, wysunęła czerwony jęzor najpierw na dziesięć centymetrów, potem na dwadzieścia, potem na trzydzieści – jęzor rozwijał się niby wychodząca z cukierniczej maszyny czerwona masa na landrynki. Jęzor obsunął się na ziemię, wijąc się sływał po zimnym kamieniu ku mnie, podobny do węża. Nie, do prętu rozpalonego do czerwoności w hucie.

Wiem, że krzyknąłem z przerażenia. Potem drugi raz. Na dopalający się papier rzuciłem resztę wyszarpanych zębami kartek z notatnika, następnie podpaliłem tekturową okładkę, wstałem z tą pochodnią i ruszyłem w stronę syczącej zjawy.

Czerwony jęzor uniósł się, a potem trzepnął w ziemię o kilkanaście centymetrów od mojej stopy. Zjawa zaczęła się nieporadnie wycofywać na sześciu przygiętych kończynach, aż zniknęła w mroku, gdzie nie sięgał blask mojej niewielkiej pochodni. Resztką dopalającego się kartonu już parzyła mi palce. Rzuciłem jeszcze płonący skrawek w kierunku oddalającego się szurania i zacząłem uciekać w przeciwną stronę.

Biegłem na oślep nic nie widząc, z rękami przy sobie.

I gdybym kierowany jakimś instynktem nie zapalił w biegu zapalki, to w rozpędzie trzepnąłbym głową o ścianę. Tak czy inaczej uderzyłem w nią nie mogąc od razu wyhamować. Krzyknąłem z bólu, zapalka zgasła. Zapalając następną obróciłem się słysząc za sobą jakiś dźwięk. Ujrzałem wpatrzony w siebie oczy. Zimne, bezlitosne spojrzenie.

I odgłos, jaki wydaje kot, kiedy wymiotuje.

Oparłem się plecami o drewnianą ścianę. Gdybym wówczas dostrzegł cokolwiek palnego, jakąś zasłonę, to z pewnością wzniciłbym pożar.

Lepiej zginąć we wspaniałej jaskrawości płomieni, niż tkwić samotnie w ciemnościach.

Przesuwałem się wolno wzdłuż ściany w lewo, zapalając zapałkę po zapałce, dopóki nie zostało mi ich zaledwie kilka. Nie wpatrywały się już we mnie niczyje oczy. Pulsującą z bólu dłonią trafiałem na deski, drzazgi, łebki gwoździ, ale niestety na żadne drzwi ani okno. Odgłosy szurania dochodziły ze wszystkich stron. Szuranie o kamień, o drewno...

Coraz bardziej kręciło mi się w głowie i coraz większy miałem szum pod czaszką. Bałem się, że stracę przytomność i upadnę.

Zapaliłem zapałkę i podпалиłem pozostałe wraz z okładką. W krótkim, jasnym błysku dostrzegłem o metr nad moją głową, w drewnianej ścianie, okno. Miało szybki pomalowane na czarno. Ostatnie płomyki oblizwały moje palce i powróciła ciemność.

Spiąłem się i podskoczyłem. Na szczęście rama okienna była głęboko wpuszczona i moje palce znalazły oparcie. Fajtałem bezradnie nogami po gładkiej ścianie usiłując je o coś zaczepić. Z olbrzymim wysiłkiem podciągnąłem się i wsparłem łokciem o wąski parapet. Policzką dotykałem czarnej szyby. I tak wisiałem, dygocząc i szykując się do wybicia okna drugim łokciem.

Coś mnie złapało za nogi. Nieopatrzny ruchem zdrowej ręki potrafiłem złamany palec. Instynktowna reakcja sprawiła, że straciłem delikatną równowagę i runąłem na twardy kamień.

Leżałem w absolutnych ciemnościach.

W trakcie podnoszenia się na kolana, wyczułem czyjąś bliską obecność.

Pochwyciły mnie cztery ręce.



Cztery ręce mnie dźwignęły i poniosły.

Po śmierci dusza nie opuszcza natychmiast ciała, ale pozostaje przy nim i przygląda się dalszemu ciągowi wydarzeń jak przypadkowy widz...

Słyszałem odległe głosy. Światło przefiltrowane przez powieki padło na moje oczy i umknęło. Czułem deszcz padający na twarz i odsłonięte ramiona.

Deszcz?

Bliższe głosy, jakby kłójące się. Gdzieś ktoś zapuścił benzynowy silniczek. Terkotliwa rura wydechowa! Żwir chrzęści pod kołami. Głowa mnie boli, złamany palec okropnie rwie. Kręci mnie w nosie.

Śmierć chyba tak nie wygląda. Nie dostarcza podobnych doznań.

Głośny hałas czyniony przez czterocylindrowy silnik.

Usiłuję się rozejrzeć, ale prawe oko nie chce się otworzyć. Powieka jest zaklejona zeschniętą krwią, która spłynęła z rozciętej brwi.

Dłoń bogini!

Przez lekko uniesioną powiekę lewego oka widzę, że częściowo mnie podtrzymują, a częściowo ciągną dwaj Kapalikowie – ten gruby w ubraniu khaki i drugi nieznanym. Łysy w *dhoti* i wielu innych stoją w deszczu i gestykułując coś do siebie wykrzykują.

Nie wolno mi ponownie zasnąć! W żadnym wypadku.

Zachowałem przytomność i nie ześliznąłem się w otchłań beczucia dzięki deszczowi, bólowi ręki i swędzeniu w nosie. Jeden z podtrzymujących mnie mężczyzn obrócił ku mnie twarz, więc natychmiast zamknąłem oko, choć przedtem zdołałem jeszcze zobaczyć zieloną furgonetkę bez okien, z wgniecionymi drzwiami szoferki. Coś mi mówiło, że powinienem znać ten pojazd. Byłem na tropie...

Mężczyźni krzykliwie debatowali, ich wysokie głosy rozdzierały ciszę. Usiłowałem się wsłuchać w treść. I nagle, zupełnie jakby mi ktoś w ułamku

sekundy wtłoczył do głowy wszystkie sekrety języka bengalskiego, bez najmniejszej wątpliwości zrozumiałem, że cała ta ożywiona debata dotyczy tego, co zrobić z moim ciałem po wykonaniu polecenia łysego mężczyzny.

Gruby Kapalik coś mruknął do kolegi i obaj powlekli mnie do furgonetki, a następnie bezceremonialnie wrzucili do dusznego wnętrza. Uderzyłem głową o blachę obudowy i padłem na twardą podłogę. Na chwilę uniosłem ostrożnie powiekę i zdążyłem zobaczyć, że władowali się za mną, ktoś trzeci natomiast usiadł za kierownicą i zapytał o coś grubasa, od którego w tym samym momencie otrzymałem kopniaka w bok. Na chwilę straciłem oddech, ale ani drgnąłem. Kapalik się roześmiał i odpowiedział kierowcy długim zdaniem rozpoczynającym się od słowa „nej”.

Masz u mnie już dwie kreski, bydlaku!

Gniew bardzo mi pomógł. Przede wszystkim zdusił paraliżujący strach. Zacząłem jaśniej myśleć. Jednakże kiedy wóz ruszył i pod kołami zagrzechotał żwir, w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, co mógłbym w tej sytuacji zrobić. Nadeszła chwila, którą znałem z setek przygodowych filmów, kiedy to bohater pokonuje po śmiertelnej walce porywaczy i umyka.

Nie byłem zdolny do żadnej walki.

Nie byłem nawet pewien, czy bez pomocy udałoby mi się usiąść. A cała ta słabość była rezultatem narkotyku, jaki mi podano w herbacie. Chwilowo moją jedyną obroną mogło być udawanie nieboszczyka, żeby mi dali spokój przynajmniej jeszcze przez kilka minut.

Już dwukrotnie zadali mi ból. Ostatnio ten kopniak, a przedtem złamanie palca. Jeszcze nigdy w życiu nie miałem złamanej kości. Nawet jako dziecko. W pewnym sensie byłem z tego nawet dumny, powiedzmy tak samo jak z nieopuszczania lekcji. A teraz ten sukinsyn złamał im palec, z

premedytacją i bez najmniejszego wysiłku, jakby zmieniał kanały w telewizorze. Właśnie ta znieczulica w postępowaniu Kapalika nasunęła mi myśl, że ci panowie nie ograniczą się do wyrzucenia mnie gdzieś po drodze. Mógłbym przecież trafić z powrotem do hotelu.

Das mi powiedział jasno, że gwałt jest po prostu praktycznym wykorzystaniem potęgi.

Może i zacząłbym ich błagać, by mnie wypuścili, gdyby nie powstrzymał mnie przed tym coraz to większy strach. Niezależnie jednak od tego, co mogą zrobić ze mną, bałem się, że mogą uczynić krzywdę Amricie lub Wiktorii. Tak długo, jak długo zajmowali się mną, powinni zostawić je w spokoju. Na pewno zostawią w spokoju! Nie odzywałem się więc, leżałem spokojnie w duszących ciemnościach wdychając odór wysuszonych resztek kału i wymiotów, wsłuchując się w pogwarki dwóch Kapalików na przednim siedzeniu z dwoma siedzącymi koło mnie. I dziękowałem Bogu za każdą sekundę spokoju dla mojego znękanego ciała.

Z szutrowanej drogi kierowca wyprowadził furgonetkę na asfalt. Kilkakrotnie słyszałem w nierównych odstępach głucho odbicie hałasu czynionego przez gazy wyrzucane z rury wydechowej – najprawdopodobniej wóz przejeżdżał wśród wysokich, miejskich domów. Dochodziły mnie też odgłosy ulicy i dźwięki klaksonów ciężarówek. Raz wpadły do furgonetki ostre promienie reflektorów jadącego z przeciwka samochodu, przewędrowały po blasze i zgasły. W chwilę potem gruby Kapalik w khaki powiedział coś do mnie po bengalsku. Wyczuwałem jadowitość słów. Zaczęło mi walić serce.

Zapisały hamulce i furgonetka nagle stanęła. Drugi siedzący koło mnie Kapalik zaklął głośno, gdyż rzuciło go na podłogę. Zaczął też kląć kierowca i rozpoczął koncert klaksonem. Z zewnątrz dobiegła gniewna

odpowieź. Usłyszałem świst batoga i ryk wołu. Kierowca wyrzucał z siebie wiązanki przekleństw wcisnąwszy klakson chyba do oporu.

Ryk klaksonu trwał z minutę, wreszcie kierowca i jego towarzysz wyszli z szoferki i awantura rozpoczęła się na dobre. Górowały oczywiście przekleństwa. Trzeci Kapalik – ten siedzący koło mnie – także wyskoczył z furgonetki, by wesprzeć tamtych dwóch. Zostałem sam z grubasem.

Oto moja ostatnia szansa!

Świadomość, że muszę teraz coś zrobić, nie wystarczała, bym to zrobił. Wiedziałem, że powinienem rzucić się ku otwartym drzwiom rąbnąwszy przedtem siedzącego koło mnie Kapalika. Zróbże coś, rozkazywałem sobie. I chociaż zdawałem sobie sprawę, że jest to ostatnia okazja, by czymś zaskoczyć moich oprawców, nie potrafiłem przekształcić myśli w działanie. Jedynie spokojne leżenie na dnie furgonetki wydawało się gwarantować bezpieczeństwo jeszcze choćby na parę minut. Bez potrzeby konfrontacji, bez nowego bólu. Bez możliwości, że mnie tu na miejscu zabiją.

Nagle tylne drzwi zostały z trzaskiem odrzucone na bok Tłusty Kapalik niespodziewanie pchnięty upadł nieporadnie na podłogę. Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię, uniosła do pozycji siedzącej i pociągnęła ku sobie. Moje nogi wysunęły się na zewnątrz i zaczęły fajtać w powietrzu, przeszył mnie uśpiony dotąd ból. Zaklejona krwią powieka lekko się uniosła pod wpływem szoku i przejrzałem na drugie oko.

– Niech pan wstanie! Szybko! Uciekamy! – Głos i twarz pochylonego nade mną Krishny z rozwianymi włosami i obnażonymi zębami! Silna dłoń Kriszny podparła mnie, gdy usiłując wstać poczułem, że załamują się pode mną nogi i lecę przed siebie.

– *Nahin!* – ryknął opasły Kapalik wyskakując z furgonetki. Był dwukrotnie szerszy w barach od Krishny i miał twarz wykrzywioną z wściekłości. – *Mute!*

Krishna podniósł rękę do góry, jak policjant zatrzymujący ruch na skrzyżowaniu, a potem opuścił ją wyprostowaną, sztywną i otwartą dłonią odepchnął z całej siły nacierającą na niego twarz Kapalika. Cios był tak silny, że nos napastnika po prostu się rozprysł jak przejrzały owoc. Kapalik wrzasnął, odskoczył do tyłu i rąbnął głową w otwarte drzwi furgonetki. Najpierw padł na kolana, a potem rozciągnął się jak długi na ziemi. Krishna przez cały ten czas podtrzymywał mnie prawą ręką. Nie puszczać podniósł lewą nogę, zatoczył nią łuk i z całej siły kopnął leżącego grubasa w grdykę.

Usłyszałem trzask podobny do łamania plastikowej płytki i dobywający się z gardła powalonego ryk nagle zamarł.

– Idziemy! Szybko! – Krishna ciągnął mnie za sobą i jednocześnie podtrzymywał, gdyż zataczałem się jak pijany. Szedłem, jak mogłem najszybciej, choć nogi miałem z waty. Rzuciłem za siebie okiem na leżącego Kapalika i na szeroko otwarte drzwi furgonetki. Przez moment oka widziałem też zaprzężony w wołu wózek, który tarasował wąską ulicę. Trzej Kapalikowie stali jak wryci przy wózku, przez kilka sekund wpatrując się w nas ze zdumieniem. Nagle ruszyli z kopyta w naszym kierunku, wymachując rękami i groźnie pokrzykując. Wydawało mi się, że jeden z nich trzyma długi nóż. Zaskrzypiały koła ciężkiego wozu, który zaczął się oddalać.

– Biegiem! – wrzasnął Krishna i tak mocno mnie szarpnął, że rozdarł mi koszulę, i o mało nie upadłem.

Wskoczyliśmy w ciemne przejście między domami odchodzące z ulicy w lewo, potem prawie natychmiast znów skręciliśmy w lewo na jakieś podwórze rozświetlone latarnią. Przez otwarte drzwi przesłonięte festonami koralików wpadliśmy do jakiejś izby. Siedząca tam kobieta popatrzyła z osłupieniem. Przeskoczyliśmy przez śpiące na ziemi postacie i wypadliśmy

tylnym wyjściem na inne podwórze. Goniły nas krzyki i wołania. Trzej Kapalikowie wypadli z drzwi za nami w chwili, gdy my wpadaliśmy do następnych, by zaraz potem wydostać się na jeszcze węższy od poprzedniego przesmyk między domami. Brnęliśmy po kolana w zwałach śmieci potykając się i rozpryskując kałuże szlamu. Nawet i tu pod ścianami domów kuliły się pod podartymi płachtami ludzkie postacie otrząsając się jeszcze z niedawnego deszczu i strużek wody spływających z dachów i tworzących jeziora wśród śmieci. W pewnej chwili Krishna podskoczył, by nie potknąć się o kościste kolana podniesionych nóg człowieka, który właściwie przypominał już trupa.

Nie mogłem dotrzymać Krishnie kroku i kiedy trzeba było biec w górę po drewnianych schodach, w połowie drogi opadłem na kolana ciężko dysząc. Piętro niżej krzyczeli Kapalikowie biegnąc przez podwórze. Krishna wepchnął mnie za jakieś drzwi. W izbie znajdowało się kilkanaście osób. Siedzieli skuleni przy palenisku albo drzemali zwinięci pod popękkanymi, bliskimi zawałenia się ścianami. Zapadła się już nawet część sufitu i na samym środku izby leżał stos gruzu. Na nim właśnie znajdowało się palenisko. Dym osmalał ściany i wygięty strop.

Krishna wysyczał jakieś krótkie zdanie po bengalsku. Wydawało mi się, że było w nim słowo „Kali”. Nikt nie podniósł na nas wzroku, tępe oczy wpatrywały się nadal w płomienie.

Usłyszałem kroki na schodach i męski głos. Krishna chwycił mnie za łokieć i wciągnął do malutkiego pomieszczenia, w którym nie było nikogo. Stało tylko kilka mosiężnych naczyń i w ściennej niszy statuetka boga z głową słonia – Ganeśy. Malutkie okno wychodziło na wąskie przejście między domami.

Krishna podszedł do okna i wyskoczył. Wyjrzałem i zawahałem się. Przejście było zaledwie półtorametrowej szerokości, a skok ponad

sześciometrowy w kryjacy nie wiadomo co absolutny mrok. Z miejsca, gdzie skoczył Krishna, usłyszałem jakieś kwiczenie. Raz i koniec. Czułem, że nie zdobędę się na skok w nieznane. Do sąsiedniej izdebki wpadli Kapalikowie. Zaczęli wrzeszczeć. Odpowiedział mrozący krew w żyłach krzyk kobiety. Spiałem się i skoczyłem.

Prosto w co najmniej metrowej grubości materac ze śmieci. Nogi wtopiły się weń aż po uda. Upadłem na coś miękkiego i cuchnącego. Piszczwały szczury. Nic nie widziałem. Kiedy usiłowałem wyciągnąć nogi, powstająca w brei dziura z cmokaniem zasysała powietrze. Ruszyłem po omacku przed siebie. Każdy krok stanowił wielki wysiłek, gdyż nogi wpadały głęboko w cuchnące odpady. W pewnym momencie zagłębiłem się aż po piersi w błotnistej mazi i zacząłem w panice wymachiwać rękami. Nie było czym oddychać. Smród obezwładniał zmysły. Krzyknąłem.

– Cicho! – poskromił mnie Krishna, który jak duch pojawił się nagle przy mnie, chwycił za ramię i podtrzymał. Gdzieś nad nami w oświetlonym prostokącie okna pojawiła się sylwetka człowieka. Po chwili zniknęła w głębi izby.

– Szybko, szybko! – Krishna trzymając mnie, mocno pociągnął za sobą. Poszliśmy więc przed siebie cuchnącym bagnem śmieci, mazi, błota, odchodów, być może i trupów. Bagno sięgało miejscami powyżej pasa.

Nagle za nami się rozjaśniło. Z okna, z którego wyskoczyliśmy, ktoś wystawił niby głównię zapaloną deskę. Rzucił ją w śmieci poniżej. Zajęły się od niej jakieś przetłuszczone szmaty. Na szczęście nic więcej. Mogliśmy być najwyżej cieniami wśród innych odpadów, poza tym szmaty ledwo się tliły i dawały nikłe światło. Niemniej jeden z Kapalików musiał coś dostrzec, gdyż zaczął wykrzykiwać wskazując palcem w naszą stronę.

Pojęcia nie mam czy ten, którego poprzednio podejrzewałem o posiadanie noża, wyskoczył, czy też został wypchnięty przez okno. Dość,

że z wrzaskiem upadł na górę śmieci, gdzie i my poprzednio wylądowaliśmy. Dopiero teraz w świetle tłących się szmat i dogasającej deski dostrzegłem, że po błotnistym wysypisku biegają kotłując się setki futrzastych zwierząt niemal wielkości kotów. Nie, wyraźnie pędzą ku nam przerażone ogniem i dymem.

Zdrętwiałem i poczułem, że marszczy mi się skóra. Tak jest, marszczy ze strachu, z obrzydzenia. Nie wiedziałem, że taka reakcja człowieka jest możliwa. Czułem, że skóra mi się ściąga – po prostu przestawała obejmować ciało. Krishna rzucił się do przodu, jakby chciał powstrzymać nacierającą armię. Kapalik, który spadł z okna, wychynął ze śmieci jak nurek, który po skoku do wody wypływa na powierzchnię. Zobaczyłem błysk stali w jego dłoni. Deska zgasła, dogasała ostatnia ze szmat. Ledwo już dostrzegałem Krishnę – jako niewyraźny cień – gdy zwarł się z przeciwnikiem. Pisk uciekających szczurów głuszył inne dźwięki. A może tamci walczyli w milczeniu. W tym momencie zaczęły się o mnie ocierać mokre, czarne stworzenia, oślizłe i nie mniej ode mnie przerażone. Zacząłem wymiotować w czarną maź, w której stałem.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że niedaleko uszliśmy. Okno, z którego wyskoczyłem, nadal znajdowało się prawie nade mną. Wychylali się z niego dwaj Kapalikowie usiłując przebić wzrokiem ciemność i zobaczyć, co się pod nimi dzieje. Wydawało mi się, że widzę dwa cienie – Kapalika i Krishnę zmagających się niby dwóch nieporadnych tancerzy w tańcu lub para bokserów w zwarciu. Posypały się iskry, gdy Kapalik ciachnął nożem w mur. Powtórzyło się to kilka razy, gdyż rozdawał ciosy na oślep. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że Krishna stoi za Kapalikiem ciągnąc go za włosy i usiłując wepchnąć w breję. Wytężyłem wzrok i wydało mi się, że Krishna kolaniem wpycha wygięty grzbiet wroga

głęboko, głębiej... ale po chwili pojawił się u mojego boku i pociągnął za sobą dalej od oświetlonego kwadratu okna.

Kapalików już w nim nie było. Przedzieraliśmy się niesłuchanie wolno. Raz po raz któryś z nas nie mógł wyciągnąć zaplątanych w odpadki nóg i drugi mu pomagał.

W pewnym momencie tej niekończącej się wędrówki okropna myśl wywołała we mnie istny spazm i wymioty. Skoro przed nami nie widać żadnego światełka, to pewno zapędziliśmy się w ślepią alejkę i zaraz trafimy nosami w mur!

Na szczęście się myliłem. Jeszcze pięć chlupnięć w okropnym bagnie i zakręt. A za zakrętem śmieci bardziej suche. Po piętnastu krokach wydostaliśmy się na pustą, zlaną deszczem ulicę. Między nogami przeciskały się nam szczury ciągle uciekające w panice – gnały na oślep, umykały rynsztokami rozpryskując zebraną tam deszczową wodę. Spojrzałem w dół i w górę ulicy. Kapalików nie było widać.

– Szybko, panie Luczak! – syknął Krishna. Pobiegłem za nim po wykrzywionych płytach chodnikowych mając nadzieję, że wtopię się w mrok pod skrzydłami cieni rzucanych przez poszarpane markizy sklepowe. W wejściach do sklepów spali ludzie. Nikt nie usiłował nas zatrzymać, nikt nie wołał. Biegliśmy tak od sklepu do sklepu kryci cieniami murów.

Skęciliśmy w drugą ulicę, a potem myląc ślad wpadliśmy w krótki pasaż prowadzący na ulicę jeszcze szerszą niż poprzednia. W oddali zniknęła jakaś ciężarówka. Palily się uliczne lampy, a z wielu okien padała jasność lamp elektrycznych. Gdzieś wysoko łopotała czerwona flaga. Słyszałem niezbyt odległy gwar i ruch pojazdów.

Chwilę odpoczywaliśmy w ciemnym wejściu zamkniętego i okratowanego sklepu. Obaj byliśmy zbolali, zmęczeni, oddechy mieliśmy krótkie, urywane. Jednakże wąska umorusana twarz Krishny wyrażała

zadowolenie. Tę samą maskę zadufanej pewności siebie i radości widziałem u niego po raz pierwszy w czasie jazdy autobusem z lotniska. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nim to uczynił, zaczerpnął głęboko powietrza, wyprostował się i dopiero wówczas się odezwał: – Teraz muszę już pana pożegnać, panie Luczak!

Spojrzałem zdumiony. Złożył palce, zasalutował, lekko się skłonił i odszedł. Przez chwilę słyszałem jeszcze jego sandały stąpające przez kałuże.

– Niech pan zaczeka! – krzyknąłem za nim. Nie zatrzymał się. – Hej, niech pan stanie! Na chwilę!

Zniknął już w mroku. Wyszedłem z cienia na oświetloną ulicę.

– Stój! Sanjay! Stój!

Stał. Obrócił się i zrobił dwa kroki w moją stronę. Wydawało mi się, że mu dziwnie drżą palce.

– Co pan powiedział, panie Luczak?

– Sanjay! – powtórzyłem. Tym razem szeptem. – Mam rację, prawda?

Stał nieruchomo. Bazyliszek z koroną rozwichrzonych, czarnych włosów stanowiących dramatyczną oprawę dla straszliwego spojrzenia. Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech, który powoli przekształcił się w coś jeszcze chyba drapieźniejszego niż wyszczerzona paszcza rekina. Uśmiech głodnego wampira!

– Mam rację, prawda, Sanjay? – Wziąłem głęboki oddech. Nie miałem pojęcia, co mu jeszcze powiedzieć. Ale przecież należało, musiałem coś mówić, żeby z jednej strony utrzymać jego uwagę, z drugiej zdezorientować i wytrącić z równowagi. – Co ty kombinujesz, Sanjay? O co ci chodzi? Co się tu, do cholery, dzieje? Co to za gra?

Przez kilka sekund stał bez ruchu. Byłem pewny, że podbiegnie i zaciśnie palce na moim gardle.

Ale on tylko odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

– Tak, tak, tak. Gier jest wiele, panie Luczak. A ta gra jeszcze się nie skończyła. Do widzenia, panie Luczak!

Odwrócił się i zniknął w mroku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

*Kalkuta tkwi ciężkim kamieniem
w moim sercu.*

Sunil Gangopadhyay

Gdybym był wcześniej znalazł taksówkę...

Gdybym pojechał prosto do hotelu...

Dotarłem tam dopiero po godzinie. Początkowo zataczałem się ulicami, odczekiwałem w ciemnych wejściach, gdy spostrzegłem kogoś idącego w moją stronę. Potem pobiegłem przez jakieś podwórze widząc w oddali ożywiony ruch na głównej arterii. Z mrocznej sieni wyskoczył ku mnie człowiek. Odskoczyłem w bok, instynktownie zwierając dłonie w pięści. Zawyłem z bólu, gdy złamany palec usiłował zgiąć się wraz z pozostałymi. Domniemany napastnik okazał się starcem odzianym w szmaty, z czerwoną przepaską na czole. Cofnął się spłoszony i zamiast żebraczego „baba” wydał okrzyk przerażenia. Obaj wycofaliśmy się z podwórza w różnych kierunkach.

Wyszedłem na szeroką arterię pełną ciężarówek, samochodów osobowych przeciskających się między rowerzystami, a przede wszystkim ludzi. Skrajem jezdni jechał wolno miejski autobus. Trzepnąłem dłonią w blachę karoserii i wskoczyłem, kiedy zwolnił. Kierowca spojrzał zdumiony, gdy wcisnąłem mu do ręki garść drobnych pieniędzy. Oprócz wymaganej za przejazd kwoty otrzymał w amerykańskiej walucie prawdopodobnie wielokrotność swoich dziennych zarobków.

Autobus był zatłoczony. Przepisnąłem się wśród w stojących między rzędami ławek pasażerów, aby być mniej widocznym z ulicy. U sufitu nie było rączek do trzymania się, więc chwyciłem metalowy pręt biegnący

wzdłuż karoserii i zawisłem na nim, by nie upaść podczas karkołomnych wyczynów kierowcy szastającego pojazdem po jezdni od przystanku do przystanku.

Popadłem w półomdlenie. Przeżycia minionych godzin wyczerpały mnie całkowicie. Marzyłem, by choćby tylko tak zwisać i czuć się wreszcie bezpiecznie. Autobus minął wiele ulic, zanim zdałem sobie sprawę, że wokół mnie zrobiło się luźno a pozostali pasażerowie ciekawie mi się przyglądają.

Czyście nigdy nie widzieli Amerykanina? Tak sobie w pierwszej chwili pomyślałem. Zrozumiałem, gdy spojrzałem po sobie: byłem przemoczony, ubranie miałem nasycone śmierdzącym błotem. Koszula podarta w paru miejscach i nikt by nie zgadł, że była biała. Gołe ramiona pokryte strupami nieczystości, prawe ramię ze skorupą moich własnych wymiotów. A mały palec lewej dłoni nadal sterczał pod nieprawdopodobnym kątem. Twarz mnie paliła, czułem pulsowanie w skaleczonym łuku brwiowym. Moje włosy i wyraz twarzy z pewnością sprawiały wrażenie jeszcze groźniejsze i dziksze, niż to widziałem u Krishny tuż przed jego odejściem.

– Cześć! – rzuciłem z głupia frant w stronę pasażerów i pomachałem ręką.

Kobiety zasłoniły twarze rąbkami sari, a stojący mężczyźni cofnęli się czyniąc tłok koło kierowcy, który zaczął na nich krzyczeć, żeby się odsunęli.

Zacząłem się zastanawiać, dokąd, do diabła, jadę. A nuż wsiadłem do nocnego autobusu do Delhi. W każdym razie było całkiem możliwe, że jadę w przeciwnym kierunku, niż potrzebuję.

– Czy ktoś tu mówi po angielsku? – spytałem. Wpatrzeni we mnie pasażerowie jeszcze bardziej się odsunęli. Pochyliłem się i wyjrzałem przez okratowane okno. Minęliśmy kilka wielkich bloków, a potem ujrzałem

przyozdobiony neonem hotel czy kawiarnię. Stały przed nim żółte taksówki.

– Zatrzymać się! – krzyknąłem. – Wsiadam! – Nie musiałem się nawet przeciskać przez ustępujących mi z drogi ludzi. Kierowca z piskiem hamulców zatrzymał autobus pośrodku jezdni. Drzwi były otwarte. Wsiadłem.



Handryczyłem się z kierowcami przez dobrych parę minut, nim przypomniałem sobie, że przecież mam przy sobie portfel. Kolejno trzech taksówkarzy odmówiło zabrania mnie uznając mój wygląd za poważny argument, by nie mieć ze mną nic do czynienia. Wyjąłem portfel, wyłuskałem z niego dwudziestodolarowy banknot, a wówczas stosunek całej trójki uległ radykalnej zmianie. Zaczęli się uśmiechać, kłaniać, no i otworzyli grzecznie drzwi swoich pojazdów. Wybrałem pierwszego z brzegu, poleciłem się zawieźć do Oberoi Grand, wsiadłem i zamknąłem oczy. Kierowca pogałał na złamanie karku z wizgiem opon na mokrym asfalcie.

Po kilku minutach jazdy zdałem sobie sprawę, że nadal mam na ręku zegarek. Jednakże dopiero przejeżdżając przez jasno oświetlone skrzyżowanie zobaczyłem, że jest jedenasta dwadzieścia osiem... To chyba niemożliwe? Czyżby upłynęły dopiero dwie godziny od chwili, kiedy czarna limuzyna zawiozła mnie do Dasa? To, co przeżyłem tego wieczoru, trwało wieki! Popukałem w zegarek, posłuchałem. Chodził.

– Szybciej, szybciej! – powiedziałem do kierowcy.

– *Acza!* – odparł uradowany.

Ani on mnie nie zrozumiał, ani ja nie wiedziałem, o co mu chodzi.



Recepcjonista przyglądał mi się z przerażeniem.

– Panie Luczak! – wykrztusił i podniósł rękę na powitanie.

Nie mając ochoty na rozmowę pomachałem ręką i wszedłem do windy. Chwilowa euforia zniknęła, poziom adrenaliny opadł. Ogarnęło mnie znużenie, zbierało mi się na wymioty, palec bolał. Oparłem się o ściankę kabiny i prawą ręką podtrzymywałem lewą dłoń. Co ja powiem Amricie? Jak to wszystko wyjaśnię? Myślałem z trudem. Zdołałem jednak podjąć decyzję, że najlepsza będzie wersja o napadzie na mnie na ulicy. Kiedyś w przyszłości powiem prawdę. Być może.

Zbliżała się już północ, ale w korytarzu na piętrze było sporo ludzi. Drzwi mojego pokoju stały otworem, zupełnie jakby odbywało się tam przyjęcie. Ale zaraz potem zobaczyłem policyjne mundury oraz znaną mi już brodę i turban inspektora Singha. Amrita wezwała policję! Przecież powiedziałem, że wrócę za pół godziny!

Kilka głów obróciło się na mój widok. Podszedł do mnie inspektor Singh. Zacząłem wymyślać szczegóły napaści na mnie – no, nic poważnego, nie na tyle, by zatrzymać nas dłużej w Kalkucie! I niemalże lekceważąco machnąłem ręką. Pozwoliłem sobie nawet na żart, że wbrew popularnemu powiedzeniu zawsze jednak znajdzie się policjant, kiedy zachodzi potrzeba.

Singh nic na to wszystko nie odpowiedział. Wtedy dopiero mój zmęczony umysł zarejestrował właściwy obraz tej sceny: oprócz

policjantów w korytarzu stały grupki gości hotelowych zaglądając ciekawie do naszego pokoju.

Odepchnąłem inspektora i pobiegłem. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale w każdym razie nieco się uspokoiłem, gdy zobaczyłem siedzącą na łóżku Amritę. Coś opowiadała policjantowi, który pilnie notował.

Uczucie ulgi sprawiło, że zachwiały się pode mną nogi i musiałem oprzeć się o ścianę. Na szczęście wszystko jest w porządku. Wtedy Amrita podniosła głowę i spojrzała na mnie. I choć jej blada, opanowana twarz była bez wyrazu, zrozumiałem, że nie wszystko jest w porządku. I że może już nigdy nie będzie.

– Zabrali Wiktorię! – powiedziała. – Ukradli nasze dziecko!



– Dlaczego ją wpuściłaś? Powiedziałem ci wyraźnie, żebyś nikogo nie wpuszczala! Dlaczego, na miłość boską, nie posłuchałaś? – Już trzykrotnie przedtem zadawałem jej te pytania i Amrita trzykrotnie mi odpowiadała.

Siedziałem na podłodze, przy ścianie, w miejscu, gdzie opadłem. Ręce oparłem na podkurczonych kolanach, złamany palec wystawał bielutki jak kreda. Amrita nadal siedziała sztywno wyprostowana na brzegu łóżka. Tuż obok na krześle siedział inspektor Singh. Przerzucał wzrok ze mnie na Amritę i z powrotem. Drzwi na korytarz zostały zamknięte.

– Powiedziała, że przyniosła materiał – odparła Amrita. – Powiedziała, że chce go wymienić. A ponieważ mieliśmy odlecieć rano...

– Ale przecież... O Boże, kochanie... – urwałem opuszczając nisko głowę.

– Ale nie powiedziałaś wyraźnie, żebym z nią nie rozmawiała, Bobby! Przecież znaliśmy Kamakhyę...!

Inspektor Singh odchrząknął.

– Było już jednak bardzo późno, pani Luczak – zauważył. – Czy to pani nie zdziwiło? Nie zaniepokoiło?

– Owszem. I dlatego zostawiłam łańcuch na drzwiach. I spytałam, dlaczego tak późno przychodzi. Wyjaśniła... wydawała się zakłopotana. Powiedziała mi, że nie mogła wyjść z domu, nim nie zasnął ojciec. I powiedziała, że przedtem dwukrotnie dzwoniła.

– Rzeczywiście dzwoniła? – spytał inspektor.

– Telefon dwa razy dzwonił. Bobby zapowiedział mi, żebym nie odbierała żadnych telefonów. Usłuchałam go.

Oboje patrzyli na mnie. Nie potrafiłem spojrzeć w oczy Amricie. Ale spotkałem wzrok Singha.

– Czy pan nie potrzebuje pomocy lekarskiej, panie Luczak? – spytał. – Hotel ma kontraktowego lekarza...

– Nie, nie, teraz nie. – Już przedtem, po pierwszych paru minutach, kiedy inspektor spytał, co mi się przydarzyło, wyznałem całą prawdę. Chyba niezbyt składowie, ale nie opuściłem nic oprócz faktu, że to ja właśnie dostarczyłem Dasowi pistolet. W czasie opowiadania inspektor Singh kiwał głową, jakby wysłuchiwał zwykłej, powszedniej historii, niemniej wszystko notował.

Wszystko jedno, nadszedł czas prawdy.

Singh ponownie zwrócił się do Amrity: – Raz jeszcze muszę panią prosić o powtórzenie mi wszystkiego. Chcę wyjaśnić parę szczegółów. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, na jak długo wyszła pani z pokoju?

Mimo pełnego opanowania Amrita lekko zadrżała. Wiedziałem, że pod pozornie lodowatą skorupą aż wrze i może nastąpić wybuch. Wybuch

straszliwej rozpacz i żalu do siebie. Pragnąłem wstać, podejść i wziąć Amritę w ramiona. Ale nie zrobiłem tego.

– Najwyżej na minutę, inspektorze. Może nawet krócej. Rozmawiałam z Kamakhyą i nagle poczułam słabość, zakręciło mi się w głowie. Przeprosiłam ją, poszłam do łazienki, żeby obmyć twarz zimną wodą. I zaraz wróciłam. No może czterdzieści pięć sekund.

– A dziecko?

– Wiktoria... Wiktoria spała tutaj, na łóżku przy oknie. Z poduszek robimy dla niej gniazdko... ona lubi spać w gniazdku... I mieć o coś opartą główkę. Wysoko. A poza tym, nie stoczy się, kiedy jest obłożona poduszkami.

– Rozumiem.

Wstałem na nieco chwiejnych nogach i podszedłem do łóżka, na którym siedziała Amrita. Zrobiłem to po to, by nie widzieć drugiego łóżka z niebiesko-białym kocym Wiktorii i wgnieceniem w poduszkach, gdzie jeszcze niedawno leżała.

– Wszystko to już pan słyszał, inspektorze. Kiedy wreszcie przestanie pan zadawać pytania, a zajmie się poszukiwaniem... osoby, która ma naszą córkę? – zapytałem.

Singh patrzył na mnie smutnymi, ciemnymi oczami. Przypomniałem sobie ból, jaki widziałem w spojrzeniu Dasa. Teraz nieco lepiej rozumiałem, że jest wiele sposobów zranienia człowieka.

– Poszukujemy jej, panie Luczak. Cała policja metropolitalna jest postawiona na nogi. Nikt z tutejszego personelu nie widział, by ta kobieta opuszczała hotel. Nikt z przechodniów na ulicy nie przypomina sobie, by widział kobietę niosącą dziecko lub zawiniątko. Wysłałem wóz policyjny pod adres podany mi przez panią Luczak, ten, który otrzymała w sklepie z sari. Jak pan widzi, przedłużyliśmy linie telefoniczne z paru sąsiednich

pokojów, aby pański numer był wolny w razie, gdyby... ktoś zadzwonił. Linia musi być wolna.

– Kto ma dzwonić? Dlaczego linia ma być wolna?

Singh przeciągał palcami po nieskazitelnym kancie nogawki spodni, przez chwilę pilnie przyglądając się temu zajęciu.

– Gdyby ktoś dzwonił w sprawie okupu, panie Luczak. Zakładamy, że w przypadku tego porwania chodzi o okup – powiedział.

– Aaa! – Usiadłem ciężko na łóżku. Jego słowa mną wstrząsnęły i otrzeźwiły. – Rozumiem. Oczywiście. – Ująłem dłoń Amrity. Była zimna i wilgotna. – A co z Kapalikami? Jeśli to oni są zamieszani w sprawę.

– To również jest przedmiotem naszego dochodzenia. Musi pan pamiętać, że jest już późna noc.

– Opisałem wam przecież teren fabryczny, gdzie odbyło się moje spotkanie z Dasem.

– Tak, wiem. I będzie to dla nas wielką pomocą. Musi pan jednak zdać sobie sprawę, że w Starej Kalkucie na Hugli jest wiele podobnych zespołów fabrycznych. Możę nawet setki, jeśli wliczymy wszystkie składy towarowe i instalacje portowe na północy. I wszystkie stanowią własność prywatną. Wiele z nich należy do zagranicznych grup kapitałowych. Czy pan jest pewien, panie Luczak, że miejsce spotkania było nad rzeką?

– Absolutnej pewności nie mam.

– I nie przypomina pan sobie żadnych charakterystycznych punktów w terenie? Żadnych nazw ulic? Budynków czy instalacji, które byłoby łatwo umiejscowić?

– Nie. Tylko dwa kominy. I te slumsy ze szmat...

– Czy coś wskazywało, że miejsce, które pan opisał, może być stałą siedzibą tych ludzi? Były tam jakieś znamiona permanentnej obecności?

Zastanowiłem się. Nic podobnego nie zauważyłem oprócz tej jednej półki ze skromnym dobytkiem Dasa.

– Ten posąg Kali – powiedziałem wreszcie. – To miejsce było z pewnością wykorzystywane jako świątynia. Ten posąg nie należał do kategorii przewożonych tu i tam.

– Ten posąg, który chodził? – Gdybym wówczas w głosie Singha wyczuł choćby ślad ironii, rzuciłbym się na niego nie bacząc na złamany palec.

– Tak.

– A poza tym nie mamy najmniejszych poszlak świadczących o tym, że owi ludzie są w to zamieszani...

Palec bardzo mnie bolał, więc zacząłem kołysać opuchniętą dłonią. O dziwo, sprawiało mi to ulgę. Jednocześnie wpilem złe spojrzenie w inspektora.

– Jest element, który to sugeruje. Kamakhya jest siostrzenicą Dasa. Musi być w to wszystko wplątana.

– Nie.

– Jak to nie?

Singh wyjął złotą papierośnicę. Po raz pierwszy widziałem człowieka, który przed zapaleniem papierosa stuka nim parę razy o papierośnicę, by tytoń lepiej się ubił. Zawsze uważałem to za filmowy wymysł.

– Nie, to znaczy, że ona wcale nie jest siostrzenicą pana Dasa.

Amrita otworzyła usta ze zdumienia. Ja byłem tego bliski.

– Powiedziała pani, pani Luczak, że panna Kamakhya Bharati jest siostrzenicą poety Dasa, córką młodszej siostry Dasa. Ona tak pani oświadczyła?

– Tak.

– Poeta Das nie miał sióstr. W każdym razie nie miał sióstr, które by przeżyły dzieciństwo. Miał czterech braci. Wszyscy uprawiali ziemię.

Mieszkali w tej samej wiosce w Bangladeszu. Wszystko to wiem, bo od ośmiu lat prowadzę sprawę zniknięcia poety Dasa. Znam powiązania rodzinne. Gdyby państwo poinformowali mnie o wizycie tej kobiety wtedy, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy, byłbym to powiedział.

Zadzwoił telefon.

Spojrzeliśmy na aparat. Było to jedno z dodatkowych łączy. Odebrał Singh.

– Tak? Słucham? – W milczeniu słuchał przez dłuższy czas. – *Szukrija!* Bardzo dobrze, sierżancie. – Odłożył słuchawkę.

– I co, i co? – spytałem.

Inspektor Singh zdusił niedopałek i wstał.

– Obawiam się, że teraz w nocy już wiele nie zdziałamy. Wrócę rano. W obu sąsiednich pokojach pozostaną moi ludzie. Wszystkie telefony do państwa będą odbierane równoległe i rejestrowane przez policjanta pozostawionego w centrali hotelowej. Teraz dzwonił mój sierżant. Adres podany w sklepie przez Kamakhyę Bharati był fałszywy. Spodziewałem się tego. Nie wysyłali do niej materiału. Ona wkrótce po dokonaniu zakupu wróciła do sklepu i sama zabrała paczkę. Sporo czasu zajęło moim ludziom zlokalizowanie numeru domu, jaki zostawiła w sklepie. Ulica, którą podała, ma bardzo rzadką zabudowę. – Inspektor przez długą chwilę się wahał, a potem uzupełnił informację: – Ona podała adres pralni miejskiej graniczącej z terenem kremacyjnym.



Z nas dwojga Amrita okazała się bardziej opanowana i rozsądniejsza. Zarówno przez najbliższe godziny, jak i dni. Po wyjściu inspektora

zdesperowany gotów byłem tak siedzieć na łóżku do rana. Jednakże Amrita z miejsca przystąpiła do działania. Rozebrała mnie z cuchnącego odzienia i złożyła złamany palec, jak mogła najlepiej, wykorzystując szczoteczkę do zębów jako szynę usztywniającą. Z bólu po raz trzeci tego dnia zwymiotowałem. Właściwie nie miałem czym i puste, spazmatyczne krztuszenie przerodziło się w łkanie z frustracji i bezsilności. Ten z kolei atak Amrita skutecznie stłumiła pakując mnie pod prysznic. Woda była zaledwie letnia, ciśnienie prawie żadne, niemniej przeżycie cudowne. Stałem pod sączącą się wodą dobre pół godziny w błogim uczuciu, że woda zmywa ze mnie wszystkie straszne wspomnienia i lęki. Jednakże przez obezwładniające zmęczenie przebijał ogromny smutek i rozpacz. Boże! Wiktoria! Włożyłem świeżą bawełnianą bieliznę i położyłem się koło Amrity na milczące czuwanie.

Nadszedł wreszcie wtorkowy świt. Patrzyliśmy, jak pierwsze promienie niewidocznego jeszcze słońca rozjaśniają ciemne bryły kalkuckiej scenerii i jak wraz z nimi rośnie tumult ulicy: dzwony świątynne współgrały z dzwonekami tramwajowymi i rowerowymi stanowiąc akompaniament do pokrzykiwań pierwszych sprzedawców i innych sporadycznych odgłosów.

– Nic jej nie będzie, nic jej nie będzie! – powtarzałem od czasu do czasu.
– Wiem, że wszystko będzie dobrze, kochanie! Wszystko będzie dobrze!

Amrita milczała.

Dokładnie o piątej trzydzieści pięć zadzwonił telefon. Nasz telefon! Rzuciłem się do słuchawki.

– Słucham! – krzyknąłem i wydawało mi się, że odpowiada mi głucho echo linii. Zupełnie jakbym mówił do studni.

– Halo, halo! Pan Luczak? Halo!

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Halo? Tu mówi Michael Leonard Chatterjee, panie Luczak.

– Tak, słucham... Czy ty jesteś w tej sprawie pośrednikiem, łobuzie? Ty jesteś w to zamieszany!

– Panie Luczak, w nocy miałem wizytę policji. Powiedziano mi o zaginięciu pańskiej córki.

– Słucham? – Byłem bliski odłożenia słuchawki, jeśli dzwonił jedynie po to, żeby wyrazić współczucie. Jednakże nie to mu przyświecało.

– Policja mnie obudziła, panie Luczak. Obudziła całą moją rodzinę. Naszła mój dom! Policja podejrzewa, że mam z tym coś wspólnego. Przesłuchiwali mnie w środku nocy, panie Luczak!

– Aha. No i co z tego?

– Dzwonię, żeby energicznie zaprotestować przeciwko podobnym kalumniom, opluwaniu mojego charakteru i pogwałceniu prywatnego życia.

– Chatterjee zaczął piskliwie krzyczeć. – Nie miał pan prawa nic sugerować i podawać mojego nazwiska, panie Luczak. Jestem w środowisku znaną postacią, nie zgadzam się na podobne szarganie mojej opinii, panie Luczak. Nie ma pan najmniejszego prawa!

– Co? – odparłem zupełnie zaskoczony atakiem i to było jedyne słowo, na które mogłem się zdobyć.

– Nie ma pan prawa! Ja pana ostrzegam, że jakiegokolwiek oskarżenia z pańskiej strony, wymienianie mojego nazwiska, mieszanie związku pisarzy do pańskich problemów spowoduje wytoczenie panu sprawy przez mojego adwokata. Ostrzegam pana, panie Luczak!

Trzask i Chatterjee odłożył słuchawkę. Brzęczenie linii i trzaski trwały jeszcze przez kilka sekund, póki policjant w centrali też się nie wyłączył. Przez cały czas rozmowy stała koło mnie Amrita. Przez długą chwilę nie odzywałem się, stałem ze słuchawką w ręku, właściwie skręcałem ją w dłoni, jakbym skręcał kark mojemu rozmówcy. Ogarnęła mnie głucha wściekłość.

– Kto to, o co chodzi? – dopytywała się Amrita.

Wszystko jej opowiedziałem. W pewnym sensie ten telefon zmobilizował ją do działania. Korzystając z jednego z dodatkowych aparatów zadzwoniła do ciotki w New Delhi. Chociaż ciotka nie знаła nikogo w Bengalu, miała przyjaciół, którzy mieli przyjaciół w Lok Sabha – w kompleksie rządowym. Amrita opowiedziała o porwaniu Wiktorii i prosiła o pomoc. Nie miałem pojęcia, jakiej pomocy można by tu udzielić, ale sam fakt poczynać Amrity poprawił mi nastrój.

Następnie zadzwoniła do wuja w Bombaju. Wuj miał duże przedsiębiorstwo budowlane i posiadał spore wpływy na zachodnim wybrzeżu subkontynentu. Chociaż został wyrwany z głębokiego snu przez siostrzenicę, od której nie miał żadnych wieści od ponad dziesięciolecia, obiecał zjawić się w Kalkucie najbliższym samolotem. Amrita poprosiła, by się chwilowo wstrzymał, natomiast, jeśli może, skontaktował się z kimś z bengalskich władz, kto mógłby pomóc. Powiedział, że natychmiast to uczyni i prosił o wiadomości.

Siedziałem wsłuchując się w kunsztowne zapewne i eleganckie zdania w języku hindi i patrzyłem na moją żonę, jak na zupełnie obcą mi osobę. Kiedy mi później streściła obie rozmowy, poczułem jakiś spokój, jaki odczuwa dziecko, kiedy słucha poważnej rozmowy dorosłych i wie, że ci dorośli wszystko potrafią załatwić.

Jeszcze przed zjawieniem się inspektora Singha o ósmej trzydzieści, Amrita wydzwoniła trzy kalkuckie szpitale. Nie, do żadnego nie przyjęto tej nocy europejskiego dziecka o dość śniadej skórze.

Potem zadzwoniła do kostnicy.

Nigdy bym się nie zdobył na taki telefon. Nie potrafiłbym tak stać ze słuchawką przy uchu, wyprostowany i pytać opanowanym głosem

pracownika, czy nie przyniesiono podczas ciemnej kalkuckiej nocy ciała niemowlęcia.

Nie przyniesiono!

Dopiero kiedy odłożyła słuchawkę, zaczęły się trząść pod nią nogi, potem dygotało już całe ciało. Dłońmi zasłoniła twarz. Podeszedłem do mojej żony i wziąłem ją w ramiona. Wtuliła głowę w moją szyję i nic nie mówiąc zaczęliśmy się razem kołysać. Kołysaliśmy się, by ukoić ból, dzielić się nim i rozbudzić nadzieję.

Inspektor Singh nie przyniósł żadnych wieści.

Pił z nami kawę przy okrągłym stoliku w pokoju hotelowym. Policjanci w hełmach wchodzili i wychodzili, wręczali mu raporty i dokumenty, odbierali instrukcje.

Singh poinformował nas, że zawiadomiono wszystkie służby na lotniskach i dworcach. Czy mamy fotografię małej? Tak, sprzed dwóch miesięcy. Wiktoria miała wtedy znacznie mniej włosów na głowie. Buzię mniej wyrazistą. Tłuste nóżki spoczywały na pomarańczowym kocyku zapomniany rekwizyt z pikniku w dniu święta weteranów wojennych. Z wielką niechęcią oddałem inspektorowi tę fotografię.

Singh zadał wiele pytań, wygłosił wiele uspokajających słów i poszedł. Chudy sierżant policji wsadził głowę do pokoju i przypomniał nam łamaną angielszczyzną, że przez cały czas jest tuż obok.

I tak minął dzień. Amrita kazała podać lunch do pokoju. Jednakże żadne z nas nic nie zjadło. Dwukrotnie brałem długi prysznic, zostawiając drzwi od pokoju otwarte, abym mógł usłyszeć wołanie Amrity bądź dzwonek telefonu. Wydawało mi się, że całe moje ciało nadal cuchnie po minionej nocy. Byłem tak zmęczony, że chwilami wydawało mi się, iż oddzielam się od samego siebie i spoglądam z boku na to, co się dzieje. Moje myśli krążyły nieustannie wokół kilku gorzkich wyrzutów, jakie sobie robiłem.

Gdybym wieczorem nie wychodził z hotelu.

Gdybym nie wsiadł z tamtymi ludźmi do samochodu.

Gdybym wcześniej wrócił.

Z rozpaczy zacząłem walić pięścią w wyłożoną ceramicznymi płytkami ścianę. O trzeciej po południu powrócił Singh z dwoma policjantami. Chyba oficerami. Jeden nie mówił po angielsku, a drugi nie wiadomo dlaczego z londyńskim akcentem. Nie mieli wiele do powiedzenia. A to, co mieli, nie było pocieszające.

Na uniwersytecie nie wykłada żaden M.T. Krishna. W minionym dziesięcioleciu było czterech asystentów o nazwisku Krishna. Dwaj odeszli, dwaj mają już po pięćdziesiątce. Piątą osobą o tym nazwisku jest kobieta.

Żaden Krishna nie pracuje dla Amerykańskiej Fundacji Naukowej w Indiach. I Fundacja ta nie posiada biura w Kalkucie. Najbliższa jej placówka znajduje się w Madrasie. Dzwoniono tam, ale nikt nigdy nie słyszał o żadnym Krishnie czy Sanjayu. Nikogo nie wysyłano po nas na kalkuckie lotnisko. W Fundacji w ogóle nie słyszano o moim przylocie do Indii.

Bardzo wielu studentów na uniwersytecie kalkuckim nosi imię Sanjay. Żaden, do którego trafiła policja, nie odpowiadał podanemu przez mnie rysopisowi. Nadal prowadzone jest dochodzenie wśród studentów, ale miną tygodnie, nim uda się skontaktować z wszystkimi Sanjayami mającymi status studentów, ponieważ akurat trwa przerwa międzysemestralna.

Stwierdzono natomiast, że niejaki Jayaprakesh Muktanandaji był studentem, jednakże zrezygnował z rejestracji w poprzednim semestrze. Ponadto kelner w kawiarni uniwersyteckiej potwierdził, że widział Muktanandajiego przed dwoma dniami.

– To już po spotkaniu ze mną! – wykrzyknąłem.

– Na to wygląda. Muktanandaji pokazał swojemu przyjacielowi kelnerowi bilet kolejowy. Powiedział też, że wraca do swojej Angudy. Od tego czasu kelner już nie widział młodego człowieka.

Singh zadzwonił do szefa policji w Dżamszedpur, który obiecał, że natychmiast zadeszkuje do miejscowego komisarza w Durgalapur. Komisarz ma udać się do Angudy, odnaleźć Muktanandajiego i zabrać go do Durgalapur na przesłuchanie. Raport powinien nadejść w środę po południu.

– Jutro?

– Tak, jutro. To odległa wioska.

W kalkuckiej książce telefonicznej było wiele rodzin o nazwisku Bharati. Policja z wszystkimi się skontaktowała. W żadnej nie było dwudziestoparoletniej córki o dość rzadkim imieniu Kamakhya.

– Rzeczywiście rzadkim? – spytałem inspektora.

– Bardzo rzadkim – odparł inspektor. – Jeszcze o tym porozmawiamy.

Policja przepytowała swoich informatorów w środowiskach przestępczych. Nie uzyskano pożytecznych informacji, ale polecono informatorom przyłożyć ucho do ziemi i węszyć. Postanowiono również przesłuchać członków związku żebraków.

Kiedy to usłyszałem, poczułem skurcz.

– A Kapalikowie? – spytałem.

– Kto taki? – zdziwił się towarzyszący Singhowi policjant.

Singh odpowiedział mu coś po bengalsku, a potem zwrócił się do mnie: – To nie jest takie proste, panie Luczak. Musi pan zrozumieć, że formalnie rzecz biorąc stowarzyszenie Kapalików to jest... mit.

– Ładny mit! – wybuchnąłem. – Nie było nic mitycznego w próbie zamordowania mnie wczoraj. Nie ma nic mitycznego w porwaniu naszej córki!

– To prawda, ale nie mamy też żadnych dowodów na to, że winne jej porwania jest przestępcze podziemie. Gundowie czy Kapalikowie. Tak zwani Kapalikowie! Sprawę komplikuje fakt, że różne grupy przestępcze często uciekają się do sztuczek. Zasłaniają się zdegenerowanym, tantrycznym mistycyzmem, chętnie wykorzystują patronat ludowych bóstw, w tym wypadku Kali, aby zastraszyć swoich własnych członków, zmusić ich do większej dyscypliny, bądź też dokonać gwałtu na swoich ofiarach.

Amrita przybrała zdecydowaną postawę i spytała policjantów: – A więc panowie nie przynieśli nic konkretnego?

– Niestety nie – odparł Singh patrząc spod oka na swoich współpracowników.

Amrita podniosła słuchawkę telefonu: – Tu pokój sześćset dwanaście. Proszę mnie połączyć z ambasadą amerykańską w New Delhi. Tak, to bardzo pilne. Czekam. Dziękuję.

Policjanci mieli skwaszone miny. Odprowadziłem ich do drzwi. Na progu zatrzymałem Singha.

– Dlaczego pan podkreślił, że imię Kamakhya jest takie niezwykle?

Singh gładził w zamyśleniu wąsy.

– W istocie niezwykle jak na Bengal...

– Dlaczego?

– To jest imię boskie. Wcielenie... Parwati...

– To znaczy Kali?

– Tak.

– To jednak nie tłumaczy, dlaczego jest rzadkie. Dokoła aż się roi od boskich imion Rama czy Krishna.

– To prawda. – Singh strzepnął z mankietu wymaglinowany pyłek. – Ale imię Kamakhya i jego odmiana Kamaksi jest kojarzone z dość niemiłym wcieleniem Kali czczonym niegdyś w wielkiej świątyni w Assamie. Pewne

aspekty obrządków były... powiedzmy, bardzo niesmaczne. Przed wieloma laty ten kult został prawnie zakazany... Świątynia porzucona...

Zmartwiały wróciłem do pokoju i czekałem na połączenie z ambasadą. Przez cały czas wzbierał we mnie dziki śmiech – reakcja na rozpacz i bezradną wściekłość.



Okolo piątej po południu wlokącego się w nieskończoność dnia zszedłem do hotelowego holu. Nękająca mnie klaustrofobia nie pozwalała mi oddychać. Ale w holu poczułem się lepiej. W kiosku kupiłem cygaro. Sprzedawczyni przez cały czas wlepiła we mnie ciekawski wzrok, a pełne współczucia spojrzenia recepcjonisty rozdrażniały. Wydawało mi się nawet, że szepcząca coś muzułmańska para robi uwagi na mój temat. To jednak, że z kawiarni w ogródku wychodzili kelnerzy, żeby mi się przyjrzeć, nie było chorobliwą wyobraźnią, ale faktem.

Wróciłem szybko na szóste piętro schodami, żeby trochę się wyładować. Właściwie to wbiegłem na siódme piętro, gdyż angielski zwyczaj nie określa parteru mianem pierwszego piętra, tak jak w Ameryce, dodał jeszcze parędziesiąt schodów do tej wspinaczki. Spocony i zdyszany spotkałem w korytarzu idącą szybkim krokiem Amritę.

- Coś nowego? – spytałem.
- Przypomniałam sobie coś bardzo istotnego.
- Co takiego?
- Abe Bronsteina. Kiedy tego pierwszego wieczoru spotkaliśmy na lotnisku Krishnę, powołał się na Bronsteina. Krishna musi znać kogoś w Fundacji. Coś go musi z nią łączyć.

Amrita poszła do sierżanta policji w pokoju sześćset czternaście, a ja zająłem się telefonowaniem do Stanów. Nawet przy pomocy policjanta stale obecnego w centrali telefonicznej uzyskanie połączenia zajęło pół godziny.

Odetchnąłem z ulgą, gdy usłyszałem znajomy głos: – Halo, Bobby! Dzień dobry! Skąd ty, do diabła, dzwonicz? Z jakości połączenia można by sądzić, że z księżycy albo przez tanie radio CB.

– Abe, Abe! Słuchaj, proszę, słuchaj uważnie! – Pokróctce streściłem mu sprawę porwania Wiktorii.

– O kur... – zaklął Abe. Powtórzył przekleństwo trzykrotnie. Mimo złego połączenia wyczuwałem w jego głosie prawdziwe współczucie.

– Słuchaj, Abe! Słyszysz mnie? Dobrze. Otóż jeden z podejrzanych nazywa się Krishna. M.T. Krishna... Ale chyba prawdziwe jego nazwisko brzmi Sanjay czy coś takiego. W ubiegły czwartek czekał na nas na lotnisku. Słyszysz? Doskonale. Otóż ten Krishna powiedział, że pracuje w amerykańskiej fundacji na rzecz oświaty, nie, szkolnictwa. Skrót USEFI. Znasz? Tak, tak, amerykańska fundacja, tu w Indiach... I powiedział, że przyjeżdżając po nas spełnia prośbę swego szefa. Ani Amrita, ani ja nie przypominamy sobie nazwiska owego szefa. Ale ten Krishna wymienił twoje nazwisko. Specjalnie je wymienił.

– Shah! – Usłyszałem przez szumy na linii.

– Że co?

– Shah. A.B. Shah. Telegrafowałem do niego po twoim odlocie do Londynu. I prosiłem go, żeby ci w razie potrzeby poradził czy pomógł.

– Shah... – powtórzyłem zapisując szybko. – Doskonale. Gdzie go można znaleźć? W Kalkucie?

– Nie, Bobby. Nie w Kalkucie. Shah jest redaktorem dziennika Times of India. Jest także doradcą kulturalnym USEFI w New Delhi. Poznałem go

przed wieloma laty, kiedy wykładał na uniwersytecie Columbia. O tym sukinsynu Krishnie nigdy nie słyszałem.

- Dziękuję, Abe. Bardzo mi pomogłeś.
- Jest mi okropnie przykro, Bobby! Jak to przeżywa Amrita?
- Trzyma się. Jest bardzo opanowana...
- I ty się trzymaj, Bobby! Wszystko będzie dobrze. Musisz w to wierzyć. Policja odnajdzie Wiktorię. Nic się jej nie stanie.
- Modłę się o to.
- Daj mi znać, jak się wszystko skończy. Będę u matki. Masz jej numer telefonu? Jasna cholera, kur... Wszystko będzie dobrze, Bobby!
- Do widzenia, Abe, dziękuję.



Amrita przekazała informację Singhowi i natychmiast zaczęła dzwonić do redakcji wielkich dzienników Kalkuty. Słyszałem, jak wydawała polecenia w hindi stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Gdy wreszcie odłożyła słuchawkę, powiedziała: – Powinniśmy byli zrobić to z samego rana. Teraz przyjęli dopiero na jutro. – Amrita wykupiła półstronicowe ogłoszenia w trzech dziennikach. Gońcy przyjdą po kopie zdjęcia pożyczonego Singhowi. W ogłoszeniach będzie obietnica nagrody w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za wszelkie informacje dotyczące porwanego dziecka, a pięćdziesięciu tysięcy za oddanie rodzicom Wiktorii żywej i zdrowej lub za informację, która doprowadzi do odnalezienia dziecka żywego, z gwarancją pełnej dyskrecji i zachowania anonimowości informatora.

– Jezu! – jęknąłem. – A skąd my weźmiemy pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Amrita wyglądała przez okno na zatłoczoną ulicę.

– Ofiarowałabym dwukrotnie więcej, jednakże wynosiłoby to prawie milion rupii. Pięćdziesiąt tysięcy brzmi prawdopodobnie, bardziej wiarygodnie, bardziej zachęcająco dla chciwych ludzi.

Trudno było mi zebrać myśli. Zadzwoiłem do Singha i dokładnie powtórzyłem mu przebieg rozmowy z Abe Bronsteinem. Powiedział, że natychmiast zajmie się odszukaniem Shaha.

Usiadłem na krześle przy oknie patrząc w ciemniejący horyzont i nie wiadomo jak i kiedy zasnąłem. Obudził mnie dzwonek telefonu. Oszołomiony drzemką zarejestrowałem w świadomości, że za oknem jest już ciemno, a w szyby bębni deszcz. Amrita wpadła do pokoju z korytarza, ale byłem pierwszy przy słuchawce.

– Pan Luczak? – Poznałem głos inspektora Singha. – Udało mi się dodzwonić do pana A.B. Shaha w jego domu w New Delhi.

– No i?

– W istocie otrzymał telegram od pana Bronsteina. Pan Shah ma dla niego wielki szacunek. Natychmiast też wysłał swego podwładnego w Fundacji, młodego człowieka o nazwisku R.L. Dhavan, aby zgłosił się do pana ofiarowując swoje usługi przewodnika i tłumacza.

– Skąd wysłał? Z Delhi do Kalkuty?

– Tak, z Delhi do Kalkuty.

– No i co się z nim stało?

– To samo pytanie zaczyna sobie zadawać pan Shah. To samo pytanie zadawaliśmy sobie my, mając teraz dokładny opis tego młodzieńca i wiedząc, jak był ubrany, kiedy widziano go po raz ostatni.

– Mówi pan „zadawaliśmy”, „mając teraz”? Nie rozumiem... Już pan sobie tego pytania nie zadaje?

– Już nie. Okazuje się, że pan R.L. Dhavan był tu z nami przez cały czas... Jego ciało upchane w kufrze znaleziono w miniony czwartek po południu na dworcu Haura.



Po dziesiątej wieczorem zgasły światła. Znowu przerwa w dostawie prądu. Na zewnątrz szalała monsunowa burza o niespotykanej mocy. Co parę sekund błyskawice rozświetlały niebo i nasz pokój – czyniąc to znacznie lepiej niż dwie świece wstawione przez hotelową obsługę. W kilka minut po rozpoczęciu się straszliwej ulewy, ulice miasta znalazły się pod wodą. Ulewa potęgowała się z każdą godziną. Na Chowringhee, głównej ulicy miasta, było ciemno, najmniejszego światełka. Zastanawiałem się, jak taką noc przeżyją miliony ludzi pod kawałkami dykty, blachy czy podartymi, jutowymi workami.

Gdzieś tam w tej czerni zlewanej potokami wody znajduje się Wiktorja.

Zrozpaczony pojękiwałem chodząc po pokoju jak zwierzę w klatce. Podniosłem słuchawkę telefonu, by zadzwonić do Singha. Głucha cisza. Podniosłem słuchawkę drugiego telefonu, to samo. Obie linie nieczynne.

Na górę przyszedł któryś z recepcjonistów i wyjaśnił sennemu policjantowi, że wszystkie telefony w okolicy zamarły. Hotel wysłał nawet gońca do biura telefonów, ale biuro było na głucho zamknięte. Nikt nie wiedział, kiedy łączność telefoniczna zostanie przywrócona. Trudno było przewidywać. Czasami przerwa trwa wiele dni.

Kiedy recepcjonista poszedł, wyjąłem z szafy nasze ubrania i powiesiłem je na chromowanym pręcie nad wanną w łazience.

– Co ty robisz? – spytała Amrita bezgranicznie zmęczonym głosem. Nie spała już od ponad czterdziestu godzin. Oczy miała wpadnięte, zgnębione.

Nie odpowiedziałem, tylko wyrwałem z szafy drewniany pręt, na którym poprzednio wisały ubrania. Solidny, gruby drąg ponad metrowej długości. Pasował do dłoni. Oparłem go o ścianę koło krzesła przy drzwiach. Za oknami piorun i błyskawica na ułamek sekundy zmieniły świat. W tej jasności dostrzegłem potop pochłaniający miasto.

Dziesięć po jedenastej usłyszałem silne pukanie do drzwi. Amrita uniosła się na krześle z pólśnu, a ja wziąłem do ręki drąg.

– Kto tam?

– Inspektor Singh.

Inspektor miał na głowie tropikalny hełm, z czarnego nieprzemakalnego płaszcza spływała woda. Za nim stali dwaj przemoczeni policjanci.

– Chciałbym, żeby się pan ze mną udał w ważnej sprawie, panie Luczak – powiedział Singh otrzepując hełm z wody.

– Dokąd mam iść? – spytałem.

– Do kostnicy Sassoon, panie Luczak. – Kiedy usłyszał głośny ni to wdech, ni to jęk Amrity, dodał szybko: – Dokonano morderstwa. Chodzi o mężczyznę.

– O mężczyznę? Czy to ma związek z tym, jak on się nazywa, Dhavanem?

Singh wzruszył ramionami. Woda spłynęła na dywan.

– Nie wiem. Styl... rodzaj morderstwa sugeruje dzieło gundów. Kapalików, jeśli pan woli. Potrzebna mi jest pańska pomoc w zidentyfikowaniu ofiary.

– Ma pan jakieś podejrzenia kto to może być?

Nie odpowiedział, tylko znów wzruszył ramionami.

– Pojedzie pan ze mną? Samochód stoi przed hotelem.

– Nie. Zdecydowanie nie. W żadnym wypadku. Muszę... nie zostawię żony. Mowy nie ma, żebym się ruszył.

– Ale w celu dokonania identyfikacji...

– Niech pan sfotografuje nieboszczyka. Przecież chyba macie policyjne aparaty, prawda? A jeśli nie macie, to z pewnością zdjęcia zrobi prasa i obejrzą je rano w gazetach. Mieszkańcy Kalkuty uwielbiają oglądać w prasie i rozpoznawać trupy. Bawią się tym doskonale, tak jak czytelnicy prasy amerykańskiej komiksami.

– Bobby! – skarciła mnie Amrita zachrypłym ze zmęczenia głosem. Oboje byliśmy do cna wyczerpani. – Przecież inspektor chce nam pomóc.

– Być może – odparłem. – Trudno. Po raz drugi nie zostawię cię samej.

Amrita wstała, wzięła torebkę i parasolkę.

– Wobec tego i ja pojedę.

Widząc nasze zdumienie powiedziała: – Telefony nieczynne. Nikt się do nas nie dodzwoni. Minęły dwadzieścia cztery godziny i nikt nie zgłosił się po okup. Żadnego kontaktu z porywaczami. Jeśli ta identyfikacja może pomóc, to jedźmy zaraz.



Błyskawica oświetliła zabite deskami okna i dwa smagane deszczem kamienne lwy strzegące głównego wejścia – relikty minionej niewinnej przeszłości. Do kostnicy dojeżdżało się od tyłu drogą wijącą się między ociekającymi wodą budynkami i wśród rozpuszczających się w ulewie gór

śmiesi. Przeciekający daszek nad szerokimi drzwiami nie zachęcał do wejścia.

W kancelarii czekał na nas mężczyzna w wymiętym garniturze. Nawet to pomieszczenie pachniało formaliną przypominając mi zapachy w szkolnym laboratorium biologicznym. Naftowe lampy rzucały głębokie cienie na zaplecze biurowych szaf i wysokie stosy teczek z dokumentami na każdym z biurek. Mężczyzna w wymiętym garniturze powitał mnie przytknięciem do czoła dwóch palców zdawkowym ukłonem, po czym zaczął trajkotać po bengalsku do inspektora.

– On mówi, że pani Luczak może tu na nas poczekać – przetłumaczył Singh. – Będziemy w sąsiedniej sali.

Amrita skinęła głową i uzupełniła: – Powiedział także, że kostnicy potrzebny jest generator na wypadek podobnych jak ta przerw w dostawie prądu i zapraszał miejscowych polityków z ratusza, żeby ruszy i swoje tyłki ze stołków i przyszli tu wachać róże. Prawda, że takiego idiomu użył?

– Dokładnie tak. – Singh smętnie się uśmiechnął i zrobił jakąś uwagę urzędnikowi kostnicy, na co ten bardzo się zawstydził i czym prędzej wyprowadził nas przez drzwi wahadłowe na wykładany płytkami ceramicznymi korytarz. Następnie weszliśmy do oświetlonego latarnią pomieszczenia, które mogło doskonale służyć jako sala eksperymentów Kubie Rozpruwaczowi. Było tu nieopisanie brudno. Wszędzie walały się papiery, kubki, najróżniejsze odpady, noże, skalpele i piły do kości. Wszystko to na tacach i na blatach długich stołów! Na samym środku pod sufitem lampa operacyjna z lustrzanym talerzem – teraz wygasła z braku prądu – a pod nią błyszcząca, metalowy stół z rowkami świadczyły, że tu odbywają się sekcje zwłok. Na stalowym blacie leżało nagie ciało mężczyzny.

– Aaa, jest! – powiedział inspektor i podszedł do stołu. Skinął na mnie. Pracownik kostnicy zdjął latarnię z haka na ścianie i zawiesił ją na metalowym pręcie przy lampie nad stołem. Lampa się kołysała wędrując jasnymi pasmami światła po wypolerowanej stali wielkiego stołu.

Kiedy byłem dzieckiem, moi rodzice zainwestowali w moją przyszłość kupując wielotomową encyklopedię obrazkową Comptona. Fascynował mnie rozdział poświęcony ludzkiemu ciału. Mój podziw budziło kilka plastikowych, przezroczystych stron, które nakładały się na siebie. Kiedy wszystkie się pokryły, powstawał obraz człowieka. Odejmując stronę po stronie można było zagłębiać się w tajniki ludzkiego ciała. Wszystko w kolorach, oznaczone, opisane.

To, na co teraz patrzyłem, znajdowało się na drugiej stronie pod tytułem *Mięśnie i Ściągna*: od szyi w dół zdarta była skóra. Leżała pod trupem jak zmięta, wilgotna szmata. Nie było etykietek i oznaczeń encyklopedycznych, tylko szczątki ludzkiej istoty – surowe mięso, tłuste wycieki błyszczące w świetle lampy, grube bielejące ścięgna przekształcające się w ciemnoróżowe pręgi, miejscami rozwidlające się niby ramiona szczypców lub splecione jak warkocze.

Wszyscy obecni pilnie mi się przyglądali. Jeśli oczekiwali, że krzyknę, zemdleję czy zwymiotuję, to się grubo mylili. Tylko odchrząknąłem.

– To znaczy, że już rozpoczęto sekcję zwłok?

Singli przetłumaczył z bengalskiego krótką odpowiedź funkcjonariusza:

– Nie. Tak go właśnie tu przywieziono przed dwiema godzinami.

Dopiero wówczas zareagowałem:

– Boże drogi! Co za bestialstwo zabijać człowieka, a potem obdzierać go ze skóry.

Singh przecząco potrząsnął głową.

– Nie. Zauważono go żywego, właśnie w tym stanie. Odartego ze skóry, na ulicy Sudder. Świadkowie mówią, że biegł wyjąć. Później upadł. Wkrótce potem zamilkł. Ktoś wreszcie zawiadomił policję.

Cofnąłem się o parę kroków. Nagle usłyszałem głos z odległej przeszłości. Moja matka woła mnie z okna drugiego piętra domu przy ulicy Pułaskiego w Chicago: wracaj natychmiast, Robercie, bo cię żywcem obedrę ze skóry... Okazuje się, że wszystko bywa możliwe!

– Zna pan tego człowieka? – spytał zniecierpliwiony Singh.

Gestem kazał funkcjonariuszowi przybliżyć lampę. Głowa trupa była odchylona do tyłu w agonalnym spazmie. I tak ją pochwycił *rigor mortis*.

– Nie – odparłem przez zaciśnięte zęby. – Ale zaraz...! – Wstąpiłem w krąg światła.

Twarz nie była pozbawiona skóry, jedynie zastygła w okropnym grymasie. Rozpoznanie przyszło niby niespodziewany cios.

– Zna go pan? Tak? – ponaglał Singh.

– Tak. – O Boże, ja tam wymieniłem jego nazwisko! Wymieniłem jego nazwisko rozmawiając z Dasem!

– Czy to jest Krishna? – spytał Singh.

– Nie – odparłem i odwróciłem się od stołu wstrząśnięty.

Wypowiedziałem wtedy głośno jego nazwisko. Brak mu tylko okularów. On nosił okulary. Nazywa się Jayaprakesh Muktanandaji.



Amrita i ja spaliśmy do dziewiątej rano. Nie mieliśmy koszmarów ani snów. Przegnał je bębniący w szyby deszcz. Nie w szyby! Okna były otwarte. Deszcz po prostu walił tak głośno. Kiedy spaliśmy, włączono prąd.

Klimatyzacja zaczęła działać. Nawet nie byliśmy tego świadomi. Otwarte okno neutralizowało chłodzenie.

O jedenastej Singh przysłał samochód policyjny. Zawieziono nas do dyrekcji policji. Wprowadzono do ciemnego, wysoko sklepionego pokoju w smutnym, wielkim, pełnym korytarzy budynku. Można się tam było zgubić. Na biurkach leżały stosy pożółkłych dokumentów i aktówek, niemalże zasłaniając anonimowe twarze pracowników pochylonych nad maszynami do pisania. Maszyny pochodziły chyba z epoki królowej Wiktorii. Kazano nam przeglądać albumy z fotografiami. Zajęło nam to wiele godzin. Po obejrzeniu kilkuset fotografii kobiet zacząłem wątpić, czy rozpoznałbym teraz Kamakhyę, gdybym ją nawet zobaczył na własne oczy. O tak, rozpoznałbym!

Dokonałem przypadkowego odkrycia: po dokładnym przyjrzeniu się wyblakłej fotografii tęgiego mężczyzny w więziennym ubraniu rozpoznałem go, z pewnym zastrzeżeniem, jako owego Kapalika w stroju khaki. Tego, który wyłamał mi palec.

– Jednakże nie jest pan pewien? – spytał Singh.

– Nie. Teraz jest tęższy, starszy i ma dłuższe włosy.

Singh coś mruknął i przekazał fotografię z instrukcjami któremuś z podwładnych. Nie powiedział mi jednak, jak ów człowiek się nazywa i za co trafił do więzienia. Ten odgłos pękającego, kruchego plastyku!

Wczesnym popołudniem wróciliśmy do hotelu. Dowiedzieliśmy się ze zdumieniem, że na policyjny numer telefonu, który podaliśmy w ogłoszeniach prasowych, dzwoniło ponad sto osób, jednakże żadna nie miała konkretnych informacji. Parę osób powiedziało, że widziały dziecko. Policja nawiązała z nimi kontakt. Większość z tych, którzy dzwonili, chciała nam po prostu sprzedać jakieś inne dziecko za cenę nagrody. Sierżant policji nie miał większych nadziei, by z ogłoszeń coś wyszło.

Zatrzasnęliśmy za sobą drzwi pokoju i rzuciliśmy się na łóżko, by dalej czekać.



Środowe popołudnie i wieczór giną w mojej pamięci. Są jakby wymazane. Owszem, przypominam sobie pojedyncze sceny i obrazy, ale nie łączą się one w żadną całość. Niektórych nie mogę nawet odróżnić od koszmarów, które mnie od tamtych dni prześladowają.

Okolo ósmej wieczorem pocałowałem Amritę, która jeszcze drzemała, i wyszedłem z hotelu. Nagle objawiło mi się oczywiste rozwiązanie całej sprawy: pójdę w miasto, odnajdę Kapalików, powiem im, że jest mi bardzo przykro i że jestem gotów uczynić wszystko, czego sobie życzą, a oni zwrócą nam nasze dziecko. Wszystko wydawało mi się takie proste.

A jeśli to mi się nie uda, to pójdę i utłukę tę sukę, boginię Kali.

Pamiętam pieszą wędrówkę licznymi ulicami. Jednakże wiem, że później jechałem taksówką, przyglądałem się twarzom przechodniów absolutnie pewny, że za chwilę ujrzę Kamakhyę, Krishnę lub Dasa. Potem taksówka czekała na mnie pod drzewem banianowym, a ja wdrapywałem się na żelazną ramę zakończoną kolcami i przeskoczyłem na obsadzoną kwiatami alejkę. Dom był ciemny, żadnych świateł. Zacząłem targać za zamknięte okiennice. Potem waliłem w drzwi i wykrzykiwałem: „Chatterjee, Chatterjee!”.

Inna scena, inny obraz: idę brzegiem rzeki. Nade mną potężna konstrukcja mostu Haura. Prawie przesłania niebo. Resztki poświaty, za chwilę będzie ciemno. Najpierw ulica jest brukowana, potem błotnista, wreszcie zostaje ścieżyna przez mroczne slumsy. Oblegają mnie,

obtańcowują dzieci. Oddaję im wszystkie drobne. Ale kiedy się obróciłem, żadnych dzieci nie było, natomiast szli za mną mężczyźni. Szli za mną! Wiem, że coś mówili, bo poruszali ustami, jednakże nic nie słyszałem. Rozdzielili się i zaczęli mnie okrążyć. Zbliźali się ostrożnie, ręce mieli uniesione.

– Kapalikowie? – spytałem z nadzieją w głosie. Chyba spytałem. – Jesteście Kapalikami? Kali? Kapalikowie?

Spojrzeni po sobie niepewnie. Mieli na sobie podarte szmaty i byli wychudzeni głodem. Te biedne resztki mięśni napięte, naprężone, jakby w oczekiwaniu na coś. Już wiedziałem, że to nie są Kapalikowie. Ani też bandyci. Ani gundowie. Ot, po prostu biedni, głodni ludzie gotowi zabić cudzoziemca dla jego pieniędzy.

– Doskonale! – wykrzyknąłem. I uśmiechnąłem się. Nie, nie potrafiłem przestać się uśmiechać, chociaż każdy uśmiech był ciosem w samo serce. Minione parę dni i nocy, Wiktor, wszystko razem streszczało się teraz do jednej reakcji: śmiać się, śmiać...

– Świetnie, doskonale! – krzyczałem. – Chodźcie, chodźcie, bardzo was proszę. – Rozwarłem szeroko ramiona. Gotów byłem każdego z nich przytulić do piersi. Gotów byłem chwycić każdego, zamknąć w mocnym uścisku i wtopić zęby w ich spięte gardła, rozszarpywać im grdyki...!

Chyba naprawdę byłem gotów to zrobić. Tak mi się wydaje. Mężczyźni spojrzeli po sobie i pośpiesznie się wycofali niktą gdzieś w głębi mrocznych ścieżyn. Kiedy zniknęli, niemalże się rozplakałem.

Nie mam pojęcia, czy to było przedtem, czy po spotkaniu z tymi ludźmi, kiedy znalazłem się w małej świątyni. Stała tam nieporadna rzeźba czarnej krowy. Krowa klęczała, na szyi miała biało-czerwony wieniec. Po kątach siedzieli starcy i pluli w zadymione powietrze, a kiedy mnie ujrzeli, twarze ich ściągnęły się z oburzenia. Jakieś starcze straszidło chwyciło mnie za

ramię wskazując kościstym palcem moje obute stopy. Chodziło mu najprawdopodobniej o to, że powinienem był zostawić buty przed wejściem.

– Odpieprz się ode mnie! – Wydawało mi się, że mówię bardzo opanowanym głosem. – Obuwie nieważne! Powiedz tym bydlakom, że zrobię, czego żądają. Powiedz im, że wygrali. Dobrze, powiesz? – Mówiłem przez cały czas po angielsku. Nie docierało do mnie, że nikt mnie nie rozumie. – Powiedz im, że solennie obiecuję, że wszystko zrobię. Harcerskie słowo! – I wtedy zacząłem płakać. Przez łzy widziałem, jak już prawie bezzębny starzec wykrzywia usta w tępym uśmiechu i klepie mnie po ramieniu kolebiąc się na patykach nóg.

Potem jeszcze jeden obraz: jałowa przestrzeń rozmaitych bud i starych opon, tonąca w deszczu. Wlokę się w błocie ku dwóm wysokim kominom. Jestem od nich o kilka kilometrów! Przez cały czas wędrówki jestem o kilka kilometrów. Z kominów buchają płomienie barwiąc wszystko dokoła kolorem zaschłej krwi. Prę przed siebie, a kominy są przez cały czas daleko. To chyba były prawdziwe kominy, nie sen. Chociaż już sam nie wiem... Zbyt długo dwa złowrogie kominy stanowiły tło moich sennych koszmarów.



O pierwszym brzasku trafiłem na dziewczynkę. Leżała na ulicy, na przejściu, które służyło za ulicę: błotnista dróżka Dziewczynka mogła mieć najwyżej pięć lat. Potargane, splątane, długie, czarne włosy. Leżała przykryta cieniutkim, beżowym kocykiem jeszcze mokrym po nocnej ulewie. Było w niej coś bezradnego, kiedy tak leżała pogrążona we śnie, co

skłoniło mnie do zatrzymania się. Przykląkłem na błotnistej ścieżce, którą jechali już pierwsi rowerzyści i snuli się piesi. W każdej chwili groziło mi uderzenie w plecy rowerowym kołem.

Dziewczynka miała zaciśnięte oczy, jakby w wielkim skupieniu, usta nieco otwarte. Małą piąstkę podłożyła pod buzię. Niedługo przyjdzie przebudzenie. Wtedy dziewczynka rozпали ogień, obsłuży mężczyzn, zajmie się młodszymi dziećmi. Pożegna dzieciństwo, którego ledwo zaznała. Wkrótce też stanie się czyjąś własnością. Innego mężczyzny, nie ojca. I tego dnia otrzyma błogosławieństwo na drogę życia – tradycyjne hinduskie błogosławieństwo: obyś miała ośmiu synów! Chwilowo mogła jeszcze spać. Dziś, jutro, może jeszcze pojutrze. Zwinięta w kłębuszek na gołej ziemi, z piąstką przy smagłej buzi, z mocno zaciśniętymi oczami.

Rozejrzałem się dokoła. Świt. Deszcz oczyścił powietrze z pyłów – było teraz prawie czyste, pachniało świeżym kwieciem i ziemią.

Przypominam sobie dokładnie powrót riksą do hotelu. Pamiętam wszystkie barwy i dźwięki, które zawładnęły moimi zmysłami. Miałem jasne i wyraziste myśli. A jeśli coś się wydarzyło podczas mojej nieobecności...? A jeśli Amrita mnie potrzebowała...?

Było bardzo wczesnie rano, ale Amrita już czekała na mnie w holu. W oczach miała łzy – po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczął się cały ten koszmar. Ale były to łzy szczęścia.

– Bobby, kochany, Bobby! Przed chwilą dzwonił inspektor Singh. Zaraz po nas przyjeżdża. Za chwilę tu będzie! Jedziemy z nim na lotnisko. Znaleźli ją, Bobby! Znaleźli naszą Wiktorię!



Pędziliśmy prawie pustą szosą. Ostre światło poranku obrysowywało wyraźnie każdy szczegół krajobrazu, każdy budynek, każdą rzecz. Cień naszego samochodu przemykał po przesiąkniętym wodą polu.

– Na pewno nic jej się nie stało? – spytałem inspektora.

– Nie, nie – odparł nie odwracając głowy. – Otrzymaliśmy telefoniczną wiadomość przed niespełną pół godziną.

– Jest pan pewien, że chodzi o Wiktorię? – spytała z kolei Amrita. Siedzieliśmy wychyleni do przodu, obejmując kurczowo fotele kierowcy i inspektora. Amrita nerwowo mięła w dłoni ligninową chusteczkę.

– Służba lotniskowa tak sądzi. Dlatego też zatrzymano małżeństwo, które chciało z małą odlecieć. Po wiedziano im, że coś jest nie w porządku z ich wizą i że trzeba to wyjaśnić; że w tym celu ma przyjechać urzędnik, który właściwie ostempluje wizy wyjazdowe.

– Dlaczego ich po prostu nie aresztowano? – spytałem.

– Na jakiej podstawie? – odparł Singh. – Póki dziecko nie jest zidentyfikowane, nie są oficjalnie niczemu winni. Po prostu lecieli do Londynu.

– Kto zauważył Wiktorię? – spytała Amrita.

– Jeden z policjantów. – Singh ziewnął. – Czytał ogłoszenie państwa w gazetach. – W głosie Singha zauważyłem nutę dezaprobaty.

Ująłem dłoń Amrity. Patrzyliśmy na umykający krajobraz. W duchu pośpieszaliśmy kierowcę. Niechże jedzie szybciej! Kiedy pasterz pędzący owce zatrzymał się ze swym stadkiem pośrodku pasma asfaltu, zaczęliśmy zachęcać kierowcę, żeby trąbił i jechał dalej. Potem znów trzeba było zwolnić dlatego, że lewym pasem jechał obładowany pod niebo wózek i nie reagował na klakson. Jaskrawo malowane wozy zaprzężone w woły zdążyły prawym pasem w stronę miasta, odziani w białe koszule woźnice machali do nas brunatnymi, spalonymi słońcem rękami.

Rozparłem się wygodnie, wyciągnąłem nogi i zrobiłem kilka głębokich wdechów. W innych okolicznościach świeżość tego poranku byłaby ożywcza i oszałamiająca. Słońce wydawało się błogosławić smutne, zalane deszczem bloki mieszkalne odległych od miasta osiedli i pola nędznych bud i namiotów, które w złotych promieniach wydawały się bardziej... przystępne. Kobiety w barwnych sari wędrujące skrajem szosy z mosiężnymi dzbanami na głowie rzucały długie cienie na zielen przydrożnych rowów. Sielankowy obraz...?!

– Czy pan jest pewien, że Wiktorii nic się nie stało, inspektorze? – ponowiłem pytanie.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – odparł.

Wpadliśmy na półkolisty podjazd dworcowy, wzdłuż którego stały żółto–czarne taksówki z dachami pokrytymi lśniącem kryształem kropli deszczu. Na przednich siedzeniach spali rozciągnięci kierowcy. Nasz samochód jeszcze się nie zatrzymał, kiedy już otworzyliśmy szeroko drzwiczki.

– Którędy?

Singh wskazał nam drogę do budynku. Ruszyliśmy pędem, Singh biegł przodem omijając skulone postacie śpiące pod prześcieradłami na brudnej posadzce.

Dotarliśmy do drzwi opatrzonych napisem *TYLKO DLA PERSONELU*. Po angielsku, a pod spodem po bengalsku. Wpadliśmy w korytarz, w którym kobieta z kasty niedotykalnych zmiatała do śmietniczki papiery i porzucone odpadki. Weszliśmy po piętnastu stopniach do sali podzielonej przepierzeniami i ladami. Słyszałem szczękanie dalekopisów i stukot maszyn do pisania.

Natychmiast ich zobaczyłem: hinduską parę w kącie. Młoda kobieta tuliła do piersi dziecko. Byli mi zupełnie obcy. I młodzi. Prawie dzieciaki.

Mężczyzna był niski, miał chytre, niebudzące zaufania oczy. Co parę sekund podnosił rękę, żeby pogłodzić zaczątek wąsów. Kobieta chyba jeszcze młodsza od niego: przeciętna twarz bez śladu urody. Chusta na głowie nie osłaniała ani strąkowatych włosów, ani czerwonej kropki wymalowanej pośrodku czoła.

Kiedy zatrzymaliśmy się w odległości kilku metrów, nasz wzrok skupił się wyłącznie na zawiniątku, które kobieta trzymała przy piersi i kołysała szybkimi, urywanymi ruchami. Nie było widać twarzy dziecka, tylko skrawek białej buzi.

Podeszliśmy bliżej. Przeszył mnie ból, potem utkwiał gdzieś w gardle. Inspektor Singh skinął na umundurowanego policjanta. Ten stanął na baczność, a potem ostro coś powiedział do młodego mężczyzny, który zerwał się i nerwowym krokiem podszedł do lady. Dziewczyna odsunęła się, aby go przepuścić i wówczas mignęła nam twarzą dziecka owiniętego grubo szalem.

To była Wiktoria. Spała. Bledziutka – skóra błyszcząca i biała jak marmur.

Amrita krzyknęła. Młody mężczyzna chciał uciec, uzbrojony policjant i jego kolega zza lady natychmiast go chwycili i wykręcili mu ręce. Kobieta wcisnęła się jeszcze głębiej w kąt ławki, jeszcze mocniej przycisnęła do piersi zawiniątko z dzieckiem. Kołysząc je szybkimi ruchami mruczała pod nosem coś, co brzmiało jak kołysanka. Podeszliśmy z inspektorem kilka kroków, odcinając kobiecie ewentualną drogę ucieczki. Widać jednak nie myślała o ucieczce, bo odwróciła twarz do ściany i zaczęła jeszcze głośniejsze zawodzić.

Singh usiłował powstrzymać Amritę, ale wyrwała mu się, podbiegła trzy kroki, chwyciła kobietę za włosy odchylając jej głowę i drugą ręką wydarła zawiniątko z dzieckiem.

Wszyscy jednocześnie zaczęli krzyczeć. Z zupełnie niezrozumiałego dla siebie powodu cofnąłem się o kilka kroków, gdy Amrita wysoko podniosła zawiniątko i zaczęła odwijać brudne, purpurowe sari.

Straszliwy krzyk Amrity wdarł się w inne głosy, które natychmiast zamarły. Przez cały czas się cofałem, aż poczułem za plecami ladę. Gdy Amrita zaczęła przeraźliwie zawodzić, obróciłem się wolno i oparłem głowę i dłonie zaciśnięte w pięści na chłodnym, marmurowym blacie kontuaru. Obraz ten rejestrował się z przeraźliwą, jaskrawą dokładnością w moim mózgu, jak na taśmie filmowej puszczanej na zwolnionych obrotach.

Wyrwał mi się z gardła krótki, nieokreślony jęk, taki jak w dzieciństwie, gdy mi było bardzo źle. I drugi, trzeci. Pięciami waliłem się w uszy, żeby nie słyszeć Amrity. Już tylko szlochała.



Mam gdzieś jeszcze oficjalny raport – kopię tego, który Singh wysłał do Delhi. Jak wszystko inne w Indiach raport jest sporządzony na lichym papierze. Litery odbite tak słabo, że ledwo można je odczytać – sprawia wrażenie sekretne listu pisanego przez głupiego uczniaka. Ale to nieważne. Nie potrzebuję już odcyfrowywać raportu, gdyż znam każde słowo na pamięć.

22.7.1977 DEPARTAMENT POLICJI W KALKUCIE/D.D.A.S.S. 2671067

POLICJANT DWORCOWY JAGMOAN (JASHPAL, NR SŁUŻB. 1113) KONTROLOWAŁ DOKUMENTY PARY MAŁŻEŃSKIEJ POSŁUGUJĄCEJ SIĘ NAZWISKIEM CHOWDURY (SUGATA I DEVI) UDAJĄCEJ SIĘ DO LONDYNU (ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO) Z DZIECKIEM.

WSKAZANY CEL PODRÓŻY: TURYSTYKA.

JAGMOAN ZATRZYMAŁ W/W PARĘ DO WYJAŚNIENIA, CZY WIEZIONE PRZEZ NICH DZIECKO NIE JEST ZAGINIONYM DZIECKIEM AMERYKAŃSKIM O NAZWISKU LUCZAK, O

KTÓREGO PORWANIU POINFORMOWANO 18.07.77 [KOMUNIKAT DYR. POL. W KALKUCIE SPRAWA NUMER 117 Z DNIA 18.07.77 PODPISANY SINGH] (INSPEKTOR YASHWAN SINGH – KDA POL. KALKUTA 267749). MAŁŻEŃSTWO LUCZAK (ROBERT C. I AMRITA D.) PRZYBYLI NA LOTNISKO O GODZINIE 5:41 DNIA 21.07.77 W CELU ZIDENTYFIKOWANIA DZIECKA. DZIECKO ZOSTAŁO POZYTYWNIIE ROZPOZNANE JAKO WIKTORIA KAROLINA LUCZAK, URODZONA 22.01.77. PO OBEJRZENIU W/W DZIECKA PRZEZ MATKĘ OKAZAŁO SIĘ, ŻE NIE ŻYJE ONO OD WIELU GODZIN. MAŁŻEŃSKA PARA, KTÓREJ NAZWISKO USTALONO JAKO CHOWDURY (IMIONA MAŁŻONKÓW SUGATA I DEVI) ZOSTAŁA ARESZTOWANA I PRZEWIEZIONA DO KOMENDY POLICJI W KALKUCIE PRZY ULICY CHOWRINGHEE POD ZARZUTEM UDZIAŁU W PORWANIU DZIECKA, UDZIAŁU W MORDERSTWIE ORAZ ZA PRÓBĘ PRZEMYTU DÓBR KRAZDZIONYCH PRZEZ GRANICĘ PAŃSTWOWĄ NA LOTNISKU W KALKUCIE. SEKCJA ZWŁOK W/W DZIECKA O NAZWISKU LUCZAK WYKAZAŁA (RAPORT Z SEKCJI ZWŁOK, LUCZAK, PATOLOG KDY POLICJI W KALKUCIE, NUMER DOKUMENTU 267106 Z DNIA 21.07.77), ŻE LUCZAK WIKTORIA NIE ŻYJE OD NIE MNIEJ NIŻ DWÓCH GODZIN A NIE WIĘCEJ NIŻ PIĘCIU, A TAKŻE ŻE CIAŁO DZIECKA WYKORZYSTANE ZOSTAŁO DO UKRYCIA KRAZDZIONYCH KOSZTOWNOŚCI W CELU ICH WYWOZU ZA GRANICĘ.

LISTA I WYCENA W/W KOSZTOWNOŚCI: RUBINY (6) RUPII 1115000

SZAFIRY (4) RUPII 762000

OPALE (4) RUPII 136000

AMETYSTY (2) RUPII 742000

TURMALINY (5) RUPII 380000

W POWYŻSZEJ SPRAWIE KONTAKTOWAĆ SINGH (YASHWAN, INSPEKTOR, KDA POLICJI KALKUTA, 26774).

KONIEC MELDUNKU.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kalkuta zabija, zabiła i mnie.

Kabita Sinha

Kalkuta nie pozwalała nam odejść. Jeszcze przez dwa dni to miasto trzymało nas w swoich cuchnących łapach. Ani Amrita, ani ja nie chcieliśmy zostawić im Wiktorii. Nawet podczas sekcji zwłok, a potem, gdy zajął się dzieckiem funkcjonariusz zakładu pogrzebowego, czekaliśmy w pomieszczeniach obok.

Singh ostrzegał, że nasz pobyt w Kalkucie może się przedłużyć na wiele tygodni, a w każdym razie do zamknięcia dochodzenia i wstępnej rozprawy. Oświadczyłem mu, że nie zostaniemy. Złożyliśmy zeznania w obecności znudzonego policyjnego stenografa.

Ambasada Amerykańska w New Delhi przysłała urzędnika. Nadęty, o niepozornym wyglądzie, nazywał się Don Warden. Jego koncepcją radzenia sobie z opornymi indyjskimi biurokratami było przeproszenie ich i przekonywanie nas, że strasznie komplikujemy sprawę nalegając na szybkie wywiezienie do Stanów trumny z ciałem Wiktorii.

W sobotę po raz ostatni udaliśmy się na lotnisko. Siedzieliśmy w trójkę ściśnięci na tylnym siedzeniu wynajętego samochodu – Warden, Amrita i ja. Padał rzęsimy deszcz, w samochodzie było parno i gorąco. Nie czułem tego. Wzrok miałem utkwiony w biały, szpitalny furgonik, za którym jechaliśmy. Furgonik, właściwie karetka, nie jechał na sygnale. Ruch na szosie panował zbyt wielki. Zresztą nie spieszyliśmy się. Na lotnisku nastąpiły nowe komplikacje. Warden gdzieś zniknął. Czekaliśmy. Potem zjawił się w towarzystwie jakiegoś urzędnika.

– Co znowu? – spytałem.

Urzędnik wygładził brudną, białą koszulę i poirytowanym tonem wypowiedział kilka zdań po hindusku.

– O co chodzi? – ponowiłem pytanie.

Amrita przetłumaczyła. Była tak wyczerpana, że nawet nie podniosła głowy, a ja ledwo słyszałem jej cichy głos.

– On mówi, że trumną, którą kupiliśmy, nie może być załadowana na samolot. Mają tutaj przepisową trumnę metalową... ale brak jest dokumentu podpisanego przez kompetentne władze, upoważniającego do... przeniesienia ciała z jednej trumny do drugiej. On mówi, że w poniedziałek rano możemy iść do ratusza i uzyskać zezwolenie...

Wstałem, obróciłem się do urzędnika ambasady.

– Warden! – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– Musimy szanować ich przepisy i wartości kulturalne, to znaczy tradycje... Od początku uważam, że wszystko byłoby mniej skomplikowane, gdyby państwo zgodzili się na kremację na miejscu, w Indiach.

Kali jest boginią placów kremacyjnych!

– Chodźcie ze mną! – I poprowadziłem obu mężczyzn do sąsiedniego biura, gdzie stała trumna ze zwłokami Wiktorii. Indyjski urzędnik okazywał znudzenie i zniecierpliwienie. Wziąłem Wardena pod ramię i odprowadziłem w kąt pokoju.

– Panie Warden – zacząłem zimnym głosem. – Ja teraz przejdę do sąsiedniego pomieszczenia i przełożę ciało mojej córki z jednej trumny do drugiej, przepisowej. Jeśli pan w tym czasie tam wejdzie albo mi przeszkodzi w tym, co zamierzam zrobić, to pana po prostu zabiję. Czy pan mnie dobrze zrozumiał?

Warden zamrugał nerwowo i skinął głową. Z kolei podszedłem do urzędnika i jemu to wszystko powiedziałem głosem cichym, opanowanym, podkreślając moje słowa stukaniem palca w jego pierś. Urzędnik spojrzał mi w oczy i widocznie zobaczył w nich coś, co go skłoniło do zachowania milczenia i pozostania w miejscu, podczas gdy ja wszedłem przez wahadłowe drzwi do źle oświetlonego pomieszczenia, w którym stała trumna.

Pomieszczenie było spore, wąskie, długie i prawie puste. Znajdowało się w nim kilka stosów kartonów i nieodebrane walizki. W głębi, obok konwejera na stalowych rolkach, stała lotnicza trumna do przewozu zwłok. Na ławie przy platformie załadowniczej postawiono popielatą trumienkę kupioną w Kalkucie. Podszedłem i bez wahania zerwałem z niej pieczęcie.

Owej nocy, kiedy urodziła się Wiktoria, byłem bardzo zdenerwowany znanym mi z opowiadań szpitalnym rytuałem, w którym ojcowie odgrywają specjalną rolę. Otóż Szpital Exeter bardzo zachęcał ojców, by tuż po urodzeniu dziecka zanieśli je z sali porodowej do pokoju obok, gdzie zostanie zważone i zmierzone, a następnie oddali z powrotem matce, którą w tym czasie przenoszono do pokoju poporodowego. Już wiele dni przedtem zacząłem się martwić, czy podołam temu zadaniu. Czy dziecka nie upuszczę. Były to oczywiście głupie obawy, sam zdawałem sobie z tego sprawę, niemniej owej nocy, gdy lekarz podniósł niemowlę z brzucha Amrity i poprosił, bym zaniósł córeczkę na wagę, serce waliło mi jak młotem. Pamiętam, że skinąłem głową, uśmiechnąłem się i zacząłem po prostu drętwieć ze strachu. Pamiętam też, że podłożyłem dłoń pod malutką główkę i przytuliłem mocno do piersi wilgotne jeszcze ciało.

Pierwszy krok przyszedł mi z trudem, ale każdy z następnych trzydziestu był coraz pewniejszy, a serce rozsadała mi coraz większa radość. Miałem irracjonalną pewność, że Wiktoria mi pomaga. Zapewne głupio się

uśmiechałem zdając sobie nagle sprawę, że oto niosę moje własne dziecko. Najcudowniejsze wspomnienie całego życia!

Tym razem byłem spokojny, zimny jak gład. Delikatnie uniosłem moją córkę, podłożyłem jej dłoń pod główkę, przytuliłem ciało do piersi, jak to już robiłem niezliczoną ilość razy. Podeszedłem do metalowej trumny i ułożyłem Wiktorię na pościeli z białego jedwabiu.

Wielokrotnie opóźniano start samolotu. Przez ponad półtorej godziny siedzieliśmy z Amritą w milczeniu trzymając się za ręce. Kiedy wreszcie wielki Boeing 747 zaczął się toczyć po pasie startowym, nawet nie zerknęliśmy przez okno. Przed oczami mieliśmy obraz metalowej trumienki w ładowni pod nami. Nie rozmawialiśmy, gdy samolot parł w górę. Nie spojrzeliśmy na chmury, które przesłoniły Kalkutę. Po prostu lecieliśmy do domu z naszą córeczką.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Chyba czeka nas jakaś rewelacja.

William Butler Yeats

Pogrzeb Wiktorii odbył się we wtorek dwudziestego szóstego lipca 1977 roku. Została pochowana na małym katolickim cmentarzu, na wzgórzu powyżej miasta Exeter.

W jaskrawym słońcu biała trumienka promieniała. Nie patrzyłem na nią. Podczas krótkiej ceremonii przy grobie wpatrywałem się w intensywnie niebieskie niebo nad głową księdza Darcy'ego. Poniżej, między drzewami dostrzegałem wieżę z czerwonej cegły wieńczącą jeden ze starszych budynków Akademii. W pewnej chwili stado gołębi zatoczyło nad naszymi głowami koło. Pod koniec ceremonii zza cmentarnego ogrodzenia dobiegły nas krzyki i śmiechy dzieci pedałujących w stronę miasta drogą tuż przy cmentarzu. Dzieciaki pędziły radośnie łagodnym zboczem. Przycichły, gdy zobaczyły odbywający się pogrzeb.



Amrita planowała powrót do nauczania na jesieni. Ja nie planowałem nic. Czwartego dnia po naszym powrocie opróżniliśmy pokój Wiktorii i ustawiliśmy w nim maszynę do szycia i podręczny stół. Amrita nigdy tam nic nie szyła, ja tam nigdy nie wchodziłem.

Kiedy wyrzucałem część garderoby przywiezionej z powrotem z Kalkuty, przeszukałem wszystkie kieszenie, a zwłaszcza kieszenie podartej koszuli safari, którą miałem na sobie, gdy poszedłem zanieść Dasowi

książki. Nie znalazłem okładki od zapalek. Uspokoilem się. W chwili później w innej kieszeni odkryłem mały notes. Być może owej nocy miałem przy sobie oba notesy.



Któregoś dnia w październiku odwiedził mnie Abe Bronstein. Ostatni raz widziałem go na pogrzebie, ale wówczas niewiele rozmawialiśmy. Ot, złożył mi kondolencje, podziękowałem, odjechał. Potem raz jeszcze rozmawiałem z nim przez telefon późnym wieczorem – chaotyczna rozmowa po wypiciu sporej ilości alkoholu. Coś mu opowiadałem, coś bredziłem. Po blisko godzinie powiedział łagodnym głosem, żebym poszedł spać. Posłuchałem.

Tej październikowej niedzieli siedzieliśmy w salonie i popijając białe wino omawialiśmy szanse utrzymania publikacji pisma Voices oraz szanse nowego programu energetycznego prezydenta Cartera, który postanowił rozwiązać problem niedoboru paliwa na rynku. Towarzyszyła nam Amrita, grzecznie potakiwała, od czasu do czasu uśmiechała się, ale przez cały czas była myślami gdzieś bardzo daleko.

Abe zaproponował spacer w lesie za domem. Ze zdumienia otworzyłem szeroko oczy. Abe nienawidził wszelkiego wysiłku fizycznego. Był piękny, jesienny dzień, a on wybrał się do nas w tym samym popielatym, wygniecionym garniturze. Włożył ten sam podobny do sznurka krawat i te same co zawsze czarne, spiczaste półbuty. Zgodziłem się bez większego entuzjazmu. Poszliśmy we dwóch ścieżką w kierunku stawu.

Las był w pełnej krasie, pod nogami szeleściły srebrno–żółte liście wiązów, jaskrawo czerwieniły się bujne korony klonów i sumaków,

głogowe krzewy odstraszały kolcami, przyciągając za to wzrok kiściami pomarańczowo wiśniowych koralii. Na tle błękitnego nieba białały brzozy. Abe wyjął z kieszeni połówkę wypalonego cygara, wsadził je do ust i zaczął ssać nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Uszliśmy chyba ze dwie trzecie z półtoramilowego szlaku i właśnie zbliżaliśmy się do szczytu pagórka, u którego podnóża biegła droga, kiedy Abe usiadł na pniu powalonej brzozy, zdjął półbuty i zaczął z nich wydłubywać drobne kamyki i kawałki gałązek. Usiadłem nieopodal oglądając się za siebie na okrążany przez nas staw.

– Masz ten manuskrypt Dasa? – spytał mnie nagle.

– Mam. – Gdyby do tego zapytał, czy może go wykorzystać w Voices, to nasza przyjaźń, bez względu na to, czy wyraziłbym zgodę, czy też nie, w tym właśnie momencie dobiegłaby końca.

– Hmmm. – Odchrząknął i splunął. – Mieli do ciebie pretensję w Harper's, że nic nie napisałeś?

– Nie. – Gdzieś za drogą pracował wytrwale dzieciół. – Zwróciłem im zaliczkę. Ale nalegali, że chcą pokryć koszty. Morrow już tam nie pracuje, chyba wiesz?

– Wiem. – Zapalił cygaro. Zapach dymu tytoniowego doskonale pasował do rześkości jesiennego powietrza. – Czy już zdecydowałeś, co zrobisz z tym pieprzonym poematem?

– Nie.

– Nie ogłaszaj go drukiem, Bobby. Nigdzie i nigdy. – Rzucił palącą się jeszcze zapałkę na kupkę liści. Szybko ją podniosłem i zgasilem w palcach.

– Nie opublikuję. – Przez długi czas siedzieliśmy mc nie mówiąc. Powiał chłodny wiaterek i zaszeleścił liśćmi na ziemi. Gdzieś daleko wiewiórka hałaśliwie karciała jakiegoś intruza.

– Wiesz, Bobby, że w czasie holocaustu straciłem prawie całą rodzinę? – spytał nagle nie patrząc na mnie.

– Nie. Nie wiedziałem o tym.

– Tak. Mama uszła z życiem, bo akurat była z Janem w Londynie. Jechali, żeby mnie odwiedzić. Jan wrócił, bo chciał ocalić pozostałych. Mosze, Mutti, no i całą resztę. Nigdy go więcej nie widziałem.

Nic nie odpowiedziałem. Abe wypuścił kłęb dymu ku błękitnemu niebu.

– Mówię o tym dlatego, Bobby, że po czymś takim wszystko wydaje się jakieś nieuniknione. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Rozmyślasz nad wszystkim i wydaje ci się, że mogłeś zmienić bieg wydarzeń, ale tego nie zrobiłeś. Zupełnie jak wtedy, kiedy o czymś zapomnisz, i wszystko dzieje się potem inaczej, niż miało. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Rozumiem.

– Ale tak nie myśl. Nie ma rzeczy nieuniknionych, Bobby. Jest tylko cholerne szczęście i przypadek. Niczyja wina. Najwyżej wina bydlaków, którzy wykorzystują sytuację... – Uśmiechnął się gorzko.

I znowu długo siedzieliśmy w milczeniu. Dokoła nas wirując w powietrzu spadały na ziemię liście, upiększając swą smutną urodą ścielący się pod naszymi nogami dywan.

– Czy ja wiem, Abe... – powiedziałem po pewnym czasie. Miałem ściśnięte gardło i trudno mi było mówić. – Od początku robiłem wszystko nie tak jak trzeba. Nie powinienem był ich zabierać ze sobą. Powinienem był natychmiast wyjechać z Kalkuty, kiedy się zorientowałem, że sprawa cuchnie. Nie dopilnowałem, czy Amrita z małą odleciały. I właściwie nic nadal nie rozumiem. Kto jest za to odpowiedzialny? Kim oni są? Kim jest Krishna? Jaką miała z tego korzyść Kamakhya...? Jaka w tym wszystkim była jej rola? A przede wszystkim, jakże mogłem być takim durniem, żeby zanosić Dasowi pistolet, kiedy...

- Dwa strzały – powiedział Abe.
- Co, co?
- Powiedziałeś mi, że tej nocy, kiedy u niego byłeś, usłyszałeś potem dwa strzały.
- Tak, dwa. Automatyczny pistolet...
- Co z tego, że automatyczny? Czy ty myślisz, że jak sobie facet strzela w łeb i mózg mu wycieka, to potem strzela po raz drugi, żeby się upewnić, czy trafił?
- Do czego zmierzasz, Abe?
- Ty nie zabiłeś Dasa. Innymi słowy: Das nie popełnił samobójstwa. Może któryś z tych przemiłych Kapalików miał swoje powody, żeby tak wszystko zaaranżować, co? Twój koleżka Krishna? Sanjay...? Diabli wiedzą, kim on ostatecznie był. Może on na pewien czas chciał obnosić laurowy wieniec poety?
- Ale dlaczego...! – Zamilkłem i przyglądałem się mewie szybującej w powietrzu kilkadziesiąt metrów nad naszymi głowami. – Co miała wspólnego z tym wszystkim Wiktoria? Dlaczego właśnie ona? Boże drogi, Abe, dlaczego jej zabicie miałoby pomóc im w ich planach? Zupełnie tego nie rozumiem!
- Abe wstał i splunął.
- Wracamy, Bobby. Muszę złapać autobus do Bostonu, żeby zdążyć na pociąg.
- Zacząłem pierwszy schodzić ścieżką, ale Abe mnie zatrzymał chwyciwszy za łokieć.
- Wbij to sobie raz na zawsze do głowy, Bobby, że nie musisz tego wszystkiego rozumieć. Nigdy nie zrozumiesz, ale i nie zapomnisz. Tak, nie sądzę, byś mógł zapomnieć. Niemniej musisz z tym żyć. W przeciwnym

wypadku... będzie to triumfem dla tych bydlaków. Do tego nie możesz dopuścić. Rozumiesz mnie, Bobby?

Skinąłem głową i szybko ruszyłem ledwo widoczną ścieżką.



Drugiego listopada otrzymałem krótki list od inspektora Singha. Zawiadamiał mnie, że podejrzany Sugata Chowdury nie stanie już przed sądem. W czasie pobytu w więzieniu uległ „podłemu postępкови”. W czasie snu ktoś wpakował mu do gardła ręcznik. Natomiast kobieta pod nazwiskiem Devi Chowdury ma stanąć przed sądem w ciągu miesiąca. Singh obiecał informować mnie o dalszym przebiegu zdarzeń. Nigdy już nie otrzymałem od niego żadnej wiadomości.



W połowie listopada, wkrótce po pierwszych dużych opadach śniegu podczas owej srogiej zimy, raz jeszcze przeczytałem poemat Dasa, łącznie z ostatnimi stoma stronami, których nie zdążyłem nawet przejrzeć w Kalkucie. Das miał rację stwierdzając w swoim zwięzłym podsumowaniu, że jest to obwieszczenie narodzin. Aby to zrozumieć, polecam wiersz Yeatsa *Drugie nadejście*. Yeats był jednak lepszym poetą.

Przyszło mi do głowy, że mój problem związany z podjęciem decyzji na temat manuskryptu Dasa – co z nim właściwie zrobić? – podobny jest do problemu, jaki mają Parsowie ze swoimi zmarłymi. Parsowie, kurcząca się stale mniejszość w Indiach, uważają, że ziemia, powietrze, ogień i woda są

święte i że nie należy skażać ich ciałami zmarłych ludzi. Rozwiązali dylemat w sposób bardzo pomysłowy. Przed laty Amrita opisała mi Wieżę Ciszy w parku w Bombaju. Nad wieżą krążą cierpliwie sępy. Krążą i krążą. Czekają.

Nie chciałem palić manuskryptu, aby ulatujący w górę dym nie wyglądał jak ofiara składana mrocznym mocom, które wydawały się czaić za kruchą barierą chroniącą resztki zdrowego rozsądku.

Znalazłem wreszcie rozwiązanie bardziej prozaiczne niż Wieża Ciszy. Podarłem na drobniutkie kawałeczki czterysta stron tekstu, przez cały czas czując zapach Kalkuty unoszący się z papieru. Wsypałem skrawki do plastikowej torby, włożyłem na wierzch kilka gnijących jarzyn i pojechałem z tym wiele kilometrów na wysypisko. Patrzyłem, jak czarna torba stacza się stromym zboczem góry śmieci, by wreszcie zatrzymać się na dole w cuchnącym z daleka bagnie. Już w drodze powrotnej zdałem sobie sprawę, że pozbycie się manuskryptu nie usunęło z mojego umysłu Pieśni Kali.

Nadal mieszkaliśmy z Amritą w tym samym domu. Nasi przyjaciele zamęczali nas dobrymi radami i wyrazami współczucia, ale w czasie tej niesłuchanie srogiej zimy spotykaliśmy się z nimi coraz rzadziej. I coraz rzadziej widywaliśmy się także ja i Amrita.

Amrita postanowiła dokończyć wreszcie studia doktoranckie. Narzuciła sobie surowy reżim wczesnego wstawania, chodzenia na wykłady, długiej pracy w bibliotece, a wieczorami oceniania prac studenckich, dalszego studiowania i wczesnego kładzenia się spać. Ja natomiast wstawałem późno, często nie wracałem do domu na obiad i znikałem na całe wieczory. Kiedy Amrita kończyła pracę około dziesiątej wieczorem, ja zajmowałem po niej gabinet i czytałem często do wczesnych godzin rannych. Czytałem wszystko podczas owych pozbawionych słońca miesięcy zimowych.

Spenglera, Rossa McDonalda, Malcolma Lowry, Hegla, Stanleya Elkina, Bruce'a Cattona, Iana Fleminga i Sinclaira Lewisa. Czytałem klasyków, którzy czekali na półkach od paru dziesiątków lat, i przynosiłem do domu bestsellery kupowane w supermarkecie. Czytałem wszystko.

W lutym przyjaciel zaproponował mi wykłady – czasowy kontrakt w małej uczelni na północ od Bostonu. Zgodziłem się. Na początku dojeżdżałem codziennie, ale dość szybko z tego zrezygnowałem i wynająłem umeblowany apartamencik w pobliżu uczelni; wracałem do Exeter tylko na weekendy. Czasami nawet i weekendy opuszczałem.

Nigdy nie rozmawialiśmy z Amritą o Kalkucie. Nigdy nie wymienialiśmy imienia Wiktorii. Amrita zamknęła się w świecie liczb i algebry Boole'a. Wydawało się, że jest jej dobrze w tym świecie, w którym obowiązują ścisłe zasady, a prawda może być logicznie udowodniona. Ja pozostałem na zewnątrz wyposażony jedynie w nieporęczne instrumenty ludzkiej mowy i z nieobliczalną, absurdalną strefą rzeczywistości.

Wykładałem już w tej uczelni od czterech miesięcy i być może nie powróciłbym wcale do Exeter, gdyby nie zadzwonił do mnie przyjaciel zawiadamiając, że Amrita jest w szpitalu. Lekarze określili chorobę jako ostre zapalenie płuc spotęgowane wielkim wyczerpaniem organizmu. Przebywała w szpitalu przez osiem dni, a przez następny tydzień, już w domu, była zbyt słaba, aby móc wstać z łóżka. Przez cały ten czas troskliwie się nią opiekowałem i podczas spełniania drobnych czynności pielęgnarskich poczułem nawrót dawnej tkliwości wobec żony. Po tygodniu jednak Amrita oświadczyła, że czuje się już znacznie lepiej, i w połowie czerwca zasiadła z powrotem do swego komputera, a ja wróciłem do wynajętego mieszkania w pobliżu uczelni. Czułem się niezdecydowany i zagubiony, zupełnie jakbym stał na skraju wielkiej otchłani otwierającej się we mnie samym, wsysającej mnie w swe odmęty.



W czerwcu kupiłem pistolet. Lugera.

Poprzednio, w kwietniu, Roy Bennet, drobny, przeważnie milczący mężczyzna, profesor biologii, którego poznałem na uczelni, zaprosił mnie do wstąpienia do klubu strzeleckiego. Przez lata byłem gorącym zwolennikiem ustaw ograniczających prawo do posiadania broni i nienawidziłem ręcznej broni palnej, ale pod koniec tego roku szkolnego spędzałem prawie całe soboty z Bennetem w klubowej strzelnicy. Nawet dzieci wydawały mi się profesjonalistami, gdy je obserwowałem kręcące się przy stanowiskach strzeleckich, których wygląd znałem poprzednio jedynie z filmów. Gdy ktoś chciał odzyskać i sprawdzić swoją tarczę, wszyscy grzecznie łamali fuzje, dubeltówki lub też opuszczali ku ziemi lufy rewolwerów i pistoletów, cofali się o parę kroków i z uśmiechem czekali, aż właściciel tarczy powróci na stanowisko. Wiele tarcz miało kształt sylwetki ludzkiej.

Kiedy wspomniałem, że chciałbym zaopatrzyć się we własną broń, Roy się rozpromienił, jak misjonarz, któremu udało się nawrócić poganina. Zaproponował mi też na początek skromny pistolet małego kalibru. Następnego dnia kupiłem niemalże zabytkowego lugera 7,65 mm wydając na to fortunę. Kupiłem go od kobiety, która mi powiedziała, że ta broń była dumą kolekcji jej męża. Dołożyła mi do lugera piękne pudło wykładane aksamitem.

Nigdy właściwie nie opanowałem sztuki dwuręcznego strzelania, ale dość dobrze trafiałem do celu z odległości dwudziestu metrów. Nie mam pojęcia, co myśleli albo co czuli inni pakując kula po kuli w ciemne sylwetki tysiąckrotnie rozstrzeliwane, ale ja – ilekroć podnosiłem mój wypucowany, naoliwiony, doskonale wyważony pistolet – odczuwałem

wskroś mnie przenikającą, długo powstrzymywaną, wręcz rozsadzającą euforię. Było to uczucie, jakie się przeżywa po wypiciu szklanki whisky. Powolne ściągnięcie spustu do oporu, i milimetr dalej, ogłuszający huk, odskok i szarpnięcie sztywnego ramienia, i wreszcie owo słodkie uczucie bliskie ekstazy.

Któregoś weekendu, gdy Amrita już wyzdrowiała, zabrałem lugera do Exeter. W nocy Amrita zeszła na dół i zastała mnie, gdy obracałem w dłoniach dopiero co naoliwioną i naładowaną broń. Nie odezwała się słowem. Przez długą chwilę patrzyła na mnie, a potem wróciła na górę. Żadne z nas nie wspomniało o tym podczas śniadania.



– W Indiach wyszła książka, która wywołuje sensację. Poemat epicki, jak słyszałem. O Kali, jednej z ich opiekuńczych bogiń – mówił księgarz.

Przyjechałem do Nowego Jorku na przyjęcie. Zorganizował je z jakiejś tam okazji dom wydawniczy Doubleday. Zwabiła mnie bardziej okazja darmowego popicia niż względy literackie. Stałem sobie właśnie na balkonie debatując sam z sobą na temat słuszności wypicia czwartej szklaneczki whisky, kiedy usłyszałem tę wiadomość z ust stojącego obok księgarza, rozmawiającego z dwoma dystrybutorami książek. Obróciłem się do nich, ująłem księgarza pod ramię i odprowadziłem go w ciemny kąt. Okazało się, że właśnie powrócił z targów książki w New Delhi. Nie znał mnie. Wyjaśniłem, że jestem poetą, który bardzo się interesuje współczesną hinduską twórczością poetycką.

– Rozumiem, ale niestety wiem o tej książce niewiele więcej. Wspomniałem ją dlatego, że zdumiało mnie, iż poemat epicki może cieszyć

się tam podobnym powodzeniem. Bestseller. Szturmem podbił indyjskich intelektualistów. Wyrrywają sobie książkę z rąk. U nas taka rzecz nie miałyby wzięcia. Poezja w ogóle dobrze się nie sprzedaje – obwieścił sentencjonalnie – chyba że...

– A jaki jest jej tytuł? – przerwałem mu.

– Dziwne to, ale zapamiętałem – pochwalił się. – Kalisambvha albo Kalisavba czy coś takiego. Zapamiętałem, ponieważ kiedyś pracowałem z pewną dziewczyną imieniem Kelly Summers i zauważyłem, że ona...

– A kto jest autorem tego poematu? – spytałem.

– Autorem? Hmm, nie zauważyłem. Może wiedziałem i zapomniałem. Książkę sobie przypominam, ponieważ wydawca miał prawie puste stoisko, bez żadnej dekoracji, bez półek. Leżały tam tylko stosy tych książek w niebieskich okładkach. I potem wszędzie widziałem te niebieskie okładki w kioskach hotelowych. Był pan kiedy w Indiach?

– Das?

– Że co proszę?

– Czy autor nazywał się Das?

– O nie, na pewno nie Das. – Widziałem, że zaczyna być zirytowany. – Tak mi się wydaje. Coś bardzo indyjskiego i trudnego do wymówienia.

– Może imię brzmiało Sanjay?

– Nie mam pojęcia. A czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie? – Widziałem, że chciał mnie jak najszybciej pożegnać.

– Racja. To nie ma najmniejszego znaczenia – odparłem, odszedłem i oparłem się o balustradę balkonu. Po dwóch godzinach, gdy księżyc wyjrzał zza nierównych zębów nowojorskiej panoramy, ciągle jeszcze tak stałem.



Fotografię otrzymałem w połowie lipca.

Zanim jeszcze zobaczyłem znaczek i stempel pocztowy, już wiedziałem, że list jest z Indii. Ciemna koperta pachniała Indiami. Wysłana z Kalkuty. Stałem na końcu podjazdu do naszego domu, pod wielką brzozą. Najpierw zobaczyłem słowa na odwrocie fotografii: „Das żyje!”. To wszystko. Białoczarna fotografia, gruboziarnista, stojący z przodu byli prawie nie do rozpoznania z powodu źle skierowanego na nich flesza, stojący w głębi byli zaledwie ciemnymi sylwetkami. Natomiast bez trudu rozpoznałem Dasa. Twarz z plamami, nos zniekształcony, jednakże trąd nie ujawniał swojej obecności tak natrętnie jak wówczas, kiedy go widziałem. Miał na sobie białą koszulę, wyciągał rękę w geście, jaki używają często mistrzowie, gdy chcą studentom przekazać jakąś oczywistą prawdę.

Na poduszkach leżących półkolem wokół niskiego stolika siedziało ośmiu mężczyzn. Ze ściany za Dasem odpadała płatami farba, na stoliku stały brudne filiżanki. Flesz wychwycił jeszcze twarze dwóch mężczyzn, których nie znałem. Zacząłem przyglądać się niewyraźnej postaci mężczyzny siedzącego po prawej ręce Dasa. Rysów twarzy nie było widać. Jednakże mężczyzna siedział częściowo profilem, co pozwalało dostrzec potężny, haczykowany nos oraz włosy skłębione niczym chmura zawieszona nad czaszką.

W kopercie nic więcej nie było.

Das żyje! Jaki miałem wyciągnąć z tego wniosek? Ze po raz wtóry wskrzesiła go ta suka, bogini Kali? Patrzyłem na fotografię bębniąc w nią palcami. Nie można było określić, kiedy zrobiono to zdjęcie. Czy ta postać po prawej to Krishna? Coś w agresywnym wygięciu barku skłaniało mnie do opinii, że tak, że to właśnie on.

Das żyje!

Zamiast do domu poszedłem do lasu. Gęste poszycie chwyciło i więziło moje kostki. Czułem w sobie wirującą pustkę, która groziła przekształceniem się w czarną otchłań. Zdawałem sobie w pełni sprawę, że jeśli tym razem ujrzę ową otchłań, to nie będzie już dla mnie ratunku. Nie oprę się jej!

O jakieś pół kilometra od domu, w pobliżu miejsca, gdzie rzeczka rozlewa się w bagienny teren, ukląknęłam i podarłam fotografię na drobne kawałeczki. Przetoczyłam wielki kamień, rozsypałam papierowe cząsteczki na zmatowiałą, wyjałowioną ziemię i ułożyłam kamień na swoje miejsce.

Kiedy wracałam do domu, wyobrażałam sobie, jak białe skrawki drążą ziemię, aby głębiej w nią wnikać.



Wieczorem, gdy się pakowałam, przyszła do mojego pokoju Amrita.

– Powinniśmy porozmawiać – stwierdziła.

– Kiedy wrócę – odparłam.

– Dokąd jedziesz?

– Do Nowego Jorku. Na kilka dni. – Zasłonięty już pistolet i sześćdziesiąt cztery naboje przykryłam jeszcze jedną koszulą.

– Koniecznie musimy porozmawiać – powiedziała dotykając mojego ramienia.

Odruchowo się cofnąłam i zacząłam zamykać czarną walizkę.

– Jak wrócę – powtórzyłam.

Samochód zostawiłam w garażu. Do Bostonu pojechałam pociągiem, potem wziąłem taksówkę na międzynarodowe lotnisko w Logan. Kupiłem bilet do Kalkuty przez Frankfurt. Odleciałem o dziesiątej wieczorem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Cóż za okrutny stwór pełnie ku Betlejem,
Gdy wreszcie nadszedł jego czas,
By się narodzić?*

William Butler Yeats

Słońce dawno już wzeszło, gdy zbliżaliśmy się do brzegów Anglii, ale chociaż na moje kolana padały jaskrawe promienie, nadal tkwiłem w mroku własnej nocy, która nie chciała się skończyć. Cały dygotałem będąc niemalże boleśnie świadomy, że siedzę w aluminiowym cygarze zawieszony kilka tysięcy metrów nad oceanem. Jeszcze gorsze było uczucie jakiegoś dziwnego parcia z zewnątrz. Początkowo przypisywałem to objawom klaustrofobii, ale doszedłem do wniosku, że źródło jest zupełnie inne. Czułem w sobie przedziwne kołysanie wywołane odczuwanym i nieodczuwanym zawrotem głowy. Być może to samo odczuwa każda nowonarodzona istota, gdy wyjdzie z łona matki i podda się prawom samodzielnego życia.

Podczas gdy pode mną przemykała Europa, siedziałem z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na oparciach fotela i gapiałem się w nieme obrazki na ekranie. Nie założyłem słuchawek. Sam nie wiem dlaczego, rozmyślałem o ostatnich chwilach życia Tagorego. Podawano posiłki, zbierano po nich tacki. Nieco później usiłowałem trochę pospać. Było to prawie niemożliwe. Uczucie rosnącej pustki, coraz silniejsze zawroty głowy oraz brzęczenie jakby tysięcy owadów w uszach nie pozwalały mi przejść granicy, za którą zaczyna się sen. Gdy zdawało się, że już zbliżam

się do niego, nagle słyszałem drwiący chichot, który mnie wybijał ze snu. W końcu zrezygnowałem.

W Teheranie, gdzie lądowaliśmy w celu zatankowania paliwa, wyszedłem z samolotu wraz z innymi pasażerami. Pilot zapowiedział, że temperatura wynosi 33 stopnie, ale dopiero kiedy uderzyła mnie fala gorącego, wilgotnego powietrza, zdałem sobie sprawę, że mowa była o stopniach Celsjusza a nie Fahrenheita.

Zbliżała się już północ, gorące powietrze pachniało czającym się złem i gwałtem. Wyraźnie to czułem. W gigantycznej stodole terminalu, w którym głucho odbijało się echo setek rozmów, wszędzie wisiały portrety szacha pławiąc się w jaskrawym świetle. Agenci ochrony i policjanci kręcili się dokoła i nie wiadomo po co trzymali w rękach boczną broń. Muzułmańskie kobiety odziane w czarne czadory przepływały przez zielonkawą przestrzeń fluoryzującego światła, podobne do duchów, które zgodnie z wierzeniami dostrzec można na chwilę przed śmiercią lub chwilę po śmierci. Na marmurowej posadzce spali skuleni starcy, inni modlili się na dywanikach rozłożonych na posadzce pełnej niedopałków i celofanowych opakowań. Sześcioletni chłopczyk, chyba Amerykanin, o blond włosach, w czerwonej koszulce w paski – niepasującej do ciemnej tonacji wszystkich ubiorów dokoła – przykucnął za fotelem i ostrzeliwał kawiarnianą ladę z plastikowej zabawki będącej kopią karabinu M-16.

Przez głośniki zapowiedziano odlot naszego samolotu za piętnaście minut. Potrącając jakiegoś starca w czerwonym turbanie, pobiegłem do toalety. Było tam dość ciemno, paliła się tylko jedna żarówka przed wejściem. W gęstym mroku widziałem kręcące się postacie. Przez chwilę myślałem, że przez pomyłkę trafiłem do toalet damskich, gdyż wydawało mi się, że wszyscy są w czadorach. Jednak rozmowy prowadzone były tubalnymi, gardłowym, głosami. Usłyszałem też szmer wody. I wtedy

właśnie napadły mnie mdłości i zawroty głowy jeszcze gorsze niż przedtem. Pochyliłem się nad miską klozetową w azjatyckim stylu i zwymiotowałem. Skurcze przepony powtarzały się jeszcze długo po daniu przeze mnie ostatniego kawałka zjedzonych w samolocie posiłków.

Oslabiony upadłem jak długi na ziemię. Czulem chłód sanitarnej ceramiki. Teraz już chyba całego mnie wypełniała pustka. Osiągnąłem apogeum. Dygotałem, trzęsły m ę ręce, twarz oblewał pot łącząc się z łzami. Brzęczenie w uszach urosło do ryku, ale rozróżniałem w nim poszczególne głosy. Ktoś wyśpiewywał Pieśń Kali. Chyba przekroczyłem granicę i znalazłem się w jej królestwie.

Po paru minutach wstałem po omacku, umyłem się, jak mogłem, i dołączyłem przy bramce do kolejki pasażerów do Kalkuty.



Samolot spłynął z chmur, okrążył raz miasto i wylądował na lotnisku Dum–Dum. Była godzina trzecia dziesięć w nocy. Stałem w przejściu między fotelami, w kolejce posuwającej się wolno ku schodkom samolotu. Kalkuta wydawała się płonąć. Pomarańczową łunę jakby przygniatały do ziemi ciężkie, monsunowe chmury. Czerwone światła nawigacyjne odbijały się w niezliczonych kałużach, jakie utworzyły się na pasie startowym. I do tego reflektory za budynkami! Wszystko to stwarzało przedziwny, nierealny obraz ubarwiony zbiorowym krzykiem i zawodzeniem tysięcy przenikliwych głosów. Potykając się szedłem w gromadzie pasażerów do sali, gdzie odbywała się odprawa paszportowa i celna.

Przed rokiem w Bombaju Amricie i mnie zajęło prawie godzinę wydostanie się poza kordon kontrolny. Tym razem nie trwało to nawet pięć

minut. Absolutnie się nie bałem, że celnik każe mi otworzyć walizkę. Niski mężczyzna w brudnym mundurze khaki postawił kredą literę iks tuż nad miejscem, gdzie pod koszulami w zewnętrznej kieszeni walizki leżał mój luger i amunicja.

Szedłem przez wielką halę dworca w kierunku drzwi wyjściowych.

Ktoś będzie na mnie czekał. Prawdopodobnie Kriszna – Sanjay. Zanim umrze, będzie mi musiał powiedzieć, gdzie jest ta suka Kamakhya.

Chociaż była dopiero trzecia trzydzieści w nocy, tłok panował równie wielki, jak wtedy, kiedy byłem tu poprzednio. Ludzie rozmawiali głośno i krzyczeli do siebie snując się w chorym świetle migotliwych fluoryzujących lamp. Kiedy tak szedłem wśród Kiplingowskich „odzianych w prześcieradła trupów”, nawet nie starając się specjalnie, by nie nadepnąć na kogoś ze śpiących, straszliwy hałas ledwo do mnie docierał. Pozwoliłem się nieść tłumowi. Miałem niemal dosłownie znieczulone kończyny i poruszałem się sztywno, niby źle prowadzona przez aktora marionetka. Zamknąłem oczy, żeby lepiej słyszeć Pieśń Kali, czułem przyływ energii, gdy pomyślałem o znajdującej się blisko broni.

Chatterjee i Gupta także muszą zginąć. Muszą umrzeć bez względu na to, jak mały mógł być ich udział.

Szedłem przed siebie potykając się jak człowiek porwany i gnany przez wichurę. Hałas i zapachy wtapiały się w rosnącą we mnie pustkę i pomagały w tworzeniu się w pozbawionym świadomości umyśle czarnego kwiatu. Jej chichot był już teraz bardzo głośny. Pod spuszczonej powiekami widziałem Jej wizerunek wyrastający ponad szare wieżyce umierającego miasta, Jej głos przewodził coraz głośniejszemu chórowi, Jej ramiona poruszały się w rytmie pieśni, uczestniczyły w makabrycznym tańcu.

Kiedy otworzysz oczy, zobaczysz kogoś, kogo znasz! Nie musisz dłużej czekać. Niech wszystko zacznie się teraz.

Zmuszałem się, by nie otwierać oczu, a walizkę podniosłem wysoko zasłaniając nią pierś niby tarczą. Fala ludzka unosiła mnie w stronę otwartych drzwi. Wyraźnie słyszałem wrzaski tragarzy, a mdlące, słodko-ściekowe zapachy Kalkuty wdzierały mi się w nozdrza. Prawą dłonią bezwiednie odsunąłem zamek błyskawiczny bocznej kieszeni walizki, gdzie schowałem naładowaną broń.

Zacząć należy już tutaj!

Mimo zamkniętych oczu widziałem dokładnie, jak rozwierają się przede mną wrota, za którymi dzieje się to, co nastąpi dopiero za kilka minut. Wielka bestia trawi! Wielka bestia, jaką jest to przeklęte miasto. Czułem, że czarny kwiat we mnie rozkwita, otwierają się jego płatki, że nabity, naoliwiony luger wystawia metalowy łeb, gotów do czynu, i że za chwilę sakrament będzie spełniony. Czekałem, by zapożyczona od niego siła uniosła moje ramię ku górze, wypełniła mnie całego, a potem spotęgowana wytrysnęła ogniem w ciemną noc. Biegające postacie zaczną padać, a ja szybko załaduję broń raz jeszcze, wsłuchując się w kojący trzask wskakującego na miejsce magazynku. Ponownie wytryśnie ze mnie spotęgowana bólem siła, padną następne ruchome cele, fruwać będą rozszarpane skrawki ciał, z kominów buchnie ogień i na czerwono rozpali noc, a w tym świetle z łatwością znajdę drogę przez ulice, uliczki, zaułki. Odnajdę Wiktorię! Tym razem odnajdę ją w nowym wymiarze czasu – odnajdę ją, nim będzie za późno, zabiję tych, którzy mi ją zabrali, zabiję tych, którzy staną mi na drodze, zabiję każdego, kto...

Zacząć należy teraz!

– Nie! – wrzasnąłem na siebie i do siebie, otwierając oczy.

Mój krzyk zagłuszył Pieśń. Choć zagłuszył ją tylko na parę sekund, to mi wystarczyło, by wepchnąć z powrotem pistolet w głąb torby, wyjąć z niej rękę i wyrwać się z tłumu prącego do drzwi. Rzuciłem się ostro w lewo. Drzwi znajdowały się w odległości dziesięciu kroków, tłum dalej w nie parł, niepowstrzymanie, szybciej niż przedtem, bardziej zdeterminowany. Ponad głowami ludzi mignęła mi sylwetka mężczyzny w białym ubraniu stojącego obok niebiesko-białego autobusiku. Mężczyzna miał na głowie strzechę sterczących włosów.

– Nie! – wrzasnąłem po raz drugi, ale już gdzieś w przestrzeń, i używając walizki jako tarana rzuciłem się w tłum ku drzwiom.

Ktoś mnie pchnął, ale uderzyłem go mocno walizką i ustąpił z drogi. Byłem zaledwie o trzy kroki od drzwi. Ściśnięty w tłumie, niesiony – niby oderwany od dna pęcherzyk wody, który chce czy nie chce musi dotrzeć do powierzchni. Albo jak masa powietrza zdążająca do próżni, by za chwilę w nią się wedrzeć z hukiem implozji.

Niech tu się zacznie!

– Nie! – Pojęcia nie mam, czy krzyknąłem głośno, czy też jedynie pomyślałem.

Obróciłem się, natarłem piersią, całym ciałem, tak jak człowiek zanurzony po szyję w wodzie walczy z prądem rzeki. Chwyciłem lewą ręką żelazną sztabę bocznych, nieoznaczonych żadnym szyldem drzwi, które z pewnością wiodły do niedostępnej dla pasażerów części terminalu. Przez cały czas udawało mi się utrzymać walizkę. Ludzka masa ocierała się o mnie, przewalała, od czasu do czasu obrywałem przypadkowo po twarzy czyimś ramieniem czy łokciem.

Pchnąłem nieoznaczone drzwi. Otworzyły się. Wbiegłem i popędziłem przed siebie. Walizka obijała mi się o prawą nogę, zdumieni pracownicy

portu ustępowali mi z drogi. W uszach słyszałem ryk Pieśni tak ogłuszający, że aż bolesny. Musiałem mocno zacisnąć powieki.

Niech tu się zacznie! Niech tu się zacznie! Niech zacznie się teraz!

Zatrzymałem się w pół skoku trafiając w ścianę. Odrzuciła mnie. Padłem. Ręce i nogi latały mi podrzucane drgawkami, jakby w epileptycznym ataku. Wstałem i zrobiłem dwa kroki w stronę terminalu.

– Wy pieprzeni! Wy wszyscy pieprzeni! – wydierałem się.

Przypuszczam, że się wydierałem. Kuśtykając podszedłem do ściany, ale to nie była ściana, a szerokie, wahadłowe drzwi. I potem znalazłem się w długim, ciemnym pomieszczeniu. Na czworakach.

Słyszałem, jak drzwi zamykają się za mną. I zapanowała cisza. Prawdziwa cisza. Zostałem sam. W długim, wąskim pomieszczeniu słabo oświetlonym, wśród stosów nie odebranych walizek, kilku kartonów i kufrów. Usiadłem na cementowej podłodze i rozejrzałem się z rosnącym przerażeniem. Poznałem to miejsce! Po prawej stronie znajdowała się lada, na której wówczas czekała pusta, metalowa trumienka.

Przestałem słyszeć Pieśń.

Przez wiele minut siedziałem na posadzce i dyszałem. Pustka, jaką nadal odczuwałem, wydała się teraz czymś miłym. Nie była już groźnie mroczna ani trująca.

Zamknąłem oczy. Wspominałem słodkie chwile, kiedy wziąłem Wiktorię na ręce zaraz po jej urodzeniu, kiedy ją potem tuliłem... Pachniała mlekiem, pachniała niemowlęctwem. A te trzydzieści kroków z sali porodowej do szpitalnego łóżka Amrity...!

Zerwałem się z chłodnej posadzki i nie otwierając oczu cisnąłem moją walizkę, jak najdalej mogłem. Odbiła się od jakiejś półki wzbijając tumany kurzu i padła na stos kartonów.

Wybiegłem z magazynu, poszedłem pustym korytarzem w stronę terminalu i ni stąd ni zowąd znalazłem się na sali odpraw o kilka metrów od jedyne go czynnego stanowiska biletowego. Kupiłem bilet na najbliższy lot.

Tym razem żadnego opóźnienia nie było. Samolot Lufthansy do Monachium odleciał o czasie – po dwudziestu minutach – z dziesięcioma pasażerami na pokładzie.

Nie wyjrzałem przez okno, aby po raz ostatni zobaczyć Kalkutę. Zasnąłem, nim pilot schował podwozie.

W Nowym Jorku wylądowałem następnego dnia po południu i natychmiast odleciałem Deltą do Bostonu. Gdy znalazłem się na międzynarodowym lotnisku Logan, opuściły mnie resztki sztucznego ożywienia, jakie mną owładnęło w ostatnich godzinach. Głos mi się łamał, gdy zadzwoniwszy do Amrity prosiłem ją, by przyjechała po mnie na lotnisko.

Nim się pojawiła w czerwonym pinto, przeżywałem męki – dygotałem nie będąc w pełni świadomy, gdzie jestem. Amrita chciała mnie od razu zawieźć do szpitala, ale zaprotestowałem. Opadłszy półprzytomnie na czarne, winylowe siedzenie, błagałem: – Jedź! Jedź do domu, bardzo cię proszę.

Pojechaliśmy na północ autostradą I-95. Przedwieczorne słońce rzucało długie cienie na trawnik oddzielający pasy ruchu, pola błyszcząły wilgocią po niedawnej ulewie. Nie mogłem opanować szczykowania zębami, ale uparłem się, żeby mówić. Amrita prowadziła w milczeniu czasami jedynie zerkając na mnie zamyślonymi, smutnymi oczami. Nie przerywała nawet wówczas, gdy zaczynałem bredzić.

– Zdałem sobie sprawę, że oni właśnie tego chcieli. Chcieli, żebym to zrobił. Chciała tego Ona. – Właśnie zbliżaliśmy się do granicy stanu. – Nie wiem, dlaczego chciała. Może chciała, żebym zajął jego miejsce, tak jak on

zajął miejsce Dasa. A może Krishna ocalił mnie, ponieważ wiedział, że oni któregoś dnia ściągną mnie z powrotem w celu popełnienia... jakiegoś szaleństwa. Nie mojego szaleństwa, ale ich. Nie wiem i już mnie to nie obchodzi. Czy zdajesz sobie sprawę, co pozostaje ważne?

Amrita spojrzała na mnie. Nic nie odpowiedziała. Zapadający mrok wyłocił jej twarz.

– Przez te wszystkie dni obarczałem siebie winą i wiedziałem, że będę to robił aż do śmierci. Tak, przez cały czas byłem przekonany, że to moja wina. Bo to była moja wina. Teraz wiem także, że ty winą obarczałaś siebie.

– Gdybym jej nie wpuściła do pokoju... – zaczęła Amrita.

– Tak, wiem! – odparłem prawie krzyżąc. – Ale musimy przestać to robić. Jeśli nie potrafimy przejść nad tym do porządku dziennego, to zniszczymy się, zniszczymy się wzajemnie. Zniszczymy sens istnienia naszej trojki. Staniemy się częstką wiecznego mroku.

Amrita zatrzymała samochód na parkingu przy zjeździe z autostrady do Salisbury Plains. Zdjęła dłonie z kierownicy. Przez długie minuty siedzieliśmy w milczeniu.

– Brak mi jest Wiktorii – po raz pierwszy od wydarzeń w Kalkucie wypowiedziałem głośno do Amrity imię naszej córeczki. – Brak mi jest naszej małej Wiktorii...

Amrita oparła mi głowę na ramieniu, potem wtuliła twarz w moją pierś. Najpierw trudno mi było zrozumieć jej słowa – wsiąkały w moją koszulę wraz ze łzami. Po chwili głos zaczął docierać wyraźniej: – Mnie też jest brak Wiktorii, Bobby! Strasznie mi jej brak.

Siedzieliśmy obejmując się, tuląc do siebie, a obok z hukiem, niosąc falę powietrza pędziły ciężarówki. Była to ostatnia godzina natężonego ruchu, kiedy resztki słońca barwią jeszcze asfalt, a wizg opon zdaje się do niego przylegać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Dusza od nienawiści zwolniona
Samoukojenia cudu dokona,
Zdolna sama do lęku, radości,
Bo cnotę odzyska niewinności.*

*Bo wolą niebios jej wola żywa.
Choćby wszystkie twarze się krzywiły,
Pękały dzwony, wichury wyły,
Niewinna dusza będzie szczęśliwa.*

William Butler Yeats,
Modlitwa za mą córkę

Obecnie mieszkamy w stanie Kolorado. Na wiosnę 1982 roku otrzymałem zaproszenie do prowadzenia skromnego warsztatu na jednym z koloradzkich uniwersytetów i do Bostonu wróciłem tylko po to, by zabrać Amritę. Tymczasowy pobyt w Kolorado przekształcił się w rezydowanie na stałe. Dom w Exeter wynajęliśmy umeblowany, zabierając jedynie osiem obrazów, które wiszą teraz na ścianie z bali w naszym górskim domu. Mały olej Jamie Wyetha, który kupiliśmy w 1973 roku jest najbliższy tego – jeśli idzie o grę światła i kolorów – co widzimy z okna.

Tutejsze światło wprost fascynowało nas przez pierwsze miesiące, dlatego też Amrita i ja zaczęliśmy – początkowo bardzo nieśmiało – malować.

W porównaniu z Bostonem warunki w tutejszej uczelni są bardzo skromne, nasze pensje małe. Domek, w którym mieszkamy, był niegdyś leśniczówką. Przez olbrzymie okna patrzymy na ośnieżone szczyty o sto

parędziesiąt kilometrów na północ. Powietrze jest takie przejrzyste, takie czyste, że nie zatrzymuje najmniejszego promyka. Jeszcze odrobina jasności więcej, a bolałyby oczy.

Prawie zawsze chodzimy w džinsach, Amrita nauczyła się doskonale prowadzić dżipa w słońcu i śniegu – typ Bronco z napędem na cztery koła. Brak nam oceanu. Brak niektórych przyjaciół i pewnych korzyści wynikających ze zdobyczy przybrzeżnej cywilizacji. Najbliższe miasteczko znajduje się o kilkanaście kilometrów od kompleksu uniwersyteckiego i o wiele od niego niżej. W lecie liczący mieszkańcy miasteczka wzrasta do siedmiu tysięcy. Najwytworniejsza restauracja nazywa się Cocina, a pozostałe przybytki gastronomiczne to do wyboru Pizza Hut, Kącik Śniadaniowy Nory, Grill Gary’ego oraz otwarta przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kafeeteria przy autostradzie międzystanowej – dla kierowców ciężarówek. W lecie niemałe pieniądze wydajemy na lody. Dlaczego by nie? Miejska biblioteka znajduje się chwilowo w wielkiej przyczepie, póki nie zakończy się budowa obiektu mającego pomieścić wszystkie instytucje użyteczności publicznej. Do Denver jest trzy godziny jazdy samochodem, ale w zimie górskie przełęcze są tygodniami zamknięte.

A wracając do powietrza i jego czystości: jest ono tak czyste, że oddychanie stanowi rozkosz. Rano czujemy się lżejsi, jak gdyby wysokość, na której przebywamy, zwalniała nas częściowo z potrzeby podporządkowywania się prawu ciężenia, któremu podlega reszta świata. I ten fenomen jasności światła! Przebywamy w jasności, która leczy!



Podczas ostatniej jesieni umarł Abe Bronstein. Właśnie zakończył przygotowywanie zimowego wydania, w którym między innymi miało znajdować się krótkie opowiadanie Ann Beattie. W drodze do kolejki podziemnej dostał zawału serca. Polecieliśmy na pogrzeb.

Po pogrzebie matka staruszka, z którą Abe mieszkał w niewielkim domu w Bronxville, zaprosiła do siebie na kawę wszystkich uczestników uroczystości żałobnej. W trakcie tej skromnej stypy skinęła na mnie i Amritę. Poszliśmy za nią do sąsiedniego pokoju – małej sypialni Abe’ego, pomniejszonej jeszcze pełnymi książek półkami, jakimi obłożone były po sufit trzy ściany. Pani Bronsteinowa, drobniutka, chudziutka, miała osiemdziesiąt sześć lat. Gdy usiadła na skraju łóżka, bałem się, że nie utrzyma się prosto. Sypialnia pachniała dymem ulubionych cygar Abe’ego i skórzanymi oprawami książek.

– To jest dla pana! – podała mi kopertę. – Abraham polecił oddać to panu, Robercie. – Jej głos, nadal melodyjny, musiał być niegdyś cudownie podniecający. Gdy starannie odmierzała słowa w wyuczonym języku, uderzało piękno jego brzmienia. Piękną też miała dykcję. – Abraham powiedział, że mam to oddać panu do rąk własnych, nawet gdybym miała iść pieszo do Kolorado.

W innej sytuacji moja wyobraźnia umieściłaby natychmiast tę drobniutką staruszkę na jakiejś dróżce wiodącej poprzez prerie i uśmiechnąłbym się pod nosem, ale teraz skinąłem tylko głową i otworzyłem kopertę.

9 kwietnia, 1983

Bobby, Jeśli trzymasz ten list w rękach, to znaczy, że nastąpiły wydarzenia, które nie cieszą żadnego z nas. Właśnie wróciłem od lekarza.

Choć nie zalecił mi, bym przestał kupować płyty długogrające, nie próbował też zakładać się, że dożyję stu lat.

Mam nadzieję, że przeze mnie nie musiałeś (ani także Amrita) odkładać ważnych spraw. Oczywiście jedynie w wypadku, jeśli w tej przez Boga zapomnianej dzicy, którą nazywasz teraz miejscem stałego zamieszkania, można mieć ważne sprawy.

Ostatnio zmieniłem testament. W obecnej chwili siedzę sobie w parku koło mojego starego przyjaciela, tego szaleńca z Alicji w Krainie Czarów, raduję się spokojem i przyglądam dziewczętom w stanikach i szortach wmawiającym sobie, że to wiosna. Dzień jest rzeczywiście ciepły, ale nie na tyle, żeby nie występowała gęsia skórka.

Jeśli Mama ci jeszcze tego nie powiedziała, to informuję, że w testamencie zapisałem wszystko właśnie jej. Wszystko z wyjątkiem oryginalnego wydania Prousta, teczek z korespondencją autorów w kasetce depozytowej oraz praw autorskich, różnych innych praw i konta bankowego. No i oczywiście z wyjątkiem praw do wydawnictwa Voices. Te wszystkie wyjątki otrzymujesz ty, Bobby.

Chwileczkę, przyjacielu! Nie chcę być oskarżony o to, że zakładam łańcuch na twoją wolną duszę i niepokorną polską szyję. Masz prawo zrobić z pismem, co ci się żywnie podoba. Jeśli chcesz je oddać komuś w pacht – proszę bardzo. Masz prawo swobodnego decydowania. Pamiętaj tylko o jednym, Bobby, o tym, czym to pismo miało być. Nie oddawaj tego jakiemuś cholernemu konglomeratowi, który chce sobie robić odpisy podatkowe i który wynajmie jakiegoś tandeciarza grafomana nieumiejącego odróżnić dobrej prozy od wczorajszych siusiek. Jeśli będziesz zmuszony zawiesić działalność wydawnictwa, by uchronić je przed obniżeniem lotów, to ja nie mam nic przeciwko temu.

Jeśli jednak postanowisz kontynuować – to doskonale. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tego typu wydawnictwo jest przenośne. Jak walizkowa maszyna do pisania. Możesz je z sobą zabrać tam, gdzie mieszkasz. (Miller i tak miał zamiar podnieść w najbliższym czasie komorne). Jeśli podejmiesz się dalszego wydawania, to nie zaprzętaj sobie głowy kontynuowaniem „polityki wydawniczej Abe’ego”. Abe nie miał żadnej polityki wydawniczej. Drukuj jedynie dobre teksty, Roberto! Zдай się na własny instynkt.

I jeszcze jedno: pamiętaj, że nie wszystkie dobre teksty muszą być Wymiocinami po Dobrym Obiedzie. Wiele otrzymywanych przez redakcję materiałów wywołuje wielkie przygnębienie czytającego. Ale jeśli jest to dobre – drukuj. Nie można jednak zapominać o zapotrzebowaniu na teksty, które zawierają choćby źdźbło nadziei dla zbłąkanej ludzkości. W każdym razie ja tak uważam. Ale ty to wiesz lepiej ode mnie, Bobby! Byłeś bliżej ognia niż ja i przeżyłeś.

Muszę już iść. Stoi tu obok glina i podejrzliwie mi się przygląda. Myślę, że słusznie zakwalifikował mnie do kategorii Starych Świntuchów.

Możesz ten list przeczytać Mamie – zresztą ona się nie uspokoi, póki tego nie zrobisz. Ale nie powtarzaj o tych siuśkach i opuść słowo „cholerny” przy konglomeracie. Mama nie lubi przekleństw i brzydkich słów. Widzisz, otrzymujesz pierwszą redaktorską robotę!

Uściski dla Amrity

Abe



Abe miał rację. Wydawnictwo okazało się jak najbardziej przenośne. Moja uczelnia wpadła w zachwyt używając adresu kwartalnikowi

literackiemu Voices. Aby mi ułatwić prowadzenie wydawnictwa zwolniono mnie z pewnej liczby wykładów nie obcinając poborów. Podejrzewam, że zwolniono by mnie ze wszystkich zajęć, bylebym pozostał gwarantem stałej obecności Amrity na wydziale matematycznym. Amrita z kolei jest bardzo zadowolona mając dostęp do końcówki uczelnianego komputera, który dzieli czas z komputerowym gigantem Craya w Denver. Ostatnio mi nawet powiedziała, że ta nasza uczelnia jest wcale dobrze postawiona. Najwidoczniej w drodze do budynku wydziału matematycznego nie dostrzega blaszanych baraków spełniających rolę studenckich dormitoriów, budyneczków z pustaków gazobetonowych oraz malutkiej biblioteki.

A mnie jest stosunkowo łatwo wydawać kwartalnik literacki wschodniego establishmentu ze szczytu góry Kolorado, chociaż muszę udawać się co parę miesięcy do Nowego Jorku, by porozmawiać w drukarni oraz odwiedzić paru autorów i sponsorów. Amrita włączyła się do prac wydawniczych i wykazała duży talent jako recenzent nadsyłanych rękopisów. Twierdzi, że zarówno języki, jak i matematyka utrwaliły w niej zmysł symbolicznej równowagi – pojęcia nie mam, co to znaczy. To właśnie nalegania Amrity sprawiły, że zacząłem zwracać większą uwagę na takich zachodnich pisarzy jak Joannę Greenberg i Kowbojski Poeta Wiary.

Konsekwencje tego kroku były bardzo zachęcające. Ostatnio pokaźnie zwiększyła się liczba prenumeratorów, ustanowiliśmy też wiele nowych punktów sprzedaży odręcznej. A dawni czytelnicy też pozostali nam wierni. I mam nadzieję, że będzie tak nadal.

Od kalkuckich czasów nie napisałem żadnego wiersza.

Pieśń Kali nigdy nie milknie do końca. Brzęczy w tle tak jak przyciszone, źle nastrojone radio. W dalszym ciągu miewam sny, w których wlokę się przez błotniste slumsy i stąпам po owiniętych w brudne całuny

śpiących ludziach, a z odległych kominów bucha ogień liżący nisko zawieszane chmury.

Są noce, kiedy zrywa się wiatr i ja wtedy wstaję. Idę do wielkiego okna, spoglądam w czerń nocy i słyszę drapanie o skałę pazurów sześciu kończyn. Czekam wtedy, ale posępna twarz z krwiożerczymi ustami i tryskającymi złem oczami pozostaje w mroku zatrzymywana przez... Nie wiem, przez co.

Ale chór wyśpiewuje Pieśń Kali.

Niedawno niedaleko od nas stara kobieta i jej córka, obie określane jako „dobre chrześcijanki”, upiekły wnuka w piekarniku, aby wygnać z niego demony, które zmuszały go wieczorem do płaczu.

Jeden z moich studentów ma dalekiego kuzyna w kalifornijskim liceum. Ów obiecujący młodzieniec zgwałcił, a następnie zamordował koleżankę, po czym zaprosił czternastu kolegów, aby przez trzy dni przychodzili i oglądali zwłoki. Jeden z tych gości trzepnął cegłą w głowę zabitej, aby się upewnić, że ona nie żyje. Żadnemu z owej czternastki nie przyszło do głowy zawiadomić policję.

Jednym z nowych pracowników w drukarni Adamsona w Nowym Jorku jest niedawno poznany przeze mnie uchodźca z Kambodży, czterdziestodwuletni Siem Ry. W Phnom Penh miał własną drukarnię. Przed paru laty udało mu się za łapówki wydostać do Tajlandii, a następnie otrzymać wizę do Stanów Zjednoczonych. Od początku pracował u Adamsona, najpierw jako tak zwany drukarski diabełek, czyli po prostu goniec. Teraz już jest drukarzem całą gębą. Przy drinku w barze opowiadał mi o przymusowej ewakuacji kambodżańskiej stolicy i ośmiodniowym marszu ludzkiej masy przez dżunglę. Rodzice jego zmarli w drodze. Spokojnym głosem mówił o obozie pracy, w którym stracił żonę, i o przebudzeniu pewnego poranku, kiedy stwierdził, że w nocy wywieziono

mu trójkę dzieci do „edukacyjnego obozu pracy” w odległej części kraju. Opisał mi też pole, przez które uciekał z obozu: usiane było ludzkimi czaszkami, w pewnym miejscu na ćwierci hektara leżała ich ponad metrowa warstwa.

Zaczął się wiek Kali.



W ubiegłym tygodniu odwiedziłem naszą bibliotekę w przyczepie i poczytałem sobie o tak zwanej kalkuckiej Czarnej Dziurze. Dotychczas było to dla mnie niewiele znaczące pojęcie, którego historii w ogóle nie znałem. Czarną Dziurą nazywano pomieszczenie bez dopływu powietrza, w którym zamykano upchanych jak sardynki w pudełku ludzi podczas sporadycznych rebelii w dziewiętnastym wieku.

Ta nazwa nadal mnie prześladowuje. Mam swoją teorię na temat Kalkuty, chociaż w tym wypadku słowo teoria jest zbyt szacownym określeniem na opinię bądź co bądź intuicyjną.

Uważam, że w otaczającej nas rzeczywistości są takie czarne dziury. Czarne dziury ludzkiego postępowania. Czarnymi dziurami nazwać też można miejsca zmasowanej ludzkiej niedoli lub perwersji, gdzie ulegają destrukcji instynkty współistnienia i tkwiący w nas czarny rdzeń wszystko pochłania.

Wiele przeczytałem, wiele widziałem, pilnie się rozglądając po nas samych, i doszedłem do przerażającego wniosku, że czarne dziury są coraz liczniejsze, coraz większe i coraz żarłoczniej zaspokajają własny apetyt. I nie obejmują one tylko obcych miast w odległych krajach.

Nie dzieląc się z Amritą moimi spostrzeżeniami zapytałem ją o czarne dziury we wszechświecie, gdzie rządzą prawa matematyczne. Długo mi to wyjaśniała opierając się głównie na teoriach Stephena Hawkinga. Były to bardzo naukowe wyjaśnienia, trudne dla mnie do zrozumienia. Ale parę jej uwag bardzo mnie zainteresowało. Powiedziała, że wydaje się, iż światło i inne ujarzmione energie mogą mimo wszystko umknąć astronomicznym czarnym dziurom. Nie pamiętam już szczegółów jej wyjaśnienia, ale z tego, co zrozumiałem wynika, że chociaż jest niemożliwe wydobyć się z czarnej dziury, energia może jakby „tunelem” przemknąć do innego miejsca i czasu. Powiedziała ponadto, że nawet gdyby cała materia i energia we wszechświecie zostały połknięte przez czarne dziury, to skondensowanie ich masy spowodowałoby w rezultacie kolejny Wielki Wybuch, w wyniku którego powstałby Nowy Wszechświat rządzący się nowymi prawami, o nowym kształcie, z nowymi galaktykami świetlistości.

Być może. Siedzę sobie na szczycie góry i układam nieprzekonujące metafory, a przez cały czas mam przed oczami obraz bledziutkiej twarzyczki owiniętej szalem. Czasami dotykam delikatnie wnętrza własnej dłoni, aby przypomnieć sobie, co czułem po raz ostatni podtrzymując tą dłonią główkę Wiktorii. Opiekuj się mamą, póki nie wrócę, malutka! Na dworze wzmaga się wiatr i gwiazdy drżą w chłodzie nocy.



Amrita jest w ciąży. Jeszcze mi sama tego nie powiedziała, ale wiem, że przed dwoma dniami potwierdził to jej doktor. Myślę, że Amrita nie jest pewna, jaka będzie moja reakcja na tę wiadomość. Niesłusznie się obawia.

Przed miesiącem, tuż przed początkiem nowego roku szkolnego, pojechaliśmy dżipem na sam koniec starej kopalnianej drogi dostawczej. Zostawiliśmy wóz i z plecakami poszliśmy grzbietem górskiego łańcucha. Jedynym dźwiękiem był szelest wiatru między koronami rosnących poniżej sosen. Od kiedy zakończono eksploatację kopalni, opustoszały okoliczne doliny. A może nigdy nie były zamieszkane. Obejrzeliliśmy kilka opuszczonych wejść do szybów, a następnie skręciliśmy na sąsiedni grzbiet, z którego widać było ośnieżone szczyty – wszędzie dokoła, aż po horyzont. Stanęliśmy, by przyjrzeć się jastrzębiowi szybującemu wysoko, chyba z półtora kilometra nad naszymi głowami.

Na noc rozłożyliśmy obozowisko w pobliżu lodowato zimnego, wysokogórskiego jeziora w kształcie wielkiej tarczy. Około północy pojawił się półksiężyc i oblał bladą poświatą okoliczne szczyty. Śnieżne płaty na skałach w pobliżu także spijały chciwie księżycowe światło.

Tej nocy się kochaliśmy. Nie po raz pierwszy od czasów kalkuckich, ale po raz pierwszy potrafiliśmy myśleć wyłącznie o nas samych. Potrafiliśmy zapomnieć wszystko inne. Amrita zasnęła potem z głową na mojej piersi, a ja leżąc patrzyłem na meteory przecinające niebo podczas sierpniowej nocy. Nim zasnąłem, doliczyłem się ich dwudziestu ośmiu.

Amrita skończy niedługo trzydzieści dziewięć lat. Jestem pewien, że doktor zaleci jej badania prenatalne. Będę ją namawiał, żeby się na to nie zgodziła. Takie badania są pomocne głównie wtedy, gdy rodzice chcą pozbyć się płodu w przypadku stwierdzenia wad genetycznych. My z pewnością tego nie chcemy, a poza tym jestem absolutnie przekonany, że żadnych problemów genetycznych nie będzie.

Najlepiej gdyby tym razem urodził się chłopiec, ale będziemy także bardzo zadowoleni z córki. Niemowlę w domu przywoła bolesne

wspomnienia, ale mniej bolesne, niż głęboki żal, jaki już tak długo dzielimy.



W dalszym ciągu uważam, że są na świecie miejsca zbyt nikczemne, aby pozwolić im istnieć. Czasami śni mi się atomowy grzyb nad ogromnym miastem i widzę ludzkie postacie tańczące na tle płonących jeszcze zgliszcz, które były Kalkutą.

Gdzieś w mroku czekają piekielne chóry, by rozpocząć pieśń proklamującą epokę Kali. Tego jestem niestety pewien. Jestem tego pewien tak, jak jestem pewien, że zawsze znajdą się słudzy gotowi spełniać jej wolę.

Potęga wyraża się przez gwałt, panie Luczak!

Nasze dziecko urodzi się na wiosnę. Pragnę, aby zaznało szczęśliwego życia w górach pod czystym niebem, aby cieszyło się kubkiem gorącej czekolady w zimowy poranek, aby mogło się śmiać beztrosko, rozbawione w wonnej trawie w sobotnie popołudnie lata. Chcę, aby nasze dziecko mogło słyszeć przyjazne głosy płynące z dobrych książek i jeszcze przyjaźniejszą ciszę w towarzystwie dobrych ludzi.

Od lat nie napisałem ani jednego wiersza, ale ostatnio kupiłem ładnie oprawny tom dziewiczych, białych stron i codziennie do niego zasiadam, by go zapełnić. Nie piszę wierszy. I nie piszę nic do publikacji. Snuję opowieść, właściwie szereg opowieści, o przygodach dość niezwykłych przyjaciół. Występuje w nich umiający posługiwać się ludzką mową kot, odważna i ponad swój wiek rozwinięta mysz, szlachetny, ale bardzo samotny centaur i chełpliwy orzeł, który boi się latać. Jest to wielka

opowieść o odwadze i przyjaźni oraz miłych przygodach w ciekawych miejscach. Wieczorna bajka na dobranoc!

Pieśń Kali nas nie opuszcza, towarzyszy nam już od dawna. Śpiewający ją chór jest coraz większy. Ale słyszeć również jeszcze inne głosy i są inne pieśni do śpiewania.